

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

Glen Cook

Ponure Mosiężne Cienie

Tytuł oryginału: Dread Brass Shadows

Przełożyła Aleksandra Jagiełłowicz

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

I

Fiu! W co ja się pakuję!

Przez cztery tygodnie mieliśmy śnieg, który by sięgał po pas wysokiemu mamutowi, a potem nagle zrobiło się gorąco i wszystko stopiło się szybciej, niż zdołasz wypowiedzieć słowo „klaustrofobia”. Wychylnąłem więc na zewnątrz, żeby sobie po?biegać. Biegłem, roztrącając ludzi i co chwila waląc się w głó?wę, bo dziewczyny zaczęły właśnie rozprostowywać nogi. A ja od czasu, gdy zaczął padać śnieg, nie widziałem ani jednej przy?zwoitej babskiej podstawy.

Bieganie i Garrett? Ależ tak, sześć stóp i dwa cale oraz dwie?ście funtów - poezja ruchu. W porządku, może kiepska ta poe?zja, przyciężka, no ale już zaczynam chwytac. Za kilka tygodni będę znowu chudy i złośliwy, jak wtedy, gdy miałem dwadzie?ścia lat i służyłem w Marines. A świnię będą mi śmigać koło uszu jak sokoły.

Trzydziestka to niewiele dla kogoś, kto ma pięćdziesiątkę, ale jeśli od kilku lat twoim głównym zajęciem jest lenistwo, brzuch staje się nieco mniej twardy niż deska, kolana trzeszczą, a ty do? stajesz zadyszki i palpacji w połowie schodów, zaczynasz się za-

stanawiać, czy nie pomyliłeś dziesiątki z dwudziestką, albo czy nie zacząłeś liczyć z niewłaściwej strony. No i naszło mnie. Pa?skudny przypadek gorączkowej potrzeby działania.

A zatem zacząłem biegać. I podziwiać scenerię. I dyszeć, i zi?pać, i myśleć sobie, że może jednak powinienem machnąć rę?ką i oddać się do domu starców w Bledsoe. Niewesoło, oj, nie?wesoło.

Saucerhead miał lepszy pomysł. Siedział na ganku mojej cha?łupy, z dzbanem, którego zawartość Dean pracowicie uzupełniał. Za każdym razem, kiedy przebiegałem przed jego nosem, zaży?wał ruchu, unosząc odpowiednią liczbę palców, by mi pokazać, ile okrążeń przetrwałem bez zawału.

Ludzie objali się o mnie i klęli. Ulica Macunado od pasa w dół i w górę roiła się od karłów i gnomów, ogrów i chochlików, el?fów i innych takich tam, nie wspominając o wszystkich ludziach z sąsiedztwa. Gołębie nie miały gdzie latać, bo wróżki i rusałki kręciły ósemki nad głowami. Kto żyw w TunFaire wyległ na uli?ce, jeśli nie liczyć Truposza. A i ten przebudził się po raz pierw?szy od wielu tygodni, łaskawie dzieląc ogólną euforie.

Całe cholerne miasto było na potężnym haju. Wszystkich jak?by ogarnęło szaleństwo. Nawet ludzie-szczury się uśmiechali.

Minąłem róg Zaułka Czarowników, pompując kolanami i wy?machując łokciami. Wytrzeszczałem ślepią w nadziei, że Saucer?head nagle zgłupieje i straci rachubę o kilka okrążeń na moją korzyść. Nic z tego. No, może częściowo. Pokazał mi dziewięć paluchów i uznałem, że chyba nie łże za bardzo. A potem zama?chał ręką i wskazał mi na coś. Chciał chyba, żebym spojrział w tam?tą stronę. Ściałem zakręt, przeprosiłem całującą się parę, która mnie nawet nie zauważyła, i wbiegłem na schody ze sprężystością mo?krej szmaty. Objąłem wzrokiem tłum. -No?

- Tinnie.

- Aha. - Cóż, faktycznie. Moja dziewczyna, Tinnie Tate, za?wodowy rudzielec. Była wciąż po drugiej stronie ulicy, w kuszą?cej letniej gotowości bojowej, a gdziekolwiek przeszła, faceci za? trzymywali się i wybałuszali gały. Była gorąca jak płonący dom, ale tysiąc razy odeń ciekawsza.

_ Powinni tego zabronić.

_ Pewnie tak jest, ale kto by się dziś przejmował prawem?

Obdarowałem Saucerheada uniesieniem brwi. To całkiem nie w jego stylu.

Tinnie właśnie skończyła dwadzieścia lat, maleństwo, ale bioderka miała wystarczająco wystarczające i umieszczone na odpowiedniej podstawie. Na widok jej piersi martwy biskup wyskończyłby z grobu i zaczął wyć do księżycy. I miała całe mnóstwo długich, rudych włosów. Wiatr targał nimi tak, jak ja miałem nadzieję to zrobić za kilka minut, jeśli udałoby mi się pozbyć Saucerheada i Deana, a Truposza namówić na małą drzemkę.

Ujrzała, jak się na nią gapię i dyszę, pomachała mi ręką na przywitanie. Wszyscy faceci na ulicy Macunado natychmiast mnie zniechęcili. Podziękowałem im za to promiennym wyszczerzeni.

- Nie mam pojęcia, jak ty to robisz, Garrett. - Saucerhead pokręcił głową. - Takie paskudne ryło, maniery wodnego bizona. Po prostu nie rozumiem.

Kochany kumpel. Wstał. Wrażliwy gość, ten Saucerhead Tharpe. Doskonale wie, kiedy facet chce zostać z dziewczyną sam na sam. A może po prostu chciał ją zatrzymać i ostrzec, że marnuje czas na takie paskudne ryło jak ja.

Paskudne? Co za oszczerstwo. Fakt, dostało się nieraz po głowie w ciągu paru ostatnich lat, ale wszystkie jej elementy trzywały się w przybliżeniu na właściwych miejscach. Nie odrzuca mnie, kiedy na nią patrzę w lustrze, no chyba że na kacu. Ma charakter.

Złapałem mój kubek i pociągnąłem potężny haust, żeby uzupełnić brakujące płyny w organizmie. W tej samej chwili jakiś ciemnoskóry, łasicowaty gość o zlepionych czarnych włosach i cienkim wąsiku złapał Tinnie za podbródek. Drugą rękę miał niewidoczną za Jej plecami, ale nie miałem wątpliwości, co robi.

Saucerhead też nie. Zaryczał jak raniony bizon i ruszył z ganoku. Butami nawet nie dotykał stopni. Gnałem, deptając mu po piętach i warcząc jak szablozęby, któremu podpalili ogon. W oczach miałem łzy, tak że nie widziałem, co trąją.

A jednak nie zdeptałem nikogo. Saucerhead utorował mi drogę. Ciała fruwały mu spod nóg. Nieważne, czy miały dwie, czy dziesięć stóp wzrostu. Kiedy Saucerhead dostaje szału, nic nie jest w stanie go powstrzymać. Kamienne mury zaledwie go spożywają.

Kiedy dobiegliśmy, Tinnie leżała na ziemi. Ludzie rozbiegli się na boki. Nikt nie chciał znaleźć się w pobliżu dziewczyny z nożem w plecach zwłaszcza, kiedy w jej stronę biegło dwóch szaleńców.

Saucerhead nawet nie zwolnił kroku. Ja tak. Opadłem na jedno kolano obok Tinnie. Podniosła wzrok. Nie wyglądała na cierpiącą, tylko tak jakoś smutno. W oczach miała łzy. Wyciągnęła rękę. Nie odezwałem się. O nic nie pytałem. Nie pozwalało mi na to ściśnięte gardło.

Nagle pojawił się Dean. Nie wiem, skąd wiedział. Może przez to nasze wycie. Przykucnął obok.

- Wezmę ją do środka, panie Garrett. Może Jego Kościśćość raczy pomóc. Pan musi zrobić to co należy.

Wymamrotałem coś, co brzmiało bardziej jak jęk niż cokolwiek innego i złożyłem Tinnie w jego chudych, starczych ramionach. Nie był atletą, ale wytrzymał.

Wystartowałem w ślad za Saucerheadem.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

II

Tharpe miał całą szerokość ulicy przewagi, ale szybko go do?ganiałem. Nie myślałem. On myślał. Biegł równo, dopasowując swój krok do tempa mordercy, może śledząc, dokąd go zaprowa?dzi. Mnie to nie obchodziło. Nic mnie nie obchodziło. Nie roz?glądałem się, żeby sprawdzić, co się dzieje na ulicy. Chciałem do?rwać tego nożownika tak bardzo, że prawie czułem w ustach smak jego krwi.

Wreszcie doznałem Saucerheada. Złapał mnie za ramię, przy?trzymał i ścisnął tak długo, aż ból trochę mnie otrzeźwił. Kiedy wreszcie spojrzałem na niego przytomniej, pokazał mi coś, wy?machując ramionami.

Załapałem. I to już za pierwszym razem. Chyba staję się z wie?kiem coraz inteligentniejszy.

Chudzielec nie znał drogi. Próbował tylko uciec. W starym TunFaire nie ma zbyt wielu prostych ulic. Wiją się, jakby ukła?dało je stado pijanych goblinów oślepionych słońcem. A facet trzymał się Macunado nawet wtedy, kiedy minęliśmy punkt, gdzie zmienia nazwę na Arlekin, a potem zwięża się i znowu zmienia nazwę na Aleję Dadville.

- Spadam. - Ściałem na prawo, w alejkę, przebiegłem ją, wpad?łem w zaułek, wcisnąłem się w wąski przesmyk między domami, wdeptałem w zielsko kilku ludzi-szczurów, paru zalanych w tru?pa ludzi, po czym znów wyprysnąłem w Aleję Dadville, w miej?scu gdzie zamyka ona łagodną, szeroką pętlę wokół Dzielnicy Pa?mięci. Ruszyłem na drugą stronę ulicy i zawisłem na balustradzie. Czekałem, zdyszany, zziązany, ale szczęśliwy, bo, do cholery, wy?starczyło mi kondycji.

Byłem gotów.

Właśnie nadbiegali. Wąsaty chudziak gnał na oślepa, śmiertel?nie przerażony, starał się tak mocno, że był ślepy na wszystko. Słyszał tylko, że dudnienie stóp za jego plecami zbliża się.

Podpuściłem go, wyszedłem na ulicę, podstawiłem mu nogę. Poleciał szczupakiem, przetoczył się tak, jakby kiedyś uczył się padów, wstał z całym impetem i łup! Wpadł wprost na koryto pełne wody, z rozpędem przeleciał przez krawędź i plasnął aż miło.

Saucerhead zajął stanowisko z jednej strony koryta. Ja z dru?giej. Tharpe dał mi po łapie. Może i lepiej - byłem zbyt zdener?wowany.

Złapał typa za tłuste czarne kudły i wsadził pod wodę, wyciąg?nął i stwierdził:

- Taki jesteś zadyszany, że długo nie wytrzymasz pod wodą. - Znów podtopił wąsacza, znów go wyciągnął. - Ta woda będzie coraz zmniejsza. Będiesz to czuł i wiedział, że, kurde, nic nie możesz na to poradzić.

Zaledwie dyszał, wszarż cholerny. Gość w korycie rzeził i pry?chał jeszcze gorzej ode mnie.

Saucerhead znów wepchnął mu łeb pod wodę i wyciągnął na ułamek sekundy przedtem, nim tamten wypił połowę.

- Opowiadaj, człowieczku. Co ci się stało, że dziabnąłeś tę dziewczynkę?

Pewnie by odpowiedział, gdyby mógł. Nawet próbował, ale był zbyt zajęty łapaniem tchu. Saucerhead podtopił go raz jeszcze. Wynurzył się, chapnął haust powietrza.

- Księga... - zaszlochał. Znów się zachłystnął... i był to jego ostatni oddech.

- Jaka księga?! - ryknąłem.

Strzałka z kuszy utkwiała w gardle chudego. Druga stuknęła o koryto, trzecia przebiła rękaw

Saucerheada. Tharpe przeskoczył koryto i przygniótł mnie do ziemi. Dwie, może trzy kolejne strzały ki ze świstem przeleciały nad naszymi głowami.

Tharpe wcale nie dbał, żeby mi było wygodnie. Wystawił na chwilę głowę.

- Kiedy z ciebie zejde, gnaj do tych drzwi. - Byliśmy o jakieś osiem stóp od wejścia do knajpy. Wtedy wydawało się, że to cała mila. Jęknąłem, bo nic innego nie mogłem z siebie wydobyć, przygnieciony taką kupą miecha.

Saucerhead odtoczył się na bok. Pozbierałem się, ale właściwie nie udało mi się wstać. Podwinąłem tylko nogi i ręce pod siebie i długim nurem rzuciłem się w stronę drzwi, wiosłując kończynami jak pies. Saucerhead deptał mi po piętach.

- Chłopie, ale się wpakowali - szepnąłem. Kusze w środku miasta były zabronione.

- Co jest? - jęknąłem, zatraskując za sobą drzwi. - Co, do jaśnej... - Rzuciłem się do okna i wyjrzałem przez szparę we wciąż zamkniętej okiennicy.

Ulica była pusta, jakby bogowie pozamiatali ją wielką miotłą, jeśli nie liczyć mieszanego towarzystwa sześciu typów z kuśzami. Rozproszyli się, celując w nas. Dwóch wysunęło się na przód.

Saucerhead zajrzał mi przez ramię. Barman za naszymi plecami wykrzykiwał rutynowe:

- Hej, wy tam! Żadnych rozrób w moim lokalu! Wynoście się stąd!

- Trzech karłów, wilkołak, człowiek-szczur i człowiek. Ciekawa zbieranina.

- Faktycznie, dziwna. - Obejrzałem się. - Już masz rozróbę, stały. Chcesz ją skończyć, to pomóż.

Co ze środków uspokajających masz w barze?

Byłem bez broni. Komu potrzebny arsenał, żeby pobiegać dookoła domu? Tharpe też nic nie miał, jak zwykle. Oczywiście, liczy na swoją siłę i rozum. Co sprawia, że jest podwójnie bezbronny.

— Jeśli się nie wyniesiecie, to się przekonacie.

- Stary, ja naprawdę nie mam zamiaru rozrabiać. Wcale mi to niepotrzebne. Ale powiedz to tym gościom na zewnątrz. Już ktoś zabił w twoim korycie.

Wyjrzałem znowu. Dwóch zbirów wyciągnęło z wody wąsacza. Obejrzel go dokładnie. Wreszcie chyba znaleźli to, czego szukali; wrzucili go z powrotem, obejrzel się na knajpę, jakby rozważali, czy do niej nie wejść.

Saucerhead pożyczyl sobie stół od kilku staruszków, spokojnie pykających fajeczki i tulących do piersi kufle, których zawartość wystarczy im pewnie do zmroku. Poprosił tylko grzecznie, żeby podnieśli kufle, chwycił za stół, oderwał jedną nogę i rzucił w moją stronę, a drugą urwał dla siebie. To, co pozostało, zamienił w tarcze.

Kiedy nasza dwójka stanęła w drzwiach, walnął karła w łeb, a wilkołaka rozsmarował na ścianie blatem. Poprawiłem strzałem z flanki.

Jedna z kusz nie była uszkodzona. Chwyciłem ją, nałożyłem bełt, wystawiłem głowę i oddałem strzał z jednej ręki w najbliższy cel. Chybiłem, ale za to zahaczyłem karła stojącego o sto stóp dalej. Wrzasnął, a jego kumple pogalopowali w świat

- Nie trafiłbyś byka w stodołę dziesięciostopowym drągiem - marudził Saucerhead. Nim zdołałem sobie to przemyśleć, złapał wilkołaka, który był mniej więcej jego wzrostu, i potrząsaniem próbował przywrócić go do przytomności. Nie udało się. Nieśczęśliwy czarodziej z tego mojego kumpla Saucerheada.

Nie próbowałem się zajmować karłem. Facet dostał w łeb tak, że skrócił się o stopę. Dlatego Tharpe stał tylko, kręcił głową i wyglądał na zdziwionego. Uznałem to za tak dobry pomysł, że i ja zrobiłem to samo. Przez cały ten czas barman darł się, krzyczał coś o odszkodowaniu, klientela zaś usiłowała wykopać w podłodze dziury, żeby się schować.

-I co teraz? - zapytał Saucerhead.

- Nie wiem. - Wyjrzałem na zewnątrz.

- Poszli sobie?

- Na to wygląda. Ludzie zaczynają wychodzić na ulicę. Faktycznie, największa awantura już się skończyła. Teraz będą wychodzić, liczyć ciała i gadać jeden przez drugiego, jak to wszystko widzieli od początku do końca, tak że kiedy wreszcie pojawi się władza, z całej historii prawdziwy pozostanie jedynie trup.

- Chodź, zapytamy Tinnie.

Dla mnie był to przebłysk geniuszu.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

III

Tinnie Tate nie była myszowatą domatorką, dla której szczytem wyzwania i przygody staje się wyprawa na jarmark. Ale nie należała też do dziewczyn, które zadają się z facetami wbijającymi w luźni noże, ani z takimi, którzy włóczą się w bandach, strzelając z kusz do obywateli. Mieszkała ze swoim wujkiem Willardem. Willard Tate był szewcem. Szewcy nie należeli do ludzi, którzy robią sobie takich śmiertelnych wrogów. Jeśli but nie pasuje, klienci klną, po?mstują i żądają zwrotu forsy, ale nie wzywają zbirów.

Myślałem o tym, drepcząc w stronę domu. To nie miało sensu. Truposz powiada, że kiedy coś nie ma sensu, brakuje ci elementów układanki albo układasz je w niewłaściwy sposób. Powtarzałem sobie, że muszę poczekać i usłyszeć, co ma do powiedzenia Tinnie. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że Tinnie może nie być w stanie udzielić mi odpowiedzi.

Nasz związek był dziwny i wyboisty. Coś w stylu: razem źle, osobno jeszcze gorzej. Dużo się kłóciliśmy. I choć wydawało się, że układ ten zmierza donikąd, był dla mnie ważny. Mam wrażenie, że trzymał się głównie na przeprosinach. Właśnie przeprosiny były odporne na wszystko i gorętsze od wrzącej stali.

Nim dotarłem do domu, wiedziałem już, że nie będzie ważne, co Tinnie zrobiła, w co się wpakowała, bo ten, kto ją skrzywdził, zapłaci za to z takim procentem, że rekin lichwiarzy spłonie ze wstydu.

Stary Dean zmienił nasz dom w fortecę. Gdyby Truposz spał, nie otworzyłby mi. Ale na pewno nie spał, czułem dotyk jego umysłu, gdy waliłem w drzwi i wrzeszczałem jak charyzmatyczny duchowny na świętym zgromadzeniu.

Wreszcie Dean otworzył. Wydawał się o dziesięć lat starszy i bardzo zmęczony. Nim zasunął zasuwę, byłem już w korytarzu i otwierałem drzwi do pokoju Truposza.

Garrett!

Dotyk umysłu Truposza był niczym cios. Jak prysznic z lodowatej wody. Miałem ochotę wrzasnąć. To mogło oznaczać je?dynie...

Leżała na podłodze. Nie spojrzałem. Nie mogłem. Patrzyłem na Truposza, na całe jego czterysta pięćdziesiąt funtów wypełniające fotel, w którym siedział od czasu, kiedy czterysta lat temu ktoś wsadził w niego nóż. Gdyby nie dziesięciocalowa, słoniowata trąba, można by go wziąć za najgrubszego człowieka świata. Truposz jednak był Loghyrem, przedstawicielem rasy tak rzadkiej, że w ciągu całego mojego życia nie słyszałem o kimś, kto widziałby żywego Loghyra. Mnie to nawet pasowało. Mar?twi i nieruchomi są wystarczająco wkurzający.

No bo tak: jeśli się zabije Loghyra, to on nie umiera tak po prostu. Nie masz go z głowy ot tak, po prostu. Loghyr tylko prze?staje oddychać i tańcować. Jego duch pozostaje jednak w ciele i robi się coraz bardziej zmierzły. Nie rozkłada się. A przynajmniej mój ani trochę się nie rozłożył przez te kilka lat, przez które go znam. Jest co nieco uszkodzony tu i ówdzie, tam gdzie my?szy, mole i to całe tałatajstwo podżera go, kiedy śpi i kiedy nikt nie patrzy.

Nie zachowuj się jak idiota, Garrett. Choć raz od czasu naszej znajomości zaskocz mnie i pomyśl, zanim skoczysz na łeb.

I taki on już jest, Z reguły nawet jeszcze gorszy. Mój lokator, czasem partner, nieraz nauczyciel.

Pomimo jego kontroli zdoła?łem wyskrzeczec:

- Mów do mnie, Chichotku. Powiedz, o co w tym wszystkim chodzi.

Uspokój się. Namiętność więzi rozsądek. Mądry człowiek...

Jasne. On tak zawsze, filozof z bożej łaski. Ale nie teraz, w tej ponurej sytuacji... Zacząłem coś podejrzewać.

Kiedy się już przyzwyczaisz do jednego, konkretnego Loghyra, z tego, co wlewa do twojej głowy, możesz wyczytać więcej słów, niż ich tam jest w istocie. Był faktycznie wściekły z powo?du tego, co się zdarzyło, ale nie tak oburzony i żądny zemsty, jak powinien być. Zacząłem się uspokajać.

- Znowu to zrobiłem, co?

Masz ogromną wprawę w wyciąganiu mylnych wniosków.

- Nic jej nie będzie?

Wydaje się, że rokowania są dobre. Będzie jednak potrzebo?wała opieki fachowego chirurga. Pograżyłem ją w głębokim śnie do czasu, aż się ktoś taki pojawi.

- Dzięki. Powiedz mi zatem, co z niej wyciągnąłeś.

Nie ma pojęcia, o co chodzi. Nigdy nie była w nic zamie?szana. Nie знаła człowieka, który wbił jej nóż. Wyjątkowo nie skorzystał ze swych zasobów sarkastycznych komentarzy, gdy dodał: Przyszła, żeby się z tobą zobaczyć. Zasnęła zupełnie zde?zorientowana.

Zluzował nieco kontrolę nad moją osobą i pozwolił, bym usa?dowił się w wielkim fotelu, przeznaczonym specjalnie dla mnie, gdy go odwiedzam.

Dopóki nie wpakowałeś się tu ze swymi wspomnieniami, by?łem pewien, że chodzi o przypadkową zbrodnię. To znaczy, że już sobie pogrzebał w moich wspomnieniach z pościgu.

Dołączył do nas Saucerhead. Oparł się o poręcz fotela i spoj?rzał na Tinnie. Natychmiast wyciągnął ten sam wniosek, co ja. Podziwiałem jego opanowanie. Lubił Tinnie, a w sercu hołubił specjalne miejsce dla facetów, którzy marnują dziewczyny. Sam stracił kiedyś kobietę, którą miał chronić. Nie ze swojej winy. Roz?walił pół plutonu morderców i pozwolił się zabić w dziewięćdzie?sięciu procentach, żeby ją ocalić. Od tamtej pory już nigdy nie wrócił do siebie.

- Ten tu Śmieszek uspił ją. Uważa, że nic jej nie będzie.

- Sukinkoty i tak za to zapłacą - warknął, udając twardziela, ale cały aż promieniował ulgą. Udawałem, że nie widzę tego po?kazu „słabości”.

Księga? zapytał Truposz. Tylko tyle z niego wyciągnąłeś, nim zaczęli strzelać? Tak jakby to była moja wina. Zaraz tu też pole?je się krew. Cholernie dobrze wiedział, że nie mamy nic więcej. Dobrze sobie przejrzał nasze głowy.

- To wszystko. - Po prostu. Taka była moja nowa taktyka. Dostaje szału, kiedy się nie bronię.

W jej myślach nie było ani słowa o księdze.

- Nie mamy wiele na początek - mruknął Saucerhead. Stra?cił już rozpęd. Tinnie wyzdrowieje, więc nie będzie musiał ru?szać w bój i mordować, kogo popadnie. A przynajmniej nie od razu. Za to wspólnie będziemy musieli wysledzić osoby odpo?wiedzialne.

Nie. Proponuję, żebyście się obaj uspokoili, a potem dokładnie przypomnieli sobie tamtych zbirów. Każdy, nawet niewielki szczegół może mieć ogromne znaczenie. Garrett, jeśli uważasz, że to takie ważne, możesz pomyśleć o upomnieniu się o dług, który podobno masz u Chodo Contague'a.

Jakby siedział w mojej głowie.

- Zrobię to, jeśli będzie trzeba. Za wcześnie o tym myśleć. Mu?szę teraz załatwić Tinnie opiekę i trochę się pozbierać, zanim wy?ruszę na jakąś krucjatę. - Był to dokładny cytat jego słów, których używał przy takich okazjach, ale tym razem udał, że nie słyszy. -Coś się stanie i już po niej. Zaraz skontaktuję się z Chodo, o tak. - Pstryknąłem palcami. Jestem źródłem wszelkich talentów.

Chodo Contague, często zwany kacykiem, to wielki mistrz zorganizowanego świata przestępczego TunFaire. W pewnych sprawach jest potężniejszy od króla. I nie jest moim przyjacielem. Właściwie stanowi niemal wcielenie wszystkiego, czego nienawidzę. Na samą myśl, że musiałbym się z nim zobaczyć, ciarki chodzą mi po plecach. Jednak, wykonując swój zawód, przypadkiem wyświadczyłem mu kilka przysług. Chodo ma obsesyjne, choć wypaczone, poczucie honoru. Ta kupa szlamu myśli, że jest mi coś winna. Niech mnie! - on zrobi dosłownie wszystko, żeby spłacić swój dług. Wystarczy, że powiem słowo, a on wystawi do mojej dyspozycji dwa tysiące zbirów, byle tylko wyrównać dług.

Staralem się do tej pory unikać tej niepożądanego wdzięczności, bo nie chciałem, by moje nazwisko wiązano z nim. W żaden sposób. Zaszkoziłoby to moim interesom, gdyby ludzie doszli do wniosku, że siedzę w jego kieszeni.

Do licha. Przecież nie powiedziałem, co zrobię. Jestem kimś, kogo ludzie, którzy mnie nie lubią, nazywają łapsem. Detektyw i poufny agent. Trzeba mi tylko zapłacić - i to z góry - a ja już znajdę wszystko co trzeba. Dość często są to rzeczy, o których wolałbyś nie wiedzieć. Nie zdarza mi się raczej dokopywać do dobrych nowin. Taka już jest natura mojego zawodu.

Jako zaufany agent zajmuję się zastępowaniem klienta, na przykład płacąc w jego imieniu porywaczowi lub szantażyście i pilnując, żeby nie odstawił komedii w ostatniej chwili. Ciężko pracowałem, żeby stworzyć sobie reputację nieskalanego rycerza, gościa, który gra czysto i spada na ciebie jak przysłowiowy grom z nieba, jeśli kombinujesz coś z moim klientem. I dlatego właśnie nie chciałem, żeby ktoś mnie posądzał o konszachty z Chodo.

Jeśli Tinnie umrze, zmienię zasady. Dla Tinnie rzucę się na oślep pełnym rozpędem, a ktokolwiek stanie mi na drodze, niech lepiej rozliczy się ze swymi bogami, bo nie spocznę, dopóki nie pożrę czyjejs wątroby. Jeśli Tinnie umrze.

Truposz twierdzi, że powinna się wylizać. Wierzyłem, że się nie myli. Choć ten jeden raz. Zazwyczaj żywię nadzieję, że nie będzie miał racji, bo jest cholernie nieomylny i ciężko pracuje, żebym o tym nie zapomniał.

Dean przyniósł tacę, a na niej piwo i coś mocniejszego, na wypadek gdybyśmy tego potrzebowali. Saucerhead wziął piwo. Ja też.

- Dobrze. Właśnie tego mi było potrzeba po tym biegu.

Proponuję, żebyś poszedł do jej wuja, podsunął Truposz. Powiedz mu o tym, co się stało, i dowiedz się, co masz dalej robić. Może on ci coś podpowie.

Jasne. Musiał to powiedzieć. Sam byłem ciekaw, kto w końcu pójdzie poinformować rodzinę. Przecież musi być ktoś, kogo będę mógł ubrać w to wdzięczne zadanie.

Kandydaci nadchodzą tłumnie w liczbie jednego, Garrett.

I sam to wymyślił. Proszę, co za geniusz. Certyfikowany - i certyfikowalny - geniusz. Tylko zadaj pytanie, a on będzie ci na nie odpowiadał całymi godzinami.

W każdym innym przypadku odpowiedziałbym mu taką wianką, aż miło, ale tym razem widmo Willarda Tate'a zastąpiło mi drogę.

- Nie ma sprawy. Już lecę.

- Ja też - dodał Saucerhead. - Muszę sprawdzić parę rzeczy.

Doskonale. Doskonale. Teraz, kiedy wszystko jest pod kontrolą, mogę sobie uciąć małą drzemkę.

Uciąć sobie drzemkę. Jasne. Na przestrzeni tych wszystkich lat czas, przez jaki nie śpi, w kupie mógłby nie przekroczyć sześciu miesięcy.

Wypuściłem Saucerheada przez frontowe drzwi. Potem poszedłem do kuchni, zmuszając Deana,

żeby naciągnął mi jeszcze jed?no cudowne piwo.

- Muszę uzupełnić to, co wypociłem.

Skrzywił się. Ma swoje zdanie na temat mojego trybu życia. Wprawdzie jest tylko pracownikiem, ale pozwalam, żeby powie?dział, co mu leży na sercu. Mamy taką umowę. On mówi, a ja nie słucham. I wszyscy są szczęśliwi.

Bez wielkiego entuzjazmu wyszedłem na ulicę. Staruszek Tate i ja nie jesteśmy kumplami od serca. Kiedyś robiłem coś dla nie?go i potem przez jakiś czas myślał o mnie nieco lepiej. Potem jed?nak rok zabawy w kotka i myszkę z Tinnie znacznie zmienił je?go opinię na mój temat

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

IV

Dom Tate'ów wyprowadzi cię w pole. I tak ma być. Z zewnątrz wygląda jak rząd starych magazynów, o które nikt nie dba. A dla czego? Łatwo się zorientować, patrząc na ulicę przed nimi. Po pierwsze, Góra. Nasi władcy to czujne bestie, które tylko czyha?ją na fortuny, żeby je przepuszczać przez sito prawa i podatków. Po drugie, slumsy na dole. Produkują one wyjątkowo nieprzyjemnych i chciwych facetów, którzy wywrócą cię na lewą stronę za jednego miedziaka.

Dlatego dom Tate'ów wygląda jak rodowa siedziba biedy z nędzą.

Tate'owie to ród szewców, produkujących zarówno obuwie dla armii, jak i delikatne pantofelki dla dam z Góry. Wszyscy są mistrzami. Mają więcej bogactw, niż im potrzeba, i nie wiedzą, co z nimi robić.

Porządnie potrząsnąłem bramą, aż zabrzęczała. Pojawił się młody Tate. Był uzbrojony. Tinnie była jedynym przedstawicielem tego rodu, który wychodził poza bramę bez broni.

- Garrett? Dawno cię tu nie było.

- Znowu pokłóciłem się z Tinnie.

Zmarszczył brwi.

- Wyszła kilka godzin temu. Myślałem, że wybiera się do ciebie.

- Bo tak było. Muszę się widzieć z wujkiem Willardem. To ważne.

Oczy chłopaka przybrały rozmiar spodków. Wyszczrzył zęby. Pewnie uznał, że wreszcie wykrztuszę właściwe pytanie. Otworzył bramę.

- Nie gwarantuję, że cię przyjmie. Wiesz, jaki on jest

- Powiedz, że to nie może czekać na lepszą okazję.

- Chyba cię solidnie zasypało tej zimy - mruknął. - Róża będzie zdruzgotana.

- Przeżyje. - Róża była córką Willarda i jego jedynym żyjącym potomkiem, bardziej gorąca niż trzy pożary i pokręcona jak lina ze splecionych węży. - Zawsze dochodzi do siebie.

Chłopak pociągnął nosem. Żaden z Tate'ów nie przepadał za Różą. Była uosobieniem kłopotów i nigdy nie przyjmowała do wiadomości naucek.

- Powiem wujkowi, że jesteś.

Wszedłem do centralnego ogrodu, żeby poczekać. Wydawał się smutny i opuszczony. Latem przypomina dzieło sztuki. Tate'owie mieszkają w otaczających go budynkach. Mieszkają tam, pracują, rodzą się i umierają. Niektórzy jeszcze nigdy nie byli na zewnątrz.

Chłopak wrócił z bólem na twarzy. Widocznie Willard dał mu po uszach, że mnie wpuścił, ale nie kazał ryzykować uszkodzeń ciała podczas wyrzucania mnie na ulicę.

Uśmiechnąłem się do tej myśli. Chłopak był wielki, jak tylko Tate'owie potrafią, to znaczy pięć stóp i dwa cale. Willard kiedyś mi mówił, że w żyłach rodziny płynie trochę elfiej krwi. Sprawia ona, że dziewczyny są egzotyczne i piękne, a chłopcy przyśrojni, jednak tak mali, że bez problemu mogą przejść pod końskim brzuchem i nawet nie uderzą się w głowę.

Willard Tate nie był wyższy niż cała reszta klanu. Prawie gnom. Wokół łysiny na szczycie głowy wyrastały długie włosy, zwisające z tyłu i po bokach aż na ramiona. Siedział schylony nad warsztatem, zajęty wbijaniem mosiężnych gwoździ w obcas buta. Miał na nosie parę okularów z TenHagen o kwadrato?wych szklach. Nie są tanie.

Mrok rozświetlała jedna słaba lampa. Tate pracował właściwie po omacku.

- Zrzuńujesz sobie wzrok, jeśli nie zapalisz więcej świateł. - Tate to jeden z najbogatszych ludzi w TunFaire i przy okazji naj?większy dusigrosz.

- Masz minutę, Garrett - To przemawiało jego lumbago. Al?bo co innego.- No to bez ogródek. Tinnie dostała nożem.

Spojrzał na mnie i gapił się tak przez połowę czasu, jaki mi wyznaczył. Potem odłożył narzędzia.

- Masz różne wady, ale nie powiedziałbyś tego, gdyby to nie była prawda. Opowiadaj.

Opowiedziałem.

Przez chwilę milczał. Patrzył, ale nie na mnie, tylko na duchy czające się za moimi plecami. Jego życie pełne było takich roz?stań. Najpierw żona, potem dzieci, brat, wszyscy przedwcześnie zeszli z tego świata.

Byłem zaskoczony, że nie obwiniął mnie o to od razu.

- Złapałeś faceta, który to zrobił?

- Nie żyje. - Opowiedziałem wszystko jeszcze raz.

- Szkoda, chciałbym mieć choć kawałek. - Zadzwoił małym dzwonkiem. Natychmiast pojawił się jeden z jego bratanków.

- Poślij po doktora Meddina - polecił mu Tate. - Szybko. I wy?ślij pół tuzina chłopców do domu pana Garretta.

Teraz byłem dla niego „panem”.

- Tak jest, sir. - Chłopak ruszył zwoływać ochotników.

- Coś jeszcze, panie Garrett?

- Chciałbym się dowiedzieć, czy ktoś miał jakieś powody, aby zabijać Tinnie.

- Chyba żeby tobie się dobrać do skóry. Bo jest związana z tobą.

- Wielu ludzi mnie nie lubi. - Włączając w to obecnych. - Ale żaden z nich nie działa w taki sposób. Gdyby chcieli mojej skóry, spaliliby mi dom. Ze mną w środku.

- Więc to coś bez sensu. Przypadkowa ofiara maniaka lub po?myłka co do osoby.

- Jest pan pewien, że nie była w nic wplątana?

- Jedyne ciemne sprawka, w jaką wplątana była Tinnie, to ty. - Nie powiedział tego, ale prawie słyszałem jego myśli: „Może to da jej nauczkę”.

- Nigdy nie opuszczała domu, chyba że szła na randkę z tobą. Skinąłem głową. Na pewno dobrze jej pilnował.

Sam chciałem wierzyć, że to przypadek. TunFaire jest przelud?nione i skorodowane nędzą. Prawie co dzień ktoś kogoś gania z siekierą lub urządza mu operację plastyczną młotem kowalskim. Chętnie bym to kupił, gdyby nie obecność junaków, którzy od?stawili balet ze mną i Saucerheadem.

- Kiedy go złapałem, facet wykrztusił słowo „księga” - powie?dzałem. - Potem koledzy go uciszli.

Jeśli to byli jego koledzy.

- Mówi to panu coś?

Tate potrząsnął głową. Podobne do pakuł włosy zatańczyły.

- Tak właśnie mi się zdawało. Cholera. Jeśli panu coś przyjdzie do głowy, proszę dać znać. A ja też będę informował o wszystkim.

- Lepiej, żeby tak było.

Moja minuta trwała już za długo. Chciał dalej pracować. Bratanek wrócił i oznajmił, że zebrał swój oddział.

- Przykro mi, sir - wyszeptałem. - Wolałbym, żebym to ja był na jej miejscu.

- Ja też bym wolał. - Jasne. Zgadzał się ze mną w stu procentach. I bądź tu, chłopie, miły dla kogoś...?

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

V

Zapadłem się w swój fotel i zdałem relacje Truposzowi, podczas gdy chłopcy Tate'a zabierali Timmie. Mieli nawet wóz, żeby zawieźć ją do domu. A najlepszy z możliwych lekarz już będzie czekał. Miałem to z głowy.

Nic nie zyskałeś, podsumował Truposz, kiedy skończyłem.

- Myślę, że Tate ma rację. Napadli niewłaściwą osobę. Kręć się po tym świecie od jakiegoś czasu, to znaczy od połowy wieczności. Jesteś pewien, że słowo „księga” nic ci nie mówi?

Nic a nic. Są księgi i księgi, Garrett. Istnieją takie, za które można popełnić zbrodnie, bo są tak rzadkie albo tak ważne. Nie podejść się zgadywanek na ślepo. Nie możemy nawet mieć pewności, że ten gość mówił o jakiejś konkretnej księdze. Może myślał o księdze wygranych w grach hazardowych. Albo o prywatnej księdze wspomnień, gdzie znalazłbyś jakieś nazwiska. Nie wiem. Odpręż się trochę. Zjedz coś. Przyjmij sytuację taką, jaka jest i stań ponad nią.

- Nikt nie przychodził, żeby pytać o zabitych? - Straż TunFaire nie jest policją w pełnym znaczeniu tego słowa. Zadaniem jej członków jest pilnowanie, czy się nie pali, albo czy nie są zagrożeni nasi władcy. Lapanie przestępców znajduje się daleko na końcu listy, ale czasami pokręcą się tu i ówdzie i przyskrzynią jakiegoś łotrzyka. TunFaire została pobłogosławiona pewną liczbą bardzo głupich przestępców.

Nikogo tu nie było. Idź coś zjeść, Garrett. Zajmij się potrzebami ciała. Niech duch odpocznie, odświeży się. Zaponij o tym. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Dobra rada, nawet jeśli pochodzi od niego. Ale on zawsze jest tak cholernie mądry i rozsądny... chyba że próbuje igrać z moim umysłem. Dopiekł mi tym chłodem i rozsądkiem. Wyniosłem się do kuchni.

Dean wciąż był w szoku, rozkojarzony, ponieważ niełaskawy los dopadł go tak blisko domu. Myślał był o tysiące mil stąd, miesząc jakiś sos. Nawet na mnie nie spojrzał, podając mi talerz, który do tej pory trzymał w ciepłe. Ja też nie popatrzyłem, co jem, a to samo w sobie już jest zbrodnią, biorąc pod uwagę, jakim kucharzem jest Dean. Sam zresztą unosiłem się o kilka jardów nad własną głową. Nie przerwałem staruszkowi jego zadumy. Rad byłem, że tak się o nas troszczy:

Wstałem, żeby wyjść. Dean obejrzał się na mnie.

- Ludzie nie powinni robić takich rzeczy, panie Garrett

- Masz rację, nie powinni. Jesteś pobożnym facetem. Podziękuj bogom, że nie stało się nic gorszego.

Kiwnął głową. Ogólnie to dobry człowiek, ciężko pracujący na utrzymanie niewdzięcznej bandy bratanic - panien, ale nieskończenie szpetnych, do tego sprawiających mu mnóstwo problemów. Ogólnie. Teraz jednak wyczuwałem w nim żądzę krwi większą niż u wampira, który od roku nie miał nic w pysku.

Nie mogłem się odprężyć. Było niby po wszystkim, ale moje nerwy po prostu nie przyjmowały tego do wiadomości. Poczłapałem korytarzem do frontowych drzwi, wyjrzałem na zewnątrz. Potem sprawdziłem mały pokoik od frontu, jakbym spodziewał się znaleźć tam ukrytą zapomnianą blondynkę. Właśnie się skończyły. Podreptałem z powrotem do luksusowej trumny, którą nazywam biurkiem, pomachałem ręką Eleanor na ścianie, przeszedłem przez korytarz i wlałem do pokoju

Truposza, który zajmuje większą część lewego skrzydła pokoju. Pomieszczenie mieści nie tylko jego cielsko, lecz również bibliotekę, skarbiec, i wszystko, co ma dla nas jakąś wartość. Nic nie znalazłem. Tęsknie spojrzałem na schody, ak nie poszedłem na górę. Przemierzyłem jeszcze raz całą trasę, zatrzymując się na chwile przy drzwiach, by sprawdzić, czy przypadkiem mój dom nie stał się nagle atrakcją turystyczną dla karłów. Nie zauważyłem żadnych podglądaczy. Czas włókł się niemiłosiernie.

Wszystkim nagle zacząłem działać na nerwy. To zresztą zwykle wychodzi mi najlepiej, ale w tej chwili zacząłem działać na nerwy również sobie. Miałem dość nawet moich własnych mamrotanych pod nosem dowcipów. Kiedy jednak Dean warknął i zaczął próbować, jak pasuje mu do ręki uchwyt jego ulubionej pałeli, stwierdziłem, że czas już iść na górę.

Przez chwile wyglądałem przez okno, w poszukiwaniu Saucerheada, albo kogoś w czarnym kapeluszu, kto by mnie też obserwował. Ale w pilnowanym garnku woda gotuje się znacznie wolniej.

Kiedy i tym się zmęczyłem, zwiedziłem szafę, w której trzymam najbardziej śmiertelne narzędzia mojej profesji. Jest to bardzo zgrabny, podręczny arsenał, zawierający odpowiednie przyrządy na każdą okazję i pasujące do każdego stroju. Nigdy nikt jeszcze nie przyłapał mnie z bronią, która nie pasuje mi do kapelusza.

Wszystko było w jak najlepszym porządku. Nie miałem okazji, by dać upust zdenerwowaniu, ostrząc i polerując. Obejrzałem tylko cały zestaw. Nic z tego, co miałem, nie nadawało się do zabawy z kusznikami.

Pozostało mi jeszcze kilka buteleczek z czasów, kiedy wykonywałem tajne zlecenie dla Wielkiego Inkwizytora. Wyjąłem skrzynkę i zajrzałem do środka. Trzy buteleczki, szmaragdowa, szafirowa i rubinowa. Zawierały po około dwie uncje płynu i po stłuczeniu każda z nich jakoś odbierała chłopakom-zawadiakom chęć do walki. Zawartość czerwonej sprawiała, że ciało spływało im z kości. Oszczędzałem ją na kogoś, kto naprawdę będzie działał mi na nerwy. Jeśli kiedykolwiek jej użyję, będę musiał wiać co sił w nogach.

Odstawiłem pudełko, pod ubraniem obwiesiłem się nożami, gdzie się dało, jeden umieściłem na widocznym miejscu przy pasie, po czym zdjąłem ze ściany najpożyteczniejszy ze wszystkich instrumentów, ukochaną dębową pałę długości osiemnastu cali. Jej roboczy koniec zawierał funt ołowiu i potrafiła działać cuda, jeśli chodzi o moją zdolność przekonywania podczas sprzeczki.

No i co ja teraz mam ze sobą zrobić? Wybrać się na poszukiwanie jakichś zbirów, korzystając z ogólnych zasad? Jasne, czemu nie. Przy moim szczęściu prędzej zwali się na mnie jakiś budynek, niż znajdę odpowiedni materiał do rozwałki.

Udało mi się jakoś zabić czas do kolacji. Głównie dzięki temu, że zacząłem się zastanawiać, dlaczego właściwie jestem taki niepokojny i nieswój. Tinnie była ranna, ale się wyliże, a ja - w jakimś sensie - zdołałem przekonać jej napastników, żeby nie próbowali powtarzać napaści. Wszystko zatem dobrze się skończyło. Wszystko będzie dobrze.

Jasne.?

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

VI

Tej nocy niewiele spałem.

Dla TunFaire był to czas dziwów - może z powodu pogody? Cały świat nagle dostał kręcka, nie tylko ja z moim bieganiami i wczesnym kładzeniem się spać, żeby wstać o takiej godzinie, o jakiej każda normalna istota znajduje się w pozycji horyzontalnej. Z murów miasta można było oglądać mamuty. Tygrysy szablonowe spacerowały sobie o dzień drogi od centrum. Krążyły plotki o wilkołakach. Krążyły plotki o gromojaszczurach dostrzeżonych w pobliżu KirchHeis, o sześćdziesiąt mil na północ od TunFaire, dwieście mil na południe od ich normalnych żerowisk. Na południu centaury i jednorożce, uciekające przed zaciętymi walkami w Kantardzie, przedostały się na terytorium Karenty. A co noc niebo nad miastem wypełniało się skrzeczącymi mor-Cartha, dziwnymi stworzeniami, które tradycyjnie ograniczały swe wyprawy do drózek w deszczowych lasach na bagnach kraju gromojaszczurów.

Gdzie morCartha podziewały się za dnia, nikt nie wiedział - i tak naprawdę nikogo to nie obchodziło. Co noc jednak śmigały one nad dachami, załatwiając stare porachunki plemienne, lub zniżały lot, żeby naigrać się z porządnych obywateli i kraść wszystko, co leży luzem. Większość ludzi akceptowała ich obecność jako dowód migracji gromojaszczurów. W ich kraju morCartha żyły na czubkach drzew i przesypiały całe dni. To sprawiało, że stawały się łatwą przekąską dla większych gromojaszczurów, które często mają ponad trzydzieści stóp wzrostu.

Mimo porannego podniecenia próbowałem położyć się do łóżka o godzinie, którą Truposz i Dean perwersyjnie nazywają „rozśadną”. Według mojej teorii, jeśli wstanę wystarczająco wcześnie, moi sąsiedzi nie zdadzą wyjść, by naigrać się z mojego bieganiami i wytykać palcami biednego Garretta. Tej nocy jednak morCartha przeniosły się ze swoim powietrznym karnawalem w sąsiedztwo mojej sypialni. Brzmiało to prawie jak napowietrzona bitwa stulecia. Krew i martwe ciała spadały niczym deszcz wśród ogłuszających wrzasków. Za każdym razem, gdy zacząłem już odpływać w nicość, natychmiast rozpoczynały jakąś absurdalną, kakofoniczną konfrontację tuż pod moimi oknami. Uznałem, że najwyższy czas, aby ktoś na Górze doznał objawienia i zaciągnął je wszystkie jako najemników, żeby po Kantardzie szukały Glory'ego Mooncateda. Niech to on słucha całymi nocami ich skrzeczenia.

Staruszek Glory prawdopodobnie i tak niewiele sypiał. Karen'ta stała za wszystkim, co aktualnie wrzało w jego kotle. Podgryzali jego taniutką republikę delikatnie, ale nieuchronnie i bez litości, nie dając mu spokoju i szansy na złapanie tchu i zwrócenie swego geniuszu przeciwko ich rozpacz.

Wojna pomiędzy Karenta i Venageta toczyła się od czasów mojego dziadka. Stała się mniej więcej taką samą częścią naszego życia jak pogoda. Glory Mooncalled rozpoczął karierę jako kapitan-najemnik wojsk Venagetich, wdał się w poważną dyskusję z ich wojennymi lordami, po czym przeszedł na naszą stronę, dysząc gniewem i zemstą. A kiedy już rozwalił wszystkich i wszystko, co mu przeszkadzało, nagle ogłosił Kantard - którego władanie było głównym powodem całej wojny - niezależną republiką. Wszystkie tubylcze, nie-ludzkie rasy Kantardu poparły go natychmiast i tym sposobem i Karenta, i Venageta miały choć raz w historii jeden wspólny cel - obalenie Glory'ego Mooncateda. A kiedy to nastąpi, wojna rozpęta się na nowo, jak zwykle.

Wszystko to bardziej interesuje Truposza niż mnie. Odbębniłem moje pięć lat w Marines i

przeżyłem. Nie chce o tym pamiętać?tać. Truposz chce. Glory Mooncalled to jego konik.

W każdym razie spałem bardzo źle i kiedy wreszcie wstałem, miałem znacznie gorszy humor niż zwykle. W najlepsze poranki jestem człowiekiem jedynie z litości. Ranek to najbardziej wszawa pora dnia, a im niżej słońce jest na wschodzie, tym bardziej wszawa się staje.

Hałas na ulicy zaczął się mniej więcej w tej samej chwili, w której postawiłem stopy na podłodze.

Jakaś kobieta krzyczała. Była przerażona. Nic tak szybko nie pobudza mnie do czynu. Znalazłem się na dole z niewielkim ar?senalem, nim jeszcze pomyślałem, co robię. Ktoś walił w drzwi, wrzeszcząc moje nazwisko i błagając, żeby go wpuścić. Wyjrzałem przez wizjer. Jedna uncja mojego mózgu zaczęła już pracę. Ujrzałem twarz kobiety. Przerażonej kobiety. Dygoczącymi rękami odsunąłem zasuwę i otworzyłem szeroko drzwi.

Do sieni wpadła naga kobieta. Gapiłem się na nią przez pół minuty, nim mój mózg wreszcie zaskoczył. Dopiero wtedy wyjrzałem na ulicę. Nie zobaczyłem nikogo, z wyjątkiem czegoś wielkości pajęczej małpki i podobnie zbudowanego, ale bez sierści i czerwonego, ze skrzydłami nietoperza zamiast łap i łopatkowatym szpicem na końcu ogona. Stworzenie miało się i piszcząco przeraźliwie. Skrajem ulicy przemaszerował miejski człowiek-szczur. Gdy tylko stworz przestał się ruszać, natychmiast zgarnął go szuflą i wrzucił na taczki. Krewni stworzenia nie zaprotestowali ani nie zażądali zwrotu trupa. MorCartha są niewrażliwe na los swoich drogich zmarłych.

A więc teraz robią to już w dzień. No, jeśli można to nazwać dniem tylko dlatego, że jest jasno. Osobiście uważam, że dzień zaczyna się mniej więcej w chwili, gdy słońce zaczyna świecić nad głową.

Zatrzasnąłem drzwi, okręciłem się na pięcie. Kobieta zemdlą?ła. A to, co zobaczyłem, nawet w tym słabym świetle, sprawiło, że włosy stanęły mi na głowie i rozszczepiły się na końcach.

Nie miała na sobie nawet nitki, ale była odpowiednio zbudowana do tego, by chodzić bez odzienia. W lewej dłoni ścisnę?ła niedbale zwinięty pakunek. Nie byłem w stanie rozgiąć jej palców.

Słowo „oszołomiony” często jest nadużywane w tej erze prze?sady, ale nieczęsto człowiekowi zdarza się znaleźć w sytuacji, w której jego użycie jest jak najbardziej uzasadnione. Tym razem tak było. Nie wiedziałem, co mam robić.

Nie zrozumcie mnie źle, nie mam nic przeciwko nagim kobie?tom. Zwłaszcza jeśli są piękne i biegają po moim domu. A szcze?gólnie, gdy nie muszę ich gonić, a one nie mają zamiaru uciekać. Jednak nigdy dotąd żadna nie zawitała do moich drzwi w wyści?gowym stroju i żadna nie padła mi do nóg tak, że nie byłem w sta?nie jej przebudzić.

Wciąż zastanawiałem się, co mam robić, gdy Dean stawiał się do pracy.

Dean jest moim gospodarzem i kucharzem, jeśli jeszcze na to nie wpadliście. To kwaśny na gębie, ale sentymentalny staruszek, który ma pewnie z tysiąc lat i powinien urodzić się kobietą, bo byłby dla kogoś znakomitą żoną. Umie gotować i sprzątać, a cię?tością jęzora dorównuje najzłośliwsiemu megierom.

- Właśnie uprałem ten dywan, panie Garrett. Czy nie mógłby pan ograniczyć swoich harców do piętra?

- Właśnie ją wpuściłem, Dean. Wpadła tu wprost z ulicy. Otworzyłem drzwi, a ona wleciała do sieni i zemdlą?ła. Może uderzyła ją morCartha? Chyba straciła przytomność, bo nie mogę jej docucić.

- Musi się pan tak bezwstydnie gapić?

- Nie zauważyłem, żebyś ty jakoś szczególnie interesował się muszymi cętkami na suficie. - Nie był aż tak stary. Nikt nie jest aż tak stary. A dama zasługiwała na mnóstwo spojrzeń. Była naj?

przyjemniejszą przesłeczką, jaką zdarzyło mi się otrzymać od dłuższego czasu.

- No jasne. Powiedz, jak często bogowie zsyłają odpowiedzi na nasze modlitwy?

O tej porze Dean jest czujniejszy niż ja. Biedna, zbłąkana du?sza naprawdę wierzy, że wstawanie przed wschodem słońca jest cnotą.

- Odnotowałem pańską próbę dowcipkowania, panie Garrett. Odnotowałem i stwierdziłem, że brak jej polotu. Radzę przenieść tę panią na kanapę i okryć, a potem spróbuję wcisnąć w pana jakieś śniadanie. Będzie pan mniej podatny na młodzieńcze fantasma?gorie, kiedy się pan dobudzi.

- Ostrzejszy od kła węża jest język niewdzięcznego sługi.

Wiedział, że nie mogę mieć jego na myśli Nie był sługą. Był pracującym w domu partnerem.

Złapał kobietę za kostki nóg, a ja za cięższy koniec. Może był taki wściekły o to, że miała więcej naturalnych przymiotów niż jego wszystkie bratanice razem wzięte.

-I do tego ruda - wymamrotałem. - Czy to nie urocze?

Wariuje na punkcie rudych. Ale zdarza mi się od czasu do cza?su obejrzeć przypadkiem na blondynkę. I na brunetkę też.

Dean powiedziałby po prostu, że jestem głupi. I pewnie miał?by rację.

Położyliśmy ją na kanapie w niewielkim saloniku, w prawym skrzydle domu (lewym, jeśli patrzeć od drzwi frontowych). Da?lej ścisnęła w dłoni swoją paczuszkę. Potem przeszliśmy do kuchni. Uczyniłem to niechętnie, sądziłem, że powinienem być przy niej, gdy się obudzi. Tak na wszelki wypadek, żeby miała komu rzucić się w ramiona i szukać pociechy.

Dean wpakował we mnie potężne śniadanie. Zaledwie je skoń?czyłem, pojawił się Saucerhead, żeby nadzorować moją pogoń za doskonałością formy fizycznej. Przez chwilę poplotkowaliśmy nad kubkiem herbaty, ale jakoś zapomniałem mu wspomnieć o mojej golasce. Czy powiedzielibyście piratowi, gdzie znaleźli?ście zakopany skarb?

Potem wyszliśmy na dwór i zajęliśmy się każdy swoimi ćwi?czeniami. Postanowiłem, że go zamęcę.

Dysząc, zipiąc i stękając, zdołałem zapomnieć o tajemniczej damie. Dyszenie i zipanie to praca w pełnym wymiarze.

.?

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

VII

Ostatnie okrążenie. W oczach piwo. Ulga tylko o kilka jardów. Wskoczyłem z Alei Czarodzieja z pełną prędkością, mniej więcej półtorej spacerowej, prychając i charcząc jak ranny bawół, zataczając się z boku na bok jak statek pozbawiony steru. Tylko wzrok sąsiadów powstrzymywał mnie przed pokonaniem ostatnich stu stóp na czworakach.

Straciłem rachubę okrążeń. Saucerhead zmusił mnie do wykonania kilku dodatkowych, ale zdałem sobie z tego sprawę dopiero jakąś minutę temu. Jeśli dożyję, porachuję się z nim, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię. Jeśli porachunki obejmą bieganie, to naprawdę będzie ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię.

Głowę miałem spuszczoną. Wiem, że nie powinno się tego robić, ale musiałem mieć moje stopy na oku. Inaczej mogłyby zastrajkować. Po drodze zastanawiałem się, ile to okrążeń wycisnął ze mnie Tharpe. Straciłem rachubę, bo nie miałem punktu odniesienia oddzielającego jedno okrążenie od drugiego. Nie było również nikogo, kto by mi pomógł je policzyć ale i tak wiedziałem, że mi to zrobił.

Charcząc i czkając, dotarłem do schodów, złapałem za poręcz i wspiąłem się po niej do dzbana, który miał położyć kres mojemu cierpieniu.

- I to jest ten facet, którego szukam? - usłyszałem nieznany mi głos.

- To on - potwierdził Saucerhead.

- Nie wygląda ciekawie.

- Nic na to nie poradzę, nie jestem jego mamusią.

Mój kumpel. Uniosłem głowę. Uff. Puff. Saucerhead nie był sam. Jako osoba inteligentna zdążyłem już to wykombinować. Nie wykombinowałem sobie tylko tego, że ten drugi to kobieta. Prawdopodobnie.

Wyglądała jak jego starsza siostra. Może w jej żyłach płynęła krew wielkoluda? Była o cal wyższa ode mnie. Miała proste, jasne włosy, które byłyby ładne, gdyby je uczesała i umyła. W zasadzie wszędzie miała to co należy i w odpowiednich proporcjach, tylko cała była cokolwiek za duża. I wyjątkowo zaniedbana. I wydawała się takim cholernym twardzielem.

- Nazywam się Winger, Garrett - oznajmiła. - Łowca. Postawą wyzywała mnie, żebym potraktował ją jak damę. Nie była ubrana jak dama. Mnóstwo wytartej skóry i tym podobne, a wszystko wymagało czyszczenia tak samo jak ona. Kupa me?talu i blachy zwisająca skąd się dało. Wyglądała na łowcę. Wyglądała tak, jakby mogła dołożyć po pysku gromojaszczurowi jedną ręką, z drugą przywiązaną za plecami. Cholera, mogłaby chyba go obalić jednym tchnieniem.

Nazwisko nic mi nie mówiło. Musiała być spoza miasta. Gdyby była tu częstym gościem, już bym o niej usłyszał.

- No. Jestem Garrett. I co z tego? - Trudno mi było zachowywać się jak dżentelmen, kiedy ciągle jeszcze łapałem powietrze jak ryba wyjęta z wody.

- Szukam roboty. Nowa w mieście.

- Bez żartów?

- Ludzie, z którymi rozmawiałam, mówili, że czasem potrzebujesz kogoś w rodzaju wspólnika. - Spojrzała na Saucerheada, kiwnęła głową w moją stronę. - Chętnie jakis jak na swoją reputację.

Tharpe wyszczerzył zęby.

- Ludzie czasem przesadzają. -Uwielbiał to. drań jeden. Wielki a głupi. Szczzerzył klawiaturę tak, że spodziewałem się, iż ko?niec cudów jeszcze nie nadszedł.

- W mieście nie ma wiele roboty dla łowców - zauważyłem.- Możemy złapać coś na kolację u rzeźnika na rogu.

- Nie jestem takim łowcą, asie. Łowca ludzi. Łowca nagród.

- To na wszelki wypadek, gdybym od razu nie załapał. -Tropi?ciel. - Jej spojrzenie było twarde i spokojne. Pracowała nad tym, żeby być twardą. - Próbuję nawiązać kontakty. Chcę się jakoś urządzić. Nie mam zamiaru przekraczać pewnych granic, żeby to zrobić.

Miała małe ręce jak na swój wzrost Paznokcie starannie ob?cięte, ale dłonie przywykłe do ciężkiej pracy. Wyglądały, jakby mogła nimi łamać deski. Albo karki, jeśli chodzi o ścisłość. Chcia?łem zachichotać, stwierdziłem jednak, że mądrzej będzie zacho?wać wesołość dla siebie. Nie więcej niż tysiąc ludzi naraz mog?łoby mnie oskarżyć o brak mądrości.

- No i czego chcesz ode mnie?

- A może wejdziemy do środka, z dala od słońca, usiądziemy i pogadamy nad paroma piwkami?

Saucerhead znajdował się teraz za jej plecami. Szczzerzył zę?by od ucha do ucha. Chyba już próbowała go otumanić. Zacho?wałem powagę.

- Jasne. Czemu nie?

Łupnąłem ze dwa razy w drzwi, posłałem Tharpe'owi jedno czy dwa mordercze spojrzenia. Myśli pewnie, że mnie wrobił. Odwdzięczę mu się za to. Zaraz po tym, jak sobie odbiję na nim dodatkowe okrażenia. Zaraz po tym, jak odbiję sobie na nim te siedem czy ileś tam innych spraw, które mi wisi.

Dean otworzył drzwi. Z podziwem spojrział na Winger.

-I co się gapisz, świntuchu? - rzuciła mu w twarz. Wciąż cięż?ko pracowała nad swoją twardością.

- Dean, będziemy w biurze. Przynieś nam dzbanek. Ale naj?pierw zamknij drzwi.

Koniec z darmowymi drinkami dla Tharpe'a. Usunąłem się z drogi Winger.

- Prosto korytarzem.

Poszedłem za nią, podczas gdy Dean zamykał drzwi. Rozglądała się tak, jakby chciała zapamiętać każdą szparę w ścianie. Podejrzewam, że Saucerhead na zewnątrz ryczał ze śmiechu.

- Siadaj tam - powiedziałem, pokazując jej krzesło dla klien?tów. Drewniane, twarde jak kamień. Jego główną funkcją jest zniechęcanie do dłuższych wizyt. Klienci powinni wytrzymać na nim akurat tyle, żeby wprowadzić mnie w sprawę, a nie zalać szczegółami. Teoretycznie. Prawdziwe jękoły bardzo lubią wy?glądać na cierpiące.

Winger wciąż się rozglądała, jakby wchodziła na wrogie tery?torium.

- Szukasz czegoś szczególnego? - zapytałem.

- Jeśli się jest kobietą w męskim zawodzie, trzeba zachować czujność. - Jeszcze jedna doza twardziela.

- Wyobrażam sobie. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Jak już mówiłam, jestem tu nowa. Muszę nawiązać kontak?ty. Może i tobie przyda się czasem jakaś dodatkowa para rąk. Szu?kam ludzi.

- Może. - Jej czujność obudziła z kolei moją. Coś chyba cho?dziło jej po głowie.

Dean przyniósł dzban i kubki. Winger wlała w siebie potęż?ny haust, zagapiła się na obraz za moimi plecami. Wyraźnie za?drżała. Eleanor to potrafi. Człowiek, który ją namalował, był szalonym geniuszem i napełnił jej portret bliżej nieokreśloną grozą.

Obejrzałem się. A Winger skoczyła tak szybko, że załedwie zdołałem się obrócić, kiedy miałem już na gardle jej nóż. Bardzo długi nóż, Nóż, który w tej chwili wyglądał raczej na dwuręczną maczetę.

- Szukam książki, Garrett Dużej książki Chyba jej nie masz, co? Pewnie, że nie.

- Chciałbym ją mieć. - Wiedziałem, że w to nie uwierzy. Fakty po prostu nie zbijają jej z tropu.

Ostrze lekko zahaczyło o skórę na moim gardle, ale jej ręka ani drgnęła. Była zawodowcem. Ani trochę zdenerwowania. Ja też nie. A przynajmniej nie bardzo.

- Nie mam jej. Dlaczego sądzisz, że mógłbym ją mieć?

Nie powiedziała.

- Poszukam sobie sama. Rozbiorę ten dom cegła po cegle, jeśli będzie trzeba. Chcesz zachować zdrowie, to zejdź mi z drogi Chcesz, żeby twój dom pozostał cały, oddaj mi książkę.

Posłałem jej spojrzenie spod trzepoczącej brwi Uroczą sztuczka. Uśmiechnąłem się szeroko.

- Szukaj sobie. Uśmiechnęła się także.

- Chcesz mnie wykołować? Nawet o tym nie myśl

- Niby kto? Mały, biedny ja? Zapomnij o tym. Hej, Chichotku, czas na ciebie.

Winger rozejrzała się, ale dłoń z nożem nadal ani drgnęła. Nie miała pojęcia, do kogo mówię.

- Do kogo mówisz?

- Do mojego partnera.

Otworzyła usta i to było wszystko, co zdążyła zrobić, nim Truposz zamienił ją w żywy posąg. W ostatniej sekundzie jej twarz przybrała wyraz śmiertelnego przerażenia. Usunąłem się ostrożnie spod ostrza i wysliznąłem z fotela.

- Masz tupet - mruknąłem. Mogła mnie słyszeć i na pewno rozumiała. - Ale tupet to nie wszystko.

Nikt, kto choć trochę zna Garretta, nie próbowałby zaatakować go we własnym domu. Truposz może wiele nie wychodzi, ale zapracował sobie na niezłą reputację.

Poklepałem Winger po szacownych rozmiarów ramieniu. Było twarde jak skała.

- Żyj i ucz się, kochanie. - Dokończyłem swój kufelek i spacerkiem przeszedłem na drugą stronę korytarza. - Co to za historia, Śmieszku?

Żadna historia, Garrett. Powiedziała ci wszystko, co wie. Szuka książki To jej pierwsze zadanie w TunFaire. Została wynajęta przez gościa nazwiskiem Lubbock. Zapłacił jej trzydzieści marek, żeby tobą potrząsnęła. Da jej jeszcze czterdzieści, jeśli znajdzie książkę.

- Ciekawa zbieżność. Co wie o tym wczorajszym gangu? Nic. Chyba właśnie dlatego została wybrana. Nie może nic nikomu powiedzieć, ponieważ nic nie wie.

- Podejrzewam, że kolega Lubbock ciężko pracował.

Może.

- Ma silny akcent - Była Karentynką, ale chyba z jakiegoś odległego regionu.

Hender. Zachodnie Ziemie Środka.

- Nigdy o nich nie słyszałem.

Nic dziwnego. Populacja poniżej setki. Wioska rolnicza. Sugestia. Przyjmując, że twoja ciekawość została polechtana, podobnie jak moja, każ ją śledzić. Jej kontakty mogą się okazać interesujące. Podejrzewam, że Lubbock nie jest prawdziwym nazwiskiem jej pracodawcy. Sama też sądzi, że to pseudonim.

Dla mnie brzmiało to rozsądnie. Coś chyba zaczynało się dziać. A ja nie lubię siedzieć i czekać, aż wydarzenia przyjdą same.

- Dobra. Nie mogę użyć Saucerheada. Już go zna. Mógłbym skoczyć do Morleya.

Szybko?

Sarkastyczny stary clown ujął w tym jednym słowie bardzo wiele. Już chyba otrząsnął się z wcześniejszego współczucia i znowu dawał mi do zrozumienia, co sądzi o moim trybie życia.

- Już mnie nie ma.

Wróciłem szybciej, niż ktokolwiek z nas się spodziewał. Miałem trochę szczęścia.

Saucerhead wciąż wałkonił się na moim ganku. Nie skończył jeszcze dzbana, który Dean przygotował na moje bieganie. Znowu miał towarzystwo, lokalnego drania zwanego Wiewiórem. Nie znałem jego prawdziwego nazwiska, ale nikt nigdy nie nazywał go inaczej niż właśnie Wiewiór. Był to mały, chudy gnojek, przeraźliwie pokręconej postury, o spiczastej gębie i wystających zębiskach oraz ogromnych uszach, które sterczały mu z czaszki pod kątem prostym. Miałby problemy, idąc nawet pod lekki wiatr.

Na pewno nie nazwali go Wiewiórem z powodu wyglądu. Ktoś czegoś zapomniał, kiedy mu instalowali rozum. Był pierwszorzędnym dupkiem.

I drugorzędnym zbirem.

Pracował dla Chodo Contague'a. Był czymś więcej niż pokurczem, ale żadna waga ciężka, jak Sadler albo Crask. Nie znałem go za dobrze, ale wiedziałem, że nie jest to towarzystwo, które po mojej opinii u sąsiadów.

Spojrzałem na niego. Obdarował mnie pełnym zębów uśmiechem. Przyjazny jak wszyscy diabli. Cały Wiewiór. Zawsze chce być twoim kumplem... dopóki nie przyjdzie czas, żeby wbić ci nóż w plecy. Wiewiór rozpaczliwie chciał być lubiany. A jeszcze bardziej chciał znaleźć się w pierwszej lidze Chodo.

- Garrett; Szef słyszał o twoich kłopotach. - Chodo słyszy wszystko. - Wysłał mnie, żebym pomógł. Mam powiedzieć, że jak ci czego trzeba, to wrzeszcz. Powiedział, że nie chce znać nikogo, kto krzywdzi kobiety.

Jasne, że nie. Chyba że pracują dla niego i wykażą choćby cień niezależności. Ale pewnie nie uważa dziwek za kobiety.

Nie chciałem od Chodo absolutnie niczego, ale z drugiej strony użycie Wiewióra było dla mnie bardzo wygodne. No więc co?

- Zjawiłeś się w bardzo odpowiednim momencie. Wiewiór znowu wyszczerzył zębiska. Lubił pochwały. Jeśli to można nazwać pochwałą. Dziwny mały facecik.

- Jak twoja kobieta, Garrett? Powinienem być zapytać. Chodo chciał wiedzieć. Powiedział, że przyśle kogoś, żeby się nią zaopekował, jeśli trzeba.

- Nic jej nie będzie. Teraz zajmuje się nią rodzina. - Nie stać ich na taką jakość usług, jaką oferował Chodo. - Jeśli coś zacznie się dziać, na pewno mnie powiadomią.

Willard robi to. Gdyby Tinnie umarła, będzie ode mnie oczekiwania wyłowienia wszystkich choćby w najmniejszym stopniu odpowiedzialnych za jej śmierć. A potem powycina im wątroby i zje na śniadanie.

- No więc znalazłem się tu w odpowiedniej chwili. Co mogę dla ciebie zrobić?

Zadrzałem. Wiewiór ma płaczliwy głos i do tego parszywie przymilny sposób bycia. Śliska, mała łasica. Ale niebezpieczna. Bardzo niebezpieczna.

- Za chwilę wyjdzie stąd kobieta. Wysoka blondynka, typ amazoński. Sprawdź, dokąd pójdzie. Bądź ostrożny. Może być paskudna. - Nie miałem pojęcia, na ile dobry jest Wiewiór. Jego jedyną rekomendacją było to, że jak do tej pory pozostawał przy życiu.

- Poradzę sobie. - Jakby wyczuł, że się waham.

- Co się dzieje? - zapytał Saucerhead.

- Przyłożyła mi nóż do gardła. Chciała ode mnie księgę. Truposz ją przystopował.

- Znowu księga?

- No.

- Wchodzisz w to, nawet jeśli Tinnie się wylize?

- Powiedzmy, że jestem ciekaw. - Nie miałem zamiaru w nic wchodzić. Nie miałem klienta. Nie lubię pracować, jeśli nie mu?sze. To znaczy: czym ja sobie zawracam głowę, dopóki mam dach nad głową i coś do żarcia?

Z drugiej strony, mógłbym z tego wycisnąć jakąś forszę. W koń?cu trzeba jej trochę, żeby zapłacić Deanowi i utrzymać dom, by nie popadł w ruinę.

- Rozejść się - powiedziałem do mojej dwójki. - Saucerhead, wynocha. Może cię rozpoznać.

- Jasne. Jak mnie będziesz potrzebował, zajdź do Morleya. Pomachałem im ręką, wszedłem do domu, zajrzałem do po?koju Truposza i szepnąłem:

- Puszczasz ją?

Szeptalem, bo nie chciałem, żeby Winger mnie usłyszała.

Tak.

Wróciłem do biura, wyjąłem nóż z palców Winger, usiadłem i zacząłem czyścić sobie paznokcie. Truposz puścił. Gdyby ktoś mógł wyskoczyć ze skóry, Winger zrobiłaby to na pewno.

- Witaj w wielkim mieście, Winger. Zapamiętaj to sobie. Każ?dy tutaj ma asa w rękawie.

Przełknęła ślinę i ruszyła w stronę korytarza.

- Przepraszam, możesz mi powiedzieć, gdzie znajdę Lubbocka? - zapytałem. - Nie mogę powiedzieć, żebym przepadał za facetami, którzy nasylają na mnie wynajętych rzezimieszków.

To wstrząsnęło nią jeszcze bardziej. Przecież nie wymieniła te?go nazwiska w rozmowie.

Odprowadziłem ją do drzwi, dodając jeszcze kilka pytań, obli?czonych na to, by nią trochę potrzepać, tak żeby się za bardzo nie rozglądała za Wiewiorem. Opuszczając mój dom, prawie biegła.

Rozejrzałem się. Ani Wiewióra, ani Saucerheada nie było w za?sięgu wzroku. Nie zauważyłem też nikogo zainteresowanego moim domostwem. Wszedłem do środka, żeby pogadać z Dea-ncm o kolacji.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

VIII

Dean nie potrzebował żadnych sugestii. Nigdy ich nie potrzebuje, ale to mu nie przeszkadza wysłuchać mojej oferty. Wtedy może ją odrzucić.

Rozsiadłem się przy stole. Dean zapytał:

-I o co chodziło?

- Nie jestem pewien. Ktoś nazwiskiem Lubbock przysłał ją żeby ze mnie wycisnęła księgę.

Zmarszczył czoło. Opanował tę sztukę jak mało kto. Jego twarz zmienia się wtedy w krajobraz księżycowy pełen pograżonych w cieniu kanionów.

- Ten gość, który dziabnął panienkę Tinnie...

- No.

- Coś się chyba zaczyna dziać. - Jeszcze jeden geniusz. W moim domu aż się od nich roi.

-Nooo...

- Dowie się pan, co?

- Może.

Nie czułem wielkiej na to ochoty. Świat jest pełen tajemnic. Czy ja muszę je wszystkie rozwiązać? I żeby nikt mi jeszcze za to nie płacił? Ale faktycznie, ciekaw byłem, dlaczego Winger przyszła właśnie do mnie.

Ktoś zaczął walić we frontowe drzwi. Burknąłem pod nosem coś na temat najwyższego czasu na przeprowadzkę. Za wielu ludzi wie, gdzie mieszkam.

- To pan Tharpe - oznajmił Dean.

- Widzisz przez ściany?

- Poznają jego stukanie.

Jasne. Na pewno. Ale z kim ja się sprzecam? Niech wierzy w te swoje fantazje. Ruszyłem do sieni...

- Hejże! - To rzeczywiście był Saucerhead. W środku. - Co się dzieje?

Wyglądał na trochę wzburzonego.

- Same się otwały, kiedy zastukałem. - Spojrzał na drzwi, jakby się bał, że im wyrosną zęby.

Nie może być. Sam je zamykałem. To główna zasada tego do?mu. Są na tych ponurych ulicach ludzie na tyle głupi, że chcie?liby tu wejść. Na tyle głupi, żeby się nie przejmować Truposzem. Właśnie jedną taką osobę odesłałem z kwitkiem.

Przez chwilę dumałem nad tym niezwykłym faktem, aż nagle mnie oświeciło.

- Trzeci geniusz! - Saucerhead spojrział na mnie podejrzliwie. Zajrzałem do małego frontowego pokoiku.

Mój gość zniknął.

-Dean!-Zapomniałem o niej w tym całym zamieszaniu i czu?łych przekomarzankach z Winger.

- Czegoś tu brakuje. - Pokazałem palcem na pokój. - A Sau?cerhead trafił na otwarte drzwi.

Dean wyglądał na szczerze zdumionego. Wszedł do pokoju i zaczął węszyć, sprawdzając, czy nic nie zniknęło. Jakby to wszystko było jego.

- Nie ma koca.

Musiała coś wziąć. Niełatwo jest wzbudzić sensację na ulicach TunFaire, ale nagość jakoś za

każdym razem robi furorę.

- Co się dzieje? - zapytał Saucerhead.

- Wiem tyle co i ty. Dean, daj piwa panu Tharpe. Muszę po?gadać z Truposzem.

Dean zapędził Saucerheada do kuchni, a ja zajrzałem do mojego stałego gościa, który - jak to wyczułem, zanim jeszcze otwarłem usta - był w wybitnie kwaśnym nastroju. Normalny stan rzeczy w jego przypadku.

- Co cię nagle ugryzło?

Zapomniałeś wspomnieć mi o tym gościu, który nagle zniknął.

- A po co miałem ci mówić? - I tak wiedział o wszystkim. Był tak wstrząśnięty, że nawet za bardzo nie marudził

Nie miałem pojęcia o jej obecności. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Nie sądziłem, że to możliwe. Odszedł gdzieś w głąb się- j bie, szukając wyjaśnienia dla rzeczy niemożliwej.

Był wstrząśnięty? Wyszedłem z siebie i stanąłem obok. W obie strony. Cała trójka mnie była o jeden oddech od paniki. Ktoś może tu wejść i kręcić się po domu, a my nie zostaniemy o tym, ostrzeżeni?

- To nie brzmi najlepiej, panie Garrett - zahuczał Dean za moimi plecami.

- Nie tylko geniusz, ale i mistrz niedopowiedzenia. - Zaduma?łem się na chwilę. - Nie mogła uciec daleko. Będzie się wyróż?niać w tłumie. Lepiej ją złapię.

- Kogo złapiesz? - zapytał Saucerhead. Wyjaśniłem mu.

- Nagie kobiety padają u twoich drzwi jak deszcz. - Wyszczere?rzył zęby. - Jak ty to robisz? Mnie to się nigdy nie zdarza.

- Bo nie żyjesz jak należy. Nie mamy czasu na pogaduchy.

- My? Masz w kieszeni rusałkę?

- Zdziwiłbyś się. To znaczy, gdybyś ją zobaczył. Wyobraź so?bie Tinnie, ale lepiej wyposażoną w okolicy płuc.

- Wiesz, i tak nie miałem nic lepszego do roboty. Idziemy.

Ale ten mały szczur, zajmujący się sprawami Garretta, nie uznał widocznie za stosowne, żebym ruszył w pościg za piękną rudo?włosą. Żadnego wyczucia proporcji.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

IX

A może po prostu chciał mi oszczędzić zachodu. Dostarczył jeszcze jedną wprost pod moje drzwi.

Dean już tam był. Miał zamiar właśnie nas wypuścić, gdy rozległo się pukanie. A teraz załamywał ręce.

- Co tam masz?

- Jeszcze jedna kobieta.

Otwarłem drzwi i obejrzałem ją sobie. Zajęło mi to trochę czasu. Chcesz coś zrobić, rób to dokładnie. A było co oglądać, choć samo opakowanie nie było wielkie. Trochę się zdziwiłem, że całe sąsiedztwo nie wyje ze szczęścia do księżyca. Gorąca sztuka. Wszystko co trzeba upakowane w odpowiednich miejscach i we właściwych proporcjach. Duże, zielone oczy. Duże, duuuuże zielone oczy. Usta niebezpiecznie czerwone i pełne, z gatunku takich, co to mówią; „Chodź i bierz. Dasz sobie radę. Na co czekasz, chłópie?”. Piersi jak... Chłopie, skąd ona je wzięła i jakim cudem jest? Cze je tam ma, a nie w twojej garści...?

Ale...

Była naprawdę maleńka – jakieś pięć stóp i dwa cale na paluszkach. I też ruda. Miała kupę rudych loków, takich samych rudych loków, jak Tinnie. I takich samych rudych loków, jak mój poranny gość. Właściwie była cholernie podobna do tej dziewczyny, ale zupełnie niepodobna do tamtej kobiety. Złączałem zastanawiać się, czy nie ma siostry. A może to ten łasicowaty typ z nieba robi do mnie oko i podsuwa mi kolejne rude babki?

Nic nie powiedziałem. Nie byłem w stanie. Zaprowadziłem ją tylko do tej pretensjonalnej dziury, którą nazywałem biurem. Dean bez słowa przyniósł dzban piwa. Wyglądał na kompletnie otumanionego. Ja też pewnie czułbym się tak otumaniony, gdybym bez przerwy nosił pełne dzbany piwa. Jeszcze jedna ruda. Mogłem tylko mieć nadzieję, że ktoś wreszcie rzuci trochę światła na te sprawy. I to jak najszybciej.

I nagle poczułem święte przekonanie, że ten gość z cienkim wąsikiem, kiedy uderzył Tinnie, myślał, że wbija nóż właśnie w te kobietę, albo w tamtą nagą. Usiadłem, wypiliśmy kufelek, przyjrzałem się jej. Zrewanżowała mi się takim samym dumnym spojrzeniem, ale wciąż milczała. Nie sprawiała wrażenia istoty łatwej, i szybkiej, ale do licha, miała to wszczepione pod skórą, jako część opakowania. Należała do tych kobiet, które będą żarzyć się żywym ogniem, nawet cerując skarpetki dziadka. Do tych kobiet, na widok których chciałbym skakać z radości i wyć do księżyca ze szczęścia, że dzielę z nimi ten sam świat

-Jestem Garrett - wykrztusiłem wreszcie. - Sądzę, że to ze mną chciała się pani widzieć.

Nieraz jestem tak zimny, że zadziwiam sam siebie.

- Tak.

Tak co? Zanurzyłem usta w piwie, żeby nie dyszeć jak stary satyr. Jestem zwolennikiem długich i mozolnych zalotów. Co najmniej piętnaście minut Przełknąłem i zaskrzeczałem:

- I co?

- Potrzebuję kogoś, kto by mi pomógł. Kogoś takiego jak pan.

Wyszczrzyłem zęby od ucha do ucha i dalej. Czy mogę jej pomóc? A jakże... Wyjdę ze skóry i..

Hej! Garrett! Uspokój no się! Opanuj tę swoją chemię. W każdym razie i tak już zacząłem podejrzewać, że nie była to dla mnie wybranka zesłana przez niebiosy. Płonęła, ale to nie z mojego powodu. Po prostu taka już była.

- I cóż?

- Potrzebuję kogoś, kto coś dla mnie znajdzie.

- Właśnie to robię. Znajduję różne rzeczy. Ale czasem ludzie żałują, że je znajduję.

Siedziała tam spokojnie i mimowolnie nagrzewała pokój, aż się spociłem. Obróciłem się bokiem i kątem oka zacząłem studiować Eleanor. Wysoka, chłodna, smukła, eteryczna blondynka - Eleanor ma wszystko, co było potrzebne, aby ściągnąć mnie na ziemię. Często rozmawiam z Eleanor, kiedy nikt mnie nie podsłuchuje. To moja skała na burzliwym morzu. Ciekaw jestem, co pomyślałaby prawdziwa Eleanor, gdyby wiedziała, jak używam jej portretu. Nie sądzę, by miała mi to za złe.

- Czy to ktoś specjalny dla pana? - zapytała ruda.

- Tak. Nazywała się Eleanor Stantnor. Była żoną mojego klienta. Nigdy jej nie znałem. Zamordował ją dwadzieścia lat wcześniej, nim mnie wynajął. Wszystko, co złego mu się od tej pory zdarzyło, spowodowane było tą jedną zbrodnią. Obraz wziąłem sobie jako honorarium. Taaak. Jest kimś szczególnym. Gdyby żyła, byłaby teraz w wieku mojej matki. Ale i tak pewnie bym się w niej zakochał. - Znowu spojrzałem na rudą. - Przejdźmy do rzeczy.

- Czy przyszedł w niewłaściwym momencie?

- Przyszła pani w najwłaściwszym momencie z możliwych. Jest pani bliźniaczko podobna do mojej przyjaciółki, która ktoś próbował zamordować wczoraj rano. Mam wrażenie, że pani będzie mogła mi wyjaśnić, dlaczego.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, kiedy moje słowa do niej dostrzeliły. Zrobiła z usteczek wielkie O. Oczy były jej jeszcze większe. Chciała wstać, ale usiadła z powrotem i kusząco zadrżała.

- Moja przyjaciółka nazywa się Tinnie Tate. Nigdy nikogo nie skrzywdziła. Ma takie same włosy jak pani i jest podobnego wzrostu. Może mniej okrągła tu i tam, o ile mogę się zorientować z tego miejsca, ale nie dość, żeby ktoś obcy mógł to od razu zauważyć. Szła na spotkanie ze mną, kiedy jakiś skurwielił wbił jej nóż w plecy. Bez powodu. Tak przynajmniej sądziłem, dopóki nie zobaczyłem pani.

- Och, nie. - Westchnęła. - Muszę stąd uciekać. On już wie. Muszę uciekać.

- Nigdzie nie pójdziesz, kochaniutka. Dopóki nie dowiem się o co tutaj chodzi, do cholery!

Siedziała tak mamrocząc kolejne „och, nie” i podgrzewając atmosferę. Pomyślałem, że Dean mógłby ją trochę ostudzić kubłem zimnej wody, ale tylko buchnęłyby para i tapeta zaczęłaby mi odchodzić ze ścian.

- Jestem wściekły, że coś takiego przytrafiło się Tinnie. Inni też są wściekli. A to niedobrzy ludzie. Bogaci ludzie. Jej ludzie. Żądają krwi. Wyglądasz mi na dziewczynę, która potrafi o siebie zadbać. Pewnie nie chciałabyś znaleźć się nagle wśród tych wszystkich wściekłych ludzi, co?

Jej śliczna buźka przybrała wyraz zdumienia.

Czyżbym próbował ją przestraszyć? Pewnie, jeszcze jak.

Odpowiedziała tylko:

- Och. - Jakby to nie było nic szczególnie ważnego.

- Sądzę, że gość, który dziabnął Tinnie, miał na myśli ciebie - Błądziłem po omacku, ale jak nie rzucisz wędki, ryba nie złapie haczyka. - Tylko takim sposobem ma to jakikolwiek sens. Pomylił ją z kimś innym. A zatem pozwól, że razem dojdziemy do właściwych wniosków. - Wstałem i okrążyłem biurko.

- Chyba popełniłam błąd, przychodząc tutaj. - Wstała. Posadziłem ją z powrotem.

- Popeliłaś błąd, kiedy gdzieś powiedziałaś komuś, że się tu wybierasz. I ktoś się zdenerwował. Próbował załatwić damę mego serca. No, śpiewaj. Już straciłem dobry humor.

W rzeczywistości byłem bardzo grzeczny. W końcu po drugiej stronie korytarza miałem Truposza. Musiałem tylko pilnować, że by jej dobrze zamącić w głowie, a on wtedy będzie mógł z nie wyłowić wszystko to, co było nam potrzebne.

Znowu próbowała się podnieść. I znów posadziłem ją na tyłku, tylko nieco bardziej energicznie. Wyglądała na bardziej zirytowaną niż przestraszona. To mi nie pasowało.

- Słucham, paniusiu. Może zaczniemy od twojego nazwiska! Spuściła wzrok na splecione dłonie. Chłopie, ależ to były śliczne łapki.

- Nazywam się Carla Lindo Ramada. Jestem pokojową w domu Lorda Barona Cleona Stoneciphera.

- W życiu o nim nie słyszałem. Jeśli cała jego służba tak wygląda, muszę pomyśleć o przeprowadzce. Sądzę że nie jest z miastem. I co z tym baronem?

- Jest jakby z boku tej historii. Ma pewnie z dwieście lat i leży w łóżku, czekając na śmierć. Cięży na nim klątwa. Nie może umrzeć. Tylko się przez cały czas starzeje. Ale to nie jest takie ważne. Ważna jest wiedźma. Ta, która rzuciła na mego te klątwę. Nazywają ją Panią Węży. Ona też mieszka w zamku, ale nikt jej nigdy nie widział. Nikt nie wie, jak wygląda, jeśli nie liczyć jej własnych ludzi. Ale wszyscy wiedzą, że nie zdejmie z niego klątwy, dopóki nie uczyni jej swoją spadkobierczynią.

-Co?

- Ona chce tego zamku. Zamek znajduje się wysoko w górach Hamadanu, w pobliżu granicy pomiędzy Karenta i Therprą. Oba królestwa roszczą sobie do niego prawo, ale żadne nie ma nad nim władzy. A Pani Węży pożąda go, bo jest niezniszczalny.

Ciekaw byłem, czy panna Ramada jest rzeczywiście choć w połowie tak powolna, jak na to wygląda. Zerknąłem na Eleanor. Nic mi nie chciała podpowiedzieć. Do licha. Jeśli nawet nie jest geniuszem, no to co. Nie będzie musiała używać głowy. W naszym świecie kobiety, które tak wyglądają, nie muszą na siebie pracować. Muszą się tylko nauczyć, kiedy i do kogo grzecznie zamerdać ogonkiem.

- Do rzeczy. Co tu robisz? Chcę wiedzieć, dlaczego Tinnie dostała nożem. Tłem zajmiemy się, jeśli to będzie konieczne.

Znowu okazała cię irytacji.

- Pani Węży tworzyła księgę. Nazywali ją Księgą Snów albo Księgą Cieni. Baron uważa, że włożyła w nią większość swoich mocy. Uznał, że jeśli uda mu się ją zdobyć, wygoni wiedźmę z zamku. Rozkazał swoim ludziom ukraść księgę. Czekali, aż zapomni o obronie. Porwali księgę. Wywiązała się walka. Większość ludzi barona zginęła. Ale zginęli również strażnicy Pani Węży. Człowiek nazwiskiem Holme Blaine uciekł z księgą, ale nie zaniósł jej baronowi. Przywiózł ją tu, do TunFaire. Baron wysłał mnie, że bym go odnalazła, ponieważ jestem jedyną osobą, której ufa. Kiedy rozpytywałam, kto mógłby mi pomóc, najczęściej powtarzało się pańskie nazwisko. Postanowiłam, że spotkam się z panem. I jestem. Ale teraz wydaje mi się, że popełniłam błąd.

Miałem wyraźne przeczucie, że dziewczyna nie mówi mi prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. Ale Truposz zajmie się wyjaśnieniem szczegółów.

- Do czego byłem potrzebny?

- Chciałam, żeby to pan odnalazł Księgę Snów.

No jasne. Spojrzałem na Eleanor. Odpowiedziała mi tępym spojrzeniem. Nieszczególny z ciebie pomocnik, kochanie. Spojrzałem znowu na rudą. Do licha, ależ z niej iskierka.

- No wiec, kto próbował zabić moją przyjaciółkę? I dlaczego?

- Prawdopodobnie to ludzie Pani Węży. Wiem, że tutaj są. Wi?działam ich. A pan ich widział? Opisałem ich starannie.

- Ten człowiek z wąsami wygląda na Elmora Flounce'a. Na?wet przyjaciele nie będą go żałować. Człowiek-szczur to chyba Keem Zgubiony Nóż. Jeszcze gorszy od Flounce'a. Wilkołak to pewnie Zacher Podkowa, łowca i tropiciel. Ak Pani Węży ma inne wilkołaki. Karły... nie wiem. Są ich całe tuziny.

- Hmm. Jakiś początek już mamy. - Miałem nadzieje, że Tru?posz wewnątrznie rozkłada ją na czynniki pierwsze.

Ruda zaczęła wyłamywać sobie palce. Nie jest to coś, co wi?duje się często, zwłaszcza wśród młodych ludzi. Jedynym wyłamywaczem, jakiego znałem do tej pory, był Dean. U niej ten gest wyglądał na wystudiowany.

- Pomoże mi pan znaleźć Holme'a Blaine'a, panie Garrett? Po?może mi pan odnaleźć Księgę Snów? Jestem zdesperowana.

Samotna i zdesperowana, pokonana przez potężne siły. Pew?ny sposób, żeby złowić Garretta. Tyle że jakoś nie czułem tej jej desperacji. Rozczarowanie ogarniało mnie tak szybko, że prawie musiałem pracować nad sobą, żeby nie zapomnieć o dyszeniu jej w ucho. Bierz się za nią, Garrett. Co masz do stracenia?

- Mam własne problemy. Ale jeśli trafię na te twoją księgę, nie ma sprawy.

Spojrzała na mnie takim wzrokiem, że kręgosłup stopił mi się jak cyna, pomimo odzyskanego cynizmu. Miałem ochotę złapać Truposza i Deana i wyrzucić ich na ulice. Wyjęła sakiewkę z koż?łęcz skóry, odliczyła pięć srebrnych monet

- Muszę mieć trochę przy sobie, zanim znajdzie pan te księ?gę, panie Garrett Przykro mi, na razie nie mogę dać panu wię?cej. Tylko tyle udało nam się wyskrobać. Pani Węży zgarnia całe srebro, na jakie trafi.

Srebro stało się rzadkością od czasu, gdy Glory Mooncalled przejął kopalnie w Kantardzie. Otwarłem już usta, żeby powie?dzieć, iż naprawdę nie musi wpędzać się w ubóstwo. Głupiec we mnie był gotów na wszystko.

Bierz to.

Truposz rzadko wysyła myśli poza granice swojego apartamen?tu. Jeśli to robi, raczej się z nim nie sprzeczam. Jego argumenty są z reguły nie do obalenia. Ten wtret jednak zrujnował moją kon?centrację. Miałem do tej kobiety jeszcze około setki pytań, ale zamiast tego powiedziałem tylko:

- Mój przyjaciel odprowadzi cię bezpiecznie tam, gdzie ze?chcesz się udać.

Saucerhead pewnie gdzieś tu się kręci.

Wstała.

- To nie będzie konieczne.

- A ja uważam, że tak. Już raz ktoś użył tu noża i pewnie miał na myśli ciebie. Sądzę, że do tej pory zdążyli się zorientować, że się pomylili. Zrozumiano?

- Chyba tak - znowu ta irytacja. - Dziękuję. Jestem w tym no?wa. Nie spodziewałam się, że ludzie są tacy.

Doprawdy?

Była niezła. To jej trzeba przyznać. Naprawdę była niezła. Za?wołałem:

- Dean! Powiedz panu Tharpe'owi, żeby bezpiecznie odpro?wadził panią do domu. Niech trochę powęszy, sprawdzi, czy nikt jej nie śledzi.

Dean stanął w wejściu, kiwając głową. Tak jak przypuszcza?łem, był pod drzwiami i

podśluchiwał.

- Panienko? Pozwoli panienka? - Stary satyr potrafił być cza?rujący.

Nie myślałem o tym pytaniu, dopóki nie usłyszałem, jak za?mykają się za nią drzwi. Ale co u licha? Mogłem uzyskać wszystkie odpowiedzi od Truposza.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

X

Dean wrócił od drzwi frontowych. Spotkałem go, idąc do pokoju Truposza.

- Ona kłamała, panie Garrett

- Na pewno nie powiedziała całej prawdy, to fakt

- Ani słowa, jeśli mogę wyrazić swoją opinię.

- To nie ma znaczenia. Chodź, dowiemy się, co stary Śmie?szek wyłuskał z przestrzeni pomiędzy jej uszkami.

Dean zadrżał. Nie mogę tego pojąć. Przez tyle czasu powinien był już przywyknąć do Truposza.

Dołożyłem pieniądze pani Ramady do stosiku, który spoczywał pod fotelem Loghyra,

Usadawiłem się we własnym fotelu i powiodłem wzrokiem po podłodze. Dean znowu się opuszczał. Boi się tu przychodzić, dlatego ociąga się ze sprzątaniami, dopóki na niego nie nawrzeszczę albo nie zrobię tego sam. Robale były bliskie opanowania terenu.

- I co sadsisz o moim gościu?

Czy nigdy nie wyrośniesz z tego młodzieńczego poczucia hu?moru?

Łotr. Teraz wsładzie na mnie za to, co myślę.

- Mam nadzieję, że nie, Chichotku. - Masz. Musze to powie?dzieć. - Dorośli są tacy sztywni.

Jak zauważył Dean, kłamała.

- Więc jaka jest jej prawdziwa historia?

Nie odważę się zgadywać.

Oho! To nie brzmi dobrze.

Nie byłem w stanie wychwycić żadnych myśli poza tymi naj?bardziej powierzchownymi.

O, nie. Co się dzieje, u licha?

- Myślałem, że potrafisz poradzić sobie z każdym. - To już za?czynało mu wchodzić w zły nawyk.

Czyżby już się kończył, zbli?żał do krawędzi?

Tylko pospolite umysły.

Au!

-I ty uskarżasz się na moje poczucie humoru? Co to ma zna?czyć?

Że na pewno nie jest pokojówką. Nie zdradza się nawet przy bliższej obserwacji... nie, nie o to chodzi... choć w zasadzie nie powinniśmy się do tego wtrącać.

Dlaczego więc miałem dziwne przeświadczenie, że on bardzo chce się wtrącić?

I nie w sposób, w jaki ci chodzi po głowie.

- Co złego jest w łączeniu interesu z przyjemnością? Ona by?ła taka...

Właśnie. Była taka. I co jeszcze?

- Hej! Teraz jest klientką! Płacącą.

I całkiem oczywiste, dlaczego. Zadziew mnie wreszcie, Garrett! Zaczynaj myśleć mózgiem, zamiast gruczołami. Choć raz. Zadziew przyjaciół i zbij z tropu wrogów.

Zacząłem rozważać, czy się nie obrazić. Zacząłem rozważać, czy nie wspomnieć, że przy Winger nie uroniłem ani kropli po?tu... choć nawet i to nie byłoby prawdą. Jedynym elementem roz?praszającym u Winger był jej wzrost

- Do diabła. Patrzysz jak lis na kwaśne winogrona, bo sam już nie możesz.

Widocznie trafiłem blisko czulego punktu, bo zmienił temat

Jak zamierzasz odnaleźć księgę, o której mówiła? Z taką ilością informacji, jaką udało ci się z niej wycisnąć? A taki z ciebie cwany detektyw.

- Skąd miałem wiedzieć, że opadłeś z sił?

Musisz się nauczyć działać sam, Garrett. Nie mogę wszystkiej go robić za ciebie. Zamiast zaczynać kłótnie, proponuje, żebyą wynajął pana Tharpe 'a i kazał mu śledzić tę kobietę.

- A co z księgą, której szuka? Musi to być ta sama księga, o której już wcześniej słyszeliśmy. Co z nią?

Nic z nią. Księga Cieni, Księga Snów, powiadasz. Coś mistycznego, jak należy przypuszczać. Kiedy się dowiemy, czym jest ta księga, prawdopodobnie wyjaśni się wszystko inne. Powiedziała, że kobieta, którą nazywała Panią Węży, otacza się dużą liczbą karłów. To dość niezwykle. Nawet mało prawdopodobne, jak sądzę. Może powinieneś odwiedzić ich lokalną enklawę i dowiedzieć się, czy ktoś może cię w tym względzie oświecić. Sądzę, że karzeł Gnorst, syn Gnorsta syna Gnorsta wciąż jest preteorem kantonu. Tak, z całą pewnością. Idź się z nim spotkać. Powołaj się na mnie. Jest mi winien grzeczność.

Ta stara kupa gnatów dała się ponieść. Był bardziej zainteresowany ode mnie. Ale on jest pies na zagadki

- Daj spokój, Stary Kościeju. Żaden karzeł nie ma imienia, które brzmi jak atak kataru siennego. I jak on może ci być coś wiwnien? Nigdy tutaj nie widziałem żadnego karła.

Oni są bardzo długowieczni, Garrett. Mają doskonałą pamięć, delikatne wyczucie równowagi i tego, co jest właściwe, a co nie.

To niby miało pokazać mi, gdzie jest moje miejsce. Jak woda po kacze, stary. My, krótkowieczni, nie mamy czasu martwić się o gafami towarzyskimi.

Kiedy już odwiedzisz karłów, możesz zaangażować pana Dotesa. Jeśli pan Tharpe nie dowie się niczego użytecznego, i niejaki Wiewiór też nie, będziesz sam mógł zacząć sprawdzanie historii tej kobiety, punkt po punkcie. Heraldycy i eksperci od dawnych rodów powinni coś wiedzieć o baronie i jego twierdzy. A handlarze i podróżnicy, którzy odwiedzają ten region, także mogą rzucić nieco światła na rozgrywające się tam wydarzenia.

- Nie ucz ojca dzieci robić. Włazisz na moje terytorium.

Doprawdy? Mówię o chodzeniu, Garrett. Pamiętasz tę stronę swego zawodu, na którą masz ciężkie uczulenie?

Podły gnojek. Kwaśne winogrona! Facet, który sam nie podniósł tyłka z fotela od czterystu lat. Choć na pewno łatwiej jest zamieszać w garnku i zobaczyć, co wypłynie.

- Sprawdzę, czy Dean może zostać na noc. Jeśli tak, to pójdę do Fortu Karłów.

Ruszyłem do kuchni, przygotowałem sobie napitek. Oczywiście, że Dean zostanie. Teraz, kiedy zaczęło się coś dziać, końmi bym go stąd nie wywłókł. Tinnie to jego ulubienica. Chciał zobaczyć, jak ktoś oberwie za to, że ją skrzywdził.

- Strzeż twierdzy - poleciłem. - Jego Kościstość wysyła mnie do królestwa niskich i złośliwych.

- Niech pan nie wraca zbyt późno. Robię grubą tartę jabłkową w sosie śmietankowym. Lepiej, gdy nie musi być podgrzewana.

Niespodzianka, niespodzianka. Ten stary wie, jak odwieść moje myśli od kłopotów. Jeszcze jeden talent i chyba bym się z nim ożenił.

Podreptałem do mojej specjalnej szafy i ubrałem się jak na spacer, po czym ruszyłem w drogę. Nie po raz pierwszy nie miałem nawet bladzielonego pojęcia, co robię. A może jednak to ten sam pierwszy raz, który nigdy się nie skończył.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XI

Truposz zaproponował, abym w powrotnej drodze wstąpił do Domu Radości, którego właścicielem i szefem był niejaki Morley Dotes, mój przyjaciel, profesjonalny wegetarianin, zabójca i mieszaniec rasy elfiej i ludzkiej. Przemyslałem to sobie i postanowiłem, że na razie dam spokój. Morley przydaje się, kiedy rzeczy zaczynają przybierać brutalny obrót, ale ma swoje zobowiązania. Większość z nich to kobiety. Nie ma sensu wprowadzać go w sprawę, gdzie czeka go niejedna pokusa. Poza tym, kiedy Morleya nie ma w pobliżu, ja automatycznie mam większe szansę.

Dom Radości. Co za idiota tak nazwał restaurację, w której podają niezbyt treściwą paszę dla bydła? A może by ją nazwać Żłób, co, Morley? Albo Stodoła? Albo Stajnia? Nie, to aż śmierdzi nuworyszowskim kiczem.

Budowla, którą ludzie zwą Fortem Karłów lub Domem Karłów, spoczywa na czterech kwadratowych głazach poza wzniesieniem Płaskowyżu Dziecka. Płaskowyż ciągnie się wzdłuż rzeki na północ od Bight, gdzie wielka woda ostro zakręca na południowy zachód i gdzie zaczynają się nabrzeża i doki, aby ciągnąć się dalej całymi milami, aż do murów. Legenda mówi, że kiedy ludzie po raz pierwszy zjawili się w tym regionie. Płaskowyż został zasiedlony jako pierwszy. Najpierw był tam fort, potem miasteczko, które rozrosło się, ponieważ leżało u zbiegu trzech wielkich rzek. A potem zbudowano dalsze fortyfikacje i rozwinięto przemysł w ciągu Wojen Oblicza, kiedy to ludzki brak poczucia bezpieczeństwa skłonił naszych przodków, by udowodnili, jak skutecznie potrafią skopać tyłki starszym rasom.

Wojny Oblicza miały miejsce wiele lat temu. Historia zatoczyła pełne koło. Teraz Płaskowyż zamieszkują nie-ludzie, którzy przybyli, aby nachapać się przepływających obok bogactw, dzięki nieskończonej wojnie Karenty z Venageta.

Zawsze bez trudu udaje mi się okazać odpowiednią dozę pobudzenia, gdy słyszę o wojnie i jej skutkach. Po pierwsze, nie-ludzie dobierają się do naszych kieszeni. A nasi władcy jeszcze im przyklaskują. Za chwilę dobiorą się do naszych kości.

Ale to nie jest rasizm. Zgadzam się z każdą rasą, z wyjątkiem ludzi-szczurów. Nasi władcy w swej mądrości i nieskończonym oportunizmie zawarli z innymi rasami traktaty, na mocy których nie podlegają one obowiązkowi służby wojskowej, nawet gdyby zamieszkiwali Karentę od dziesięciu pokoleń. Pławią się w przywilejach, nie płacąc żadnej ceny. Obrastają tłuszczem, produkując broń, którą później noszą nasi chłopcy. Nie musiałyby tak być, gdyby nie-ludzie nie zajmowali ich miejsca w gospodarce.

Jeśli jesteś człowiekiem płci męskiej, musisz odsłużyć pięć lat Teraz, kiedy Kantard znajduje się w rękach Glory'ego Mooncal-leda, jego najemników i miejscowych sojuszników, przebąkuje się już o sześciu latach. Co znaczy, że do domu wróci jeszcze mniej żołnierzy.

Przemawia przede mną gorzko, przyznaję. Przeżyłem moją piątkę i wróciłem do domu, ale byłem pierwszym z rodziny, któremu się to udało. I nikt mi nie podziękował za to, że wróciłem.

Do diabła z tym.

Dom Karłów obejmuje cztery ulice. Ulica z południa na północ przecina go przez sam środek. Od zachodu na wschód przechodzi odnoga kanału. Krążą plotki, że oddzielne części połączone są kanałami Moze. Na pewno łączą je mosty na wysokości czwarj tego piętra. Czwartego ludzkiego

pietra. Karły to karły. Dla nich byłoby to więcej pięt.

Budynki nie mają okien na zewnątrz, a drzwi bardzo niewiele. Ludzie rzadko dostają się do środka. Nie miałem pojęcia, czego się spodziewać. Wiedziałem tylko, że jeśli mnie wpuszczą i nie zechcą wypuścić, to już po mnie. Nawet mój kumpel Król nie przyjdzie mi z pomocą. Dom Karłów cieszy się wirtualną eksterytorialnością.

Obejrzałem sobie dokładnie całą budowlę, nim zapukałem. Nie spodobała mi się. Ale i tak zapukałem. Ktoś musi robić brudną robotę. Zazwyczaj jest to ktoś zbyt tępy, żeby się w porę wycofać.

Po rozsądnej chwili oczekiwania zapukałem jeszcze raz. Dziwnie im się nie spieszyło.

Zapukałem trzeci raz.

Drzwi gwałtownie otwarły się do wewnątrz.

- Dobrze! Dobrze! Nie musisz tak walić! Słyszałem już za pierwszym razem. - Włochaty kurdupel odziany w czerwień i zielony miał pewnie z sześćset lat i zapewne został odzwierciadleniem z powodu ujmującej osobowości.

- Nazywam się Garrett. Truposz przysłał mnie, żebym pogadał z Gnorstem Gnorstem.

- Niemożliwe. Gnorst to bardzo zajęty karzeł. Nie ma czasu zabawiać każdego Wysokiego, który się napatoczy. Odejdź.

Nie poruszyłem się, wsunąłem tylko stopę w szparę drzwi. Karzeł wykrzywił usta. Tak mi się zdawało. Pod wielką brodą, w sam raz na bocianie gniazda, widoczne były tylko oczy.

- Czego chcesz?

- Gnorsta. Jest coś winien Truposzowi.

Karzeł westchnął. Szczotka na jego gębie zafalowała w czymś w rodzaju pojednawczego uśmiechu. Stęknął, wydając odgłosy, które przy stole uznano by za szczyt chamstwa.

- Poinformuje Gnorsta.

Bam! Drzwi trzasnęły mi przed nosem, ledwie zdołałem uratować stopę. Zachichotałem. Te typy mogłyby mieć trochę więcej wyobraźni. To znaczy Gnorst Gnorst, syn Gnorsta, syna Gnorsta z Gnorstów? Do licha, przynajmniej nie mają kłopotów z zapamiętaniem, kto jest czyim krewnym. Jeśli Gnorst straci głos, będzie mógł odpowiedzieć na najbardziej osobiste pytanie jedynym pociągnięciem nosa.

Podejrzewam, że dla karłów jest to absolutnie logiczne.

Włochaty wrócił po pięciu minutach. Pewnie dla niego to rekordowy czas.

- Wejdz. Wejdz. - Albo to imię Truposza działało cud, albo brakowało im karmy dla udomowionych szcurów. Mogłem mieć tylko nadzieję, że gość o pełnym fantazji nazwisku znalazł się pod wrażeniem moich referencji. - Proszę iść za mną, sir. Proszę za mną. Proszę uważać na głowę, sir. Tu jest bardzo nisko.

Karzeł odzwierciadleny uczynił mi dodatkową grzeczność i odpalił od lampy pochodnię, która dawała światło tak słabe, że nie zmieniało to mojej sytuacji. Spojrzał przy tym na mnie takim wzrokiem, jakby chciał zaznaczyć, że to wyjątkowy zaszczyt, zarezerwowany jedynie dla gości królewskiej krwi.

Wnętrze Domu Karłów było jeszcze bardziej ciemne, ponure i cuchnące niż mieszkania czynszowe, gdzie w jednym pokoju gnieźdzą się cztery rodziny. Wentylacja po prostu nie istniała.

Weszliśmy na schody. Zeszliśmy po schodach. Mijaliśmy warsztaty, gdzie całe plutony karłów pracowały nad tyłoma zadaniami, ile było ich samych. Przez cały czas szedłem schylony, oświetlenie było skąpe, ale pochodnia mojego przewodnika wydobywała z mroku dość, by stwierdzić, że wszystko to są dumni rzemieślnicy. Każdy produkt, który wykonuje karzeł, jest najlepszy na miarę

jego możliwości. To znaczy w ogóle najlepszy. Sztylet, tarcza, napierśnik, zegar, zabawka mechaniczna, każdy z tych przedmiotów jest dziełem sztuki. Każdy jest jedyny w swoim rodzaju. Każdy z rzemieślników jest tu mistrzem.

Nim doszliśmy do połowy drogi, myślałem, że pęknie mi krzyż. Oddychałem przez usta, żeby nie wachać smrodu. Miałem nadzieję, że nikt nie poczuje się dotknięty, ale smród był niewiarygodny. Karły waliły, bębniły, szorowały i zgrzytały jak szalone, a wszystko tylko po to, żeby zachować wrażenie małych pracusiów. Założę się, że przewracały się na grzbiety i zaczynały drzemkę, gdy tylko zniknąłem z zasięgu wzroku.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XII

Karzeł o głupim imieniu wcale nie wyglądał głupio. Właściwie wyglądał po prostu włochato. Uznałem, że broda stanowi tu symbol statusu. Miał małe, czarne i paciorkowate oczka, wyzie?rające spośród szarych zarośli. Nie potrafiłbym powiedzieć, jak był ubrany pod tym listowiem. Na szczycie kupy włosów miał na?sadzony standardowy kapelusz karłów z bażancim piórkiem.

Gnorst, syn wielu Gnorstów, powitał mnie w cienistym ogró?dzie na szczycie jednego z budynków. Bardzo stylizowany, ar?tystycznie urządony ogródek, ze ścieżkami z białego żwiru, małutkimi drzewkami i drewnianymi mostkami nad jeziorkami pełnymi ryb. A wszystko w stylu kojarzonym zwykle z wyso?ko urodzonymi elfami. Masowałem sobie krzyż, wytrzeszczając oczy.

- To moje ulubione miejsce, panie Garrett - odezwał się Gnorst Mam bardzo nie-karle upodobania. Odniosłem taki sukces w świecie, że mogę sobie pozwolić na uleganie dziwactwom.

A wszystko to przed wstępem i wymianą grzeczności.

- Spokojne miejsce - przyznałem. - Jestem zdumiony, że znaj?duje się na szczycie budynku.

Mój przewodnik ulotnił się. Inna kula włosów przyniosła napoje. W tym również piwo. Może już o mnie słyszeli. Pociągnąłem tę?gi łyk.

- Robicie piwo jak wszystko inne.

Nie było aż tak dobre, ale musiałem być dyplomatą. Gnorst się wyraźnie ucieszył. Może przykładał rękę do jego warzenia.

Karły unikają alkoholu i narkotyków, dlatego nie mają punk?tu odniesienia, żeby je oceniać.

- Chciałbym mieć czas na spokojną pogawędkę, panie Garrett Chętnie usłyszałbym co nieco na temat przygód mojego starego przyjaciela, a pańskiego partnera.

- Mojego partnera? - Może i tak, ale lepiej nie mówić tego pu?blicznie. Roześmiałem się. - Zapomnę, że pan to powiedział. Nie chce, żeby zaczął sobie za dużo wyobrażać.

- Oczywiście. Czasami staję się uparty. Musze kiedyś do nie?go zajść. Tymczasem proszę mi wybaczyć zniecierpliwienie. Spie?szę się.

- Jasne, mnie też się spieszy.

- Wiec co pana tu przywiodło?

- Pomysł Truposza. Moja przyjaciółka została wczoraj ugodzo?na nożem. W skład gangu, który tego dokonał, wchodziły głów?nie karły.

Gnorst aż podskoczył.

- Karły? Uwikłane w zabójstwo?

- Próbę zabójstwa, jak do tej pory - wyjaśniłem.

- Dziwne. Bardzo dziwne. - Wyraźnie się odprężył. Pewnie uznał, że nikt z jego własnej bandy nie może być za to odpowie?dzialny. - Nie wiem, jak mógłbym panu pomóc.

- Truposz miał nadzieję, że podpowie mi pan, jak znaleźć tych gości. Społeczność karłów jest dość hermetyczna.

- Ta tutaj jest, owszem. Istnieją jednak karły, które nie stano?wią części naszej społeczności. Ale... należy zganić takie zacho?wanie. Pogłębia przesady i uprzedzenia. To źle wróży interesom. Wpytam moich ludzi, może ktoś ich zna... choć mam nadzie?je, że tak nie jest. Karzeł, który stał się zły... to naprawdę zły karzeł.

Zabrzmiało to jak przysłowie.

- Dziękuję za poświęcenie mi czasu - powiedziałem. - Nie wie?rzyłem, że to coś pomoże. Aha, jeszcze jedno. Słyszał pan może o czymś takim jak Księga Cieni? Albo Księga Snów?

Podskoczył, jakby go ktoś połechtał rozżarzoną pogrzeba?czem. Wytrzeszczał na mnie gały przez okrągłą minutę. Wcale nie przesadzam.

- Księga Snów? - wyskrzecztał.

- Zanim tu dotarłem, w moim domu zjawiała się pewna ko?bieta. Była bardzo podobna do mojej przyjaciółki, która dosta?ła nożem. Sądzę, że to ona miała być ofiarą. Chciała mnie za?trudnić. Usłyszałem długą historyjkę o wiedźmie zwanej Panią Węży i o Księdze Snów, którą jej ukradli. Ta księga miałaby się teraz znajdować w TunFaire.

- Proszę mi wybaczyć, panie Garrett. - Gnorst podreptał w stronę faceta, który przyniósł piwo, poszeptał z nim przez chwilę i wrócił do mnie. - Odwołałem kilka spotkań. Ma pan więcej czasu.

- Czyżby coś to panu mówiło?

- Krzyczy. Wrzeszczy wielkim głosem. Sądzę, że nie zna pan wczesnej historii karłów.

- Podobnie jak cała reszta. O co chodzi?

- Przywołał pan starożytnego potwora.

- Proszę to wyjaśnić. - Nim zacznie mi się kręcić w głowie.

- Księga Snów, częściej zwana Księgą Cieni, jest w legendach karłów doskonale znana. Dla pana musi być niewyobrażalnie od?ległą przeszłością. Pochodzi z czasów, kiedy na ziemi jeszcze nie było ludzi.

Zazwyczaj nawet wczorajsze śniadanie jest dla mnie niewy?obrażalnie odległą przeszłością, ale mu tego nie powiedziałem. Nie chciałem wyglądać na głupszego niż jestem. No, przestań się głupio uśmiechać, Garrett!

- W tamtych czasach czarownicy karłów byli bardzo potężni, panie Garrett. A niektórzy nawet bardzo mroczni. A najpotężniej?szy i najmroczniejszy z nich nazywał się Nooney Krombach. To on właśnie stworzył Księgę Cieni.

Chwała, udało mi się zachować powagę. Nooney Krombach. Upomniałem się w duchu, że dla nich nasze nazwiska są pewnie równie dziwaczne.

- Nooney Krombach?

- Tak. Oczywiście, być może to zmyślona postać. Podobnie jak wielu ludzkich świętych. Cóż, nie musiał istnieć, by mieć wpływ na swoją przyszłość.

- Rozumiem. - Rzeczywiście rozumiałem, ponieważ nie da?lej jak kilka miesięcy temu cudem wyszedłem z życiem ze spra?wy, w którą zamieszane było kilka religii TunFaire. To miasto jest przekłete, bo posiada milion kultów.

- Legenda Krombacha sprawiła, że wiele tysięcy niedoszłych panów świata próbowało stworzyć własną Księgę Cieni.

Nie ma sprawy, ale to jeszcze niczego nie wyjaśniało.

- Co to takiego?

- Księga czarów. Setka arkuszy mosiądzu skutych do grubo?ści papieru, oprawiona w wytłaczaną skórę mamuta. Każda stro?na zawiera czar o niezwykłej sile. A każdy z czarów został stwo?rzony i zapisany z typowo karlim dążeniem do doskonałości.

Zacząłem rozumieć, dlaczego tylu ludzi chciało dorwać się do tej księgi. Ale nie rozumiałem, dlaczego chcieli dorwać się do mnie. W moich szafach nie ma szkieletów. Gnorst wziął mój gry?mas za wyraz zadumy.

- To bardzo specjalistyczne czary, panie Garrett. Każde zaklę?cie, po jednym na stronę,

właściwie wykorzystane, pozwala właścicielowi księgi przyjąć inną postać i rolę. Innymi słowy, użytkownik księgi może przyjąć jedną ze stu osobowości, jedynie obracając odpowiednią stronę i odczytując zaklęcie. A zatem może stać się jednym z setki ludzi... lub innych istot, jakie zaklęcia te mogą opisywać.

- He? - Nie byłem tępym, ale tego zaczynało być już trochę za dużo. - To znaczy, że Pani Węży miała taką Księgę Cieni i ktoś jej ją ukradł?

- Tamta Księga Cieni wielkim kosztem została zniszczona przez starożytnych. Postaci, jakie zawierała, były złe. Jeśli pański gość mówił prawdę, tamta wiedźma postanowiła stworzyć swoją własną wersję Księgi Cieni. Co ona im mogła zaoferować?

- Komu? - Straciłem wątek.

- Tamtym karłom. Tym, na których się pan natknął. Nie można stworzyć Księgi Cieni bez karliczych rzemieślników. Ale żaden zdrowy na umyśle karzeł nie zgodzi się wziąć udziału w tak wielkiej potworności... Pana to jednak nie obchodzi.

I tak, i nie. Byłem na środku wzburzonego oceanu, bez steru, a wiatr i fale chłostały mnie po twarzy.

Zdenerwowany Gnorst zaczął krążyć po pomieszczeniu. Wyglądał jak kosmate jajo na krzywych, krótkich nóżkach.

- To bardzo źle, panie Garrett. Bardzo, bardzo źle - powtarzał to raz po raz. Nie odpowiedziałem. Wydawało mi się, że już powiedziałem wszystko, co było do powiedzenia. - To jest straszne. To jest groteskowe. To jest potworne. - Nagle przyszło mi do głowy, że chyba mu się to naprawdę nie spodobało. Obrócił się w moją stronę. - Czy ta kobieta powiedziała, że księga jest tutaj? Tu? tutaj, w TunFaire?

- Powiedziała, że tak jej się wydaje.

- Musimy ją odnaleźć i zniszczyć, zanim ktokolwiek z niej skorzysta. Czy powiedziała, że księga jest gotowa?

- Mówiła tylko, że została skradziona. Przez kogoś nazwiskiem Holme Blaine. To wszystko, Nie wnikała w szczegóły. Chciała mnie tylko wynająć, żebym ją znalazł.

- Niech pan tego nie robi. Niech pan się nawet nie zbliża. My się tym zajmiemy. Nie ma człowieka o dość czystym sercu, który by się oparł... - Już nie mówił do mnie. Ciągnął dalej, również nie do mnie. - To mnie zrujnuje. Cały plan produkcyjny pójdzie w diabły. Ale nie ma wyboru. - Nagle przypomniał sobie o mojej obecności, zakręcił się w miejscu. - Jest pan okrutnym człowiekiem, panie Garrett

- Słucham?

- Sprawił pan, że nie będziemy w stanie wykonać żadnej pracy, dopóki ta potworność jest na wolności. Cały nasz przemysł może się załamać.

Zaraz potem, jak księżyc wpadnie do morza. Przesadzał.

- Nie rozumiem.

- Proszę sobie wyobrazić, że jest pan do głębi zły. A potem proszę sobie wyobrazić, że może pan stać się jedną ze stu innych postaci, przy czym każda stworzona jest zgodnie z pańskimi wymaganiem. Jedna może być mistrzem zabójców. Druga niezwykle zręcznym złodziejem. Trzecia... czymkolwiek innym. Wilkołakiem. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Och. Chyba tak. - Zacząłem chwytać, ale jeszcze nie do końca. Możliwości, jakie sobie z początku wyobraziłem, były znacznie bardziej pikantne.

- Uzbrojona w kompletną księgę wiedźma stanie się całkowicie niezwyciężona. A jak długo uda jej się żyć w Księdze Cieni, będzie nieśmiertelna. Jeśli zginie osoba, w którą się aktualnie wcieliła,

wciąż będzie miała jeszcze do dyspozycji dziewięćdziesiąt dziewięć innych. Jeśli ją przygotuje właściwie. Plus własną. A wrażliwa pozostanie jedynie w swoim własnym ciele. Własnego ciała zaś będzie się starała unikać... właśnie z tego powodu.

Pojałem. No, prawie. Nie miało to wielkiego sensu, przynajmniej tak, jak on to przedstawił, ale w moim przypadku tak się dzieje ze wszystkim, co ma jakikolwiek związek z czarami.

- No to mamy spory problem, co?

- Największy, jeśli księga jest kompletna. Wątpię, żeby tak było. Nawet jednak niekompletna księga stanowi poważne zagrożenie. I prawie każdy, kto wie, co to jest, może jej użyć... Jeśli wiedźma była dość głupia, aby napisać ją w języku, który ktoś inny potrafi przeczytać. Nie musisz na to być czarownikiem. Po prostu znajdujesz stronicę z napisem „czarownik”, jeśli akurat tym chcesz się stać.

Zastanowiłem się nad tym. Poważnie. Im więcej myślałem, tym więcej widziałem możliwości i tym mniej podobała mi się księga. Uznałem, że to prawie tak samo jak potrójna epidemia Czarnej Śmierci.

- Myśli pan, że jest szansa, iż ona naprawdę istnieje? Że nie jest to tylko czyjś wymysł?

- Istnieje coś, za co ludzie gotowi są zabić. Ale po prostu nie może być kompletna - mówił takim tonem, jakby sam siebie chciał o tym przekonać. - Inaczej złodziej nie mógłby się do niej dostać. Ale jest niebezpieczna w każdym stanie. Trzeba ją zniszczyć, panie Garrett. Proszę natychmiast wracać do Truposza. Zmusić go, aby wysilił cały swój intelekt. Mój lud uczyni wszystko, co w jego mocy.

Miejsce Tinnie w tym zamieszaniu odpływało gdzieś w zapomnienie. Stawka była ogromna. Powinienem być! wiedzieć, że nie skończy się na prostym rozwiązaniu. Moje życie już takie jest

- Proszę mnie powiadomić, jeśli czegoś się pan dowie. Gnorst skinął głową. Ofiarował mi więcej czasu i informacji, niż planował. Teraz już chyba tylko czekał, aż sobie pójdę.

- Powinniśmy się pożegnać i zająć swoimi sprawami - mruknąłem.

- W istocie. Moje życie jest nieskończenie skomplikowane. - Dał znak. Staruszek odźwierny pojawił się jakby znikąd. Odprowadził mnie tą samą drogą, którą przyszliśmy. Chyba ktoś szedł przed nami, aby uprzedzić karły, bo wszyscy ciężko pracowali, kiedy ich mijaliśmy.

Nikt nie jest taki pracowity przez cały dzień.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XIII

Wyszedłem w ciepłe popołudnie, oparłem się o mur jakiś tuzin stóp od drzwi Domu Karłów i zadumałem nad własnym miejscem w tej wybuchowej układance. Księga Cieni. Naprawdę paskudna sprawa. Czy mam jakieś moralne zobowiązania? Gnorst i jego banda na pewno wiedzą, jak się za to zabrać.

Z każdą minutą lepiej rozumiałem niebezpieczeństwo. Księga mnie kusiała, a jednocześnie nie wiedziałem, do czego mogłaby mi się przydać. Bardzo łatwo stwierdzić, dlaczego Gnorst tak się jej bał.

Jeśli mam pozostać w sprawie, muszę sobie zabezpieczyć tyły. Na pewno jest w nią zaangażowanych więcej silnych graczy. Ja ich nie znam, ale oni znają mnie. Może już rzeczywiście nadśzedł czas, by zajrzeć do Domu Radości i sprawdzić, czy Morley ma wolny wieczór.

Ruszyłem w tamtą stronę. Nie spieszyłem się, usiłując dojść do ładu z własnymi myślami.

Nie dotarłem na miejsce.

Stała mi na drodze cała banda, ale wszyscy byli karłami, więc miałem większy zasięg. I choć raz w moim młodym życiu miałem dość rozumu, żeby wyjść w odpowiednim stroju. Naruszyłem trzy łby, czwartego karła wrzuciłem komuś przez okno. Właściciel wybiegł na zewnątrz, klnąc, wrzeszcząc, grożąc i kopiąc karła, którego już wcześniej powaliłem. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy dobrze się bawiliśmy.

Początkowo naprawdę nie chciałem nikogo uszkodzić. Myślałem, że ich odpędzę i ucieknę. Ale oni chyba mieli płacone od głowy. Postanowiłem działać z większym zaangażowaniem, boi moja „łamigłówa” jakoś do nich nie przemawiała.

A potem ktoś przyłożył mi domem w skroń. To na pewno był dom. Nikt wielkości karła nie byłby w stanie uderzyć tak mocno. Światło zgasło.

Zazwyczaj, kiedy dostanę w łeb, przychodzę do siebie stopniowo. Właściwie nie mam w tym wielkiego doświadczenia. Tym razem było szybciej. Może dlatego, że poczułem się podekscytowany tym, iż jeszcze żyję, choć jestem nieco poturbowany.

Podskakiwałem gębą w dół. Kocie łby miały mój nos o cal. Te włochate kurduple wlokły mnie gdzieś, zawiniętego w mokrą derkę. Skręciły w jakąś alejkę. Widocznie chciały się jeszcze ze mną pobawić, nim z kamieniami u nóg wrzucą mnie do wody.

Nie czułem się dobrze w tej pozycji. Jasne, że nie. Ale cóż, niewiele mogłem na to teraz poradzić. Nie mogłem nawet krzyknąć, bo w gardle miałem taką kulę, jakbym próbował połknąć kaktus.

Jednakże...

Banda zatrzymała się. Karły zaczęły trajkotać między sobą. Wyprężyłem się, uniosłem głowę i spojrzałem wokół. Zapulsowało mi w skroniach, oczy przysłoniła czerwona mgła. Kiedy przejrzałem, zobaczyłem człowieka, który blokował przejście przez alejkę. Karłów było chyba z ośmiu, ale ta liczba chyba wcale go nie onieśmielała.

Nazywał się Sadler. Był jednym z najlepszych chłoptasiów Chodo Contague'a, czysta śmierć na dwóch nogach. Karły trajkotały jak najęte. Za nami też ktoś był. Nie mogłem się obrócić na tyle, żeby zobaczyć, kto to taki, ale mogłem się domyślić. Tam, gdzie był Crask, w okolicy musiał się też kręcić

Sadler. I vice versa.

Trudno opisać tę parę. To wielkie chłopy, bez sumienia, podejrzną ci gardło bez namysłu tak, jak się rozdeptuje pluskwę. Może nawet jeszcze bardziej niedbale. Da się to wyczytać z ich oczu. Są przerażający. Pewnie jadają ług na śniadanie.

- Połóżcie go - rozkazał Sadler.

- I wynocha stąd - dodał Crask. Miał głos tak podobny do Sadlera, że ludzie z trudem ich rozróżniali.

Kurduple położyły mnie na ziemi, ale się nie wyniosły. Co oznaczało, że były spoza miasta. Może to zbiry, ale żaden zbir rodem z TunFaire nie sprzeczałby się nawet przez sekundę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie nadeptnie Chodo na odcisk, nie mając za plecami całej armii.

Sadler i Crask byli skuteczni, bezlitośni i nie mieli nawet cień ducha sportu. Nie sprzecali się, nie negocjowali, nie rozmawiali. Zabijali karły tak długo, aż ci, którzy jeszcze żyli, stwierdzili, że pora wiać. Moja para nawet nie zamierzała ich ścigać. Dostali to, czego szukali, to znaczy uszkodzonego prywatnego detektywa nazwiskiem Garrett.

Crask chwycił krawędź derki i wyturlał mnie z niej.

- W dziwnych kręgach się obracasz, Garrett - zauważył Sadler.

- Nie mój pomysł. Dobrze, że się nawinęliście, chłopcy - powiedziałem, wiedząc, że wcale się nie nawinęli. Gdyby ich nie przysłano, pewnie nawet nie kiwnęliby palcem.

- Może zaraz przestaniesz tak uważać - to Crask. - Chodo chciał, żebyśmy zadali ci parę pytań.

- Jak mnie znaleźliście?

- Twój człowiek powiedział, że wybrałeś się do Domu Karłów. - Dean sygnął. Zrobiłby to w każdej sytuacji, nawet mając Truposza za sobą. Nie był aż taki dzielny. - Zobaczyliśmy, jak oberwałś. Musisz się nauczyć panować nad językiem, Garrett.

Nie przypominałem sobie, żebym coś mówił, ale może tak było. Pewnie sam się o to prosiłem.

- Nie chcemy cię stracić - odezwał się Sadler. To znaczy, że chciał tylko powiedzieć, iż nie chcą mnie ukatrupić, dopóki Chodo sam nie zadecyduje, że świat bez mojej osoby będzie o wiele przyjemniejszym miejscem. Sadler czeka na ten dzień z takim utęsknieniem, jak atleta czeka na mistrzostwa Karenty.

- I tak dzięki. Nawet, jeśli nie mieliście takiego zamiaru. Crask pomógł mi wstać. Zawirowało mi w głowie. Zabolało jak jasna cholera. Poboli tak przez jakiś czas. - Może już jesteśmy kwita.

Sadler wzruszył ramionami. Ależ on wielki. Dwa cale wyższy ode mnie, piętnaście funtów cięższy i ani uncji tłuszczu pod skórą. Troszkę łysieje. Chyba ma koło czterdziestki. Prawdziwa małpa. Podwójnie przerażająca małpa, bo inteligentna.

Crask został odlany z tej samej formy i w tej samej fabryce, jakby wyszedł z lustra, w którym Sadler akurat zalepiał sobie na cięcia po goleniu.

Sadler wzruszył ramionami, ponieważ nie miał zamiaru odzywać się w imieniu kacyka. Chodo wymyślił sobie, że jest mi coś winien, ponieważ w kilku moich starszych sprawach bardzo mu pomogłem. Właściwie raz nawet uratowałem mu życie. Wołałbym tego nie robić. Świat byłby piękniejszy bez Chodo Contague'a. Ale alternatywa była jeszcze gorsza.

- Chodźcie, chłopcy, przejdziemy się - zaproponował Crask. Podszedł do mnie od lewej strony i ujął za łokieć. Sadler stanął po mojej prawicy. Zamierzali zadać mi kilka pytań, na które lepiej, abym udzielił zadowolającej odpowiedzi. Albo będę bardzo nieszczęśliwy.

I tak wygląda moje życie w pigułce. Radosne przeskakiwanie z rześatego deszczu pod wielką rynną.

W tej chwili jednak za żadne skarby świata nie mogłem wykombinować, o co im chodziło.

- Co się stało?

- Nie w tym rzecz, co się stało, Garrett, ale komu. Chodo troszkę się zdenerwował, kiedy wyszło, że Wiewiór nie żyje.

Stałem jak wryty.

- Wiewiór? Kiedy to się stało? - Omal nie upadłem na twarz, bo oni szli dalej.

- Ty nam powiedz, Garrett Po to tu jesteśmy. Chodo wysłał go, żeby ci pomógł. W ramach rewanzu, ponieważ jest ci coś winien. A już za chwilę miejscowy człowiek-szczur znalazł go w alejce z bebechami na wierzchu. Nie było z niego wielkiego pożytku, ale Chodo uważał, że należy do rodziny.

Słyszycie? Zawsze Chodo, nigdy pan Contague? Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. Teraz jednak nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Musiałem gadać:

- Przyszła do mnie kobieta. Przedstawiła się jako Winger. Nie?tutejsza. W biurze rzuciła się na mnie z nożem. Truposz ją za?mroził. - Pozwoliłem sobie na uśmiezek, kiedy Crask i Sadler równocześnie podskoczyli. Truposz jest jedyną rzeczą na świecie, która ich rzuca na kolana. Jest siłą, z którą nie są w stanie sobie poradzić, ponieważ nie mogą go zabić. - Chciałem wstąpić do Morleya Dotesa, żeby za nią połąził, kiedy już ją uwolnię, ale nawinał się Wiewiór i zgłosił się na ochotnika. Powie?działem, żeby wywęszył, dokąd poszła i z kim się spotkała. Truposz twierdzi, że przysłał ją ktoś nazwiskiem Lubbock.

- Znasz jakiegoś Lubbocka?

- Nie. Tej kobiety też nigdy przedtem nie widziałem. Napraw?dę była z prowincji.

Rozstąpili się. Tym razem może mi popuszczą, pozwolą na odrobinę cienia wątpliwości.

- Czy to ma związek z napadem na twoją kobietę? - zapytał Sadler.

- Może. Ta Winger szukała jakiejś skradzionej książki. Nie wiem, ale wydawało jej się, że to ja powinienem ją mieć. Nic nie powiedziała i Truposz też nie był w stanie nic z niej wyciągnąć. Później jednak pojawiła się jeszcze jedna kobieta. Chciała mnie wynająć, żebym znalazł gościa nazwiskiem Holme Blaine, który ukradł książkę jej szefowi. A on cholernie chce ją mieć z powro?tem. Była ruda, w wieku i budowy podobnej do Tinnie. Może ktoś wziął Tinnie za nią?

Zamyślili się.

- To się nie trzyma kupy, Garrett - zauważył Crask. To zna?czyło, że posądzają mnie o zatajanie faktów.

- Faktycznie, cholernie się nie trzyma. Może coś się wyjaśni, jeśli dorwę tego Holme'a Blaine'a?

Odchrząknęli. Spędzili ze sobą zbyt wiele czasu. Byli niczym te stare pary małżeńskie, które z latami stają się coraz bardziej podobne do siebie.

- A po co odwiedzałeś karłów? - zapytał Crask.

- Bo karły siedzą w tym po uszy.

- Pieprzysz. A ci twoi kumple? Przygadałeś coś komuś w Forcie Karłów?

- To inny gang. Spoza miasta.

- Tak mi się też zdawało. - Ależ są pewni swojej reputacji.

- Jakim cudem ty się zawsze wpakujesz w coś dziwnego Garrett? - zapytał Sadler.

- Gdybym wiedział, tobym się nie pakował. Ale coś zawsze mnie znajdzie. Pokażecie mi, gdzie załatwili Wiewióra?

- No.

Wreszcie zacząłem iść w dobrym kierunku. Byliśmy teraz na ulicy, w samym środku gromady świadków. Stałem się nieco mniej nerwowy. Nie chodzi o to, że ta parka miałaby jakieś opo?ry, żeby mnie załatwić w samo południe i na oczach całego mia?sta, gdyby uznali, że mi się należy. Połowę

niewyjaśnionych mordów w TunFaire można przypisać chłopcom kacyka. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś ich z tego rozliczał.

Tajemnicą sukcesu Chodo jest to, że nie próbuje wdrzeć się na wyżyny zajmowane przez władców. Działa na swoim własnym; szczeblu drabiny społecznej i bardziej zagrażają mu ludzie z jego sfery niż władcy i prawo.

Sprawiedliwość równa dla wszystkich. Jak długo to ty ją sta?nowisz.

Nim dotarliśmy do miejsca, gdzie oberwał Wiewiór, sprawili, że w duchu cieszyłem się z moich porannych biegów. To był strasz?ny kawał drogi, aż do podnóży Góry, tam gdzie nasi władcy roz?panoszyli się na wyżynach. Wyczułem, że wędrownica ma się ku końcowi, kiedy weszliśmy w uliczkę, w której paru niepopraw?nych włóczyło się tu i tam, podpierając mury, ale poza tym nie było żywego ducha.

Wiewiór otrzymał swoją nagrodę w alejce, która stromo schodziła w dół zbocza. Weszliśmy w nią od wyżej położonej strony.

- To tutaj - powiedział Sadler, wskazując około piętnaście stóp dalej, na cień. Tu słońce zaglądało tylko na krótką chwile?nę, około południa. — Nic nie widać po ciemku, ale wszędzie jest pełno krwi. Upadł dopiero tam, dalej. Chyba próbował uciekać. Chodź.

Ciało leżało o dziesięć stóp od dolnego wylotu alei. Ktoś prze?ciał go od ucha, poprzez gardło i pierś, aż po pępek. Ktoś, kto miał ostrą broń i był bardzo silny, bo ciecie sięgało aż do kości.

- Ostatni raz widziałem taką ranę, kiedy byłem w Korpusie.

- Aha - mruknął Crask. - Dwuręczna szabla pojedynkowa? Sadler pokręcił głową.

- Z czymś tak długim nie byłby w stanie uciec. Powiedział?bym, że to tylko kwestia siły i ostrza.

Crask przykucnął.

- Być może. Ale jak można podejść na tyle blisko, żeby za?dać taki cios legalnym nożem?

Pograżyli się w technicznej dyskusji. Artyści zbrodni wymie?niający tajemnice swoich warsztatów. Przykucnąłem, żeby dokład?nie obejrzeć ciało.

Niektórzy z nas nigdy nie przyzwyczajają się do gwałtownej śmierci. Napatrzyłem się na nią w Marines, ale nie traciłem czu?cia. Od tamtej pory też niejedno widziałem, ale i tak wciąż nie mam odcisków w tych miejscach, gdzie mają je Sadler i Crask. Może to dziedziczne. Wiewiór prawdopodobnie zasłużył na to, co dostał, ale i tak było mi go żal.

- Nie został obrabowany ani nic z tych rzeczy - zauważyłem.

- Po prostu dostał - odparł Crask. - Ktoś chciał się go pozbyć.

- A taki był słodziutki. Co za świętokradztwo.

Jedyną rzeczą, jakiej brakuje tym chłopcom, jest poczucie hu?moru. Żartem w ich stylu byłoby obiecać facetowi, że się go puś?ci wolno, jeśli przespaceruje się po powierzchni wody w ołowia?nych butach. Mój dowcip po prostu do nich nie dotarł.

- Chodo nie podoba się, że Wiewiór oberwał - wyjaśnił Sa?dler. - Może nie był nikim szczególnym, ale należał do rodziny. Chodo chce wiedzieć, kto i dlaczego.

- Hej, chłopaki, używacie gołębi pocztowych czy co? - Cho?do mieszka tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, na północy mia?sta. Nie mieli tyle czasu, żeby się przelecieć tam i z powrotem kilka razy, jak próbowali mi to dać do zrozumienia.

Zignorowali mnie. Zawsze się tak zachowują, kiedy chodzi o tajemnicę zawodową... albo coś, czego nie powinienem się do?wiedzieć.

- Widzisz tu coś, czego myśmy nie znaleźli? - zapytał Crask. Pokręciłem głową. Mogłem jedynie stwierdzić, że Wiewiór już sobie raczej nie potańczy.

- Ale facet użył obu rąk - zauważył Sadler. - W ten sposób wkładasz więcej siły w cios.

- Będziemy cię mieli na oku, Garrett - dodał Crask. - Coś mi się tu nie zgadza. Może nie wszystko nam powiedziałaś.

No pewnie, że nie, do diaska. Są rzeczy, których Chodo abso?lutnie nie musi wiedzieć. Wzruszyłem ramionami.

- Jak dowiem się, kto to zrobił, to wam powiem pierwszym.

- Weź sobie to do serca, Garrett. Weź to ze sobą do łóżka. Wsta?waj z tym co rano. Chodo jest wkurzony. Ktoś musi za to zapła?cić. - Odwrócił się do Sadlera i zaczęli znowu swoje wywody, czy zabójca uderzał od dołu, czy od góry. Już mnie nie widzieli. Zo?stałem zignorowany. Odprawiony. Ostrzeżony i odprawiony. Cho?do był mi coś winien, ale nie życie jednego ze swych ludzi. Mo?że nawet wyrównałem z nim rachunki bardziej, niż sam sądziłem.

Jeszcze raz obszukałem Wiewióra, ale wciąż nie miał ochoty dzielić się ze mną sekretami. W końcu sobie poszedłem.

W drodze do domu ujrzałem coś, czego jeszcze nigdy w ży?ciu nie widziałem na ulicach TunFaire. Rodzinę centaurów, drep?cząca sobie środkiem ulicy. Walki w Kantardzie osiągnęły chyba apogeum szaleństwa, jeśli nawet aborygeni stamtąd uciekali. Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby centaury zapuszczały się tak da?leko na północ.

Gloory Mooncalled i jego świeżo wykluta republika kantardzka muszą przechodzić teraz prawdziwe piekło. Wkrótce szlag go trafi i świat wróci do normalności, a Karentyńczycy będą jak za?wsze zabijać Venagetich w niekończącej się walce o kontrolę nad kopalniami srebra.

Muszę powiedzieć o tych centaurach Truposzowi. Glory Moon?called to jego hobby. Najemnik, który stał się samozwańczym księciem, przetrwał dłużej, niż tego oczekiwał mój odwieczny przyjaciel domu.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XIV

W drodze do domu zauważyłem, że choć wciąż było za wcześnie, aby morCartha zaczęły swoje dzikie harce, nad domem fruwało mnóstwo skrzydlatych klientów. Tak jakby wszystkie wróżki i rusalki w mieście wyrwały się w niebo, z niewielką do?mieszką innych gatunków. Omal nie rozdeptałem grupki gnomów, z otwartymi gębami obserwujących ich akrobacje. Gnomy wrze?szczały i klęły, grożąc zagładą moich łydek. Największy z nich nie sięgał mi nawet do kolan. Wstrętni, mali wszarze.

Stałem i gapiłem się, a one odmaszerowały wielkimi krokami, dumne, że nakrzyczały na jednego z dużych. A ja nie miałem si?ły zbluzgać ich jak należy, bo osłupiałem. Rzadko widuje się gno?my, a już na pewno nie w mieście. Wyglądają jak miniaturowe kar?ły, które czasem znajdują chwilę, żeby się ogolić.

- Co dalej? - wymamrotałem. - Nieważne! Nie chcę wiedzieć! - To tak na wszelki wypadek, gdyby mój anioł stróż nagle ze?chciał spełnić każde moje życzenie.

Zdałem relację Truposzowi. Wyglądał na bardziej zainteresowanego gnomami i centaurami niż tym, co mnie się przytra?fiło. Przygryzłem jęzor, kiedy zadumał się nad nowinami swego kumpla Gnorsta, a potem nad tym, co przydarzyło się Wiewiórowi. Wreszcie zapytał: Dlaczego uważasz, że nie zamordowała go ta kobieta, Winger?

- Spodobała mi się. Ale nie tak, jak myślisz. Miała betonowe jaja do samej ziemi.

Masz zupełnie pomieszane priorytety. Wspomniałeś jej imię panom Craskowi i Sadlerowi.

- Rzeczywiście. Wtedy nie myślałem zbyt jasno. Popełniłem błąd, ale mam coś na swoje usprawiedliwienie. - Znajdą ją i za?czną zadawać pytania. Trudne pytania. A może zrobiła coś idio?tycznego i galopem ruszyła do rodzinnej wioski? I to nie później niż przed przedwczoraj?

Nie wspomniałeś im o księdze?

- Byłem cholernie obolały, ale trochę udało mi się pomyśleć. Uznałem, że ten szczegół powinienem zachować dla siebie...

Mądra decyzja, choć z głupich powodów. Weź pod uwagę po?tęgę księgi, a potem co by się stało, gdyby taka potęga znalazła się w łapach Chodo Contague'a.

Zrobiłem to. Może zrobiłem to już wcześniej, podświadomie.

- Niezbyt dobry plan.

Dla wszystkich, z wyjątkiem Chodo Contague 'a. Coś ci cho?dzi po głowie. To może nie być takie trudne, jak ci się wydaje.

- Co? - Znowu mnie dopadł zniecacka.

Znalezienie naocznego świadka zgonu Wiewióra.

- Żartujesz sobie. Chodo maczał w tym palce. Pozaszywają so?bie usta.

Nie działa na wszystkich tak samo.

- Nie było cię tam, o Nieustraszony. Każdy, na kogo tak nie działa, zostaje pogrzebany.

Albo wkrótce zostanie.

Zauważyłeś znaczny wzrost aktywności w powietrzu? Jak często wróżki i rusalki zwracają na siebie taką uwagę? Czy czę?ściej niż dzieci i zwierzęta? Zazwyczaj wszystko pozostaje w tle, chyba że wymusi na tobie uwagę. Nie jesteś jedyny w ta?kim postrzeganiu świata. Morderca tego Wiewióra

zapewne pilnował, by nie pozostawić świadków, ale nie musiał patrzeć w górę.

- Jest to jakiś pomysł. Jeden z bardziej nieprawdopodobnych, jakie znam, ale zawsze pomysł. I jak miałbym zmusić takiego świadka do mówienia?

Wrzucić w społeczność wróżkę i ruszać informację, że zapłaćcisz każdemu, kto ci opowie, co się wtedy zdarzyło w tamtej alejce. Te istoty nie boją się Chodo Contague'a. Raczej go nienawidzą. Na pewno mu nie pomogą. Jeśli i on na to wpadnie, będą grały jego ludziom na nosie, bo mogą latać szybciej, niż biegają jego zbiry.

Znowu muszę dymać wokół miasta. On chyba specjalnie wymyśla takie rzeczy, żeby pogonić mi kota.

Ale może i warto spróbować. Gdyby udało mi się przekazać taki komunikat. Z tamtym ludkiem trudno się porozumieć. Mówią po karentyńsku, ale to nie zawsze ten sam język, którym ja się posługuję. Musisz być ostrożny w tym, co mówisz, i precyzyjny w sposobie, w jaki to mówisz. Żadnych dwuznaczności. Jeśli coś takiego ci się wyniknie, to w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto zrozumieją cię niewłaściwie. Sądzę, że robią to umyślnie, żeby dać nam w kość.

Nigdy o tym nie myślałem, ale są istoty, które nie muszą się bać Chodo. Może mi się przydać paru takich przyjaciół. Wprawdzie pewne jest, jak to, że słońce wstaje na wschodzie, iż przyjdzie taki dzień, kiedy ja i Chodo stanimy twarzą w twarz przeciwko sobie, ale ja bardzo tego nie chcę. Przypuszczam, że on także nie, ale wiemy obaj, że nasze charaktery czynią to zdarzenie nieuniknionym.

- Crask i Sadler próbowali mnie przestraszyć - dodałem.

Więcej zrobili dobrego niż szkody.

-Już to słyszałem. Te karły nie wlokły mnie na imprezę...

Najwyższy czas pomyśleć o kimś do pomocy.

- Aha. - Był cholernie praktyczny. - Miałem właściwie zamiar trzymać tego małego zjadacza liści z dala od sprawy, ale nie jestem w najlepszej sytuacji, kiedy stosunek sił wynosi osiem do jednego.

Wyczułem w jego słowach jakby cień rozbawienia.

Niekoniecznie. Te grollowe bliźniaki, Doris i Marsha, są dobrzy także jako goryle.

- Mają tendencję do wyróżniania się z tłumu.

Grolle to częściowo trolle, a częściowo olbrzymy, wspomnieli bracia zaś mają po dwadzieścia stóp wzrostu i są zieloni na głowie. I nie mówią po karentyńsku. Jedyne, który mówi po grollowsku, a którego znam, to Morley Dotes. I tak będę musiał j go zwerbować.

- Czemu nie mogę się z tym przespać?

Bo jeśli teraz uśniesz, możesz stracić szansę na przyjemność snu przez następnych parę tysięcy nocy. Nie zabije cię dymanie w kółko po mieście, tylko jego brak, Garrett.

- A kto dzisiaj przeszedł dwadzieścia mil? A kto siedział w domu, kontemplując własny geniusz?

Dumałem nad tajemnicą Glory'ego Mooncalleda.

- To nam cholernie pomoże. - Jakże stary Chichotek puszy się i nadyma, kiedy uda mu się przewidzieć, co teraz zrobi najeźnik. A jak się wścieka i jęczy, kiedy łotrzykowi uda się go zaśkoczyć.

Wstydzę się do tego przyznać, ale jakby trochę mi brakowało tamtych dni w zeszłym roku, kiedy Mooncalled był po naszej stronie, przyprawiał Venagetic o ataki serca i sprawiał, że nasi generałowie wyglądali przy nim jak przygłupy.

Może powinienem się bardziej martwić. Mooncalled być może jest najważniejszym z żyjących ludzi. Los jego republiki ukształtuje losy Karenty i Venagety. Jeśli oba królestwa nie są w stanie go

zniszczyć i odzyskać dostępu do kopalń srebra, które od lat stanowią przyczynę wojny, czarownicy po obu stronach wkrótce stracą prace. Srebro to paliwo, które napędza magię.

Strategia Mooncalleda polega na przeczekaniu, aż czarownicy skapitulują. Nie boi się naszych generałów. Większość z nich bez lupy i lunety nie potrafi znaleźć nawet własnego tyłka. Otrzymali swoje stanowiska dzięki znakomitym powiązaniom rodzimym, a nie kompetencjom. Mooncalled może i nie jest geniuszem, ale umie trafić sobie do tyłka obydwoma rękami, i to w ciemności, co całkowicie wystarczy, kiedy ma do czynienia z generałami Karenty lub wojennymi lordami Venagetich.

- Podejrzewam, że przeczuwasz coś, co się tam wkrótce stanie - zauważyłem.

Być może. A nowiny mogą być bardzo niemile dla tych, którzy w buncie Mooncalleda upatrują nadziei. Karenta i Venageta wytrzymały nacisk i nie wpadły na ślepo w jego pułapki. A poparcie ze strony aborygenów też wydaje się kurczyć. Wspomniałeś o napotkaniu rodziny centaurów na ulicy. Kilka miesięcy temu centaury były najbardziej zagorzałymi zwolennikami Mooncalleda, przysięgającymi walczyć do ostatniego przedstawiciela gatunku, gdyby taka miała być cena zakończenia obcej dominacji w Kantardzie.

Nie pomyślałem o tym, jakie są implikacje polityczne obecności centaurów na ulicach TunFaire. Czy to oznacza negocjację zdrady? Zwykle zamykam uszy na takie spekulacje, bo wierzę święcie, romantycznie i beznadziejnie, że jeśli będę z zapalem uniękał polityków, to może i oni będą mnie ignorować. Można powiedzieć, że dostałem nauczkę, przez pięć lat walcząc i zabijając ludzi w imieniu polityków.

Nie mówcie tego nikomu z Góry, ale ja - tak samo jak niemal każdy, kto tam nie mieszka - w głębi ducha trzymałem kciuki za Glory'ego Mooncalleda. Gdyby rzeczywiście udało mu się to niemożliwe i gdyby wytrwał, załamałby klasy rządzące obu największych królestw świata. W przypadku Karenty oznaczałoby to rozbięcie państwa i albo powrót imperialnych z wygnania, albo coś całkiem nowego i jedyne w swoim rodzaju, bo zbudowanego na mieszaninie ras.

Dość. Cokolwiek zdarzy się na Górze albo w Kantardzie, to nie zmieni mojego życia. Zawsze znajdzie się paru takich, których trzeba będzie wyłapać.

Lepiej osiodłaj konia i ruszaj.

- Faj! Nawet nie wspominaj mi o tych potworach! - Nienawidzę koni, a one mnie. Uważam, że są spore szanse na to, iż mnie dopadną, zanim uczyni to kacyk. - Już mnie nie ma.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XV

Dom Radości Morleya Dotesa znajduje się niedaleko od mojego domu, ale zanim tam dojdiesz, zastanawiasz się, czy przypadkiem przez jakąś dziurę nie wleciałeś do innego świata. W moim sąsiedztwie - choć może nie najlepszym - nie-ludzie i czarne charaktery są głównie tranzytem. U Morleya - w Strefie Bezpieczeństwa - kręcą się przez cały czas.

TunFaire to miasto ludzi, ale prawie wszystkie inne gatunki zdołały tu sobie wydzielić jakiś zakątek. Nieraz jest to cała dzielnica, jak Miasteczko Wilkołaków lub Strumień Ludzi-Szczurów. Niektórzy tylko wynajmują jakiś kąt. Wprawdzie pojedyncze osobniki mogą mieszkać wszędzie, ale zawsze jest gdzieś jakaś enklawa, której się zażarcie broni. Krąży tu wiele przesądów, jest wiele tarć, a są i takie rasy, przy których nasza ludzka skłonność do szufladkowania wydaje się niegroźnym kaprysem. Dlatego pojawiła się Strefa Bezpieczeństwa - teren, który wykształcił się samorzutnie, gdzie rasy mogą się ze sobą mieszać względnie spokojnie, ponieważ interes jest interesem.

Dom Morleya znajduje się w samym sercu tej strefy, która wokół niego zdaje się zamierać. Zawsze było to ulubione miejsce wszelkiego rodzaju mętów, nawet wówczas, kiedy jeszcze nie było mowy o strefie. Morley stał się panem na włościach. Słyszałem nawet, że stał się swego rodzaju arbitrem i rozsądza między-rasowe sprzeczki.

Użyteczne, ale lepiej nie przesadzać z ambicjami. Chodo mógłby się poczuć zagrożony.

Chodo toleruje teraz Morleya tylko dlatego, że ma wobec niego dług. Morley załatwił jego poprzednika i przygotował mu wakat na samym szczycie. Chodo pozostaje jednak ostrożny, może nawet nerwowy. To, co Morley może zrobić raz, może zrobić i po raz drugi. A nie ma drugiego tak niezawodnego mordercy jak Morley Dotes.

Zabijanie ludzi jest prawdziwą profesją Morleya. Dom Radości był z początku przykrywką dla tej działalności. Nigdy nie spodziewał się, że taka restauracja może odnieść sukces, i prawdopodobnie nawet tego nie chciał.

I tak właśnie fata konspirują, by kształtować nasze życie.

Kiedy zbliżyłem się do domu Morleya, zapadał zmierzch i pierwsze morCartha wyleciały już na rekonesans.

- Dobrze - mamrotałem rozpaczliwie, skręcając w uliczkę wiodącą dookoła Domu Radości. A potem, kiedy para przerośniętych zabijaków otoczyła mnie z obu stron: - Aha, cześć. Jakże świat was traktuje, chłopcy?

Obaj zmarszczyli brwi w straszliwym wysiłku, usiłując zgłębić zbyt trudny dla nich problem. Wtedy z cienia wychynął Sadler i uwolnił ich od tego przerażającego i niezwykłego dla nich zadania.

- W samą porę, Garrett - oznajmił Sadler. - Chodo chce się z tobą widzieć.

Musieli widzieć, że nadchodzę.

- Taak, właśnie to podejrzewałem.

Przed domem Morleya stał potężny, czarny powóz. Znałem go lepiej, niż bym chciał. Jeździłem nim już. Należał do dobrze znanego filantropa, Chodo Contague'a.

- On tu jest? Chodo? - Przecież ten facet nigdy nie opuszcza swego pałacu.

Pojawił się Crask. Miałem wokół siebie chłopców, którzy nie tylko zamordowaliby własne matki bez zmrużenia oka, ale jeszcze w dzień później wspominaliby to bez większych wyrzutów sumienia,

niż gdyby rozdeptali karalucha. Źli, źli ludzie, ten Crask i Sadler. Wolałbym tego nie robić, ale za każdym razem, kiedy się z nimi spotykam, marnuję połowę mojego małego rozumku na zamartwianie się, jacy są strasznie źli.

Cieszę się, że nie należą do seryjnej produkcji.

- Chodo chce porozmawiać, Garrett - oznajmił Crask.

- Też mam takie wrażenie - ostrożnie używałem języka. Nie chciałem wspominać, że Sadler już mi to powiedział.

- Jest w powozie.

Nie mogli tam siedzieć i czekać na mnie, to nie w ich stylu. Prawdopodobnie mieli interes do Morleya, a ja się po prostu na?winąłem pod rękę.

Podszedłem do powozu, otwarłem drzwiczki, wciągnąłem do środka swoje zwłoki i usiadłem naprzeciwko kacyka.

Kiedy po raz pierwszy spojrzysz na Chodo, zaczynasz się za?stanawiać, o co ten cały rwetes. Wszyscy boją się tego starego truchła? Przecież on jest w tak kiepskiej formie, że całe swoje życie spędza w fotelu na kołach. Zaledwie jest w stanie unieść głowę, a i to nie na długo, chyba że jest wściekły. Jego skóra wygląda jak pergamin i wydaje się, że mógłbyś przez nią pa?trzeć na wylot. Kacyk sprawia wrażenie, jakby umarł już pięć lat temu.

A potem nagle zbiera siły i spogląda ci w oczy - wtedy wi?dzisz wyzierającą z nich bestię. Spotkałem się z nim wiele razy, i jednak ten pierwszy kontakt wzrokowy zawsze jest dla mnie szokiem. Facet, który siedzi w środku tej góry zepsutego miecha, sprawia, że Crask i Sadler wydają się przy nim dobroczyńcami-wolontariuszami.

Wejdiesz Chodo w drogę, dostaniesz po łbie. Nie musi być baleriną. Ma Craska i Sadlera. Ci dwaj są wobec niego bardziej lojalni niż synowie wobec ojca. Ta lojalność w półświatku jest czymś wyjątkowym i niezwykłym. Ciekawe, co on na nich ma. Ma zatem tę parę oraz pluton poruczników, ci zaś z kolei mają wojsko na ulicach. A tamci swoich informatorów, sprzymierzeńców i kołesiów. Jeśli Chodo zmarszczy brwi lub się skrzywi, ktoś może umrzeć tragiczną i przerażająco nagłą śmiercią.

- Panie Garrett. - Miał dość siły, żeby przechylić głowę. Wi?docznie to był jego dobry dzień. Długie kosmyki białych wło?sów zafalowały w przeciagu.

- Pan Contague. - Ja osobiście nazywam go panem Contague'em. - Rozważałem, czy nie zobaczyć się z panem.

Ale niezbyt poważnie. Mieszka za daleko, a poza tym to po?zbawione smaku i gustu mauzoleum (kwaśne winogrona, co, Gar?rett?), które sprawia, że domy naszych władców wyglądają jak psie budy. Zbrodnia popłaca. A Chodo płaci naprawdę dobrze.

- Tak sobie właśnie pomyślałem, kiedy Dotes się ze mną skon?tutował.

Dzięki serdeczne, Morley. Znowu o mnie pomyślałeś.

- Wiem, jak się człowiek czuje w takiej sytuacji, panie Gar?rett. Sam kiedyś straciłem kobietę, przez jednego z moich rywa?li. Człowiek staje się niecierpliwy, chce przywrócić równowa?gę. Pomyślałem sobie, że zaoszczędzę czasu, jeśli przyjadę do miasta.

Co? Czyżby nie wiedział, że Tinnie się wyliże? A może wie coś, czego ja nie wiem? Było to dość prawdopodobne, ponieważ każdy zdaje się wiedzieć coś, czego ja nie wiem - ale nie o Tin?nie, to niemożliwe.

- Doceniam to bardziej, niż pan sądzi.

Miał kiedyś dziewczynę. Interesujące. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że mógłby być kimś innym niż tym, czym jest.

- Jest pan zaskoczony. Szkoda, że tak panu zależy na zachowaniu niezależności.

To problem, który nas dzieli. Chcę, żeby cały świat wiedział, iż chcę być sam sobie panem. A on miałby ochotę zagarnąć mnie pod siebie.

- Podziwiam pana, Garrett - odezwał się po chwili. - Interesująco i miło byłoby kiedyś usiąść i pogadać o tym, co mogło być i co było. Tak. Nawet ja kiedyś byłem młody. Nawet ja kiedyś byłem zakochany. Rozważałem odejście z tego świata, bo kobieta, którą kochałem, doprowadziła mnie do takiej rozpacz. Ale ona umarła. Tak samo jak pańska. Doskonale pamiętam ten ból. Przez jakiś czas moja dusza była równie okaleczona, jak teraz ciało. Jeśli mogę pomóc, uczynię to na pewno.

Po raz pierwszy zacząłem podejrzewać, że pomiędzy mną a Chodo rozgrywa się coś, co nie ma nic wspólnego z antypatiami lub okazjonalnie wyświadczonymi przysługami. Może uznawał mnie za jakąś więź, dzięki której byłby w stanie wyjść z cienia do świata, w którym panują „wyższe” standardy. I być może jego ciągłe próby skuszenia i zwabienia mnie do swego obozu mają coś wspólnego z opanowaniem tej więzi ku własnej korzyści.

Hopla! Czas na przywrócenie porządku, Garrett.

- Jasne. Dzięki. Tyle tylko że Tinnie nie umarła, wie pan? Zo?stała ranna, ale mówią, że się wyliże. Wiewiór miał panu powie?dzieć, ale...

Jego twarz pociemniała.

- Tak. Wiewiór. Panowie Crask i Sadler powiedzieli mi, co od pana usłyszeli. Niewiele z tego zrozumiałem.

- Ja też nie. Ale cały świat jakby nagle oszalał. W nocy mor-Cartha walczą jak wściekle, mamuty i tygrysy szablozębe pod?chodzą pod mury, gromojaszczury podobno migrują na południe. Dziś widziałem na ulicy centaury i omal nie rozdeptałem bandy gnomów. Nic już nie ma sensu.

Zawachlował ręką przed twarzą, co stanowiło wyraźny znak, że podskoczyło mu ciśnienie. Rzadko tak się wysiła.

- Proszę mówić.

- Interesuje się pan tym?

- Proszę mówić.

Moja mama nie wychowała ani jednego dzieciaka dość tępe?go, by kłócił się z Chodo Contague'em, stojąc po pas w jego ba?gnie zbirów. Powiedziałem mu większość tego, co wiedziałem. Dokładnie to samo co Craskowi i Sadlerowi. Nie przeczyłem sam sobie. Truposz nauczył mnie doskonale, jak ukrywać szczegóły. Dorzuciłem parę spekulacji, żeby pokazać, iż zadałem sobie tro?chę trudu specjalnie dla niego.

Słuchał, wyraźnie zrelaksowany, z podbródkiem wspartym na piersi, zbierając siły. Co się działo w tym niezwykłym umyśle? Ten facet był geniuszem. Zły, ale geniusz.

- Biorąc pod uwagę informacje, jakimi dysponuję, to nie ma najmniejszego sensu.

- Ja też tak uważam. - Dochodziłem właśnie do sedna spra?wy. - Ale co z tymi uzbrojonymi karłami, które włóczą się po ulicach?

- Tak, to bardzo dziwne.

- Czy istnieje karle podziemie?

- Tak. Każda rasa ma swoją ukrytą stronę, panie Garrett. Mam z nim kontakt. Według ludzkich norm jest trywialne. Karły nie znają hazardu. Nie są zdolne do wykonania umyślowego skoku w kierunku oszukiwania samych siebie, podczas gdy inni nabie?rają przekonania, że to oni są w stanie wygrać. Nie piją, bo kie?dy się upijają, robią z siebie idiotów, a nie ma nic gorszego dla karła, niż czuć się idiotą. Unikają trawki i prochów z tego same?go powodu. Oczywiście, są pojedyncze wyjątki, ale te występu?ją bardzo rzadko. Jako rasa mają niewiele zwykłych wad. Nie znam ani

jednego dość agresywnego, by zatrudnił zabijaków.

- Dość nudna kompania.

- Według pańskich i moich standardów. Praca, interesy, mało uciech. Ale jest jedna zabawa, której ulegają. Jedna słabość. Egzotyczne kobiety. Nie przebierają w rasach, najbardziej jednak lubią ludzkie kobiety o wielkich biustach.

Ja też. Rzuciłem nawet na ten temat niepotrzebny żarcik, no cóż, jeśli się spojrzy na przeciętną kobietę karłów... Zamknął mi gębę, wykrzywiając usta.

- Oni się po prostu nie potrafią powstrzymać, panie Garrett, jeśli da się im choć cień nadziei, że nie zostaną przyłapani. Pod tym względem są łatwym łupem, jak duchowni. W okolicy Fortu Karłów znajduje się z pół tuzina bardzo dyskretnych i bardzo ekskluzywnych burdeli, które obsługują tylko ich. Bardzo dobrze prosperują.

Co oznacza, że przelewają złoto do kieszeni Chodo. Ciekaw byłem, czy nie próbuje mi czegoś powiedzieć. Pewnie nie. Nie należy do ludzi, którzy mówią zagadkami. Chyba że udziela delikatnego upomnienia, dotyczącego możliwego katastrofalnego załamania się stanu twego zdrowia.

- Mówi panu coś ta sprawa z księgą?

- Na pewno dostaliby szalu, gdyby ktoś dobrał się do ich ksiąg z sekretami. Ale tego nie da się zrobić.

Bardzo zdecydowane stwierdzenie. Widocznie próbował. Przypomniało mi się to, co powiedział Truposz. Cholera! Nie powinienem pozwolić, żeby choć przez chwilę myślał o księgach.

- Nie ma skutecznego sposobu na karła, żeby wydusić z niego jakikolwiek sekret. Ten ludek z radością spojrzy w oczy nawet śmierci.

- A co ze złodziejem? - Próbowałem wywieść go na bezpieczniejsze ścieżki.

- Ich księgi są zbyt dobrze strzeżone, by do nich dotrzeć. - Znow ta sama stanowczość. Chyba wie, co mówi. - Ta enklawa to jedna wielka łamigłówka. Seria fortec zamkniętych w fortecach. Musisz mieć przewodnika, żeby przez nią przejść. Cała armia, ze wsparciem wszystkich czarowników z Góry, nie zdąży zdobyć ich fortu na tyle szybko, by nie zdołali zniszczyć tego, co nie powinno ujrzeć światła dziennego.

- To tylko luźna uwaga. Myślałem, że wyjaśni to, co się teraz dzieje.

- To, co się dzieje, ma zupełnie inne oblicze. Mówi pan, że młoda dama żyje i czuje się coraz lepiej. Czy to znaczy, że pan nas opuszcza?

- Nie wiem, gdzie się znajduję - odparłem uczciwie. - Za każdym razem, kiedy postanawiam, że nie mam tu nic do roboty, coś się zdarza. Ta banda karłów, którą rozwalili Crask i Sadler. Oni chcieli się mnie pozbyć. Puszczanie płazem czegoś takiego nie należy do zdrowej praktyki mojego biznesu.

Spojrzał na mnie w taki sposób, jakby wiedział, że coś przed nim ukrywam, ale powiedział tylko:

- To prawda, panie Garrett. Pierwsza zasada: nie pozwolić, by ktoś, kto dał ci kuksańca, uszedł bezkarnie. Na razie doradzałbym cierpliwość. Proszę pozwolić mi rozesłać moich szpiegów. Ci ludzie wciągnęli mnie w swoje sprawy. Ktoś, kto mi podlega, wie na ich temat wszystko. Niemożliwe, by ci ludzie żyli w jakiejś szczelinie, niezauważeni przez nikogo. Moi chłopcy wyłapali ich i wypytają. Jeśli dowiem się czegoś ciekawego, natychmiast pana o tym poinformuję.

- Dziękuję.

Nie mogłem mu powiedzieć, żeby się ode mnie odwalił i poszedł do domu. Nie potrzebuję, żeby z buciorami wdzierał się w moje życie. Nawet gdybym tego chciał.

- Polecę panu Sadlerowi, by założył w tym domu swoją kwatery główną. Dzięki temu otrzymam bezpośrednio raporty z pola walki. - Miał na myśli Dom Radości. Morley będzie zachwycony jak

wszyscy diabli. To zrukuje mu biznes do ostatniego listka.

Chodo wyczytał tę myśl z mojej twarzy. Umie czytać w myślach.

- Pan Dotes nic na tym nie straci.

- Nie wiem, jak panu dziękować, panie Contague. - Udało mi się jakimś cudem powstrzymać sarkazm. Dean i Truposz byliby zachwyceni. Nie wierzą, że to potrafię.

- Proszę nie dziękować. Wyświadczył mi pan wiele przysług. Może teraz mam szansę odwdzińczyć się panu choć częściowo. Może uda mi się odnaleźć trochę dobrej karmy dla mojej duszy.

Kolejna niespodzianka. Ten stary przyk jest ich skarbnicą. Podziękowałem mu jeszcze raz i wysiadłem z powozu. Natychmiast odjechał. Większość goryli Chodo odjechała razem z nim.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XVI

Knajpa Morleya była pusta. Wkroczyłem do pomieszczenia; oświetlonego tylko w połowie i całkowicie pozbawionego zwykłego zgiełku. Spojrzałem poprzez te pustynie na Kałuże, który stał za kontuarem, polerując szklivo.

- Co się dzieje?

- Dzisiaj zamknięte, stary. Przyjdź kiedy indziej.

- Hej, to ja, Garrett.

Zmrużył oczy. Może wzrok mu się już pogorszył z wiekiem. Pewnie szybko sflaczeje, co i tak nie przeszkadza, że zbirem jest, był i będzie.

- Och. Faktycznie. Może powinienem powiedzieć, że dla ciebie jest podwójnie zamknięte, koleś. Ale już za późno. Już wciągnąłeś Morleya.

- Gdzie są wszyscy?

- Morley zamknął interes. Myślisz, że ktokolwiek tu przyjdzie, widząc ten cyrk zaparkowany przed bramą?

- Jest tutaj?

- Nie. - Nie udzielił żadnej dodatkowej informacji. Większość ludzi Morleya uważa, że wykorzystuję jego poczciwą naturę. Mylą się, Morley nie ma poczciwej natury. I jest mi winien za te pa?rę numerów, które mi wykręcił w czasach, gdy jeszcze nurzał się w hazardzie i musiał oglądać każdy grosz, żeby nie znaleźć się na dnie rzeki. - Po co ci on?

- Chcę pogadać.

- Pewnie. - Z tonu wynikało, że wierzy mi jak wściekłemu psu.

- Zostawił mi jakąś wiadomość?

- Aha. Napij się piwa. Czeka, dopóki nie wróci.

- Piwa? - Morley nigdy nie miał w barze niczego, co nada?wałoby się do picia, z wyjątkiem odrobiny brandy na górze dla specjalnych gości płci żeńskiej i opornych. Takich, co to ucie?kają w popłochu na mój widok, przekonane, że pracuję dla ich mężów.

Kałuża postawił na blacie antałek, wyjął największy kufel, ja?ki miał, i nalał mi. Właśnie kończył swój, kiedy przyszedłem. Za?uważyłem, że antałek jest napoczęty i stwierdziłem, że oddech Kałuży cuchnie piwem jak diabli. Wyszczrzyłem się radośnie. Jeszcze jeden z bandy Morleya, który nie wyznaje religii szefa. Kałuża udawał, że nie rozumie, dlaczego suszę zęby.

- Widziałeś Saucerheada?

- Nie.

- Wiesz, kiedy Morley wróci?

- Nie wiem.

- Wiesz, dokąd poszedł?

Pokręcił głową. Pewnie się bał, że mu w gardle zaschnie od tej gadaniny. Kałuża to wyjątkowy gaduła. Zawsze ma błyskawicz?ną ripostę. Zająłem się zatem piwem, żeby nie narazić się na dal?sze maltretowanie mojej osoby.

Weszło gładziutko. Prawie zbyt gładko. Pozwoliłem, żeby na?lał mi jeszcze jedno i załatwiłem je prawie do połowy, nim za?cząłem myśleć o tym wszystkim, czego dzisiaj nie zrobiłem. I po co tyle

biegać, kiedy i tak wcześniej czy później skończę jak Kałuża?

- Nie masz tam przypadkiem czego do żarcia?

Na poczciwej gębie Kałuży wykwitł wielki, złośliwy uśmiech. Pożałowałem swego pytania, nim jeszcze doszedł do kuchni. Też raz każe mi płacić za moje grzechy.

Wrócił z jakąś zimną breją rozsmarowaną na kupie rozmiękłych klusek.

- Niespodzianka szefa.

Potrawa wyglądała jak śmiertelna pułapka, smakowała niewiele lepiej.

- Teraz wiem, czemu te wszystkie stwory są takie cholernie złośliwe. Też bym taki był, jedząc te paskudztwa.

Kałuża zachichotał, wyraźnie z siebie zadowolony.

Zacząłem jeść. Żeby wchłonąć te breję, wystarczyło mi tylko przypomnieć sobie, co jadłem jako Marine. Teraz mi to nawet za często smakować.

Pojawił się Saucerhead.

- Gdzie się podziewał, Garrett? Opowiedziałem mu wszystko.

- Słyszałem o Wiewiórze. Nie mogę tego pojąć.

- A co z rudą? Zmarszczył brwi.

- Grzecznie wróciła do domu. I przepadła. - Pokręcił głową. - Wszedłem do kamienicy, gdzie mieszkała. Chciałem zadać jedeno pytanie. Szukałem wszędzie. Nie było jej tam. A byłem pewien, że nie wychodziła. Wyszły tylko dwie osoby i wiem, że nie była żadną z nich. Nie wróciła. - Wzruszył ramionami i od razu o wszystkim zapomniał. W końcu to nie jego problem. - Próbowali cię załatwić, co?

- No. Westchnął ciężko.

- Hej, Kałuża, walnij no mi podwójny ładunek tego gluta, który Garrett ma na talerzu. A gdzie Morley?

To ostatnie pytanie było skierowane do mnie.

- Nie wiem. Kałuża nie chce gadać.

- Hmm. Teraz wszedł w to Chodo. Z powodu Wiewióra. Co zrobisz?

- Nie wiem. Pogniewałem się na parę osób. I, jak powiedział Chodo, nie powinienem im przepuścić, bo to źle dla interesu.

- Myślisz, że to Winger ukatrupiła Wiewióra?

- Może. Sądzę, że Chodo już się tego dowie.

- Nieźle się wkurzył, co?

- Aha. Pewnie już od paru dni nie miał dobrego powodu, żeby komuś utracić łeb.

Saucerhead wchłonął około kwarty piwa, zjadł michę tego, co mu przyniósł Kałuża, odsunął naczynia i stwierdził:

- No cóż, to był ciekawy dzień. Muszę lecieć do domu. Czeżka na mnie taka jedna mała.

I już go nie było.

Siedziałem w milczeniu. Za oknami zapadł zmrok. Poczekałem jeszcze chwilę, wreszcie zaczęłem Kałużę:

- Jesteś pewien, że Morley nie powiedział, kiedy wróci?

- Nie mówił.

Kałuża wydawał się być jedyną żywą istotą w całym domu. Gdzie cała służba? Gdzie Sadler, który miał podobno urządzić sobie tutaj kwatery? I gdzie, do jasnej cholery, podziewał się Morley Dotes?

Odczekałem jeszcze chwilę. I jeszcze jedną. A kiedy już nie miałem nic więcej do roboty,

zaczekałem jeszcze trochę. Wreszcie wstałem i oznajmiłem:

- Idę do domu.

- No to cześć. - Kałuża z uśmiechem odprowadził mnie do drzwi. Zarygłował je dokładnie, na wypadek gdybym zmienił zdanie.

MorCartha śmigaly mi nad głową, usiłując ściągnąć mrok z nieba. Przypomniałem sobie, że Dean mówił coś na temat szarlotki na deser. Psiakrew. Nażarłem się tych pomysłów u Morleya i teraz nie będę miał miejsca na przyzwoite żarcie.

Taki już mój nędzny żywot.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XVII

Prawie udało mi się dojść bez przeszkód do domu.

Minąłem właśnie Zaulek Czarowników i poczułem się bardzo optymistycznie. Postanowiłem, że zaraz się owinę wokół kolejnego galonu piwa, a potem rzucę w bety i przebiegnę do południa. Do diabła z biegnięciem i wszystkim innym. Usprawiedliwiałem dawno wyczekiwane lenistwo na swój stary i wypróbowany sposób, twierdząc, że sobie na nie zasłużyłem.

Z ciemnej czeluści sąsiedniego ganku ktoś syknął na mnie.

Zaczerpnąłem tchu, rozejrzałem się w poszukiwaniu oznak kłopotów, przyjrzałem się czeluści uważniej, ale nie podszedłem. Małma Garrett nie wychowała wielu głupków, co to nie chcą dożyć trzydziestki.

- Wyjdz, wyjdz, kimkolwiek jesteś. Droga jest taka sama ode mnie do ciebie, jak od ciebie do mnie.

- Nie mogę. Chyba mnie obserwują.

- Szkoda. Wielka szkoda.

Humor mi się popsuł. Nawet nie pofatygowałem się zapytać, kto mógłby obserwować.

Głos brzmiał odrobinę znajomo. Nie mogłem sobie przypomnieć, skąd go znam.

Położyłem dłoń na pasie. Nie wziąłem „łamiągłówek“. Pewnie leży gdzieś tam koło Fortu Karłów i czeka. Ruszyłem dalej, zastanawiając się, czy jeszcze ją zobaczę. Nie byłem gotów, żeby wrócić i poszukać. Za wiele tam karłów, a ja nie umiem odróżnić jednego od drugiego. Nie sądzę, żeby im się spodobała mełtoda: „Rozwalić wszystkich i niech Bóg ich posortuje na dobrych i złych”.

Moja mózgowica może i trochę ucierpiała, ale jeszcze pracuje.

Mrok za moimi plecami jęknął. Usłyszałem dreptanie małych stopek. Zerknąłem na dom, zastanawiając się, czy zdążę uprzedzić Deana, nim ktoś zrobi mi coś brzydkiego i zostawi mu bałagan do posprzątania.

Taką moc ma myślenie pozytywne. Odkąd przeprojektowali mi głowę - do tej pory pulsowała i dudniła bólem - nie widziałem światła w żadnym tunelu. Dziwne, taki drobiazg, a jak potrafi odmienić człowiekowi humor.

Odskoczyłem w bok, przycupnąłem i okręciłem się na pięcie, z pięścią ustawioną tak, by wyprowadzić ją wprost w czyjeś źębra i złapać go za gardło. A potem potrząsnąć mocno, jeśli będę miał zły humor. Aż mu uszy odleca.

Próbowałem się zatrzymać, upadłem jednak na twarz, rozplaszczylem sobie nos w jeszcze bardziej nieapetyczną pulpę, a i tak owinałem maleństwo wokół pięści.

Wstałem, zataczając się odrobinę, otarłem oczy z kurzu. Dziewczyna leżała dalej, trzymając się za żołądek i wydając dziwne, zdławione odgłosy. Ho-ho-ho. Damski bokser z tego Garretta. Jałkos nie wie o mi się z kobietami w tym tygodniu. Jeśli tak dalej pójdzie, z tygodnia robi się rok.

Pomacałem nos, żeby sprawdzić, co z niego zostało. Trudno powiedzieć z tego miejsca, ale wyczułem pod mazią jakąś wyłpukłość. Bolała na tyle, żeby to mógł być mój nos. Jeszcze raz potrząsnąłem głową i ukląłem.

- Nie powinnaś tak napadać chłopców od tyłu.

Wydawała takie dźwięki, jakby chciała wywrócić się na lewi stronę. Podniosłem ją i

skierowałem się do domu. Jaskiniowy Garrett niesie zdobycz dla wygłodniałej rodziny.

Skulona w moich ramionach wydawała się naprawdę apetycznym kąskiem. Na oko nie potrafiłem tego stwierdzić, z braku od powiedniego oświetlenia. Ciekawskie morCartha krążyły nam nać głowami, gdy wszedłem na schody, zapukałem w drzwi nogą i zawołałem. Wcale mi to nie przeszkadzało. Poczułem tylko son?dowanie Truposza. Żeby się upewnić, że to nie jakiś bandyta próbuje zmylić Deana, przebierając się za świeżo ubite wołowe żeberka.

Dean otworzył drzwi po dłuższym przyglądaniu mi się przez wizjer. Spojrzał na dziewczynę.

- Znowu miałeś szczęście, co? - Odsunął się, żebym mógł przejść.

Zabrałem ją do frontowego pokoiku i położyłem na sofie.

- Zobacz, co możesz dla niej zrobić, a ja się doprowadzę do porządku.

Pokrótkie opowiedziałem mu, co się stało. Obdarzył mnie jed?nym ze swych najlepszych, pełnych rozpaczy spojrzeń.

- Nie było cię na kolacji.

- Jadłem u Morleya. Daj mi tu trochę światła, żebym coś wi?dział. Za minutę wracam. - Zostawiłem go i rzuciłem się na górę szybciej niż zraniony ślimak. Umyłem twarz. Sprawdziłem, czy nic w niej nie brakuje, po czym ubrałem się w czyste ciuchy i zaj?rzałem do pokoju Truposza.

- Mamy gościa. Śmieszku.

Wiem o tym, Garrett. Postaraj się powściągnąć swe zwierzę?ce popędy. Może nam trochę pomoże, ale na razie nie mogę do niej dotrzeć. Jest zbyt przerażona i zaskoczona.

- Mam coś powściągnąć? Ależ ja jestem wzorem powściągli?wości. To dla mnie wymyślili to określenie. Nigdy jeszcze nie spa?liłem domu wokół ciebie.

Był to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy nie próbował mieć ostatniego słowa. Należy to odnotować w księgach historii, bo coś takiego może nie zdarzyć się po raz drugi w ciągu całe?go mojego życia.

Ona coś wie, Garrett.

Do licha. Punkt dla Truposza. To było gorsze niż jego standar?dowe kąśliwe uwagi. I tkwiło raczej w tonie głosu niż w słowach. Oskarżał mnie o wyglupy.

Ruszyłem do frontowego pokoiku.

Dean pochylał się nad kobietą, zasłaniając ją przed moim wzrokiem. Mówił coś do niej cicho. Przystanąłem, spojrzałem na niego z sympatią, której nigdy nie okazałbym mu w oczy. Był najlepszym znaleźnikiem całego mojego życia. Robił w do?mu wszystko to, czego ja nie znosiłem, gotował jak anioł, pra?cował w absurdalnych godzinach i często gęsto był równie moc?no zaangażowany emocjonalnie w moje sprawy jak ja sam. Nie mógłbym żądać niczego więcej, może tylko trochę mniej py?skowania i więcej entuzjazmu przy sprzątaniu w pokoju Tru?posza.

Jeśli miał jakąś wadę, była nią jego dezaprobata dla mojego stosunku do pracy. Dean uważa, że praca sama w sobie jest speł?nieniem, jak balsam dla duszy.

Odchrząknąłem cicho, żeby dać mu znać, że już wróciłem. Nie usłyszał. Czyżby tracił słuch? Może. Pewnie zbliża się już do sie?demdziesiątki, choć nigdy by się do tego nie przyznał.

- Jak tam, Dean? Już jej lepiej? Rzucił mi przez ramię ponure spojrzenie.

- Trochę. Ale to nie dzięki tobie.

- A co, miałem pozwolić, żeby ktoś zaszedł mnie od tyłu i przefasonował mi głowę? - Zaczynałem być nerwowy. Nie wiem dlaczego. Czyżby twarz mnie bolała? A może głowa? Albo ramię? A może miałem kurcze w łydkach od tego ciągłego biegania i łażenia? To żadna wymówka. Byłem już zdesperowa?ny - walczyłem dalej, choć nie wierzyłem w to, że warto. Po pro?stu nie umiałem się zatrzymać.

Fakty nie mają na Deana wielkiego wpływu. Emocjonalnie wciąż jest na poziomie piętnastolatka. Nigdy nie przestał wierzyć w tę magię, którą noszą w sobie dzieci, dopóki twarda rzeczywistość nie wybiję im jej z głowy. Znów ujrzałem jego ponurą miśnię. Był w swoim żywiole.

- Daj mi jeszcze kilka minut - mruknął.

- Pójdę złożyć raport. - Wyszedłem, żeby opowiedzieć Truposzowi o wizycie w świecie, gdzie piętno magii Deana umarło.

Nie skomentował mojej opowieści.

Idź, do dziewczyny. Chichot. Będziesz zaskoczony.

Kolejny punkt dla Truposza. Rzeczywiście, dałem się zaskoczyć.

Była przepyszna. Świeżutka. Oczywiście, podejrzewałem to już wcześniej. Przecież ją niosłem, a z moim zmysłem dotyku jeszcze nic złego się nie dzieje. Nie miałem jednak dość światła, by odkryć, że jest ruda.

Taaak. Była prawie identyczna jak ta, która opowiedziała mi historię Barona Stoneciphera, a ta z kolei była uderzająco podobna do golaski. Różnica była tylko jedna. Tę dziewczynę otaczała aura niewinności.

- Rude lecą z nieba jak deszcz, Deanie. Chrząknął tylko. Jakby go to nie obchodziło.

Siedziała na kanapie i już nie była zielona na twarzy. Zielone miała tylko oczy. Znowu. Ogromne, cudowne, naiwne zielone oczy. Usta, o jakich możesz tylko pomarzyć. I piegi.

Siad, stary.

Otwarłem usta. Dean spojrzał na mnie złym wzrokiem.

- Musimy jakoś nazwać tę sprawę - bąknąłem. - Może: „Za dużo rudych dziewczyn”?

- Pan Garrett? - Hooop! Co za głos! Jak u tej ostatniej rudej, ale wzbogacony o dzwoneczki i obietnice... no i te rzeczy.

- Garrett to ja. Zazarty pogromca smoków i niepoprawny deptacz dziewic w opałach. I to wtedy, kiedy mam dobry dzień.

Wyglądała na nieco oszołomioną.

- Przepraszam. To był ciężki dzień. Jestem wykończony. Začznijmy od początku. Obiecuję, że cię nie znokautuję, jeśli ty nie będziesz wyskakiwała na mnie z ciemności. - A przynajmniej na ulicy. Możemy uspić Truposza, wyrzucić Deana za drzwi i wtedy niech mnie goni po całym domu, jeśli będzie miała ochotę.. Naprawdę nie będę za bardzo się wrywał. Oczywiście, w imię nauki. Powinienem sprawdzić, jak bardzo przypomina moją; klientkę-nudystkę.

Uśmiechnęła się. Piegi na jej policzkach zatańczyły. Uznałem, że ten dzień był prawie wart przeżycia. Prawie.

- Dean mi wszystko wyjaśnił - powiedziała. Ciekawe, jakim cudem tak szybko są na ty. - Powinnam przeprosić. To nie było rozsądne. Nie jestem przyzwyczajona do miasta.

Wstała. Oczy wyszły mi na wierzch. Jej gesty były bezprełensjonalne, pozbawione wszelkiej afekcji, a i tak musiałem zaciskać zęby, żeby nie zacząć wyc i gwizdać. Po prostu była naturalną pięknoscią. Skądkolwiek przyszła, marnowała się tam, bo byli dość głupi, by ją wypuścić. Prześlijcie więcej takich. Odełrwijcie nasze myśli od biedy, wojny i rozpacz. I nie mówię tu o chlebie i igrzyskach. Ta dziewczyna sama w sobie była cudem natury.

Wyciągnęła rękę. Była o połowę mniejsza od mojej. Mięciutki kawałek ciepła i życia - to mi przypomniało Tinnie, która omal tego życia nie straciła, sprowadziło z powrotem na ziemię.

- Jestem Carla Lindo Ramada, panie Garrett - powiedziała. -Przybyłam tu z...

O, nie.

- Zaczekaj. Niech zgadnę. Z zamku barona Stoneciphera w górach Hamadanu. Jesteś tam

pokojówką. Baron przysłał cię w ślad za gościem o nazwisku Holme Blaine który zwinął księgę wiedz?mie imieniem Pani Węży.

Szczęka jej opadła.

Na zewnątrz, nad naszymi głowami, morCartha rozwrzeszczały się nagle. Rwetes był tak wielki, że chyba wykorzystywały mój dach jako bazę wypadową.

- Staną się niepopularne, jeśli nie przestaną - mruknąłem pod adresem Deana.

Ruda zauważyła wreszcie, że jej śliczny pyszczek wciąż jeszcze jest otwarty, i zamknęła go pospiesznie. Ale otworzył się znów, siedziała tam więc jak złota rybka chwytająca powietrze.

- Trafiłem? - zapytałem.

- Skąd pan...?

Miałem już zacząć się chełpić, jaki to ze mnie detektyw, ale uznałem, że nie ma co przesadzać.

- Spokojnie. Nie czytam w myślach. - ON jest w drugim pokoju - Jesteś już drugą prześliczną rudą damą nazwiskiem Carla Ramada, która się tu dziś pojawiła. Chcesz, żebym znalazł księ?gę, tak?

- Carla Lindo Ramada - poprawiła mnie machinalnie. Widocz?nie to ważne. - Ale... Jak...?

- Nie wiem. - Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że to nie jest ta sama kobieta, która była tu wcześniej. I że nie była to również tamta naga kobieta. Nie potrafiłbym powiedzieć dlaczego. Jakiś bardzo subtelny znak. I miałem tylko minimalne zastrze?żenia co do jej tożsamości jako Carli Lindo Ramada. Po prostu nosiła to imię z większą swobodą.

Jej twarz zmieniała się z minuty na minutę, a każda zmiana by?ła przeurocza. Zacząłem się zastanawiać, czy nie należałoby jej wywieźć z miasta, nim zaczną się zamieszki. W końcu były tylko dwa lub trzy takie egzemplarze... a potem zacząłem się zasta?nawiać, jakim cudem było ich dwie lub trzy. A może cztery albo pięć? A może cały legion takich jak ona? Czy w Hamadanie ru?de ślicznotki rosną na drzewach? Bogowie, pozwólcie mi tam zo?stać leśniczym.

Wreszcie jej twarz zastygła w grymasie solidnego strachu.

- To musiała być ona! Pewnie ma w tej księdze stronicę ze mną.

- Co? - Nagle załapałem. - Czarny charakter sztuki przyszedł tu przebrany za ciebie?

Świetnie. Jeszcze raz świetnie. I była moją klientką. Mniej wię?cej.

- Ale jak? Skoro nie ma już tej księgi?

Nie spytała, skąd wiem, jak działa księga. Zamyśliła się nad moim pytaniem.

- Pierwszy projekt? Może wzięła ze sobą strony brudnopisu. Przecież nie można jej naprawdę wziąć za mnie, prawda?

Właściwie wcale nie była taka naiwna, na jaką wyglądała.

Nie. Nie mogłem jej pomylić teraz, kiedy już ją poznałem. Myślą wróciłem do poprzedniej wizyty. Nie mogłem sobie przypo?mnąć. Truposz nauczył mnie wychwytywać i zapamiętywać szczegóły, ale tam, gdzie powinny się znajdować wyraźne, czy?ste wspomnienia, odnajdywałem tylko mgłę.

- Dean, zrób nam herbatę. Mam wrażenie, że to będzie bardzo długa noc. - A w ogóle, kto mógłby zmrużyć oko przy tym rwe?tesie na zewnątrz? Zacząłem życzyć stworkom, żeby się wzaje?mnie pozabijały. - Możemy się trochę odprężyć, nim zaczniemy.

Spojrzał na mnie wilkiem, jakby się zastanawiał, czy coś tak słodkiego może być bezpieczne, jeśli je zostawi i pójdzie do kuch?ni, ale widocznie uznał, że być może zdołam się powstrzymać przez ten czas, więc wyszedł, stawiając wielkie kroki.

- Dean to słodki facet - powiedziała Carla Lindo Ramada.

- Taak. Nieraz mamy problemy z odgonieniem pszczoł. Uży?wamy go jako przynęty. I uwielbia panienki w kłopotach. - Ale ja nie. O, nie, nie. Garrett jest twardy jak gwóźdź. - Jak to się stało, że

się tam ukrywałaś?

- Kiedy przyjechałam do TunFaire, zamieszkałam u znajomych barona. Na Górze. Pytałam każdego, kogo spotkałam, kto mógłby mi pomóc. Wszyscy polecali mi pana.

Au! Nie przypuszczałam, że moje nazwisko jest tak znane na Górze. To może być kiepska nowina.

- Mówili, że jest pan uczciwy, ale wszystko robi po swojemu. I ma pan opinię kobieciarza. - Oczy jej zabłyśły. Zdecydowanie nie była taka naiwna, na jaką wyglądała.

- Ja? Pewnie mnie z kimś pomylili. Jestem czysty sercem i du?sza. Czysty jak źródłana woda.

- Ale nieco leniwy? - Znów ten błysk w oku. Wracała do siebie. Bardzo szybko. Założyła się, że dzięki niej w tym górskim zam?ku wrzało jak w ulu.

Uśmiechnęła się. Piegi zatańczyły. Teraz już wiedziałem, czym się różni od pozostałych. Tamte nie miały piegów. Nawet Tinnie ich nie ma. W każdym razie niewiele, przynajmniej na widocznych częściach ciała.

Mogliśmy tak rozmawiać przez całą noc, ale miałem robotę. I Dean może wrócić w każdej chwili.

- Najczęściej muszę po prostu przyznawać się do winy. Pozwól, że ci opowiem o Carli Lindo Ramada, która była tu przed tobą. Powiesz mi, w którym miejscu jej historia różni się od twojej.

Słuchała uważnie. Oczy nie przestawały sypać iskierkami, a piegi nie przerwały swego tańca nawet wtedy, gdy Dean przyniósł herbatę. Zobaczył, jak dziewczyna na niego patrzy, i westchnął. Chyba nigdy ostatecznie nie pożegnał się z nadzieją, że zdoła mi wcisnąć jedną ze swych bratanic.

Carla Lindo powoli upiła łyk herbaty i zrobiła zdumioną minę. Pewnie Dean rozpakował jedną ze swych specjalnych miszanek. Upiła jeszcze jeden łyk i szepnęła:

- Właśnie tak to się stało, panie Garrett. Tak sędzę.

- Tak sądzisz?

- Nie było mnie tam. Baron mnie odesłał. Dla bezpieczeństwa.

- Tak? Chciał, żebyś była bezpieczna przed łajdactwem w do?mu, ale wysłał cię samą do miasta pełnego zepsucia.

To mi się nie zgadzało.

- Nie chciał mnie odsyłać. Prawdopodobnie dlatego udało jej się tu dotrzeć przede mną, bo tak długo się zastanawiał. Nie miał wielkiego wyboru. Tylko mnie jednej mógł jeszcze zaufać.

- Dlaczego?

- Pani Węży udało się zwerbować wszystkich innych. Niektórzy woleli pozostać z nią. Tych zaufanych, którzy próbowali skraść księgę, pozabijała. Mnie nigdy nie próbowała zwabić do siebie, bo wiedziała, że nic nie zrobię przeciwko baronowi.

- Dlaczego? Każdego można skusić.

- Ponieważ on jest moim ojcem, panie Garrett. Moja matka była pokojówką, więc w żaden sposób nie mógł mnie uznać, ale ich związek nie był tajemnicą. Nigdy się mnie nie wyparł, nawet przed swoją żoną. Ona nienawidzi mnie i mojej matki, ale nigdy się nie odważyła stanąć przeciwko nam. - Zadrżała, nagle zdjęta strachem. Pozostało jakieś wielkie, niewypowiedziane „ale”. Gdyby Deana nie było w pokoju, zaraz bym skoczył, żeby ją pocieszyć.

Od samego początku tej przedziwnej historii sprawy komplikowały się z każdą minutą, ale w tej chwili nie byłem ani o jotę bliższy rozwiązania.

- Czekaj no. Troszkę mi się pomieszało. Mamy wiedźmę, żonę, kochankę i jej córkę, a wszystko to dotyczy gościa, który podobno ma dwieście lat, leży przykuty do łoża i któremu prze?kleństwo nie pozwala umrzeć?

Spojrzała na mnie dziwnie. Przecież jej powiedziałem, co mi mówiła tamta Carla Lindo. Może

nie słuchała dość uważnie.

- Och, nie. To nie całkiem tak. Ojciec jest stary i schorowany, ale nie zawsze tak było. I nie ma dwustu lat, ona tylko tak mówi. Ma sześćdziesiąt sześć. Nałożyła na niego przekleństwo, kiedy miałam cztery lata, a on przestał nawet udawać, że nic go nie łączy z moją matką, ją zaś odesłał, żeby zamieszkała w drugiej wieży.

-Co?

Dean wpadł na to szybciej.

- Jego żoną jest chyba Pani Węży, panie Garrett. Wygnał ją do oddzielnego skrzydła zamku.

Tego już było za wiele dla stalowej maszyny, jaką był mój umysł. Może, gdybym był trochę mniej obolały i zmęczony... Dziewczyna skinęła głową.

- Och. Jasne. Teraz rozumiem. Powinienem był to powiedzieć. - Zastanawiałem się, czy to coś zmienia. Zastanawiałem się, co mnie to właściwie obchodzi. Prowadzenie się mieszkańców tego odległego zamku właściwie nie powinno mnie w ogóle interesować. Chyba że ci ludzie nie zechcą zostawić mnie w spokoju. Zacząłem głośno myśleć.

- Chyba już wiemy, kto i dlaczego. Jak sądzisz, Dean?

- Ta Pani Węży. Chyba chciała powstrzymać pannę Carlę przed przyjściem tutaj po pomoc.

- To raz. A co z Wiewiórem? Też jej robota? Wzruszył ramionami.

- Ta duża blondyna?

- Może. Teraz, skoro to już wiemy, co powinniśmy zrobić? Carla Lindo nie poprawiła Deana. A zatem należała do tych osób, które jemu pozwolą na wszystko.

Przerwała mi na chwilę tok myślenia, pytając:

- Pomoże mi pan, panie Garrett?

Chciałem jej powiedzieć, że za żadne skarby świata nie spuszczę jej z oka. Że to byłoby zbyt bolesne, jakby ktoś zabrał mi wzrok. Że moje oczy nie zniosą ciemności, kiedy stąd odejdzie. Ale jakimś cudem udało mi się zachować profesjonalny spokój. Cudem.

- Tak. Zdaje się, że mamy pewne wspólne interesy. - Już nie po raz pierwszy napaliłem się na klientkę, która okazała się widmem.

Mój komentarz zastanowił Carlę Lindo. Obejrzałem się na Deana. Wzruszył ramionami. Nie powiedział jej ani o Tinnie, ani o tym, że fałszywa Carla Ramada mnie wynajęła.

- Panno Ramada... już wczoraj zaangażowałem się w tę sprawę... bardzo osobiście. Moja przyjaciółka przyszła do mnie w odwiedziny. Mniej więcej twojego wzrostu, rudowłosa. Jakiś człowiek usiłował ją zabić. Prawdopodobnie był to jeden z ludzi Pani Węży. Wziął ją za ciebie. Sądzę zatem, że mam pewien dług do spłacenia.

Poczułem dotyk Truposza. Jak wezwanie. Miał coś, co chciał mi przekazać.

- Przepraszam. Muszę wyjść na chwilę. Skończ wyjaśniać, Dean.

Staruszek kiwnął głową. Znowu miał minę zbitego psa. Jakby Tinnie właśnie teraz dostała nożem. Pewnie opowie jej wszystko lepiej, niż zrobiłbym to ja. On nie udaje twardziela.

A ja z pewnością nie czułem się twardzielem.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XVIII

Wsunąłem się do pokoju Truposza. Właśnie zacząłem się nad sobą rozczulać. Do tej pory jakoś nie zdążyłem zaaplikować sobie potężnej dawki tego leku, ale uznałem, że mi się przyda. Część ludzkiej natury.

- Co jest? Czy i ta jest sobowtórem?

Ta jest prawdziwa. Jest jak otwarta księga, łatwa do odczytania... choć muszę przyznać, że niewiele w niej zapisano. Jej światło nie jest jasne. Bądź dla niej dobry, Garrett.

- Au, do diabła. To nieuczciwe. Napełnił moją głowę chichotem.

Są różne rodzaje dobroci, Garrett. Nie kazałem ci przestać być człowiekiem.

- Co za wielkoduszność. - Nic z tego, więcej ani słowa. - Co się dzieje?

Kiedy tak patrzyłem na niego tutaj i myślałem o Carli Lindo tam, miałem ochotę wiać aż miło.

Umknął ci pewien bardzo istotny czynnik. Nie. Nie czuj się tępakiem. Jakież on łaskawy. Mnie też to umknęło, dopóki nie opowiedziałeś pannie Ramada o tym, jak panna Tate otarła się o śmierć.

I taki on już jest. Nic wprost. Będzie tylko próbował naprowadzić mnie na trop. - No i co?

Nie igrał ze mną długo.

Opowiedziałeś tę samą historię wcześniej tamtej oszustce. Też raz ta kobieta, jeśli w istocie jest Panią Węży - a w tej chwili wieżrę, że nią jest - wie, że panna Ramada nie została zabita i że na wet nie wiedziała, czy coś jej grozi, czy nie. Dlatego nie mogła jej spłoszyć. Prawdopodobnie maczała palce w twojej przygodzie koło Domu Karłów. A zatem, przyjmując, że dom nie był obserwowany w czasie twojej nieobecności, ponieważ nikt nie spodziewał się twojego powrotu...

- Już mam. Sądziysz, że zorientowała się, iż ty także tu jesteś?

To nie ma znaczenia. Nie jest tajemnicą, że mieszkasz w domu Loghyra. Dowie się, skoro tylko zaczniesz zadawać pytania.

Pominałem milczeniem jego zaproszenie do kolejnej dyskusji nad tym, do kogo właściwie należy dom. Rozwahałem to, co już wiedziałem o Pani Węży. Bardzo niewiele, ale jeśli była na tyle zdolna, by stworzyć taką księgę jak ta, o którą toczyła się cała sprawa, mogła być wystarczająco dobra, żeby narobić problemów. Truposz potrafi robić niewiarygodne rzeczy, ale siła to nie wszystko. Nieraz musisz uciekać i kluczyć, a on po prostu ma problemy z chodzeniem. Cóż, bycie martwym ma swoje wady, których nawet on nie potrafi pokonać.

- Wróćmy do początku i przyjrzyjmy się wszystkiemu. Po co tu się znalazła? Żeby odzyskać księgę. To najważniejsza sprawa. Usunięcie mnie z drogi ma priorytet drugorzędny. Kiedy tu przybyła, dowiedziała się wszystkiego, co jej było potrzebne. Powiedziała mi to i owo, bo miała nadzieję, że wykonam za nią całą robotę. - Ale z kolei, jeśli tego chciała, to dlaczego mnie próbowała zabić? - Może zmieniła zdanie, kiedy zwąchała, że spotkałem się z twoim kumplem Smarkatym.

Smarkatym?

Gnorstem Gnorstem Gnorstem i tak dalej. Może zwęszyła piśmo nosem, stwierdziła, że narobiła za dużo zamieszania. Ma też raz na karku mnie, Saucerheada, ciebie i Tate'ów z powodu Tinnie, skoro tylko się dowiemy, że nie jest Carlą Lindo. Ma na karku kacyka, który dyszy zemstą z powodu zamordowania Wiewióra. A ja odwiedzam głównego karła, który na samą wzmiankę o Księdze

Cieni dostaje szału, wpada w panikę i grozi, że wypuści całą swoją bandę na wojenną ścieżkę. Oni też już jej szukają. Wiedźma musi coś zrobić. Może uznała, że kiedy się mnie pozbędzie, wszyscy na chwilę przycupną, ponieważ jestem wspólnym miażdżącym łączącym wszystkich jej wrogów. Od wyjaśnień przeszedłem do głośnego myślenia.

- Będzie się upierała, żeby odzyskać księgę. Może przypuścić na mnie kolejny atak, skoro tylko się zorientuje, że uciekłem przed jej chłopcami. Teraz mógłbym ją naprawdę podpuścić.

Tak.

- Czy naprawdę może istnieć taka księga, w której tylko odczytujesz stronę i zmieniasz się w tego, kto jest na niej opisany?

Ona w to wierzy, wierzy w to także Gnorst. Wierzy w to dziewczyna i ten, który ją przysłał. Wierzył w to facet, który ukradł księgę. Panna Tate została zraniona, ponieważ są ludzie, którzy w to wierzą. Czyja w to wierze, nie ma znaczenia. Zaczął się wyścig, Garrett. Musisz znaleźć tę kobietę, zanim ona znajdzie księgę.

- A może najpierw znajdę księgę, a potem poczekam, aż ona do mnie przyjdzie?

Godna podziwu strategia, prosta i bezpośrednia. Powinienem być sam na to wpaść. Jak zamierzasz tego dokonać?

Stary, złośliwy, sarkastyczny diabeł. Oczywiście, że łatwiej będzie znaleźć wiedźmę niż księgę. Obraca się w tak charakterystycznej kompanii, że nawet tu, w TunFaire, będzie odstawać od otoczenia jak koronkowe majtki na kobyle.

- Nie powinienem siedzieć tutaj. Powinienem być u Morleya, na wypadek gdyby Sadler miał coś ciekawego do powiedzenia.

Instytucja pana Dotesa będzie bardzo odpowiednia. Mogę ci tam przesłać wiadomość. Choć prawdopodobnie teraz bardziej by ci się przydała pewna doza odpoczynku.

- Zgoda. - Miał rację. - Już znikam.

Zaledwie pokazałem się we frontowym pokoiku, Dean spojrział na mnie wyczekująco.

- Chciał mi przypomnieć, że powiedzieliśmy tamtej kobiecie o Tinnie, więc teraz wie, że Carla Lindo żyje i cieszy się najlepszym zdrowiem.

Oczy rudzielca zrobiły się ogromne. Do licha, miałem wielką ochotę rzucić się w jej stronę, posadzić ją sobie na kolanach, przytulić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Nawet, jeśli nie wiedziałem, czy wszystko rzeczywiście będzie dobrze. Bo wszystko naprawdę byłoby aż za bardzo dobrze, gdyby tylko zechciała pozostać na swoim miejscu, to znaczy na moich kolanach.

- Uważamy, że nie masz powodu do obaw - powiedziałem. - Szydło już wyszło z worka i zabicie ciebie nie sprawi, że znajdzie się tam z powrotem. Teraz musi skoncentrować się na odzyskaniu księgi.

- Nie może pan jej na to pozwolić!

- Spokojnie. Musiałaby naprawdę mieć fantastyczne szczęście, żeby ją znaleźć, zanim sama zostanie odnaleziona. W ciągu minuty wyjdę sobie na spacer i powiem o niej pewnemu facetowi, a nim zdąży mrugnąć, wiedźma będzie miała na karku około trzech tysięcy bardzo paskudnych ludzi. - Nagle coś przyszło mi do głowy. To mi się czasem zdarza. - Jak ona wygląda, kiedy nie jest tobą?

Carla Lindo spojrzała na mnie tępo.

- No?

- Próbuję sobie przypomnieć. Nie wiem. Nie wiem, czy w ogóle kiedyś ją widziałam. A przynajmniej nie wiedziałam, że to ona.

- Co takiego? - Truposz przecież mnie ostrzegł. - Mieszkasz w tym samym domu i nigdy jej nie widziałeś? Przecież, skoro zrobiła stronicę w księdze z twoją podobizną, to znaczy, że cię widziała. I

do tego z bardzo bliska. Opuściła właściwie tylko piegi.

- Pozostawała zamknięta w swojej wieży. Nikt tam nie wcho?dził, z wyjątkiem ludzi, których sama wpuściła. Same wilkołaki, karły i paskudni ludzie-szczury. Jeśli nawet kiedyś ją widzia?łam, nie wiedziałam, że to ona. Ale jestem pewna, że nigdy jej nie widziałam.

Zamek barona musi być bardzo dziwnym miejscem. Nie chcia?łbym spędzić tam zbyt wiele czasu. No, chyba że Carla Lindo ma cztery lub pięć siostrzyczek. Może powinienem sprawdzić, czy nie zostało w domu jeszcze parę takich jak ona.

Chyba widać było po mnie, co myślę, bo spojrzała na mnie tak, jakby czytała mi w głowie. Wymamrotałem coś nieskładnie, po czym zebrałem się w garść i zapytałem:

- Nie powiesz mi nic, co mógłbym potraktować jako punkt wyjścia?

- Nie. Tak. Nie widziałam jej, ale powiadają, że nosi pier?ścień. Na środkowym palcu prawej ręki. Nigdy go nie zdejmuj?je. To wąż, który trzykrotnie owija się wokół jej palca, z głową kobry. Powiadają, że pierścień zawiera truciznę, która natych?miast zabija.

- Dobrze wiedzieć. - Zadumałem się. - Kobieta, która tu by?ła, nie miała pierścienia. Nie sądzę. - Wciąż nie mogłem sobie przypomnieć. - Widziałeś jakiś pierścień, Dean?

- Nie. - Dobry staruszek. Nie wspomniał o kolejnej rudej.

- A więc czasami go zdejmuje. Może coś jeszcze.

Carla Lindo pokraśniała. Wyglądało to zaskakująco ładnie, biorąc pod uwagę ogólny koloryt. Ale nie potrafiłem sobie wy?obrazić czegoś, co mogłaby robić brzydko. Wystarczy, że oddy?chała.

- Ma tatuaż - wyszeptala. - Tak powiadają. Stąd pochodzi jej imię. Pani Węży.

- Hę? - Przelotne wspomnienie kumpla z mojej kompanii, kie?dy służyłem w Marines. Przykleili mu przywisko Ośli Kutas, aż pewnej nocy schlał się na umór i dał się wytatuować. Od tej po?ry mówili na niego Wężowaty. Jeśli jeszcze żyje, pewnie żałuje tego, co zrobił. Chyba że jest rzetelnym zgrywusem.

Dziewczyna wstała.

- Podobno cały jej tors to jedna wielka głowa węża. - Wyko?nała gest dłonią. - A piersi to jego ślepie.

Ja cię przepraszam! Też mi pomysł. Wyobraź sobie, że budzisz się rano, a coś takiego leży obok ciebie w pościeli. Ręce opada?ją - i nie tylko. Nic dziwnego, że stary Stonecipher zajął się po?kojówką.

- Bardzo wyraźny obraz. Coś jeszcze? - Jakoś nie wyobraża?łem sobie, że będę chodził i rozdierał bluzki na wszystkich podej?rzanych.

Potrząsnęła głową. Fruwające wokół miedziane włosy przy?wiodły mi na myśl jeszcze jeden, równie wyraźny obraz. Ale szyb?ko został zatarty przez wspomnienie tych samych rudych włosów rozrzuconych na kocich łbach.

Zastanawiałem się, czy Tinnie by mnie straszyla. Może lepiej sprawdzę, co u niej słyhać.

Jutro.

- Muszę iść, Dean. Wracam do Morleya.

Jego twarz zmarszczyła się w wyrazie zatroskania, jak stara śliwka.

- Czy to rozsądne?

- To konieczne. Zaprowadź pannę Ramadę do frontowego po?koju gościnnego. Będzie tam w miarę bezpieczna.

Jego spojrzenie mówiło, że będzie bezpieczna tak długo, jak długo mnie nie będzie w domu. Nie sprzeczałem się z nim. Rzad?ko to robię. Nic nie jest w stanie zmienić opinii Deana. Może po?winien był zostać duchownym. Na pewno nie dałby się zbić z tro?pu byle faktami.

Byłaby też z niego całkiem wyjątkowa starsza dama.

Prawdopodobnie to skutek ciągłych kontaktów z tymi wszystkimi bratanicami. Nie życzyłbym ich nikomu, ale z drugiej strony chciałbym, żeby wreszcie znalazły sobie mężów i zeszyły mu z karku.

Dean skinął głową. Wszedłem z pokoju, głuchy na nieme wezwania dziewczyn. Ruszyłem na górę, żeby uzupełnić braki w uzbrojeniu, a potem zszedłem na dół i zajrzałem do biura, żeby się pożegnać z Eleanor.

- Życz mi szczęścia, pani. Życz mi więcej szczęścia.

W sprawie, w którą była zamieszana, nie udało mi się ocalić ani jednej duszy. Jeśli nie liczyć mnie samego - w pewnym sensie. Kiedy ból minął, odnalazłem w sobie nowe siły i nowe postanowienie, że zrobię wszystko, aby uczynić ten świat lepszym i przyjemniejszym.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XIX

Kiedy wszyscy walą w ciebie jak w bęben, robisz się ostrożniejszy. Nawet wówczas, kiedy jesteś tak zmęczony, że nawet pikantne rude ślicznotki tracą swój czar. Nie zdążyłem jeszcze dojść do końca ulicy, kiedy poczułem, że mam ogon. Nie byłem pewien, kto to. Wyczuwałem jego obecność, ale nie wiedziałem, gdzie jest. Ta?ki był dobry. Może mam po prostu szósty zmysł, który się rozwi?ja u ludzi chcących przeżyć w tym mieście i w moim zawodzie.

Stwierdziłem, iż będę omijał miejsca tak wąskie, że nie miał?bym dokąd uciec, co i tak było wyłącznie przejawem zdrowego rozsądku.

Byłem już w połowie drogi do domu Morleya, uchylając się przed nisko latającymi morCartha, kiedy nagle stwierdziłem, że już nie jestem sam.

- Kurrde! Chłopaki, przestańcie wreszcie, bo mi serce siądzie. - Pomimo mojej czujności Crask i Sadler jak zwykle pojawili się znikąd i mnie zaskoczyli. Lekcja pokazowa, jak sądzę, żeby mi nigdy nie przyszło do głowy stawać po przeciwnej stronie. Lu?bią się tak bawić.

Podejrzywałem, że to właśnie ich ludzie śledzili mnie od do?mu i dali im znać, że nadchodzę.

Sadler uśmiechnął się, a przynajmniej tak mi się wydawało, że to miał być uśmiech. Trudno było się zorientować w ciemności.

- Naprawdę, myśleliśmy, że przyda ci się usłyszeć dobrą no?winę, Garrett. Ale jeśli się nie cieszysz z naszego widoku...

- Szaleję z radości. Jestem zachwycony aż po czubki paznok?ci u nóg. - Tak zachwycony jak obustronnym zapaleniem płuc z ciężkim przypadkiem dyzenterii na dodatek. - Ale dlaczego nie możecie podejść do mnie jak normalni ludzie. Zawsze wyskaku?jecie z mrocznych zaułków, i tak dalej.

- Lubię ten wyraz na twojej twarzy - wyznał Crask. Nie śmiał się. Wcale nie żartował.

- Ojejku, ale mamy dzisiaj muchy w nosie - dodał Sadler. - Czyżbyśmy mieli zły dzionek?

- Już chyba dość się nacieszyliście, co, chłopaki? Jakże są te dobre nowiny?

- Znaleźliśmy tego twojego Blaine'a.

- Co?

- Daj spokój, stary - rzucił Sadler. - Ty prosisz, my dostarcza?my.

Dostarczają, rzeczywiście, ale bez gwarancji technicznego sta?nu towaru.

Trudno mi wnikać w myśli tej dwójki, ale w czasie całej na?szej przechadzki, żeby zobaczyć Blaine'a, miałem dziwne wrażenie, że coś jest nie w porządku. Dlatego nie byłem zaskoczony, kiedy minawszy pluton pomocników wspięliśmy się do jednopo?kojowej klatki na trzecim piętrze i zastaliśmy go w bardzo kiep?skim stanie.

Jakaś wybitnie troskliwa dusza okryła ciało kawałkiem koca.

Rozejrzałem się dokoła. Drzwi pomieszczenia wyrwano z za?wiasów. Nie mam na myśli zwykłego wyważenia, tylko zniszczenia, jakie mógłby uczynić troll, któremu się bardzo spieszyło i który nie miał ochoty bawić się w otwieranie zamków. Sam po?kój także stanowił jedną wielką ruinę, jakby nagle oszalał w nim cały szwadron wilkołaków. Krwi jednak nie było.

- Co, chłopcy, trochę was poniosło? Sadler potrząsnął głową.

- Nie, to ktoś inny. Przyszliśmy tu, kiedy nam doniesiono o ha?łasach.

- Kto to zrobił? Znow pokręcił głową.

- Zanim tu dotarliśmy, wszyscy zdążyli uciec. Wiesz, jak to jest. Nic nie widziałeś, nic nie słyszałeś, nie musisz się niczego obawiać. Złapaliśmy tylko jednego staruszka, który był trochę za wolny. Nie wiedział nic, oprócz nazwiska ofiary. Tępak był taki głupi, że nawet nie zmienił nazwiska.

- Faktycznie, inteligentny.

Ale co to oznacza? Przecież żaden z nas nie znał Holme'a Blaine'a. Trup mógł być kimkolwiek, a my nawet nie zauważyliśmy różnicy.

Rozejrzałem się znowu. Tym razem patrzyłem znacznie uważniej. Stwierdziłem, że te wszystkie szkody nie były jedynie dziełem bezmyślnego zniszczenia.

- Ktoś chciał, żeby to wyglądało na atak szaleńców.

Crask uśmiechnął się do mnie, jakbym był tępym uczniakiem, który wreszcie przejrzał na oczy.

- Ktoś czegoś tu szukał. Może jedni szukali, a drudzy zadawali pytania. A potem my wpadliśmy bez zaproszenia, więc szybko posprząтали i się wynieśli.

Ha!

- A więc dokąd uciekli?

- Zwiali. Widzieli, jak nadchodzimy.

Hm. Ciekaw byłem, po co ktoś miałby ukrywać fakt, że przeszukali pokój Blaine'a, a jego załatwili tak, żeby nie mógł o tym opowiedzieć. Czyżbyśmy mieli tutaj kogoś, kto szuka książki, a nie chce, żeby inne osoby szukające książki wiedziały, iż on także jej szuka?

Wziąłem to przypuszczenie z sufitu, ale tak mi pasowało, że zaraz zacząłem się zastanawiać, kto i dlaczego.

- Chciałeś czegoś, żebyś mógł poćwiczyć sobie myślenie - wtrącił Sadler. - No to do roboty!

Zerwał koc z Blaine'a.

Wytrzeszczyłem oczy i otworzyłem gębę. Po około piętnastu sekundach wykrztusiłem jednosylabowe przekleństwo, a po kolejnych piętnastu stwierdziłem:

- To niemożliwe.

- No. Pierwszorzędny przykład masowej halucynacji. Kurde. Wszyscy nagle zrobili się tacy dowcipni.

Blaine był pół-mężczyzną, pół-kobietą. Właściwie nawet bardziej kobietą niż mężczyzną. Począwszy od trzech cali powyżej pasa na ukoś do lewego ramienia, był nim. Poniżej, był nią. Bardzo nią. Właściwie nawet bardzo znajomą nią. Gdzieś już widziałem ten kuper.

-I co o tym sądzisz? - zapytał Crask.

Przeżułem kęs powietrza. Wytrzeszczyłem oczy.

- Chyba miał kłopoty z podjęciem decyzji - wydawałem dziwaczne odgłosy. -I pewnie miał kłopoty na randkach.

Pewnie myśleli, że w mieście stanął cyrk, a ja się przygotowuję do przesłuchania.

- Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, jak tego mądralę faktycznie zatkało - oświadczył Crask. Pewnie czekał z rok, żeby mi to powiedzieć.

- Co wiesz na ten temat, Garrett? - zapytał Sadler.

- Wiem, że to dziwaczne. Nigdy nie widziałem nic podobnego. - No nie, tylko części. Ten tyłeczek leżał przez jakiś czas w moim frontowym pokoiku.

- Jak z wystawy osobliwości.

- Nie o to mi chodzi.

Wiedziałem.

- Zero.

- Jesteś pewien? Przecież chciałeś tego faceta.

- Bo mógł mieć dla mnie parę odpowiedzi. Sadler spojrział na mnie rybitim okiem.

- Teraz chyba już nikt nic z niego nie wycisnie.

- Nie. Sądzę, że właśnie o to chodzi. - Oparłem się o ścianę, gdzie nikt nie mógł mnie zejść od tyłu, i jeszcze raz rozejrzałem się po pokoju. Ale nie było już nic więcej do zobaczenia. Ktokolwiek wykonał tę robotę, nie pozostawił żadnych śladów. I na pewno nie znaleźli tego, czego szukali, bo inaczej nie byłoby ich tutaj, kiedy pojawili się Sadler i Crask.

- I nikt nic nie widział, co?

- A jak sądzisz? Przecież to TunFaire.

Uznałem, że mieli kupę szczęścia, iż złapali tego staruszka. Powiedziałem mu to. Aż stęknął.

- Jesteś pewien, że nie masz nam nic do powiedzenia, Garrett?

- Właściwie mam. Ale dajcie mi jeszcze spokój przez minutę. Chce, żebyście zrozumieli, w czym rzecz. Nie mam klienta. Nie mam potrzeby niczego kryć. - Cóż znaczy niewinne kłamstwo między przyjaciółmi?

- Spójrzcie tylko na to! - zawołał nagle Crask. Był wyraźnie poruszony.

- Co? - spytał Sadler.

Crask pokazał palcem na ciało. Spojrzeliśmy. Nie od razu się połapałem, dopóki Sadler nie szepnął:

- Zmienia się.

Było w nim teraz nieco więcej męczyzny niż przedtem. Crask ukląkł, dotknął ciała.

- Jest tak martwy, że już stygnie. Dziwna sprawa.

- To czary - mruknął Sadler. - Nie podoba mi się to, Garrett.

- Nie patrz tak na mnie. Nie potrafię zamienić wody w lód. Skrzywili się obaj, pewni, że coś przed nimi kryją. Kiedy zaczynają się dziać dziwne rzeczy, najlepiej zwalić wszystko na Garretta.

- Wynosimy się stąd - oznajmił Crask.

- Ten plan nawet mi się podoba - stwierdziłem i ruszyłem w stronę drzwi. - Macie jeszcze jakieś inne nowiny, chłopcy? Może namierzyliscie już tych karłów?

Mieli bardzo zabawne miny.

- Jeszcze nie - bąknął Sadler. - I to też jest dziwne.

- Aha - dodał Crask. - Przecież musieli zostawić ślad. Muszą się gdzieś ukrywać.

Prawda. Ciekawe. To daje do myślenia. Gdzie mogliby się ukryć i nie ściągnąć na siebie uwagi ludzi takich jak ci, którzy pracują dla Chodo, lub którzy pracują dla ludzi, którzy pracują dla Chodo? W okolicy nie może być zbyt wielu takich miejsc.

Zatrzymałem się w drzwiach.

- Ktoś je naprawdę wysadził.

- Noo - odparł Crask. - Wolałbym się z nim nigdy nie próbof wać na ręce.

Pochyliłem się nad odłankami, szukając może jakiejś nitki ze swetra robionego na drutach, który mógł pochodzić tylko z jednej wyspy na wybrzeżu Gretch, albo czegoś podobnego. Wykonujesz pewne czynności, choć wiesz doskonale, że są bezsensowne. Kwestia dyscypliny. Czasem się to opłaca, więc robisz to za każdym razem. Dlatego, kiedy znalazłem wielką kupę niczego nie byłem rozczarowany. Moje oczekiwania zostały spełnione. Gdybym coś znalazł, szalałbym z radości. Gdybym znalazł coś ważnego, wykraczałoby to poza moje najśmielsze oczekiwania.

Sadler zatrzymał mnie w progu.

- Nie tak szybko, Garrett. Podobno miałeś nam coś do powie dzenia.

- Tak. - Wahałem się. Przekazana informacja oznacza zmniejszenie przewagi.

- No więc?

- Dowiedziałem się, że w tym, co się dzieje, macza palce jeszcze jedna osoba. Nazywa się Pani Węży. To jej właśnie ten facet miał ukraść księgę. - Blaine zmieniał się teraz coraz szybciej, może dlatego, że stygł.

- I co?

Sadler powinien się spotkać z Kałużą na dłuższą pogawędkę. Błyskotliwy gość.

- Pani Węży jest wiedźmą. Kuma się z karłami - zacząłem. Wiedzieli już chyba coś niecoś, ale nie byłem pewien, ile. Powiedziałem im wszystko, co uznałem, że powinni wiedzieć. Naprawdę nie miałem pojęcia, dlaczego ta księga była aż taka ważna.

- Wiedźma, he? - Crask obrzucił Blaine'a spojrzeniem. Szybko kojarzył, punkt dla niego.

- Tatuaż? - Sadler uniósł brew. - To by dopiero był widok. Byłby, ale zaskoczył mnie tym komentarzem. Nigdy nie wykazywał specjalnego zainteresowania w tym kierunku.

- Sądzisz, że to ona załatwiła Wiewióra? - zapytał.

- Jeśli nawet nie ona, to na pewno wie, kto.

- Znajdziemy ją i wypytamy.

- Bądź ostrożny.

Spojrzał na mnie ponuro. Jak zwykle, zastanawiały go moje cienkie dowcipy. Oczywiście, że będzie ostrożny. Przeżył swoje pięć lat w Kantardzie. Przeżył w swoim zawodzie dość długo, by wspiąć się na szczyt. Jego drugie imię brzmiało „Ostrożny“. Dość dokładnie pomiędzy „Zły” i „Zabójczy”.

Jeszcze raz spojrzałem na Holme'a Blaine'a, który nie był tak ostrożny. Wciąż nie miał mi nic do powiedzenia. Ja też właściwie nie miałem mu nic do powiedzenia.

Spełniłem obowiązek. Najwyższy czas, żebym zawlókł swój zewłok w bety. Jeśli morCartha zlitują się nade mną, może złażę trochę snu.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XX

Dom Morleya był nieco dalej. Zignorowałem własną słabość i znużenie, i ten zgiełk nad głową, i to, co się zwykle nocą dzieje na tych ulicach. Ruszyłem w stronę Domu Radości.

Ludzie-szczury robili to, co do nich należy, sprzątając po każdym, jeśli byli zatrudniani przez miasto, lub kradnąc wszystko, co nie zostało przywiązane, jeśli zatrudniali sami siebie. Było też więcej goblinów, koboldów i takich tam, niż widywałem zazwyczaj. Prawdopodobnie pogoda miała wpływ również na nocne plemiona.

Wciąż odnosiłem wrażenie, że ktoś mnie śledzi. A ja nie mogłem go zlokalizować. Zresztą, nawet się za bardzo nie starałem.

Dom Morleya był pusty jak grób. Nikogo, jeśli nie liczyć paru ludzi kacyka. Nawet Kałuża dał nogę do domu, czy gdzieś tam. To mnie sprowokowało. Nieczęsto zdarza mi się myśleć o ludziach takich jak Kałuża, Crask czy Sadler, jako o ludziach. Dom. Do licha. Ten facet ma może rodzinę, dzieciaki, kto wie, kogo jeszcze. Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Zawsze był dla mnie tylko jeszcze jednym zabijaką.

Nie chodziło o to, żeby zaprosił mnie na kolację, żebym mógł poznać jego żonę i czeredkę małych zabijaków. Wpadłem po prostu

w. taki nastrój, kiedy zastanawiałem się nad ludźmi. Skąd pochodzą, dokąd się udają, kiedy na nich nie patrzę, takie rzeczy. Pewnie zaczęło się to wtedy, gdy Chodo powiedział mi o swojej dziewczynie.

Nie jest to mój ulubiony nastrój. Sprawia, że zaczynam myśleć o sobie, o moim własnym braku miejsca i głębi w tym całym obrazie. Bez rodziny. Niewielu przyjaciół, a i o nich nie wiem zbyt dużo. Tym, czego nie wiem o Morleyu i Saucerheadzie, mógłbym wypełnić niejedną księgę. Oni też nie znają mnie aż tak dobrze. To chyba część roli bezwzględnej, szorstkiej twardziela, supermana. Cały czas na scenie, cały czas w roli.

Mam wielu znajomych. Setki. Wszyscy jesteśmy ze sobą związani siecią wyświadczonych przysług, zaciągniętych długów, stannie odnotowywanych i ważonych. Nieraz myślimy o tym jako o przyjaźni, podczas gdy to tylko cień obsesji, jaka ogarnia Chodo Contague'a.

Wszystko przez tę wojnę. W tym mieście nie ma ani jednego mężczyzny-człowieka, który nie odpracował swojej doli w piekle. Nawet ja dzielę te doświadczenia z nababami z Góry. Jeśli nawet cieszą się oni jakimiś przywilejami, prawdziwymi lub uzurpowanymi, nie należy do nich zwolnienie z wojska.

A tam, w kotle czarownic Kantardu, też pilnujesz tych drobiazków, też starasz się zachować równowagę, bo nie chcesz, żeby ten, kto ginie, był ci coś winien. A więc dzielisz z nim namiot, sztuce i menażki, obozowe ognisko, ubrania, nawet dziewczyny, ale nigdy nie zbliżasz się do niego za bardzo, bo zbyt wielu takich „nich” umrze, zanim to wszystko się skończy. Zachowujesz dystans i wtedy to tak bardzo nie boli.

Odczłowieczasz zatem swojego wroga, ale też częściowo swych towarzyszy. Poszedłbyś za nimi do piekła, w samo serce burzy, żeby ich uratować - ale nigdy nie otwierasz serca i im też nie pozwalasz tego robić.

Takie zachowanie ma sens, gdy siedzisz po uszy w tym gównie. Kiedy jednak przeżyjesz burzę i

odeślą cię wreszcie do do?mu, zostajesz z tym bagażem na zawsze. Niektórzy wracają do domu tacy jak Crask i Sadler, odarci ze wszystkiego co ludzkie.

Zacząłem się zastanawiać, co ci dwaj robili w czasie swojej służ?by. Nigdy nie pytałem. Oni sami też nigdy o tym nie opowiadali.

Wielu chłopców woli na ten temat nie mówić. Wolą zostawić to wszystko za sobą.

Potem zacząłem się zastanawiać, dlaczego wszędzie jest tak ci?cho, chociaż nocny ludek krzątał się bardziej niż zwykle. Noc nie jest wyłącznie czasem aktywności dla ras, które unikają słońca. To również czas czarnych charakterów, czas, kiedy na łowy wy?chodzą drapieżcy. Wokół nie widziałem jednak nikogo podejrzanego ani niebezpiecznego.

Sądzę, że Chodo dawał swoim chłopcom zajęcie, żeby mieli peł?ne ręce roboty, a wolni strzelcy woleli się przyczaić, by nie wpaść im w oko. A może to morCartha zrobiły się tak natrętne, że nikt, kto naprawdę nie musiał, nie chciał wyściubić nosa z domu.

MorCartha nie są aż takim problemem, jeśli się trzymać ścian budynku i uważać na głowę. MorCartha rzadko ryzykują rozwa?lenie sobie łba o mur tylko po to, żeby ukraść ci kapelusz.

O wilku mowa...

Jednostajny tenor ich napowietrznego pandemonium zmienił się nagle i dramatycznie. Rozległ się przeraźliwy wrzask, który brzmiał jak krzyk przerażenia. Pospieszne skrzydła ubijały po?wietrze na pianę. Niebo opustoszało nagle. Zapadła prawie zu?pełna cisza. Było to tak niezwykle, że zatrzymałem się i spojrza?łem w górę.

Odlamany kawałek księżycy wisiał gdzieś nisko na wschodzie, rzucając akurat tyle światła, by obrysować nim wieżyczki i pa?górki na tle nocnego nieba. Wystarczyło go jednak, by wydobyć z mroku krążący w górze kształt

Jego skrzydła rozpościerały się na dobre trzydzieści stóp. Zatoczył szeroki, łagodny krąg nad miastem i skierował się na północ.

Latający gromojaszczur. Nie wiedziałem, że polują nocami Nigdy ich wcześniej nie widywałem. Na ile zdołałem się przyj?rzyć, ten tutaj wyglądał jak prototyp smoków i innych bestii, które faceci w blaszanych gamiturkach zabijają na starych obrazach.; Przynajmniej tak mi się zdaje. Smoki z bajek to mityczne stwory. Co sprawia, że są jedynymi wymyślonymi stworzeniami w tym szalonym świecie. Cholera, kiedyś nawet natknąłem się na boga, który myślał, że jest prawdziwy.

- Garrett.

Obejrzałem się, mniej zaskoczony, niż się spodziewałem. Mu?siałem chyba wyczuć coś podświadomie.

- Winger. Właściwie miałem nadzieję, że cię znów zobaczę. Chciałem cię ostrzec. Paru niemiłych ludzi cię szuka. I nie są w najlepszych humorach.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Możesz mi o tym opowiedzieć po drodze. Ruszamy.

Nie pytałem, gdzie ani po co, ponieważ jej zachowanie obu?dziło mój gniew.

- Mam inne umówione spotkanie. Z moim łóżkiem. Chcesz ze mną o czymś pogadać, przyjdź rano. I spróbuj grzecznie poprosić.

- Garrett, na oko wydajesz się niezłym facetem, więc nie wódc?my się za łby. Nie chcę być brutalna. Lepiej chodź ze mną.

Miała jakiś problem. Poważny problem. Teraz nie poszedłbym za nią, nawet gdybym wcześniej planował to zrobić.

- Winger, ja cię nawet trochę lubię. Masz jaja i styl. Ale masz też kłopoty z manierami i kiedyś ci to zaszkodzi. Chcesz prze?trwać w wielkim mieście, musisz się nauczyć kindersztuby. Mu?sisz też

wiedzieć, z kim zadzieras, nim zdrzesz. Jeśli rozpłatasz kogoś, kto ma kumpli takich jak Chodo Contague, nie masz zbyt dużych szans, żeby pozostać w dobrym zdrowiu.

- O czym ty mówisz, u licha? - Wyglądała na rzeczywiście zaśkoczona.

- Ten facet, którego pochlastałaś w alejce na Perłowej. Kilka tysięcy jego kumpli szuka cię teraz po całym mieście. Na pewno nie poklepią cię po plecach i nie powiedzą, że odwaliłaś kawał dobrej roboty.

- Co? Nikogo nie pochlastałam.

- Mam taką nadzieję. Ale śledził cię, kiedy to się stało. Kto inny mógłby to zrobić?

Rozmyślała nad tym przez jakieś pół minuty. Potem rozchmużyła się. Widocznie doszła do wniosku, że nie ma się czym przejmować.

- Chodź.

- Niemądrze, Winger. Naciskasz i nie zdajesz sobie sprawy, co robisz.

Ależ z niej uparte babsko. I jest o wiele za bardzo pewna siebie. Może tam, skąd pochodzi, mężczyźni nie potrafią się bronić przed kobietami. Może przyzwyczała się do ich wahania.

Do diabła, sam mógłbym się powahać. Ale pozwoliła mi się wygadać i dzięki temu doszedłem do siebie.

Wyjęła wykałaczkę, niewiele różniącą się od mojej łamigłówek. Więc ja wyjąłem swoją, zastępczynię tej, którą posiałem koło Fortu Karłów. Zaczęła od markowanych ciosów, żeby wreszcie wałnąć mnie w głowę. Nie byłem skory do współpracy. Moja głowa już i tak nieźle ucierpiała.

Ominąłem jej zasłonę, przejechałem po paluchach, potem po łokciu, gdzie ból zelektryzował ją na chwilę, a potem wałnąłem w czerep, aż jej własna pała potoczyła się po ulicy.

- Tak się tego używa, siostrze.

Nie była zbyt dobra. Ofensywna jak rozjuszony byk. Nie wyglądała na rozgniewaną tym, że ją tak szybko rozbroiłem. Była najwyżej zaskoczona.

- Jakim cudem jesteś tak cholernie szybki?

- Istnieją tylko dwa rodzaje Marines, Winger. Ci szybcy i ci martwi. Lepiej wbij sobie coś niecoś do głowy teraz, zanim jeszcze trafisz na kogoś, kto to robi za ciebie. W tym mieście nie ma ani jednego cholernego faceta powyżej dwudziestego trzeciego roku życia, który nie był dość szybki i dość twardy, żeby przeżyć pięć lat w Kantardzie. Wielu z nich jest takich, że jeśli się na nich zamachniesz, rozwałą ci łeb i zostawią ludziom-szczurom, nawet się nie oglądając. Zwłaszcza ci, którzy cię teraz szukają. Oni lubią rozwalać ludzi.

- Powiedziałaś, że nikogo nie zabiłam. Jeszcze nie.

- No to lepiej załatw to tak, żebyś mogła im powiedzieć, kto to zrobił.

Uniosła brwi. Dziwna kobieta. Wcale się nie bała. Jeśli ktoś nie ma dość rozumu, żeby bać się Chodo Contague'a, należy obawiać się o jego zdrowy rozum...

- Bądź ostrożna - powiedziałem. - Wróc rano, jeśli jeszcze będziesz chciała pogadać.

Odwrociłem się i ruszyłem w stronę domu.

I niech mnie pokręci, jeśli nie spróbowała jeszcze raz. Goły mi rękami.

Refleksy wciąż działały. Odkoczyłem w bok, wystawiłem nogę, podcinając ją i w locie jeszcze złapałem za kudły.

- To już dwa razy, Winger. Nawet mili chłopcy mogą stracić cierpliwość. Odwal się.

Puściłem ją i ruszyłem do domu.

Tym razem komunikat do niej dotarł.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXI

Dean omal nie wyleciał na pysk, kiedy przyszedł obudzić mnie na poranny bieg. Jeśli chodzi o nieuleganie wymówkom, jest gor?szy niż mamuśka.

- Zacząłeś, to rób - oświadczył. - Chcesz biegać, to będziesz biegał codziennie.

Grumbel grumbel grikkle snakfortz. Idź się powieś i przyjdź powiedzieć, czy sznur mocny. Powiedziałem mu coś w tym stylu. Walczyłem dzielnie, dopóki łajdak nie poszedł po lodowatą wodę. Wtedy zółć się we mnie zagotowała. Zrobiłby to, choler?ny sukinfrajer. A ja nie chciałem aż tak pozostać w betach.

Carla Lindo rozświetlała właśnie kuchnię, kiedy się do niej wturlałem. Wybulgotałem jakieś powitanie.

- Czy on zawsze jest rano takim słodkim słoneczkiem?

- To jeden z jego lepszych poranków - oświecił ją Dean. Dzięki, stary łotrze. Walnął w stół przed moim nosem kubkiem herbaty z miodem. Bekon smażył się na patelni, ciasteczka pie?kły się w piecu. Ich zapach był boski. Dotarło do mnie, że chy?ba nie był w domu. Pewnie, nie było sensu. Nie miałyby czasu się wyspać.

Jego siostrzenice są do tego przyzwyczajone. Wiedzą, że coś się u mnie dzieje. A gdyby tak jeszcze zapomniały, że jego nie?obecność w domu może służyć jako pretekst, żeby się tu kręcić, gotując, piekąc, trzepocząc rzęsami i szpecąc całe otoczenie...

Popijałem herbatę i gapiłem się w przestrzeń... Nic więcej nie działo się w mojej łepetynie. Carla Lindo gapiła się na mnie, ale nic nie mówiła. Była troszeczkę zachmurzona. Widocznie jej pew?ność siebie doznała szoku.

Możesz przypuszczać, że poranek to nie jest mój najlepszy czas w ciągu dnia. I może masz rację. Czekam, aż jakiś geniusz wy?myśli sposób na dzień bez poranka. Smutna prawda jest taka, że jaki poranek, taka często cała reszta dnia.

- Jak się pan dzisiaj czuje? - zapytała wreszcie Carla Lindo.

- Czarno i niebiesko. Moje siniaki są posiniaczone. - Kiedy się ubierałem, to nie był miły widok. Widywałem już rozkładaj?jące się trupy w lepszym stanie.

Dean wyciągnął ciasteczka. Ustawił blachę bezpośrednio na podstawce pośrodku stołu.

- Powinieneś dogadać się z Jego Kościstością. Mógłby wyjść trochę i pobiegać, a ty byś gnił w łóżku, ile wlezie.

Rankami używa sobie na mnie, ile wlezie. Dogryza mi do wo?li, bo wie, że mój mózg jeszcze nie działa. Najlepsze, na co mnie wtedy stać, to groźba, że go pošlę na bezrobocie. Bardzo darem?na groźba, nawet jak na mnie. Stary, cwany łotr nie gra uczciwie. Stał się niezastąpiony.

- Dowiedziałeś się czegoś wczoraj? - zapytał, podając bekon.

- Tak. Ta Winger chyba nie bardzo jarzy, w co wdepnęła - opo?wiedzialem mu całą historię. Zaśmiał się radośnie.

- Nie wierzyłem, że to ona zabiła tego gościa.

- Światowy mistrz w ocenie charakteru - skomentowałem. -Ktoś posłał Wiewióra do kraju wiecznych łowów, Deanie. I te?go Blaine'a też.

To wreszcie poruszyło Carlę Lindo.

- Co? - Wydawało się, że osłupiała.

- Ktoś go wykończył. Rozwalił drzwi, rozchrzanił pokój, a je?go zostawił martwego.

- Księga!

- Tak sędzę.

- Niech to! Znowu ją ma! - Zerwała się z miejsca i zaczęła krążyć po kuchni. Nie byłem aż tak pogrążony w porannym otępie?niu, żeby nie poczuć szmerków tu i tam. - Co ja teraz zrobię? Ojciec tak na mnie liczył.

- Spokojnie, maleńka. - Jejku, ależ to był widok, kiedy się podniecała. Cała podskakiwała, dygotała i tak dalej... - Ktokol?wiek to zrobił, nie znalazł księgi. Jeśli tego właśnie szukał. Nie twierdzę, że nie próbowali, ale im przerwano.

-A wiec...

- Nie było jej tam. Carla kochanie, usiądź wreszcie. Rujnujesz moją koncentrację. O, tak lepiej. Jesteś pewna, że wszystko mi dokładnie opowiedziałaś? Nie zapomniałaś o czymś, co by nadało sens temu, co się teraz dzieje?

Pokręciła głową, robiąc wielkie, zbolale i urażone oczy. Nie wierzyłem, że mówi prawdę. No, może, z jej punktu widzenia i z punktu widzenia jej wersji. Ale czułem przez skórę, że musi tam być coś jeszcze.

Śniadanie zazwyczaj rozjaśnia mój sposób patrzenia na świat. Do niedawna byłem znany z tego, że ruszałem na poranne przebieżki z uśmiechem na facjacie.- Ten ranek miał być wyjątkiem. Tego ranka humor psuł mi się z minuty na minutę. Nie skończyłem jeść.

Odsunąłem krzesło i wstałem od stołu. Carla Lindo wciąż jesz?cze wsuwała, aż miło. Ciekawe, gdzie te filigranowe dziewczuszki to wszystko mieszczą?

- Idę zobaczyć się z Jego Tłustością - oznajmiłem i wymaszerowałem. Dean wydawał się urażony, jakbym powiedział coś brzydkiego na temat jego kuchni.

Kiedy wszedłem do pokoju Truposza, nadal nie byłem w sło?necznym nastroju. Wparowałem jak bomba, warcząc:

- Nie śpisz?

Teraz już nie, o Tarczo Chroniąca przed Mrokiem.

- Co?

Była to moja chwalebna, aczkolwiek daremna próba rozja?śnienia twojego ponurego i odrażającego nastroju. Porzucam ją niniejszym. Nie ma nadziei. Przypomnij sobie wydarzenia wczorajszej nocy.

Przypomniałem sobie wydarzenia wczorajszej nocy. Nie oszczędzałem szczegółów. Wreszcie, kiedy skończyłem, oświad?czyłem:

- Jestem otwarty na sugestie.

Moim zdaniem najlepiej byłoby zaryglować drzwi frontowe i nie odpowiadać na pukanie, dopóki świat sam się nie wypro?stuje.

To niezbyt praktyczne, Garrett. Śmierć Blaine'a to rzeczywi?ście pech. Ale zgadzam się z tobą, to mało prawdopodobne, aby jego mordercy znaleźli Księgę Snów. Chyba, że panowie Sadler i Crask nie mówili ci całej prawdy.

- Co? - Byłem już gotów, żeby stawać w zawody z Kałużą.

Podejrzewam, że Chodo Contague byłby bardzo zainteresowa?ny tą Księgą Snów, gdyby dowiedział się o jej możliwościach i działaniu. Byłby nią doprawdy ogromnie zainteresowany, bio?rać pod uwagę jego kondycję.

- Co? - Znowu to samo.

Myśl! Przebłyśk zniecierpliwienia. Rozmawialiśmy o tym już wczoraj!

Wrzeszcz, do cholery. Wyj, drzyj się, wal. Gdyby Chodo wie?dział, co może zdziałać Księga Cieni, gnałby za nią z wywieszonym ozorem jak człowiek-szczur na haju za trawką. Założę się, że na żadnej stronicy z całej setki nie było ani słowa o starym truchle przykutym do fotela na kołach. Mógłby być znowu młody, tańczyć na weselach i pogrzebach. Głównie na pogrzebach. Mógłby uganiać się za dziewczynami i wreszcie coś zrobić, kie?dy już je złapie. Nie wspominając o tysiącu cudownych sposobów, w jakie mógłby ją wykorzystać w swoim zawodzie.

Taaak, Chodo i księga nie byli dla siebie przeznaczeni.

- Mam, Śmieszku. Jestem powolny, ale już mam.

Doskonale. A wiec przyszedłeś w istocie po to, żebym ci po?więdnął, co masz dalej robić. Aby uniknąć niechcianego wysił?ku zadecydowania o tym osobiście. Doskonale. Po pierwsze, o ile to w ogóle możliwe, unikaj kontaktów z ludźmi pana Chodo. Po?staraj się wyrzeć wrażenie, że straciłeś zainteresowanie tą sprawą i nie zamierzasz jej dalej ciągnąć. Aby stworzyć podstawy dla takiej gry, proponuję, byś zaczął od odwiedzenia panny Tate. Przyjmując, co jest wielce prawdopodobne, że znajdziesz ją szybko dochodzącą do siebie, masz już podstawę, by wykazać brak dalszego zainteresowania sprawą. Zrób to natychmiast po porannym biegu.

- Jakim porannym biegu? - zapytałem, tknięty jak najgorszym przecuciem.

A on wskoczył na najwyższego konia, prawiąc mi kazanie na temat zachowania reżimu kultury fizycznej. Oczywiście, miał ostatnie słowo. Zazwyczaj je ma. Jest bardziej uparty, ale to dla?tego, że ma więcej czasu. Może się kłócić przez całą resztę mo?jego życia, jeśli zapragnie.

Musisz także nawiązać kontakt z tą damą, Winger. Spotkanie z jej zleceniodawcą może być doprawdy bardzo pouczające.

- I bardzo śmiertelne.

Nie mamy pojęcia, kim jest i gdzie go wpasować. Samo jego istnienie dodaje jednak wiarygodności twojemu mylnemu podejrzeniu, że Księgi Snów szukają więcej niż dwie grupy.

Nic nie mogę przed nim ukryć. Nie na dłuższą metę. Do licha. Wydawało mi się, że ukrywam tę myśl bardzo sprytnie. Czuję, jak się puszy swoją przenikliwością.

Są jeszcze dwa dodatkowe wątki do zbadania. O ile czas po?zwoli. Posunięcia i kontakty niejakiego Blaine 'a, zanim go spot?kał zły los. Oraz miejsce obecnego pobytu twojego przyjaciela, pana Dotesa.

Wyczułem, że chyba martwi się o Morleya. Sam też trochę się o niego martwiłem. Nikt go nie widział już od jakiegoś czasu. Nie zniknąłby przecież... Chyba że się kryje, bo ma zadanie do wykonania, albo naprawdę mocno troszczy o swoje zdrowie. Jeśli jeszcze je ma.

Wydawało mi się jednak, że za wcześnie na troski. Nie było go dopiero od niedawna.

- Pewnie nigdzie nie wyjechał. Po prostu nie było go w do?mu, kiedy ja tam byłem. Nie ma takiej ustawy, która nakazywa?łaby mu czekać, aż się łaskawie pojawię. Może. Ale i tak...

- Sprawdź, co z nim. - Wyglądało to na początek kolejnego pracowitego dnia. Oczekiwałem go mniej więcej z takim samym entuzjazmem, z jakim oczekuję artretyzmu.

Idź. Wybiegaj się. Odwiedź pannę Tate. Odwiedź pana Dote?sa i jego restaurację. Wracaj na lunch. A ja tymczasem pogadam sobie z panną Ramadą i przygotuję dodatkowe propozycje.

Wierzyłem, że to zrobi. Prawdopodobnie propozycje te obejmą trucht do Kantardu i z powrotem.

Ach. Rzeczywiście. Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś. Miej uszy otwarte na nowiny o Glorym Mooncalledzie. Wkrótce spodziewam się wieści o ważnych wydarzeniach.

Co takiego? Czyżby wymyślił coś, czego nie dostrzegł nikt in?ny? Może. W końcu przewidział

bunt Mooncallea, przynajmniej częściowo.

On i jego cholerne hobby. Dlaczego nie może zbierać monet lub zużytych gwoździ, jak ktoś normalny? I jeszcze do tego to ja muszę wszędzie zasuwać. Wróciłem do kuchni na jeszcze jedną filiżankę herbaty. Śniadanie w moim żołądku zaczęło już trochę działać. Byłem w stanie nieco lepiej docenić pannę Carlę Lindo. Pobłażałem sobie przez chwilę, dopóki Dean nie zaczął burczeć, że zawadzam. Ale o Carli Lindo nic nie powiedział, no nie? Nawet jeśli ogólnie nie cierpi, kiedy mu ktoś pomaga, bo to go wytrąca z rytmu i psuje rutynę.

- No to wyruszam na moją kampanię samoumartwienia. Nikt nie wydawał się tym specjalnie podniecony.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXII

Kiedy wyszedłem na ganek, zatrzymałem się na chwilę, żeby zaczerpnąć kilka haustów zdrowego, gęstego powietrza Tun?Faire. Było co prawda nieco rzadsze niż zwykle, głównie z powodu ładnej pogody, ponieważ nikt nie ogrzewał domu. W ogóle było jakoś słabo przyprawione, ale nie tęskniłem za tym. Rozejrzałem się wokoło.

Niech mnie! Słońce jeszcze niezupełnie wstało, a ja już wiedziałem, że to nie będzie jeden z moich najlepszych dni.

Winger kręciła się już na podjeździe, nie kryjąc się wcale, ale zachowując taką odległość, aby pozostawać jakieś dziesięć jardów poza zasięgiem Truposza. Musiała chyba popracować w domu.

Nie martwiła mnie aż tak bardzo jak inne podejrzane typy, które kręciły się w okolicy, pilnie udając niewidzialnych. Nie było pomiędzy nimi ani jednego karła. Oględnie i grzecznościowo można powiedzieć, że wszyscy byli ludźmi. Choć nie takimi, jakich chciałbyś widzieć w domu na kolacji. Chłopcy o nosach jak kalafior, o wspólnej inteligencji niniejszej niż u przeciętnego tępego oposa. Było ich czterech. Z Winger? Nie miałem pewności.

Wyglądało na to, że ich nie widzi. Oni jej też nie. Chłopcy Chodo? Nie, to nie ten typ. Dłuższą chwilę zajęło mi dojście do tego, co ich różniło.

Nie byli czysti. Właściwie byli wręcz brudni. Chłopcy Cho?do muszą zachować pewien minimalny poziom higieny osobistej, sposobu ubierania się i dbania o siebie. Ci tutaj chyba nigdy nie słyszeli o takich rzeczach. W każdym razie Chodo ma dla mnie więcej szacunku, bo przysłał Craska i Sadlera.

A zatem kto? Pani Węży? Przecież ona woli karłów, ogry i tym podobne.

Wszystko to przemknęło mi przez głowę w ciągu kilku sekund. Rozważałem, czy nie zawrócić do środka, nie zaryglować drzwi i skończyć z tym wszystkim. A potem się wkurzyłem.

Przez cały czas przeciągałem się, ziewałem, udając, że nic nie zauważyłem. Zeskoczyłem z kilku schodków i skręciłem na prawo, tyłem do Winger, poskakałem trochę dla rozgrzewki i wyprysnąłem do biegu.

Szybko. Zaskoczyłem ich. Dwójka po tej stronie, w którą biegłem, oderwała się od ścian i wymieniła spojrzenia, mówiące: „co teraz?”. Pierwszego minąłem, nim jeszcze zdążyli podjąć decyzję.

A potem zacząłem wiać.

Ktoś jeszcze wszedł do gry. Obok mojego ucha śmignęły trzy bełty, wystrzelone z dachu po drugiej stronie ulicy. Nie wiem, dla?czego zaczęli strzelać dopiero wtedy, kiedy ruszyłem, choć nie zwlekałem zbyt długo ze startem, a oni być może musieli się do?piero rozbudzić. Najcelniej wystrzelony bełt przeleciał o kilka stóp ode mnie, za wysoko. Rzuciłem szybkie spojrzenie przez ramię i ujrzałem, jak mała kula włosia znika za krawędzią jedyne go pła?skiego dachu po tej stronie ulicy.

Pędem minąłem drugiego zbira. Z pięty na palce, z palców na piętę, jakby to miało cokolwiek pomóc. Ludzie pierzchali przede mną jak przerażone kurczaki. Skakałem po stertach końskich bob?ków, leżących tu od chwili, kiedy przechodziła tedy ostatnia grupa ludzi-szczurów. Ostatni z kapusiów ruszył za mną, ale oczy?wiste stało się, że wiódł bardzo niezdrowy tryb życia. Nie

wytrzymał nawet jednej przecznicy.

Skrpiciłem w zaułek, potem w alejkę, przeskakując i omijając ślalomem doborowe towarzystwo chrapiących pijaków i ludzi-szczurów pykających swoją trawkę, zdziczałych psów i łownych kotów, a nawet jedną poturbowaną morCarthę, skierowałem się w zawsze tłoczną ulicę Wodapt i pograżyłem w tłumie przechodniów.

Ale łatwo mi poszło. Żadnych problemów, dopóki nie zechcę wrócić do domu.

No cóż, solidne wmieszanie się w gawiedź zajęło mi trochę czasu, bo tak zipałem, dyszałem i prychałem, że wszyscy przede mną uciekali.

Znowu wściekłem się jak diabli. Co się dzieje z tą bandą karłów, czemu tak za mną łążą? Co ja im do diaska zrobiłem? A jeszcze ta Winger... Miałem ochotę przełożyć ją przez kolano. Tyle tylko, że była większa ode mnie i samo przekładanie mogłoby kosztować mnie więcej wysiłku, niż byłem w stanie wytrzymać. Ale i tak miałem wszystkiego serdecznie dość. Byłem gotów, żeby zacząć się odgryzać.

Powędrowałem do domostwa Tate'ów i spędziłem godzinkę u wezglowia Tinnie. Szybko wracała do zdrowia. Sam ogień i kwas solny. Zafundowaliśmy sobie małą awanturkę, a ponieważ nie było szans na przeproszenie, wyszedłem stamtąd jeszcze bardziej ponury.

Minął zaledwie czas śniadania, a dzień już zapowiadał się wyjątkowo wszawo.

Nim zdołałem na dobre zwiąć, dorwał mnie jeden z rozlicznych bratanków.

- Wuj Willard chce się z panem widzieć, panie Garrett.

- Jasne. - Tylko tego mi było trzeba. Bliskiego spotkania z głową rodu Tate'ów. Czułem się podle, ale jakoś nie mogłem się zdożyć na porządną kłótnię. Od czasu, kiedy się znamy, biedak przeżył już niezastuzenie tyle zmartwień, że nie w porządku byłoby przysparzać mu ich jeszcze więcej.

Wszedłem tam z pokojowym nastawieniem, gotów bez zmużenia oka przyjąć wszelkie obelgi z jego strony.

Siedział przy swoim warsztacie. A gdzieżby indziej? Kiedyś powiedział mi, że w żyłach jego rodziny płynie trochę elfiej krwi.

Zacząłem się zastanawiać, czy coś mu się nie pomyliło i czy to przypadkiem nie była krew karłów. Wydawał się maniakiem pracy.

Spojrzał na mnie wybałuszonymi oczami, z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Proszę usiąść, jeśli pan chce, Garrett.

- Coś ważnego? - Przysiadłem na stołku.

- Rozumiem, że szuka pan ludzi odpowiedzialnych za to, co się stało Tinnie.

- Coś w tym rodzaju.

- Co to znaczy: „coś w tym rodzaju”?

Wyjaśniłem. Ciekaw byłem, ile jeszcze razy przyjdzie mi opowiedzieć tę historię i w ilu wersjach, zanim wreszcie dadzą mi spokój.

Tate słuchał uważnie. Wiedziałem, że bez trudu wyczuwa, w których miejscach ostrożnie omijałem prawdę, ponieważ chciałem coś zachować dla siebie.

- Rozumiem - mruknął wreszcie. Przez jakieś pół minuty rozmyślał mozolnie.

- Chciałbym się spotkać z osobą, która wysłała kogoś, żeby zabił Tinnie, panie Garrett.

- To była pomyłka co do osoby. Na pewno.

- Zdaję sobie z tego sprawę, panie Garrett. Ale Tinnie i tak została ranna. Ciężko ranna. Gdyby nie pan i pański przyjaciel, już by nie żyła. Gdyby nie pańska interwencja. Długo nad tym myślałem. Chciałbym spotkać się z osobą, która jest za to odpowiedzialna. Dobrze zapłacę za taką możliwość.

Musi przecież jakoś zagaić, nie? Ale w porządku.

- Znajdę ją. Albo jego.

- Jego? Miałem wrażenie, że posadzał pan tę wiedźmę...

- Panią Węży? Dość prawdopodobne. Ale, jak powiedziałem, w miarę upływu czasu przekonuję się coraz bardziej, że ma?czał w tym palce jeszcze ktoś inny. Ktoś, kto działa na szkodę Pani Węży. I jeszcze ktoś, kto przeszkadza.

- Blondynka. - Skinął głową. - Może ją pan wypytać.

- Jasne. - Ciekawe, czy mi na to pozwoli. - A jeśli już o niej mowa, powiada, że jej szef nazywa się Lubbock. Mówi to panu coś? Słyszał pan kiedy to nazwisko?

Nie wahał się ani chwili.

- Lubbock Crister, garbarz, Lubbock Tool, woźnica. Frith Lubbock, hurtownik artykułów spożywczych. Yon Lubbock Damascen, agent przewozowy. Ze wszystkimi prowadziłem interesy, te? raz albo wcześniej. Pewnie jest ich jeszcze więcej. Z historii, masz Marshalla Lubbocka, generała imperialnego. Masz Candide Lub?bocka, czarnoksiężnika, i jego córkę, Arachne, kobietę o tak czar?nym sercu i duszy, że do dziś matki straszą nią dzieci.

- Dobrze. Świetnie. - Nigdy nie słyszałem o żadnym z nich, z wyjątkiem ostatniej dwójki, ale chyba miał rację. - Tam aż roi się od Lubbocków. A nasz Lubbock prawdopodobnie wcale nie nazywa się Lubbock. Może to nawet Pani Węży pod przybranym nazwiskiem.

Staruszek znowu pokiwał głową, aż włosy mu zatańczyły. Pod?niósł swoje TenHagensy, nasadził na nos. Audiencja skończona. Wraca do pracy.

- Dziękuję, panie Garrett. Proszę mnie informować o wszystkim, kiedy znajdzie pan wolną chwilę. I niech pan odwiedza Tinnie. Dziewucha nie ma wielu przyjaciół.

- Oczywiście.

- Leo! - zawołał jednego ze swej hordy bratanków. - Odpro?wadź pana Garretta do drzwi.

Musi być pewien, że nie zabłądzą gdzieś po drodze.

Wyszedłem na ulicę z dziwną ulgą w sercu, jakbym właśnie wypełnił jakiś niesympatyczny obowiązek, coś w stylu wizyty u ciotki, odwiecznej starej panny, a teraz na powrót mógłbym za?jać się ważnymi sprawami. Kiedy zorientowałem się w swoich uczuciach, poczułem się nieco dziwnie. Tinnie nie była starą pan?ną, którą samotność zmieniła w skwaśniałą jędzę. Muszę lepiej przyjrzeć się uczuciom, jakie do niej żywię.

Zatrzymałem się, oparłem o ścianę i rozpocząłem proces samoanalizy, zastanawiając się jednocześnie nad kolejnym ruchem.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXIII

Nie sądzę, żebym ustanowił rekord w skoku wzwyż bez rozbiegu, ale poderwałem się jak na skrzydłach.

- Garrett!

Opadłem na ziemię i stanąłem przed Winger, wiedząc, że gdyby chciała, już byłbym martwy.

Nieżyły przekręt. Bogowie nie dadzą mi kolejnej szansy wyjścia cało z drzemki na stojąco pośrodku ulicy.

- Cześć, Winger. - Miałem nadzieję, że głos mi za bardzo nie drży.

Jakim cudem znalazła mnie tak szybko?

Pracowała. Założę się, że posłuchała mojej rady i popracowała w domu. Jeszcze jest dla niej nadzieja.

Rozejrzałem się dokoła. Nie zauważyłem chłopców, którzy mnie ścigali.

- Gdzie twój brunos?

- Co?

Zapomniałem, że jest spoza miasta. Nie zna grypsery. Brunos to wynajęte zbiry najniższej klasy.

- No, ci twardziele, którzy byli z tobą pod moim domem.

- Nie byli ze mną. Nie wiedziałam, że tam są, dopóki nie uciekłeś, a oni za tobą.

- O? - Bogowie rzeczywiście mają piecze nad durniami. - Może powinnaś pomyśleć o znalezieniu innej roboty. W tej profesji nie pożyczysz długo.

- Może nie. - Wzruszyła ramionami. - Ale jeśli pójdę na tamten świat, to robiąc to, co chce, a nie zdechnę z wycieńczenia od pracy na roli i wysiadywania dzieciaków.

Miała swoje racje. Jednym z powodów, dla których robię to, co robię, jest pozycja szefa, a nie przerażonej istoty uwikłanej w sieć zobowiązań i odpowiedzialności.

- Wiem, o co ci chodzi.

- To już jutro, Garrett. A Lubbock się niecierpliwi. Ciężko, pomyślałem.

- W porządku, prowadź. - Westchnąłem.

Ruszyła w stronę Góry. Pozwoliłem, żeby szła przodem, a sam tylko dotrzymywałem jej kroku, milcząc. Kroczyła, jakby rzeczywiście dopiero co odeszła od pług. Troszkę szkoda. Jeśli się jej dobrze przyjrzeć, wcale nie wyglądała tak źle jak na pierwszy rzut oka. Była wcale niebrzydka, tylko zbudowana w trochę większej skali. Jak na mój gust o wiele za duża. Wyobrażałem sobie, że można ją całkiem ładnie doczyścić. Jeśli pozwoli.

- Miałaś może okazję przyjrzeć się trochę tym pajacom, którzy szli do mnie z dachu?

Wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Zrobiłam coś jeszcze lepszego, Garrett. Zasadziłam się na nich, kiedy schodzili. Skopałam im tyłki i połamałam zabawki.

- Wszystkim?

- Było ich tylko czterech. Małe, kosmate chłopaczki. Uparciuszki. Cała sztuczka z nimi polega na tym, żeby znaleźć się zbyt blisko jak na strzał z kuszy, a za daleko, żeby cię dosięgli. A potem popracować nogami. - Odsunęła się, wyrzuciła w górę stopę. Ta?kich butów, jak te, nie widziałem, odkąd opuściłem Marines. Po?trafią zrobić z gościa miazgę. Jeśli masz dość siły, żeby je unieść.

- Dlaczego to zrobiłaś?
- Przeszkadzali mi. Nie przydałbyś mi się najeżonyiny ich strzałkami.
- Mnie też by się to nie podobało. Szkoda, że nie wiem, skąd się wzięli.
- Te futrzaki?

- Właśnie te, Winger. To już trzeci raz próbują mnie dopaść. - Na samo wspomnienie zacząłem patrzeć na świat nieco bardziej entuzjastycznie.

Rzeczywiście, szliśmy w stronę Góry. Jej szef to pewnie strażnik burzy lub lord ognia, albo... usiłowałem sobie przypomnieć, kto z elity czarnoksiężników mógł akurat teraz być w mieście. Nikt nie przychodził mi do głowy. Każdy, który był kimś i miał dość lat, siedział w Kantardzie, pomagając w polowaniu na Glory'ego Mooncalleda.

Gdybym należał do rasy polityków, byłby to doskonały moment, żeby zacząć piąć się w górę. Nasi panowie nie pozostawili tu nikogo, kto mógłby pilnować porządku. Ale nie jestem politykiem. Podobnie jak wszyscy inni. Dlatego ciągle tak sobie żyjemy i żyjemy, jak żyliśmy od dawna - no, chyba że Mooncalled wywinie jeszcze większy numer i załatwi ich tak, że żaden nie wróci do domu.

Po dłuższym namyśle Winger mruknęła:

- Nie wiem, skąd się wzięli, Garrett. Ale mam wrażenie, że chyba wiem, dokąd poszli.

- Ach tak? - No, rusz się, Garrett, użyj swojego sprytu i czaru. Wstrząśnij tą żeńską istotą i spraw, żeby z zachwyty pogubiła skarpetki.

- Dwadzieścia marek. W srebrze. Po spotkaniu z Lubbockiem. Ze mną jak z dzieckiem: za rączkę i do łóżka...

- Dam ci trzy. - Więcej i tak nie miałem przy sobie.

- Twój zadek, nie mój. Jeśli uważasz, że nie jest wart dwudziestu marek, nie będę się spierać.

Niektóre istoty płci żeńskiej mają prymitywne poczucie wartości i dziwnego nosa do zysku na czyjejś tragedii.

- No, niech będzie pięć.

Nie odpowiedziała, szła tylko dalej w stronę Góry. Dobra. Przyjdzie koza do wożą Pięć marek to kupa forszy dla dziewczyny ze wsi.

W przeczniczy przed nami pojawiło się kilku karłów.

- Dziesięć! - rzuciłem.

A oni nawet nie spojrzeli w naszą stronę. Ani im się śniło. Zapracowani biznesmeni.

Winger udała, że nie słyszy.

W porządku. Wiem. Dałem ciała. Ale trochę się zdenerwowałem. Każdy by się zdenerwował, gdyby stado karłów próbowało go załatwić, skoro tylko wytknie głowę z domu.

Dean też nie pozwala mi się targować.

Nie przestałem ani na chwilę mieć się na baczności. Ani na sekundę. Zresztą nie zauważyłem niczego niepokojącego, jeśli nie liczyć faceta, który mignął mi w uliczce. To mógł być Crask, ale widziałem go z daleka i nie miałem żadnej pewności. Mimo to uśmiechnąłem się do siebie. To całkiem niezła karta przetargowa.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXIV

Zatrzymałem się, przyjrzałem naszemu celowi.

- Daj spokój, Garrett. Przestań się gapić.

- Chcę się najpierw trochę rozejrzeć. - Dom wyglądał jak kosz?marna wizja nawiedzonego zamku w miniaturze, przytulisko zgrzy?białych wilkołaków i wampirów z próchnicą. Był to oczywiście za?mek, ale nie większy niż otaczające go posesje. Skala mniej więcej jeden do czterech. Cały z czarnego, brudnego kamienia.

- Wesolutki przytulny bungalow. To tu mieszka Lubbock? -Widziałem już wcześniej ten dom, ale nie zwracałem na niego uwagi. Jeszcze jedna posesja jeszcze jednego dupka z Góry. Nic o nim nie wiedziałem.

- Tak. Jest jego właścicielem, ale, jeśli mam być szczerą, nie sądzę, że naprawdę nazywa się Lubbock.

- Nie! Serio?

Posłała mi podwójnie wredne spojrzenie.

- Co o nim wiesz?

- Zajmuje się wytopem metali. To jego biznes. Królewskie kon?trakty. Bardzo bogaty. Podśledzałem, mam zawsze uszy szeroko otwarte. Jest trochę dziwakiem.

- Można tak powiedzieć.

- Staraj się zachować powagę.

Znów ruszyłem przed siebie. Bardzo powoli.

Spodziewałem się strażników zombi przy bramie. Może zombi gnomów, ponieważ zamek jest jakby skurczony.

Czarne stalowe pręty tkwiły w nielicznych oknach. Zwodzo?ny mostek-zabawka nad fosą-zabawką miał może z pięć stóp dłu?gości. Znad bramy zwisały nieludzkie, wyszczerzone czaszki. Z ich nozdrzy unosiły się smutki dymu. Oleiste pochodnie, choć był biały dzień. Gdzieś w głębi grupa muzyków przygrywała ponurą melodię. Tuzin morCartha przysiadł na wieżyczkach ni?czym żywe gargulce. Rzec by można, że ten facet naprawdę jest dziwakiem.

Gość, który już dostał się na Górę, z reguły kupuje lub budu?je tutaj swój wymarzony domek.

Zatrzymałem się, zmierzylem wzrokiem morCartha. Wygląda?ły na pogrążone w letargu.

- Nie stójmy na ulicy - odezwała się Winger. - Idziesz? Bez zmrżenia oka przeszła przez mostek.

- Jasne - odparłem. - Ale zastanawiam się, czy to rzeczywi?ście taki dobry pomysł.

- Przestań się zamartwiać. - Roześmiała się. - To tylko na po?kaz. To prawdziwy szajbus.

Przebiera się i udaje czarownika, ale jedyną sztuczką, jaką zna, jest znikanie jedzenia z talerza.

Pewnie tak jest. Gdyby miał prawdziwy talent, byłby w Kan?tardzie, próbując ocyganić Glory'ego Mooncalleda.

Lokaj, który wyglądał na nie całkiem żywego, wyszedł nam na spotkanie i bez słowa zaprowadził do małego, ponurego przedpokoju. Ściany były ozdobione łańcuchami, pejczami i in?nymi antycznymi przyrządami o niewiadomym przeznaczeniu, którego nawet nie próbowałem się domyślać. Galeria portre?tów czarnych charakterów o demonicznych gębach pełniła ro?lę przedstawicieli sztuk pięknych. Było tam jeszcze paru innych gości, których powinienem był znać z historii, ale nie

uwaga?łem na lekcjach. Mieli takie miny, jakby to oni kształtowali naszą historię.

Pojawił się Lubbock.

Truposz wyglądałby przy nim jak smukły, wysportowany młody dzieńec. Pewnie miał z sześćset funtów żywej wagi. Nosił idio?tyczny czarny chałat czarownika, który wyglądał tak, jakby Lubbock uszył go sam. Materiału wystarczyło by na namioty dla całego batalionu. Gdyby miał tyle mocy, na ile chciał wyglądać, zamknę?liby go za dezercję.

Lubbock uśmiechnął się, grymas ten utonął w górzystym krajobrazie jego twarzy. Przypominał mi świecę, z której spływa stopiony воск.

- Ach, Winger. Wreszcie przyprowadziłaś mi tu tego gościa. Zapłać jej, Epidemio...

Kobieta, która wyglądała jak babka lokaja, podała Winger małą skórzaną sakiewkę. Winger ukryła ją błyskawicznie.

- Panie Garrett. - Lubbock próbował się uklonić. A ja próbowałem zachować powagę. Żadnemu z nas się nie udało do końca, choć wydaje mi się, że przynajmniej mnie wyszło nieźle.

Staruszek miał ponury głos. Poczulem, jak ciarki wędrują mi po plecach. Założę się, że ćwiczył godzinami, żeby osiągnąć ten efekt.

- Zaczynałem się zastanawiać, czy nie popełniłem błędu, za?trudniając właśnie ciebie.

Pomyślałem sobie, że to ona popełniła błąd, przyjmując tę rolę. Nieraz jednak trzeba robić, co się da, żeby ciało nie odpad?ło od duszy.

- Jak leci, Lubbock? - zapytałem.

Poderwał ręce i skrzyżował przeguby na wysokości serca, wnętrzem dłoni w moją stronę. Zwinął je w pięści, ale małe palce pozostawił wyprostowane. Wywijał nimi jak szalony. Pazury miał długie na prawie dwa cale. Sądzę, że to był jakiś magiczny gest, i podejrzewam, że miałem być pod wrażeniem.

A są ludzie, którzy uważają, że to ja się nadaję do domu wariatów w Bledsoe, ponieważ nie mam wystarczającego kontaktu z rzeczywistością.

- Przynajmniej udawaj, że jesteś uprzejmy, Garrett – syknęła Winger.

- Zapytałem, go, jak leci, chociaż guzik mnie to obchodzi. Czego jeszcze chcesz? - Zwałę to na nerwy. Kiedy ktoś mnie przyprawia o ciarki na plecach, zaczynam być nieprzyjemny. - Niech zaczną gadać.

Chciałem odpowiedzi, ale chyba go przyparło, bo wpadł na to że może do mnie podejść.

Mozolnie ruszył do przodu.

- Panie Garrett. - Znowu? - Dzień dobry. Z niecierpliwością oczekiwałem na nasze spotkanie.

- Miło mi pana poznać. Kimkolwiek pan jest. - Widzicie? Grzeczny jestem. Mogłem przecież powiedzieć „czymkolwiek”!

Kolejny uśmiech podjął próbę przebicia się na powierzchnie, ale umarł młodo, zdławiony przez zwały tłuszczu.

- Tak. Jak pan słusznie przypuszcza, nie nazywam się Lubbock Nie, sir. To tylko moje pobożne życzenia, pragnienie płynące z głębi serca, aby pójść tą samą ścieżką, którą poszedł wielki Lubbock przed wiekami.

Przewinał pięści grzbietami w moją stronę, nie rozłączając przegubów. Spojrzał na mnie pomiędzy wyprostowanych palców wskazujących. W przybliżeniu wyglądało to jak starożytny znak przeciw złemu oku.

- Niestety, twarda rzeczywistość odmówiła mi spełnienia marzeń.

Przypomniałem sobie Willarda Tate'a, który wspominał o par?ce dawno nieżyjących podwójnych lotrów nazwiskiem Lubbock, Jacyś czarownicy. Cóż, gość chyba miał mniej talentu do czarów niż ja.

Widocznie grał w jakąś wyjątkowo parszywą grę.

- Jeśli jesteś bogaty, masz pełne prawo.

- Jak pan przypuszcza, sir - powtórzył - nie nazywam się Lubbock. Ukrywanie prawdy przed człowiekiem pańskiej profesji byłoby szaleństwem. Wystarczy, że zapyta pan sąsiadów, a powiedzą panu, że tu mieszka ten wariat Fido Easterman.

- Fido? - Ludzie już nawet swoim psom od dawna nie nadają tego imienia.

- To oznacza: Wierny, panie Garrett. Tak, sir. Wierny. Mój ojciec, niech spoczywa w pokoju, był wielbicielem historii imperialnej. Fido był imperialnym tytułem honorowym, coś w rodzaju?ju dzisiejszego tytułu rycerskiego. Można go było jednak nadać każdemu, nie tylko synom szlacheckich rodów. Tak, sir. Człowiek, którego imię przybrałem w swej pysze, niby chwilowe domino, mój krewniak Lubbock Candide, otrzymał właśnie ten tytuł. Był moim przodkiem, wie pan. Gwiazdą błyszczącą na szczycie mego drzewa genealogicznego. Tak, sir. Ale w pokoleniach po jego córce, Arachne, moc we krwi zanikła. Jakiż mam żal do bogów o tę drwinę.

Ludzie, ten gość był jednoosobowym huraganem.

- A co to ma wspólnego ze mną? - Chciałem tylko dotrzeć do sedna. - Po co tu jestem?

Próbowałem dostrzec, jaki kolor mają jego oczy. Nie mogłem ich rozróżnić w tym całym tłuszczu.

- Cierpliwości, mój chłopcze. Cierpliwości. Nie należy poganiać kata. - Zachichotał złośliwie - To tylko taki mały żarcik, sir. Taki mały żarcik. Nic panu tutaj nie grozi.

Jak diabli. Jeszcze trochę tego przedstawienia i zacznę toczyć pianę, a potem rozmawiać z zielonymi ludzikami, których tu nie ma.

Nie spuszczałem oka ze służby. Kręcili się w tle, podsłuchując szefa w akcji. On naprawdę był artystą. Wszyscy byli poprzebierani w kostiumy i mieli upiorny makijaż. Easterman mógł sobie pozwolić na to, żeby zapłacić ludziom za udawanie, iż jest potworem.

Do diabła, a może naprawdę jest? W bardziej przyziemny sposób. Pośród ukrytych podglądaczy zauważyłem faceta, który mnie wygonił z domu.

Ale nie był wariatem. O, z całą pewnością nie. Eastermanowie tego świata nigdy nie są szaleni. Kiedy masz forszę, jesteś po prostu ekscentryczny.

- Fido Easterman, tak, sir. - Złożył wszystkie palce do kupy i zrobił z nich pająka ćwiczącego pompki.

Następnie powoli rozłączył dłonie, jakby walczył z potężnymi siłami. Palce drżały mu, jakby był ciężko chory.

- Słyszałem plotki o cudownej księdze, panie Garrett. Tak, sir, dzieło sztuki. Chcę dostać tę księgę, sir. Doprawdy, dobrze zapłacę, żeby ją dostać. Winger pracuje dla mnie, załatwia całą bięganinę, szuka. Jak pan widzi, nie jestem stworzony do wysiłku fizycznego, choć doprawdy chciałbym, żeby było inaczej. Prowadzi pilnie swoje łowy, oczywiście w nadziei, że pomoże mi się rozstać ze znaczną częścią mych bogactw. Ale los nie był dla niej łaskawy. Jej jedynym sukcesem do tej pory było odkrycie, że to pan może wiedzieć cokolwiek o miejscu ukrycia księgi. - Spojrzał na mnie promiennym wzrokiem. Zanim udało mi się wtrącić choćby słowo, ciągnął: - Cóż, zatem, sir, z tego, czego się do tej pory o panu dowiedziałem, prawdopodobnie przydałaby się panu pokaźna kwota. Płatna w metalu wedle pańskiego wyboru.

- Z pewnością. Chciałbym mieć coś do sprzedania. Nie wiem, skąd jej przyszło do głowy, że to ja mógłbym wiedzieć cokolwiek o jakiejś księdze.

- Ależ sir, doprawdy, nie bawmy się w kotka i myszkę. Nie rzucajmy słów po próżnicy. Powiedziałem, że dobrze zapłacę za dostarczenie tej księgi, i tak będzie. Nie rzucam słów na wiatr, co zresztą może stwierdzić każdy głupiec, zadając tylko kilka pytań w kręgach zajmujących się

rudami i metalami. Ale jeśli zaczniesz pan o mnie wypytywać, dowiesz się pan także, że zwykle uparcie dążę do tego, czego chcę.

Ani przez chwilę w to nie wątpiłem.

- Wszystko, co panu mogę powiedzieć na temat tej książki, to to, że jeśli nawet istnieje ona naprawdę, to podobno jest niekompletna. Ale nie mam pojęcia, gdzie on może być.

- Ależ, sir. Z pewnością nie oczekuje pan, że ja...

- Nie oczekuję niczego innego, jak tylko tego, że da mi pan święty spokój.

- Sir...

- Powiedziałem, że nie wiem, gdzie ona jest. Sprawdzał mnie pan, co? Mówię prawdę czy nie? Prawda jest taka, że sam także jej szukam. Dla klienta. Do tej pory udało mi się tylko znaleźć faceta, który ją ukraść.

- Ach, sir, wreszcie do czegoś dochodzimy.

- Nie dochodzimy do niczego. Facet nie żył, kiedy go znalazłem.

Zachichotał.

- Przykre. Bardzo przykre.

Odniosłem dziwne wrażenie, że nie powiedziałem nic nowego.

Zauważyłem jednego z gości, którzy mnie gonili. Wreszcie do mnie dotarło. Oto i moja trzecia strona. Ten szaleniec i jego brat. Chyba to właśnie oni odesłali Blaine'a do ziemi obcej. Może zrobili to samo z Wiewiorem.

- Nie chcę więcej mieć nic wspólnego z tą książką - oznajmiłem. - Zabiła już kilku ludzi. Zawiodła karłów z Fortu Karłów na wojenną ścieżkę. Chodzi Contague z jej powodu wyłazi ze skóry, bo zginął jeden z jego ludzi. - To wreszcie wywołało pewną reakcję. - Wiedźma zwana Panią Węży i banda dziczyli karłów ganiają po całym mieście, strzelając z kusz, gdzie popadnie. Nie mam najmniejszej ochoty pakować się w sam środek tego bajzlu.

Easterman przyknął oczy i zaczął mówić. Właściwie odstał całą mowę, ale nie po karentyńsku. Przypuszczalnie po staroforeńsku, bo język ten wciąż jeszcze gdzieś gdzieś pozostaje w użyciu jako język liturgiczny, głównie wśród najbardziej zaściankowych z tysiąca kultów TunFaire. Nie znam w tym języku nawet dziesięciu słów, ale słyszałem go i teraz rozpoznałem ten rytm i melodię.

Dobry stary Fido był takim samym lingwistą jak czarownikiem. Ale tam, gdzie mu nie stawało talentu, nadrabiał entuzjazmem. Zawył i zaczął toczyć pianę z ust.

Przyszedłem tu z Winger, żeby zadać mu parę pytań, ale teraz przestało mi zależeć. Chciałem już tylko wyjść. Na zewnątrz wszystko było zdrowe na umyśle. Gromojaszczury śmigały przez niebo po raz pierwszy, odkąd zbudowano TunFaire. Gromojaszczury tłoczyły się przy bramach. Centaury na ulicach. Tygrysy szablozębe i mamuty, i morCartha, i gnomy. Moi przyjaciele poznikali. Crask i Sadler zachowywali się jeszcze bardziej upiornie niż zawsze. Ale wszystko to było całkiem normalne. W tamtym świecie mogłem przynajmniej przeżyć.

- Wiesz co, Winger - mruknąłem - zastanawiam się, czy nie przekwalifikować się na murarza. Murarze nie mają takich problemów.

Wzruszyła ramionami, wciąż patrząc na Eastermana tak, jakby był geniuszem odsłaniającym przed nią tajemnice wszechświata. Może go nawet rozumiała. W końcu sama nie wszystko miała po kolei.

Poddałem się i mniej więcej przysnąłem na stojąco, zwracając uwagę na otoczenie tylko o tyle, żeby nikt nie podszedł niepostrzeżenie i nie załatwił mnie za pomocą topora. Zostałem tylko dlatego, że Winger jeszcze nie miała zamiaru wychodzić. Nie mógłbym pozostawić jej z tym pomyślnem.

Mógł składać ofiary z dziewic i mógłby uznać, że skoro pewnie nią kiedyś była, to wystarczy. A poza tym wiedziała coś, co ja chciałem z nią wyciągnąć.

Wreszcie Eastermanowi skończył się atak.

- Dobrze, sir, dobrze - rzekł, w najmniejszym stopniu nie zakłopotany. - Czy wobec tego mogę uznać, że się dogadaliśmy

-Nie.

Jego ludziom udało się wpaść w zakłopotanie, ale ukryli to i nie wyszli. Podejrzewam, że rzeczywiście dobrze płacił. Musiał.

Wyglądał na zdumionego. Oczywiście o tyle, o ile coś można było dostrzec w tym tłuszczyku.

- Myślałem, że wyrażam się z krystaliczną jasnością, sir.

- Jeśli nawet pan gdzieś tam mówił do rzeczy, chyba to przeoczyłem w tym całym dymie.

- Garrett! - wrzasnęła Winger.

Easterman uśmiechnął się znowu. A przynajmniej tak mi się wydawało, że to musiał być uśmiech.

- Doskonale, sir. Powiem to zatem słowami, które nawet pan pojmie. Chcę tej książki. Mam zamiar dostać tę książkę. Zawsze dostaję to, czego chcę. Ci, którzy mi pomogą ją dostać, zostaną sowicie wynagrodzeni. Ci, którzy będą próbowali mi w tym przeszkodzić, nie będą mieli tyle szczęścia. Czy to brzmi wystarczająco jasno?

- Wreszcie załapałem. - Uśmiechnąłem się również. - Przeżkażę tę informację Chodo Contague'owi i Pani Węży, jeśli się na nich natknę. Jestem pewien, że wyskoczą ze skóry ze strachu i na?robią w gatki, a potem galopem usuną się panu z drogi. Wtedy będzie miał pan wolną rękę.- Groźba i kontra. Bardzo przyjaznym tonem, z nożami w rękawie.

Winger zaczęła przeproszać za moje barbarzyństwo. Im lepiej ją znałem, tym mniej ją rozumiałem.

- Nie szkodzi, dziecko. Nie szkodzi. Ten człowiek musi za?chować swój wizerunek. Jak i my wszyscy, zresztą. Doskonale, sir. Sądzę, że należy uznać sprawę za zamkniętą. Świetnie się rozumiemy. Miałem zamiar zjeść kolację. Przyłączy się pan do mnie? Lubię dobrą kuchnię.

Wykręciłem się furą roboty. Nie miałem najmniejszej ochoty oglądać, co ten dupek jada na kolację. Mogłoby to być niebezpieczne dla życia. Poza tym to nie była moja godzina lunchu.

- Doskonale, sir. Jak pan sobie życzy. Mam nadzieję, że spo?tkamy się wkrótce znowu, w okolicznościach korzystnych dla nas wszystkich. Zarazo. - Skinął w stronę trupio bladego staruszka. - Odprowadź naszych gości, jeśli łaska.

Staruszek skłonił się, po czym odprowadził mnie i Winger do bramy zamku. Pilnowałem go i nie spuszczałem z oka. Nie miałem ochoty znaleźć się nagle w jakimś tajnym przejściu. Potem chciałem naciągnąć go na rozmowę o jego szefie, ale się nie dał. Cóż, może to i rozsądna postawa w przypadku gościa na tym stanowisku.

Winger podjęła temat:

- Rozczarowałeś mnie.

- Ty mnie też rozczarowałaś. I to bardzo. Co ja zrobiłem, że ci tak pęka serce?

- Ten gość dojrzał jak owoc.

- Jak cały sad.

- Przy odrobinie starania...

- Nie mogłem znieść tego błazna. Pewnie mógłby mi powie?dzieć niejedno, ale... niech się trochę pomęczą.

-Garrett!

- Dałaś się nabrać pomyłce, Winger. Załatwi cię na amen. Teraz ci wierzę na słowo, że nie

pracowałaś z tymi gośćmi, którzy mnie niedawno gonili. Ale zauważyłem, że kilku z nich było tam i kręciło się w tle. Lepiej miej oczy z tyłu głowy. - Miałem wrażenie, że łążą za nią, odkąd dała się wynająć Eastermanowi. To taktyka charakterystyczna dla tego gatunku.

Nie współczułem Fidowi. Nic mu nie byłem winien. A teraz miałem już pewne pojęcie, kto załatwił Wiewióra. Przekażę to dalej, kiedy znowu spotkam się z Sadlerem i Craskiem.

Wyszliśmy wreszcie z tego cyrku. Nawet się nie obejrzałem.

- Winger, wiesz coś o tej księdze?

- Tylko tyle, że istnieje i że waży około piętnastu do dwudziestu funtów. Strony są z mosiądzu.

- Z mosiądzu. Mosiężne cienie. Karły nazywają ją Księga Cieni. Każda strona opisuje jakąś postać. Ten, kto przeczyta taką stronę, może stać się postacią, która jest na niej opisana.

- Co takiego?

Znajdowaliśmy się w bezpiecznej odległości, bez widocznych na pierwszy rzut oka ogonów. Podprowadziłem ją na schody jakiegoś budynku publicznego. Tutaj wciąż jeszcze uważają, że budynki publiczne są naprawdę publiczne. Na razie. Ludzie zbierają się na schodach. Nieraz, przy dobrej pogodzie, nawet tam mieszkają. Mogliśmy się rozsiąść wygodnie i pogadać, wiedząc, że nikt nie zacznie nam wymachiwać pałką nad głową, każąc ruszać dalej, a już na pewno nie zbiry, które patrolują ulice Góry.

- Pomyśl o tym, kochanie.

- O czym? Jak?

- Wyobraź sobie, że facet miał sen. Nieważne, jaki szalony był facet i jaki koszmar mu się przyśnił. He? A teraz nagle ma prawdziwą szansę, żeby go urzeczywistnić. No i co?

- Chyba się zgubiłam, Garrett.

Nie myślałem, że jest aż tak tępa. Powtórzyłem wszystko, wyjaśniając nieco dokładniej, czym prawdopodobnie jest ta księga.

- Ten stuknięty Fido najbardziej na świecie pragnie stać się złym czarownikiem. Ale nie ma nawet na tyle talentu, żeby potknąć się o własne nogi. Jest tak zawzięty i tak bardzo tego pragnie, że prawie mi go żal. Prawie. Ale nie mogę ulec, kiedy chodzi o Księgę! Cieni. Jeśli taki stuknięty wariat jak on dostanie ją w swoje łapy.

Wytrzeszczyła oczy.

- Och, teraz rozumiem.

- Och. Właśnie. Zajarzyłaś. Ale on nie ma księgi. Jeszcze nie. To wiemy na pewno, ponieważ jest tak szalony, że gdyby ją miał odegrałby swój numer ze złym czarnoksiężnikiem przed całym miastem.

- Niech o tym chwilę pomyślę, Garrett.

- Znasz go lepiej niż ja.

- Prosiłam, byś dał mi pomyśleć.

Jej twarz zmarszczyła się dokładnie tak samo, jak twarz Saucerheada, kiedy się koncentruje. Miałem wrażenie, że ona i Tharpe mają ze sobą więcej wspólnego niż tylko gabaryty. Ona także należała do osób, które myślą powoli, ale równo, nieraz docierając do sedna sprawy pewniej niż inni, bardziej lotni. Po chwili odezwała się cicho.

- Musiał chyba kiedyś spotkać się z Blaine'em. Inaczej skąd wiedziałby o księdze?

- Tak. Blaine pewnie zaoferował, że mu ją sprzeda. Tak sadze. A potem coś się zdarzyło.

Wycofał się.

- I został zabity za swoją fatygę.

- To pewnie moja wina. To ja znalazłam Blaine'a dla Lubbocka.

- He?

- Powiedziałam ci, że poluję na ludzi. Chciał dostać Blaine'a, no to mu go znalazłam.

Obejrzałem się na domostwo Eastermana. Nie było zbyt daleko. Nie dość daleko. Ktoś stał na wieży i próbował zwabić latającego gromojaszczura. Podejrzywałem, że to Fido chce złapać sobie własnego smoka.

- Ale nie dostał księgi.

- Sądzę, że nie. Nie wiem dlaczego. A może Blaine zauważył mnie i zorientował się, kim jestem?

Ciekawe. Logicznie rzecz biorąc, Blaine nie miał księgi wtedy, kiedy został zabity. Ale miał ją wcześniej i próbował jej użyć, ponieważ, gdy wpadł do mnie, był Carlą Lindo. Pani Węży nie mogła mieć jej ani trochę bardziej niż Fido, inaczej nie próbowałyby mnie zabić. Już by jej nie było w mieście.

Gnorst? Nie miałem pewności, czy nawet zaczął jej szukać. Podejrzywałem, że on też jej nie ma.

No to gdzie ona się u diabła podziała?

A co mnie to obchodzi? Tinnie będzie zdrowa.

- Czy uważasz, że ktokolwiek powinien dostać taką moc? -zapytałem.

- Ja. Ja bym sobie z tym poradziła. Ale nie znam nikogo, komu bym ufała.

- Nic o tobie nie wiem.

- Ile mi zapłacisz za to, żebym jej nie znalazła?

- Co?

- Przyjechałam do miasta po pieniądze, Garrett. Nie chcę zbawiać świata.

- Lubię prosty tok myślenia. Podoba mi się dziewczyna, która ma określone priorytety i wie, czego chce. Odpowiem ci po prostu: ani miedziaka. Nie masz cienia pojęcia, gdzie ona jest

- Ale się dowiem. Bardzo dobrze idzie mi znajdowanie różnych rzeczy. Powiem ci coś: kiedy już ją znajdę, dam ci okazję, żebyś przebił Lubbocka.

-A Pani Węży? Może powinnaś pomyśleć trochę i o niej. A kiedy już przy tym jesteśmy, pomyśl, co się przytrafiło Blaine'owi.

- To żaden problem.

- Słuchaj, Winger. Tylko głupi się nie boi. W tym mieście jest paru bardzo złych ludzi. A ci najgorsi już cię szukają. Z powodu Wiewióra. Jeśli cię złapią, pożegnasz się ze swoją kitą. - Wspomiałem o tym, bo znowu w pobliżu mignął mi ktoś podejrzanie przypominający Craska.

- Potrafię o siebie zadbać.

- Widziałem, kiedy próbowałaś mi się dobrać do skóry.

- Cholera, Garrett Nie jesteś za mnie odpowiedzialny. Odwal się. Coś w sposobie, w jaki skoczyła mi do oczu, coś w doborze słów sprawiło, że zacząłem się zastanawiać, czy Winger, którą widzę, jest prawdziwą Winger.

- Dobrze, dobrze. Powiedz mi tylko, dokąd poszły te karły.

- Dwadzieścia marek.

- Sprzedajna dziwka. Sprzedałabyś własną matkę.

- Za dobrą cenę. Dwie marki. Na pokrycie kosztów. I tak na nic ci się nie przyda, bo nie żyje.

- Przykro mi.

- Och nie, jeszcze dyszy. Ale jest martwa od podbródka w górę przez ostatnie trzydzieści lat. Umie tylko jęczeć, kłąć i rozdzić dzieci. Ostatnio naliczyłam szesnaście. Teraz pewnie więcej. Przy czternastym omal nie wykrwawiła się na śmierć, ale i tak składała je po kolei jak jajka. To dlatego nie chcę być taka jak ona.

- Dwadzieścia marek. - Nie winiłem jej. Wieśniacy żyją krótko i paskudnie, a najgorzej żyją ich kobiety. Może faktycznie nie miała nic do stracenia.

- Ale nie mam tyle przy sobie.
- Ufam ci. Podobno dotrzymujesz słowa. Tylko nie daj się za?bić, póki nie odbiorę długu.
- No to gadaj. Gdzie oni są.
- A co, już tam idziesz?
- Tak, jeśli mi powiesz.
- A może po prostu ci pokażę. Może i ja też znajdę coś cieka?wego dla siebie?

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXV

Zaledwie ruszyliśmy, kiedy ludzie wokół nas zaczęli biegać w kółko, gdacząc niczym największa na świecie gromada kwok. Nie zachowywali się jak wystraszeni, po prostu chcieli wiedzieć, co się dzieje. Ja też, oczywiście. Nie mogłem się połapać w zamieszaniu, dopóki wszyscy nie zatrzymali się, nie skierowali w tę samą stronę i nie zaczęli czegoś pokazywać palcami.

Najpierw pojawiły się cienie i falując, przepłynęły po nas. A potem nadleciały potwory, wyłaniając się z porannego słońca. Było ich około tuzina. Zamiast wystrzelić w górę, leciały na wysokości dachów, skrzydło w skrzydło, wywijając węzowymi szyjami i rozglądając się na wszystkie strony. Przeleciały ze skrzekiem. MorCartha pojawiły się znikąd i natychmiast związały w bezpieczne miejsce.

Nikt nie panikował. Nie było powodu. Stwory były duże, ale nie ogromne. Nie dałby rady nikogo porwać. No, może kota albo małego psa. Nie miały dość silnych skrzydeł, żeby unieść cokolwiek większego.

- Sprzątają gołębnie - zauważył ktoś obok mnie. To dlatego tak kręciły łbami.
- Jeden leci z przodu i płoszy te pierzaste szczury, a potem reszta je odławia w locie.
- Słyszałem, że na wzgórzach na północy jest ich więcej, większych i bardziej mięsożernych - zauważył drugi przechodzień.

A to już gorsze wieści. Niektóre z tych stworzeń mają po trzydzieści stóp wysokości, ważą ze dwanaście ton i na przekąskę wcinają mamuta. Farmerzy będą mieli trochę rozrywki. Powiedziałem o tym Winger.

- Masz, chciałaś zbić trochę forsy. Znam gościa, który płaci całkiem dobrą cenę za ich skóry. - Willard Tate używa skór gromojaszczurów na podeszwy butów dla armii.

Winger splunęła.

- Tu łatwiej zarobić. - Chyba wzięła moją propozycję na poważnie. Zero subtelności, droga Winger.

Znowu ruszyliśmy przed siebie. Kiedy dotarliśmy do spokojnego zaułka, mruknęła:

- Nie wiedziałam, że tyle ich tu macie.
- Zwykle nie mamy. Coś je chyba wypędza na południe. Nie lubią tego miejsca. Jest zbyt zimne i nieprzyjazne.

Coś mi przyszło do głowy. Jeśli w górach były rzeczywiście te duże, mięsożerne potwory, nie przetrwają tam. Jedna zimna noc i po wszystkim. Farmerzy zakradną się i nakarmią je paroma funtami zatrutego żelaza. A jaszczury będą zbyt powolne i zaspane, żeby się bronić. Wtedy staruszek Tate będzie miał więcej skór, niż zdoła przerobić.

Gromojaszczury właśnie dlatego trzymają się z dala od ludzi, że zawsze wychodzą gorzej na kontaktach. Są dość tępe, ale tyły już pojęły. Zęby, szpony i masa niewiele znaczą wobec rozumu, czarów i ostrej, zatrutej stali.

I to jeszcze jeden powód, dla którego nie wzbudzają powszechnego strachu. A poza tym TunFaire otoczone jest murem, którego żaden gromojaszczur nie potrafi przebyć.

Z powodu zamieszania trudno było stwierdzić, czy jesteśmy śledzeni, czy nie, a jeśli tak, to czy przez chłopców Chodo, czy Fida. Przyjąłem zatem za pewnik, że mamy towarzystwo. Trochę bar?

dziej martwiłem się o pajaców Eastermana niż o chłopców Chodo.

Ci ostatni to profesjonaliści. Są przewidywalni. A o brunos wiem tylko tyle, że potrafią być naprawdę zabójczy.

Po drodze waliłem w Winger jak w bęben, próbując przemówić jej do rozumu. Nie wierzyła, że sprawy mają się tak źle, jak jej to tłumaczyłem. Nie rozumiała, jak potężna może być księga. Al?bo nie chciała zrozumieć.

Właśnie mijaliśmy kociamię Lettie Faren, która przylega do obrzeży Góry jak złośliwy pasożyt. Zacząłem opowiadać Win?ger o czymś, co się tu zdarzyło. Zmartwiła mnie bardzo. Nie usły?szałem śmiechu, który spodziewałem się wywołać... Z alejki na?gle wynurzył się Sadler. Na ułamek sekundy. Nic specjalnego dla kogoś, kto go nie zna. Ale ja go znałem. Obejrzałem się. Jeśli ktoś nas śledził, na pewno go nie zauważył.

Chciał ze mną porozmawiać. A czy ja chciałem z nim gadać? A zwłaszcza: czy na pewno chciałem wejść za nim do ciemnej alejki?

Cóż, może wreszcie bym się go pozbył.

- Winger. Muszę iść na stronę. Zaczekaj chwilę. Ruszyłem w kierunku alejki, podciągając spodnie. Jeśli nie stracę całego dnia, ewentualni widzowie dadzą się nabrać.

Byłem w gorszym położeniu, bo z jasnego światła wszedłem w cień. Jeśli Sadler chciał mnie dorwać, to byłem jak na talerzu.

- Byle szybko - mruknąłem.

- Jasne. Znowu miałeś bliskie spotkanie.

- Aha. Karły. Jak zwykle.

- Słyszałem. To ta kobieta, której szukałeś?

- Właśnie ta. Tyle tylko że to nie ona załatwiła Wiewióra. Chy?ba wiem kto. Brunos, którzy pracują dla gościa nazwiskiem Fido Easterman.

- Fido? - Zachichotał.

- To imperialny tytuł, więc się nie śmiej. Jasne. Jest szalony jak pluton wariatów. Prawdziwy kandydat do domu bez klamek. Ma na Górze dom, który wygląda jak nawiedzony zamek. Chciał?by być złym czarnoksiężnikiem.

- Ale nie jest?

- Nie bardziej niż kamień. Jest po prostu stuknięty. Może to je?go biznes. Wytapia metale. Może nawdychał się za dużo oparów. Ma czterech brunos, których znam. Nic szczególnego. Chyba wo?łał taniej niż lepiej.

Sadler klasnął językiem i zadumał się. Sprawiał wrażenie roz?targnionego. Dziwne. Przecież to on chciał ze mną gadać, a nie ja z nim.

- Jest szansa, że to oni załatwili Blaine'a.

Sadler znów zaklaskał i zadumał się jeszcze głębiej. Może zmienia się w filozoficznego dziwaka? To się czasem zdarza. Mia?ły już, zresztą, miejsce dziwniejsze rzeczy.

- Co? - zapytałem. Ależ jestem niecierpliwy. No, ale żadne siu?siu nie trwa dwudziestu minut.

- Ci goście to jakiś drugi sort, nie?

- Tak mi się zdawało. - Czy on w ogóle mnie słucha?

- A co z tymi drzwiami? Kto pociął Wiewióra tak mocno? Ktoś, kto miał trochę siły, no nie?

O tym nie pomyślałem.

- Pewnie tak.

- Pewnie tak. Cały ty, Garrett. Zgadujesz i macasz w ciemno?ści, dopóki się o coś nie potkniesz. A ja chciałem z tobą pogadać, bo mamy ślad, który prowadzi do pewnych karłów. Pewnie i tak ci

się nie przyda. Na Placu była wielka rozróżba. Wojny karlich gangów. Jedna banda napadła na drugą. A potem część ru?szyła w stronę Fortu Karłów, a część w stronę Bledsoe. Powie?działbym, że póki co to zgadywanka, ale kazałem chłopakom śledzić tych, którzy poszli w stronę szpitala. Pomyślałem sobie, że pewnie zechcesz wiedzieć.

- Jasne. Dzięki. - Zapomniałem wspomnieć o tym, że Winger i ja jesteśmy na tropie. Lepiej, kiedy twardziele pójdą w swoją stronę. - To najdłuższe odlewanie kartofelków w historii. Kto?kolwiek nas śledzi, z pewnością nabierze podejrzeń.

- Nie masz się czym przejmować. Crask się nimi zajmie. Ale leć. Pogadamy później. - Usunął się w cień, unosząc ze sobą aurę zagrożenia.

- Jasne. Później. - Wyszedłem z alejki, podciągając portki i krę?cąc głową.

- Musisz mieć pieciogalonowy pęcherz, Garrett - zauważyła Winger. Oddychała ciężko.

- Coś się stało? Uśmiechnęła się drwiąco.

- Nic, z czym bym sobie nie poradziła. Jakiś facet chciał mnie poderwać, ale go zniechęciłam.

- Och. No to chodźmy. - Chciałem zobaczyć to, co jest do zo?baczenia, zanim chłopcy Chodoznów wejdą mi w drogę. Jakimś cudem wszędzie tam, gdzie oni przejdą, trup ściele się gęsto.

Winger wyglądała na rozczarowaną, że w żaden sposób nie sko?mentowałem jej spotkania ani nawet nie próbowałem zadawać pytań. Wzruszyłem ramionami.

Trudno było się spieszyć. Na ulicach stało pełno gapiów ob?serwujących pogromców gołębi. Jeden krążył nad naszymi głó?wami, tropiąc ofiary.

- Słyszałem, że one nigdy nie ważą więcej niż trzydzieści, czter?dzieści funtów.

Gromojaszczur zaczął krążyć nad domostwem Tate'ów. Cie?kaw byłem, czy i Tinnie go ogląda. Bez wyraźnego powodu po?czułem nagle, że jest mi smutno.

- Uśmiechnij się, Garrett. Znajdziemy księgę i będziemy bo?gaci.

Albo martwi. O wiele bardziej prawdopodobne, że będziemy martwi.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXVI

Im dłużej szliśmy, tym bardziej nabierałem przekonania, że będę musiał z Winger renegotjować cenę. Obejrzałem się na nią. Była wysoka, jak ja, i maszerowała, jakby wyzywała świat do walki. Coś w jej bezpodstawnej zadziomości zaczynało mi się podobać. Gdyby tak dodać jej trochę rozumu, mogła być całkiem w porządku.

- Hej, Winger, ta oferta nie jest otwarta. Nie kupuję świni w sa?ku. Musisz dostarczyć mi karłów.

- W tym worku nie ma kota, Garrett. Dostaniesz karłów.

Kot i świnia. Oba wyrażenia pochodziły ze wsi i były bardzo, bardzo stare. Dawno temu wieśniacy wozili świniaki na targ w „sakach”. Jakiś cwaniak wymyślił, żeby do worka wsadzić ko?ta i sprzedać go komuś na tyle naiwnemu, kto nie zajrzy do środ?ka, nim zapłaci. No i tak. Świnia w saku, kot z worka.

Chciałem karłów. No to ich dostałem. Ale w niespecjalnie do?brym stanie.

- Co się dzieje? - wymamrotała Winger. Wokół budynku, któ?ry wyglądał tak, jakby swoje najlepsze czasy miał na jakieś sto lat przed moim urodzeniem, roił się tłum. Tłum wcale niezainteresowany powietrznym polowaniem.

- Kłopoty - mruknąłem. - Przeszły niedokonany. Inaczej by?łoby tu pusto.

- Ghule?

- Można to i tak nazwać.

Przepchnęła się przez tłum, nie przejmując się tym, kogo po drodze trąciła lub przewróciła. Była wściekła i najchętniej wda?łaby się w bójkę. Ciekaw byłem, czy to bezpiecznie kręcić się wokół kogoś, kto właśnie wydal wojnę całemu światu.

Pierwszy martwy karzeł leżał rozciągnięty u wejścia do kamie?nicy, posiekany, podziabany i skręcony w nienaturalnej pozycji. W dłoni ścisnął rękojeść złamanego noża.

- Ktoś się chyba spieszył, tak na oko - mruknąłem. - Ktoś coś widział?

Marzyciel ze mnie.

Najbliżsi padlinożercy spojrzeli na mnie jak na wariata. Wzru?szyłem ramionami, przepchnąłem się do środka. Było pustawo, co mogło znaczyć tylko tyle, że tłum na zewnątrz w każdej chwili spodziewał się przybycia miejskich porządnickich. Ludzie, któ?rzy nie boją się Straży, byliby już w środku, zbierając wszystko, czego martwi już nie potrzebują.

Straż rzadko bawi się w policjantów i tropicieli, ale łapią tych, których znajdą na miejscu zbrodni, a potem jeszcze długo utrud?niają im życie.

- Im szybciej, tym lepiej - powiedziałem do Winger.

- Co szybciej? - Wyglądała na zmartwioną. Podejrzewałem, że myśli o tym, czego sobie nie kupi za pieniądze, których jej nie zapłacę.

- Przeszukać dom. Zobaczyć, co jest do zobaczenia.

- Po co? Tam leży tylko paru następnych martwych facetów.

Miała rację. Na pierwszym piętrze leżał jeszcze jeden, a w ko?rytarzu drugiego piętra jeszcze trzech. Dwóch z nich mogło być napastnikami, bo wyglądali nieco porządniej i byli lepiej ubrani. Banda Gnorsta.

Walka toczyła się w całym holu, przewaliła się przez pół tu?zina sypialni i zakończyła na

ciasnawej tylnej klatce schodowej. Żaden z pokoi nie miał drzwi. Większość została wyrwana przez kogoś, kto w pośpiechu szukał czegoś. Znaleźliśmy jednego

człowieka-szczura i jednego karła, obu śmiertelnie rannych i nic poza tym.

-I to miejsce miałaś zamiar mi sprzedać? - zapytałem.

- Jasne. - Była naprawdę przygnębiona.

- Próbowałaś.

- To mi nie napelni kieszeni. A co się tam dzieje? - Miała na myśli hałas przed domem.

- Pewnie idzie Straż. Ludzie mówią jedni drugim, że najwyżej?szy czas się ulotnić. To nie jest taki zły pomysł.

Ruszyłem tylnymi schodami. Za moimi plecami Winger mam?rotała, że nie mogłaby mieć większego pecha, gdyby się o niego modliła. Jej słownik nie był ani jedyny w swoim rodzaju, ani udu?chowiony, jednak dość barwny.

Tylna klatka miała również wyłamane drzwi. Przecisnąłem się przez szparę. Bałagan, jaki panował za nimi, świadczył, że ktoś próbował powstrzymać chłopców Gnorsta, dopóki renegaci się nie ulotnią. Jeden z karłów Gnorsta leżał na pół zagrzebany w gruzach, na tyle żywy, że jęczał. Próbowałem go wypytać, ale, nawet jeśli znał karentyński, był zbyt pogrążony we własnym cierpieniu, żeby odpowiadać. Udało mu się puścić tylko jedną wiązaną z fajerwerkami, z której zrozumiałem jedno, jedyne sło?wo: „wilkołak”.

- Nic mu nie będzie - powiedziałem do Winger. - Jeśli Straż nie zlincuje go tylko po to, żeby pokazać, że coś robią.

- Chyba już są w budynku. - Rzeczywiście, z wnętrza dobie?gał łomot.

- Czas wiać. Patrz pod nogi. - Aleje TunFaire mają wiele dziw?nych i nieoczekiwanych zastosowań, zwłaszcza jeśli chodzi o wy?walanie śmieci i załatwianie potrzeb fizjologicznych. Jakość sprzą?tania, jakie oferują miejscy ludzie-szczury gwałtownie spada w miarę oddalania się od Góry. To, czego nie widzą lordowie, nie istnieje. Byliśmy w tej chwili bardzo daleko od centrum, w ulicz?ce tak brudnej, że nawet bezdomni nie chcieli na niej mieszkać.

Kiedy zbliżaliśmy się do wylotu, jeden ze Strażników zastąpił nam drogę. Jako osobnik obdarzony naturalną kulturą osobistą puś?ciłem Winger przodem. Strażnik miał z pięć stóp i sześć cali wzrostu, i strasznie śliczny był w tych jaskrawych błękitach i czerwieniach.

Wyszczerzył ząbki w paskudnym uśmiechu, kiedy zobaczył, że wreszcie może komuś dać w mordę. Właśnie chciał coś powiedzieć tytułem wstępu...

Ale co właściwie chciał powiedzieć? Któż by chciał słuchać, do diabła? Winger złapała go za gardło, rozplaszczyła mu nos pię?ścią, uniosła i wrzuciła w bałagan z tyłu, za naszymi plecami. Tak jakby ważył najwyżej sześć funtów. Szczeka mi trochę opadła, ale ją podniosłem. Nie było czasu. Chłoptaś pewnie miał kumpli. - Piękny gest, Winger, naprawdę piękny. Mogłem mieć tylko nadzieję, że nie przyjrzał mi się na tyle do?brze, żeby mnie rozpoznać, jeśli się znów spotkamy.

Zaprząłem palce i pięty do roboty, do której przeznaczili je bogowie, i nie zwolniłem, dopóki nie znalazłem się dziesięć ulic dalej. Dyszałem, zipałem, prychałem i rzeziłem jak przeziębiony smok. Rozejrzałem się za Winger. Ani śladu. Poszła widocznie swoją drogą. Może był to doskonały pomysł i oby go realizowała po wieczne czasy. Człowiek może oberwać po ryju, zadając się z takimi jak ona.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXVII

Mam nadzieję, że światło było słabe, przekazał mi Truposz. Wyczyn Winger wyraźnie go rozbawił. Czy istnieje prawdopodobieństwo, że Strażnik cię rozpoznał?

- A powinien?

Jesteś znanym obywatelem.

Ten worek zjełczałego sadła obawiał się, że straci darmowy wikt i opierunek!

Nie przyznałby się do tego, nawet gdybym mu podpalił tyłek, ale prawda aż biła po oczach. Jeśli mnie straci, naprawdę będzie musiał zarabiać na życie, żeby zapracować na dach nad głową. A nie ma na świecie drugiej takiej rzeczy, której nienawidziłby tak bardzo jak pracy.

Byłem zaniepokojony jego niepokojem. To jakoś mi do niego nie pasowało. Zawsze, kiedy wyruszam na łowy w poszukiwaniu złych ludzi, jestem odpowiedzialny za swoje własne życie. I nigdy do tej pory go to nie martwiło. Dał mi do myślenia, a to zawsze jest niebezpieczne. Zaczęłem się zastanawiać, czy on przypadkiem nie ma jakiegoś przeczucia. Nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że może zajrzeć w przyszłość. Zwłaszcza po tym, jak potrafił odgadywać, co za chwilę zrobi Glory Moon.

- Co się stało? - Uznałem, że to pytanie jest całkiem rozsądne. Udał, że nie słyszy. - Cóż, niech i tak będzie.

Poszedłem z tym samym pytaniem do Deana.

- Nic - odpowiedział staruszek. - Tyle tylko, że przebąkiwał coś na temat czarnych wibracji, jakie odbiera z Kantardu. Chyba miał na myśli, że coś się tam dzieje.

- O, cholera, to chyba coś rzeczywiście dużego!

Nie mogłem uwierzyć, żeby to było coś poza jego chorą wyobraźnią. Nieżywi ludzie bardzo lubią fantazjować, bo nie mają nic innego do roboty. Ale... jeśli naprawdę dzieje się coś wielkiego, na pewno maczał w tym palce Glory Moon.

Kiedy walka staje się twarda, twardziel rusza do walki. Kiedy walka staje się twarda, Garrett kładzie nogi na biurku i nalewa sobie piwa. Wziąłem dzbanek do gabinetu i zamknąłem się sam na sam z Eleanor. Pogadaliśmy sobie o tym, czy naprawdę mam jakiegokolwiek zobowiązania wobec kogokolwiek, skoro Tinnie i tak wyzdrowieje. Eleanor nie miała wiele do powiedzenia, ale gdzieś tam po drodze, kiedy wszystko już zaczęło mi się plątać, przypomniałem sobie, że przecież mam klientkę, taką małą ślicznotkę, która myślała, że ta nieprawdopodobna księga uratuje zdrowie jej papcia.

Nie chciałem wierzyć w tę bzdurę, ale ludzie i karły zaczęli padać jak muchy. Bawiliśmy się w morCartha na ziemi. A ja uwiłałem się w to wszystko i tkwiłem w tym po uszy, czy chciałem, czy nie. Ktoś chciał, żebym stał się muchą.

Dean wszedł z piwem i ponurym grymasem na twarzy.

- Gdzie Carla Lindo? - zapytałem.

- W pokoju gościnnym. Martwi się. - Przyjął pozycję ludzkiej barykady. - Nie potrzebuje pociechy. Potrzebuje pomocy.

- Jasne. Pewnie. Ja też. A widzisz, nikt mi nie chce pomóc. Cholera. Mam dość czekania, aż pomoc do mnie przyjdzie. Idę sam jej poszukać.

Wysączyłem jeszcze jeden kufelek dla kurażu, sprawdziłem mój przenośny arsenał i ruszyłem w stronę drzwi. Dean dreptał obok, szczerząc zęby jak stara trupia czaszka.

Jego romantyczne uwagi tym razem jeszcze nie doprowadzą mnie do śmierci.

Jestem oczywiście nieczuły na romantyczne uwagi. Jestem blokiem ciężkiego metalu, niewzruszenie osadzony w samym centrum równiny zdrowego rozsądku, oświetlonej słońcem rozumu.

Dobra. Popatrzmy w górę. Czy to nie stado świń odlatuje na południe przed zimą?

Niezbyt długo pozostawałem w domu, odseparowany od gwaru miasta, a jednak coś się zmieniło. Pojawił się jakby nowy stopień napięcia. Na ulicach było mniej ludzi. A ci, którzy byli, wydawali się nerwowi, choć nie widziałem ku temu żadnego powodu.

Poszedłem do domu Morleya, ale go nie zastałem. Odszedłem w zadumie, kierując się do ponurej nory Saucerheada.

Tharpe'a też nie było. Nie było też żadnej z jego przyjaciółeczek wielkości myszy, która mogłaby mnie poinformować o miejscu jego pobytu. Dziwna sprawa.

Odszedłem, marszcząc czoło. Coś chyba się dzieje. Zwłaszcza z Morleyem. Nieraz zdarzało mu się znikać z pola widzenia, ale nigdy dotąd nie brał ze sobą całej bandy. I zawsze można się z nim jakoś skontaktować.

Zawróciłem do domu.

Nowiny usłyszałem od sąsiadów, na chwilę przed tym, nim przekroczyłem jego próg.

- Wielkie jatki w Kantardzie, Kupo Gnatów - powiedziałem do Truposza. - Właśnie przyszły wieści. Wszystko się sknociło. Połobno nasze wojska i Venageti dogonili Glory'ego Mooncalleda i dopadły go jednocześnie w miejscu zwanym Kanionem Skręconego Karku. Do tej pory jeszcze nie wiadomo, czym się to skończyło.

Sąsiad wiedział tylko tyle, że była to prawdopodobnie bitwa wszechczasów. Przyjąłem, że oddziały kierowane do tej pory na północ natychmiast zostały przeniesione w tamten rejon. Samo schwytanie Mooncalleda już było wielkim wydarzeniem.

Tego się właśnie spodziewałem. Emanować energią wibracji taką, że wyczuwam ją aż tutaj... to chyba największa bitwa w historii i wciąż trwa. Nie spodziewałem się, że Mooncalled zdolny jest do tak zaciętej obrony.

- Szczury zapędzone w ślepy zaułek. - Ale Mooncalled zawsze zachowywał się nieprzewidywalnie.

Być może. Nie przejmujmy się zatem zbytnio, dopóki nie pojawi się bardziej spójna informacja. Wyczuwam, że jesteś zdeenerwowany.

-Co za geniusz. Zdumiewające, jak ty wszystko od razu wiesz.

Opowiedziałem mu wszystko, co się do tej pory zdarzyło.

Idź coś zjeść. Daj mi pomyśleć.

Usłuchałem bez szemrania. Byłem zgnębiony, przybity i zdołowany.

- Miał całą godzinę - powiedziałem do Deana, który miał już serdecznie dość mojego plątania się po kuchni. - To powinno wystarczyć, nawet geniuszowi.

Z pełnym żołądkiem i naładowany optymizmem na tyle, by tymczasem odsunąć od siebie samobójcze myśli, ruszyłem na górę.

Carla Lindo wychodziła właśnie z pokoju Truposza. W rękach miała miotłę i łopatkę. Zatrzymałem się, rozdziawiając gębę. Za moimi plecami Dean zaczął się gęsto tłumaczyć.

- Chciała coś robić, panie Garrett. A on jej wcale nie denerwuje.

- W porządku. - Żadna miotła jeszcze nie przyprawiła mnie o utratę tchu. To ona spojrzała na

mnie tak, że mój kręgosłup zmieścił się w galarecie. Od tego spojrzenia w całym mieście powinny się rozdzwonić dzwony jak do pożaru.

Złapałem się za kołnierz i zaciągnąłem do pokoju Truposza, chcąc zdążyć, nim zaślinię cały dywan.

Jest atrakcyjna, czyż nie?

- Hej? Ty też? - Doprawdy, żyjemy w epoce cudów. Tysiąclecie za pasem. Nigdy nie zdarzyło mu się powiedzieć nic miłego o osobach płci odmiennej. Ale może Carla Lindo była na tyle odmienna, że ruszyła nawet ten zewłok.

Masz mi coś do powiedzenia?

-Hej?

No to mów. Unikniesz hiperwentylacji.

- Powiedziałem ci już wszystko.

Aha. Rzeczywiście.

Ktoś zaczął walić do drzwi frontowych. Truposz nie wyglądał na zainteresowanego. Ja zignorowałem sprawę. Niech już sobie pójdą. Najwyższy czas odkomplikować moje biedne życie.

Myślałem trochę, Garrett

- Hej, to wspaniale! Cieszę się, że to słyszę. Zwłaszcza że za to ci płacę.

Garrett! Czas jest bardzo cenny.

- No to przestań go marnować. Zostało mi może ze trzydzieści lat.

Zastanawiałem się nad tą Księżką Snów. Przyszło mi do głowy, że Chodo Contague musi wkrótce odkryć przyczynę całego zamieszania, jeśli jeszcze tego nie zrobił. A wtedy, jak mi się здаje, jego zainteresowanie znacznie wzrośnie, wykraczając poza za wodową zemstę.

- Hej? - On tak może bardzo długo. - Chyba się zgubiłem. No. Może nie całkiem, ale on tak lubi czuć się sprytniejszy od wszystkich naokoło, że najłatwiej jest go zachęcić do mówienia właśnie poprzez odwołanie się do jego ego.

Im więcej myślę o tej Księżce Cieni, tym bardziej ponura i kuśsząca mi się wydaje.

Wydałem z siebie odpowiednie dźwięki, sugerujące pełną podziwu ciekawość.

Wszyscy odgrywamy jakieś role przez całe życie, Garrett. Wszyscy mamy wiele twarzy, w które przyodziewamy się w zależności od sytuacji i towarzystwa, w jakim się w danej chwili znajdujemy, a także, być może, w przewidywaniu korzyści, jakie możemy osiągnąć. Jak przerażająco wygodne byłoby stawanie się za każdym razem tym, czym chcemy być, odegrać tę rolę w sposób doskonały, kiedy tylko nam przyjdzie ochota.

Brzmiało to niemal pożądliwie. Cóż, mając Carlę Lindo w okołicy, to się może przydarzyć każdemu.

Jakież to wygodne, jeśli jesteśmy dotknięci straszliwym kalecstwem.

To znaczy, jeśli na przykład jesteśmy martwi?

- Rozumiem, ale moim zdaniem powinniśmy przycupnąć cicho i poczekać, jak sytuacja się rozwinie.

To nie do pomyślenia. Trzeba przywrócić równowagę. Że nie wspomnę o tym, iż podjęliśmy się udzielić pomocy pannie Ramada. Muszę jeszcze trochę pomyśleć, jak najlepiej zacząć działać. Kiedy ja będę pogrążony w rozmyślaniach, ty powinieneś przejść na drugą stronę holu. Dean zaprowadził pana Tate'a do twojego gabinetu. Wydaje mi się, że potrzebuje pociechy.

-Willard Tate? Tutaj?

We własnej osobie.

- Przecież staruszek nigdy nie wychodzi z domu. Co u diabła tutaj robi?

Możesz sam zapytać.

Nie ma nic lepszego od subtelnej aluzji.

- Jasne. Pewnie. - Ruszyłem do biura.

Tate usiadł na gościnnym krześle. Nie pasował do niego. Za mały. Jak pierzasty, osiwiwały stary gnom. Dean podjął go kufelkiem. Tate pracował nad nim pilnie i flirtował z Eleanor.

- Jeszcze trzy minuty i nie byłoby mnie w domu - oznajmiłem, tylko po to, żeby pokazać, jaki ze mnie pracowity gość.

Zmarszczył brwi.

- Tinnie się pogorszyło, Garrett. - Szybko machnął uspokajająco ręką. - Ale przeżyje, tak twierdzą. Mnie to jednak kompletnie zabiło z nóg. Przyszedłem się dowiedzieć, czy nie masz czegoś nowego.

- Niewiele. - Opowiedziałem mu swój dzień.

Powoli, gniewnie potrząsnął głową i spojrzał na Eleanor, jakby mówił do niej.

- Tracę swój i twój czas. Ale nie mógłbym dzisiaj pracować. Nie mogę usiedzieć na miejscu. - Mówiąc, zmieniał się powoli, jego głos przybrał stalowe tony. - Chciałbym spotkać tę Panią Węży, powiedziałbym jej to czy owo.

- To wiedzma, panie Tate. I jej głównym zajęciem nie jest wróżenie z fusów. Trudno się do niej dostać, a kiedy już się uda, czekają cię potężne kłopoty. Poza tym mój partner ostrzegł mnie, że Chodo Contague zaczyna się nią interesować, i to bardziej niż przelotnie. - Wyjaśniłem, dlaczego.

Tate wstał. Gdyby było dość miejsca, pewnie zacząłby chodzić w kółko.

- Nie podoba mi się, że Tinnie została ranna, Garrett. Nie chciałbym widzieć w tej sytuacji żadnego innego Tate'a. Zwłaszcza bez powodu. Nie zniosę tego. Chodo to żaden problem. Mam pieniądze i powiązania. Jeśli będzie trzeba, kupię sobie strażnika burzy.

- Mnie to wygląda jak wpadnięcie z deszczu pod rynną. Załóżmy, że sobie go kupisz. Co się stanie, jeśli on się zorientuje, o co chodzi z księgą?

- Niewiele mnie to obchodzi.

- A powinno. Bo mnie obchodzi. Mamy zobowiązania, które przekraczają...

- Pierdoły.

- Panie Tate, to nie jest całkiem prawo dżungli i zwycięstwo najsilniejszych. Jeszcze nie. Dlatego właśnie niektórzy z nas robią to co należy. Proszę posłuchać. Ta księga to wcielenie całego zła. Nawet jeśli każda postać w niej zawarta byłaby tak słodka i niewinna jak Tinnie, księga jest narzędziem ciemności. Może służyć wyłącznie złym celom.

Czy to naprawdę ja prawię takie kazanie? No-no-no...

Zacząłem się zastanawiać, jak ja sam użyłbym tej księgi. Podejrzewam, że każdy, kto o niej słyszał, zrobiłby to samo. Taka jest ludzka natura. Jak ktoś, kto ją posiada, mógłby się oprzeć nadżyciu zawartej w niej mocy?

- Pomyśl trochę. Gdyby Księga Cieni nie istniała, czy Tinnie byłaby teraz jedną nogą w grobie? A ci wszyscy ludzie, którzy już zginęli z jej przyczyny? To czyste zło, ponieważ w każdym budzi najgorsze instynkty.

W najlepszych swoich chwilach Tate wygląda, jakby przeżuwał cytrynę. Teraz nie wyglądał aż tak dobrze.

- Sądzę, że dzielisz włos na czworo, Garrett. Ta księga jeszcze nikogo nie zabiła. Ludzie podejmują decyzje i zgodnie z nimi działają. Dopiero wtedy ktoś może umrzeć.

- Te decyzje zostały wypaczone przez wiedzę o księdze.

- Bredzisz. Obaj bredzimy. Dlaczego? Próbujesz ze mnie wyciągnąć forszę? W ogóle po co tu

siedzisz i gadasz ze mną?

Najlepsze pytanie, jakie mi zadał do tej pory.

- Z grzeczności, panie Tate. Z czystej grzeczności.

- No to czemu mnie nie wyrzucisz? Jestem tylko starym zgre?dem, który powstrzymuje cię przed zrobieniem czegoś pożytecznego.

Ależ on miał humorek.

- Masz może jakiś pomysł, co? Może powinienem wynająć ko?nia i ruszyć galopem, wrzeszcząc „Wyłazić, wyłazić, gdziekolwiek jesteście”.

Samokontrolę miał w strzępach, ale mój pomysł chyba mu się spodobał.

- Chciałbym coś zrobić, panie Tate. Chcę coś zrobić. Mam zwyczaj chwytając zwisające końce i skubać tak długo, aż wszystko się rozplącze. Ale tu mam problemy ze znalezieniem nawet takich luźnych końców. Mogę jedynie plątać się pod nogami i mieć nadzieję, że to mnie do czegoś zaprowadzi. Tymczasem jednak sam potykam się o ludzi, którzy również szukają.

Willard Tate nie był bogatym człowiekiem dlatego, że pozwo?lił panować nad sobą swoim emocjom. Przysiadł. Pomyślał.

- Masz środki. Tę dziewczynę. Wodza karłów. Tych ludzi, któ?rzy pracują dla Contague'a. Znajdź tę dwójkę. Miej ich na oku. Niech to oni polują.

Był naprawdę studnią pomysłów. Szalonych pomysłów. Cho?dzić za Craskiem i Sadlerem? A może od razu kamień do nogi i do rzeki? Zaoszczędzimy wszystkim czasu i kłopotów.

- To tylko ludzie, Garrett. Chodo to tylko człowiek. Stawiałeś czoło strażnikom burz. Zrobiłeś najazd na gniazdo wampirów. Czy to wszystko tak wyczerpało zasoby twojej odwagi, że został ty?ko połamany starzec?

Niezły manipulator z tego faceta.

- Nie. - Czego on tak naprawdę chciał? Jeszcze nie całkiem dotarło do mnie, że tu przyszedł. Czyżby naprawdę mu odbiło?

- Pieniądze i kontakty, Garrett. Ja to wszystko mam. Chodo Contague mnie nie onieśmiela. Chcę tej Pani Węży. Zdobądź ją dla mnie. Zniszcz jej księgę, jeśli chcesz. Bo ona nic dla mnie nie znaczy. Ja chcę tylko jej. Postanowiłem raz na zawsze. Za?płacę tyle, ile trzeba. Jeśli będziesz musiał pracować z Chodo Contague'em, niech będzie. Powiedz, czego ci trzeba, a ja dostarczę ci narzędzi. Ale nie siedź tu i nie trzęs portkami.

Nie trząsałem, ale nie miałem zamiaru się kłócić. Zaczął mi wy?glądać na kandydata do akademii wesółków. Nieźle byłoby go mieć za sobą, ale najlepiej daleko za sobą i do tego nie w cha?rakterze krzyżowca.

Jakim sposobem ja się zawsze wplątuje w te kłopoty? Spoj?rzałem na Eleanor.

- Dlaczego ja?

Do diabła, idę z tego bajzlu. Weider ciągle chce mnie zatrud?nić w browarze. Będę się tam zajmował ochroną, pracował ileś godzin dziennie, i nigdy nikt mnie nie przyłapie na żadnym pa?skudztwie.

Księga Cieni, która pozwala zmieniać osobowość tak, jak ja zmieniam skarpetki. Dajcie spokój, nie potrzebuję tego.

Tate i ja przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Piliśmy piwo. Wy?rzucił z siebie gniew i teraz wyglądał na zgaszonego. Nigdy go takim nie widziałem, ale cóż, na tym świecie wszystko może się zdarzyć.

Dzban pokazał dno, więc wezwałem Deana. Weszła Carla Lindo. Tate zaskrzeczał. Jej podobieństwo do Tinnie w półmroku by?ło uderzające.

- To Carla Lindo Ramada, panie Tate - powiedziałem. - Da?ma, której szukali mordercy.

Wytrzeszczył oczy.

- Teraz rozumiem ich omyłkę - szepnął. - A jeśli już o tym mowa, to i ja popełniłem omyłkę, przychodząc tutaj. Zrobiłem z siebie prawdziwego głupca, co? No to już się usuwam z pań?skiej drogi, panie Garrett

Ta nagła zmiana zachowania sprawiła, że poczułem się nieswo?jo. Nie do wiary, ale nie znałem go na tyle, żeby wiedzieć, co się dzieje teraz w jego głowie.

Nieważne, Truposz mi to wyjaśni.

- Odprowadzę pana do drzwi.

Tate wciąż oglądał się na Carlę Lindo, kiedy zamykałem drzwi frontowe. Na zewnątrz czekał na niego tłum krewniaków. Tinnie była jedynym Tate'em, który chodził samotnie. Żałowałem, że choć ten jeden raz nie zastosowała się do rodzinnego obyczaju. Wtedy zapewne nigdy nie usłyszałbym o Księdze Snów.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXVIII

Wróciłem do mojego odwiecznego gościa.

- O co chodziło?

Chciał się dowiedzieć, czy wyszedłeś coś nowego. Teraz za?mierza wziąć sprawy w swoje ręce. Pogorszenie zdrowia panny Tate wytrąciło go z równowagi.

- Moim zdaniem nigdy jej nie miał zbyt dobrej. Do licha, to cholernie uparty stary grzyb. Może narobić kupę kłopotów.

Zdaje się, że ma właśnie taki zamiar.

- Wyciągnąłeś z tej zakutej pały coś pożytecznego?

Najlepszy czas, żeby kupować skóry. To na wypadek, gdybyś chciał zająć się sprzedażą butów.

- Pękam ze śmiechu, Kościeju. Ha-ha-ha.

Gnorst obracał się ostatnio w centrum wydarzeń. Idź, dowiedz się czegoś od niego.

- Pewnie. - Właśnie zaczynało się ściemniać. Doprawdy, naj?bardziej na świecie marzyłem o spacerze pośród nurkujących mor-Cartha i zaczajonych karłów. - Hej, dlaczego by nie? Mam jesz?cze na ciele parę miejsc bez stłuczeń i siniaków. Może, jeśli wyjdę dość szybko, uda mi się nawet dać się zabić.

Nie znał litości.

Nie zapomnij zapytać o ostatnie nowiny z Kantardu.

Pewnie założył się o coś sam ze sobą. Loghyrowie robią takie rzeczy, jeśli mają skłonności. Mają wielokrotne mózgi i nieraz wielokrotne osobowości.

Wyszedłem i powiedziałem Deanowi, że idę na spacer. Carla Lindo siedziała z nim w kuchni. Zaśliniłem całą podłogę. Uśmiech?nęła się i upozowała. Pikantna. Najlepsze dla niej określenie. I jesz?cze ze dwadzieścia innych. Dean obrzucił mnie ponurym spojrze?niem. Ten stary drań dobrze mnie zna. Powinienem go wywalić i zatrudnić kogoś mniej stronniczego. Ale gdzie ja znajdę takie?go, co by zrobił choć połowę tego, co on?

Dokładnie sprawdziłem ulicę, zanim wyszedłem. Sprawdziłem ją jeszcze raz, kiedy już się na niej znalazłem. Nie widziałem ni?czego oczywistego, ale pozostawałem w gotowości. Nie nadle?ciały żadne strzały, żeby mi szeptać o śmierci. Nic, tylko hałas podniebnego cyrku. MorCartha przeniosły się dzisiaj ze swym przedstawieniem nad brzeg rzeki.

Ruszyłem w stronę strefy bezpieczeństwa. Nie nadkładałem drogi.

Knajpa Morleya była zamknięta i pogrążona w mroku. Obsze?dłem ją dokoła. Nic. Ciekawe. Nawet, jeśli frontowe drzwi są za?mknięte, zawsze ktoś jest w kuchni.

Zacząłem się martwić.

Następnie spróbowałem domu Saucerheada. Tym razem otwar?li mi drzwi, ale nie był to Tharpe. Malutka blondynka, takiej wielkości, że zmieściłaby mu się w dłoni, powiedziała, że nie widziała go od rana. Była zatroskana, bo sądziła, że jest ze mną. Powiedziałem, żeby się uspokoiła, bo tylko się rozminęliśmy. Nie uspokoiła się ani trochę.

Ja też nie. Coś się działo. A ja kręciłem się wokół niczym śle?pa ćma pośród tysiąca świec.

Zdrowa na umyśle ćma usiadłaby i ocaliła skrzydła.

A jeśli już mowa o płomieniach, znowu dostałem ogon. Wy?czułem go, kiedy odszedłem od domu

Saucerheada. Tym razem nie próbowałem płatać mu figli. Niech sądzi, że nie widzę. Niech się odpręży. Potrafię być dość szybki, jeśli zechcę się go pozbyć.

Zmieniłem zamiar co do moich kolejnych kroków. Chciałem obejść wszystkie czarne charaktery, o których wiedziałem, że za parę miedziaków chętnie wyśpiewają wszystko, co wiedzą. Żaden z nich nie był moim przyjacielem, ale wiedzieli, że nie sprośwadzę im na głowę żadnych problemów. Straciłbym mnóstwo informatorów, gdybym przez przypadek puścił farbę choćby o jednym z nich.

Ruszyłem zatem w stronę Fortu Karłów. Trzódka Gnorsta po trafi sama o siebie zadbać.

Podszedłem do tych samych drzwi. Otworzył mi ten sam staśruszek - albo jego brat bliźniak.

- Jestem Garrett - przypomniałem mu, na wypadek gdyby miał słabą pamięć albo gdyby pod tą twarżową szczotką jego miejsce zajął inny karzeł. - Znowu muszę widzieć się z Gnorstem.

Uznałem, że jeśli nawet nie jest to ten sam karzeł, to pewnie przynajmniej słyszał o mojej wizycie. Ten sam czy inny, miał identyczny talent do etykiety.

- Wy, Wielcy Ludzie, jesteście wszyscy tacy sami. Myślicie, że nikt nie ma nic więcej do roboty, jak tylko tańczyć, kiedy mu zagracie, nawet w środku nocy. No dobra, dobra. Jeśli musisz. Jeśli nalegasz. On sam, sam Gnorst, powiedział, że mam cię przyprowadzić, jeśli się znów pokażesz.

Całym swoim zachowaniem dawał mi do zrozumienia, że uważa swojego szefa za kompletnego durnia. Wszedłem do środka.

- Nie ma sprawy. Daj, niech no je zamknę. - Pchnąłem drzwi, zamykając je tak, by zostawić niewielką szczelinę. Wyrząłem na zewnątrz.

Ktokolwiek krył się w mroku, nie raczył się pokazać. To mnie trochę przerażyło. Znałem tylko jednego gościa o takich zdolnościach, ale on już nie żył. I z całą pewnością w dalszym ciągu pozostawał martwy.

Gnorst przyjął mnie w tym samym ogrodzie. Może było to w ogóle jedyne miejsce, gdzie przyjmowano obcych.

- W czym panu mogę dzisiaj pomóc, panie Garrett?

- Wpadłem tylko na chwilę. Ciekaw byłem, czy dowiedział się pan czegoś od czasu naszej ostatniej rozmowy.

Pokręcił głową.

- Ani jednego cholernego szczegółu.

Niech mnie. Kłamał w takim stylu, że za samo to byłem gośców mu uwierzyć. Trzeba podziwiać gościa, który potrafi tobą pomiatać i jeszcze sprawić, że ci się to podoba. Ale mnie się to nie podobało. Prawie warczał, kiedy dodał:

- Gdybym coś wiedział, przesłałbym wiadomość. Myślałem, że o tym rozmawialiśmy.

O, doprawdy? A kiedyż to?

- Nikt z pańskich ludzi o niczym nie wie?

- Nie.

- A to ciekawe.

- Dlaczego?

- Przez cały dzień toczą się walki między karłami. Znaleźliśmy kilka trupów i przysięgłbym, że byli wśród nich i pańscy chłopcy.

- Jest pan ofiarą przesadów i uprzedzeń, panie Garrett. Bóg da, przyjdzie dzień, kiedy ludzie wreszcie przestaną myśleć, że wszyscy wyglądamy tak samo.

Mógłbym się przyznać do winy, gdyby nie to, że mały gnojek próbował odwrócić moją uwagę. Kłamał jak pies. A ja wiedziałem, że on kłamie. A on wiedział, że ja wiem, że on kłamie. Wiedział, że ja wiem, że on wie i tak dalej. Ale znajdowałem się w jego domu i nie było to odpowiednie

miejsce, żeby go wy?zwać.

- Kiedy byłem tu po raz pierwszy, nie miałem pojęcia ani o Księdze Cieni, ani o tym, co karły mogą mieć wspólnego z jej stworzeniem. Zgadza się? - zapytałem.

Gnorst kiwnął głową.

- Zgoda. No i co?

- Myśli pan, że przez to, że się czegoś dowiedziałem, stałem się dla kogoś bardziej niebezpieczny?

- Możliwe. Niewielu nie-karłów zna tę historię. Nawet pośród nas prawie ją zapomniano.

Mędracy powiadają, że wiedza jest nie?bezpieczna.

- Tak właśnie sobie myślałem.

- Coś pan kombinuje, panie Garrett?

Myślałem przez chwile, zanim udzieliłem odpowiedzi. Chciałem, żeby moja myśl pozostała w powietrzu, kiedy ją wypchnę z gniazda, choćby nawet miała nigdy nie polecieć w niebo.

- Dopóki tu nie przyszedłem, zbiry nie zwracały na mnie uwa?gi. Zaledwie opuściłem te progi, próbowali mnie zabić i do tej pory próbują. Człowiek zaczyna się zastanawiać. Co się zmieni?ło? Skąd wiedzieli? Nie mówiąc już o tym, że jak do tej pory, wszystkie karle burdy nie przyniosły właściwie rezultatu.

Pod warstwą futra Gnorst wyraźnie spochmumiał. Zaczął cho?dzić w kółko.

- Słyszałem rzeczywiście, że został pan zaatakowany na uli?cy. Wcześniej tego nie skojarzyłem. Tak, teraz rozumiem, o co panu chodzi. Przynajmniej w tej jednej sprawie. Nie zwracali na pana uwagi a tu nagle pan spotkał się ze mną i stał niebezpiecz?ny. Cóż, czuję się wprawdzie niezmiernie zawstydzony i zakło?potany, ale muszę przyznać, że wygląda to tak, jakby jeden z mo?ich ludzi był informatorem.

Cóż za delikatne sformułowanie.

- Ja też tak uważam.

- A tak z czystej ciekawości, panie Garrett: jak to się dzieje, że pan wciąż jeszcze żyje i jest w stanie złożyć mi wizytę? Wy?dawałoby się, że słynna skuteczność karłów rozciąga się również na zastawianie pułapek.

- Miałem szczęście. Za pierwszym razem zjawili się ludzie Chodo Contague'a. Za drugim razem zacząłem biec, nim oni za?częli strzelać. Mam nadzieję, że trzeciego razu już nie będzie i że uciekną, gdzie pieprz rośnie, przed porządnym laniem.

Zachichotał. Nie był to miły dźwięk. Przypominał gul-gul wo?dy wylewanej z dziesięciogalonowego gąsiora skrzyżowane ze skrobaniem paznokciem po tablicy.

- Mnie to wcale jakoś nie bawi.

- Z pewnością nie, panie Garrett. Co pan robi? Zacząłem się skradać ku krawędzi dachu.

- Ktoś mnie śledził. Miałem nadzieję, że może stąd będę mógł mu się przyjrzeć.

Nic z tego. Panował tak cholerny mrok, że nie zdołałbym mu się przyjrzeć, nawet gdyby zaczął tańczyć na środku ulicy.

- Właśnie dlatego przyszedłem - skłamałem. - Żeby panu po?wiedzieć, że ma pan na pokładzie szpiega.

Gnorst burknął coś z irytacją. Z własnego doświadczenia wiem, że to naturalnie nieuprzejma nacja. Gnorst stanowił prawdziwy wzór uprzejmości i cierpliwości. Może właśnie dlatego był lokal?nym szefem karłów.

- Nie przyniósł mi pan żadnych nowin, jakie chciałbym usły?szeć - oznajmił. - Teraz musze to jakoś przetrwać.

Trudno zrozumieć kogoś, kto wyrósł w odmiennej kulturze, ale wygląda na tyle po ludzku, że człowiek wyciąga pochopne wnioski. Miałem jednak poważne podejrzenia, że Gnorst był znacznie mniej nieszczęśliwy, niż chciał to po sobie pokazać. Może uważał, że posiadanie zdrajcy pod ręką to wygoda. Ja też potrafiłbym wymyślić dla takiego niejedno zastosowanie.

- Wiem, co pan ma na myśli. Przez cały dzień byłem prawdziwym źródłem złych nowin. Gdziekolwiek pójdę, wszędzie głoszę wieści, których nikt nie chciałby usłyszeć.

Przez chwilę fechtowaliśmy się na słowa. Nie popuścił ani jednej informacji, która mogłaby mi się przydać. Wreszcie skapitulowałem przed nieuniknionym i stwierdziłem, że muszę to wszystko przedstawić Truposzowi. Wypuścił mnie bez jednego słowa więcej. Nie był już teraz taki miły i uprzejmy, a jego zachowanie wyraźnie udzieliło się mojemu przewodnikowi, który nie przemęczał się, żeby mi się szło wygodniej.

Kiedy znalazłem się na ulicy, znieruchomiałem i rozejrzałem się uważnie dokoła. Garrett nie wpada dwa razy w tę samą dziurę. Nic nie zauważyłem, ale i tak ruszyłem przed siebie gotów na wszystko.

Ale kiedy jesteś gotów na wszystko, nigdy nic ci się nie przydarza.

Cisza nad moją głową była niemal złowróżbna. MorCartha z jakiegoś powodu pochowały się po kątach. Prawie mi ich brakowało. Stały się nieodłączną częścią miasta.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXIX

Miałem całą noc dla siebie. Jeśli nie liczyć ogona. Nie było to miłe uczucie. W moim przypadku puste ulice zawsze oznaczają kłopoty.

Ktokolwiek mnie śledził, robił to w upiorny sposób. Znałem tylko jednego gościa, który byłby tak dobry. Pokey Pigotta. Możliwe że to był duch Pokeya.

Kiedyś, gdy mnie śledził, udało mi się go przechytrzyć. Możliwe i tym razem powinienem zastosować tę samą sztuczkę. Trudno jednak zmylić gościa w pojedynkę. Musiałem znaleźć gwarowną tawernę, która miałaby tylne wyjście.

To nie był mój najlepszy dzień. Nic z tego. Nie przyłapałem nikogo wślizgującego się przez frontowe drzwi, choć biegłem bardzo szybko. Tak jakby facet czytał w myślach. Osiągnąłem tylko tyle, że teraz i on wiedział, iż ja wiem o jego istnieniu. Cóż, Garret, zagraj w inteligencję z kamieniem, a może dasz mu pierwszą w historii świata szansę na wygraną.

Kiedy wiesz, że ktoś za tobą łązi, w twojej głowie zaczynają dziać się cuda. Zaczynasz się zastanawiać, kto i po co. Wkrótce zaczynasz się zastanawiać, a co by było, gdyby... i wyobraźnia pracuje. I zaraz potem już czujesz, że wampir czy wilkołak, albo banda ghuli, czyha na ciebie w każdej alejce, czekając tylko, aż zamkniesz oczy, żeby... To nie są miłe myśli, zwłaszcza jeśli noc jest wystarczająco ciemna.

Do diabła z tym pajacem. Niech sobie zedrze nogi do samego zadku. Nie wydaje się zainteresowany bliższym kontaktem z moją osobą, a jedynie tym, gdzie się wybieram. Jeśli będę cały czas chodził, nie będzie miał czasu nic donieść temu, kto go na mnie nasłał.

Byłem zmęczony, zgnębiony i miałem serdecznie dosyć wszystkiego. Może nawet zacząłem być trochę złośliwy. Zawsze robię się taki, kiedy sprawy nie idą po mojej myśli. Niech będzie, że jestem rozwyzdrzony.

Znalazłem się w pobliżu szpitala Bledsoe, charytatywnej trupiarni wspomaganej przez żyjących spadkobierców rodu imperialnego, gdy nagle poczułem zmianę w otaczającej mnie ciemności. Nic oczywistego, raczej wrażenie. Nic, co mógłbym określić słowami. Mój cień był na swoim miejscu. MorCartha nie hałasowały zbyt głośno. Nad głową ciągle przelatowały mi cienie gromojaszczurów polujących na nietoperze. Ulice pozostały pustawe. Ciekawe, może cały półświatek wyjechał na urlop?

Przystanąłem, żeby popatrzeć na Bledsoe, pomnik dobrych chęci, który stał się symbolem rozpaczki. Miejsce strachu, gdzie ubodzy przychodzili, aby umrzeć, a szaleńcy wyrzaskiwali dusze w zaśluchanych oddziałach zamkniętych. Imperialna rodzina robiła, co mogła, ale mogła niewiele. Ich pieniądze i wkład pracy zaledwie wystarczyły, by utrzymać szpital w pozycji pionowej. Był to wielki, szary budynek, który za dobrych czasów, to znaczy jakieś dwieście lat temu, mógł nawet wyglądać imponująco. Teraz była to po prostu jeszcze jedna zrujnowana budowla, większa, ale wcale nie w lepszym stanie niż dziesięć tysięcy innych w TunFaire.

Potrząsnąłem głową, zaskoczony tą oryginalną myślą. Nie przypomniałem sobie, abym widział w mieście jakikolwiek nowy budynek. Czy wojna rzeczywiście tak wyssała z nas wszelkie pieniądze?

Wojna jest w naszym życiu najważniejszą sprawą, czy bierzemy w niej udział, czy nie.

Kształtuje nas samych i nasze otoczenie, i naszą przyszłość, z każdą mijającą minutą.

Cokolwiek teraz dzieje się w Kantardzie, cokolwiek ma w sobie tyle heroizmu, że Truposz wyczuwa go na odległość, będzie miało druzgoczący wpływ na nasze życie.

Trochę mnie to przeraziło. Niezbyt podoba mi się świat taki, jaki jest, ale jedyne możliwości zmian, jakie widzę, idą ku gorszemu. Im większa zmiana, tym gorzej.

Nagle dobiegł mnie cichuteńki szmer, jakiś ulotny błysk za migotał w kątku mojego pola widzenia. Byłem o krok za daleko i teraz zdałem sobie z tego sprawę, dlatego moja reakcja może była cokolwiek zbyt gwałtowna. Dzikim skokiem rzuciłem się w tamtą stronę, opadłem na jedną nogę, uchyliłem się, okręciłem na pięcie i przeciąłem powietrze ostrzem noża.

Craska uratowało jedynie to, że po drodze musiałem końcami palców jego podbródek, odrzucając go w tył. On także odskończył prawie w tej samej chwili i teraz siedział, patrząc na mnie z głupią miną.

- Słuchaj... - wymamrotał - co właściwie się z tobą dzieje? Miałem w sobie tyle adrenaliny, że nagle zacząłem się cały trząść. Rzeczywiście, dałem ciała. Odetchnąłem głęboko kilka razy, żeby się uspokoić, odłożyłem nóż i wyciągnąłem rękę:

- Przepraszam, przestraszyłeś mnie śmiertelnie.

- Tak? Cóż, nie miałeś powodu...

Zamknąłem się natychmiast, kiedy wyciągnął lewą rękę. Nie spodobało mi się spojrzenie, jakim mnie obdarzył. Szybko cofnąłem wyciągniętą dłoń, zanim złapie za nią zębami i zacznie żuć.

Wstał powoli, wciąż używając tylko lewej ręki. Zauważyłem, że prawe ramię miał zawieszona na temblaku.

- A tobie co się stało? - W tym świetle trudno było powiedzieć cokolwiek wiążącego, ale wydawało mi się, że jego gęba też wygląda na trochę bardziej zdefasonowaną niż zwykle. Wydawał się znacznie mniej onieśmielający.

Wyprostował się z trudem, masując siedzenie. Do licha, facet wyglądał na zakłopotanego! Może to w tym świetle, przesączającym się z okien Bledsoe... W każdym razie nic nie odpowiedział.

Szybko dodałem sobie dwa do dwóch. To on był tym gościem, którego Winger zniechęciła, kiedy ja rozmawiałem w alejce z Sadlerem. Sam nigdy się do tego nie przyzna, a ja nie mam żadnych dowodów, ale do licha, chętnie założyłbym się nawet o pieniądze, że tak było. Przynajmniej o miedziaka lub dwa... Wyszczrzyłem zęby.

- Nie powinieneś być się tak skradać, przyjacielu.

- Nie skradałem się. Łazłem wprost na ciebie.

Nie klóciłem się z nim. Z Craskiem i Sadlerem tak jest po prostu bezpieczniej.

- Co tu robisz?

- Szukałem cię. Twój człowiek powiedział, że wybierałeś się do Fortu Karłów, więc doszedłem do wniosku, że o tej porze już pewnie wracasz do domu.

Muszę pogadać z Deanem. Choć z drugiej strony to naturalne, że odpowie na każde pytanie, gdy tylko Crask zrobi brzydką minę.

- Co się dzieje?

- A dzieje się. Widziałeś Sadlera?

- Nie, od czasu... Nie, już od dawna. Dlaczego?

- Zniknął - Crask nie tracił słów po próżnicy. - Przyszedł spotkać się z Chodo tuż po... - Nie miał zamiaru opowiadać o tym incydencie. - Trochę pogadał i poszedł. Nikt nie widział, dokąd. Nie powiedzieli mu tego, co mieli powiedzieć. Nikt go nie widział od tamtej pory. Chodo się martwi.

Chodo się martwi. Grube niedopowiedzenie, jak każde inne stwierdzenie w przypadku kacyka. W

normalnym języku używanym przez zwykłych ludzi oznaczało to, że Chodo jest potężnie wkurzony.

Niechętnie dzielię się informacjami z własnej woli, zwłaszcza z ludźmi kacyka, ale tym razem zrobiłem wyjątek.

- Chłopaki znikają jak kamfora. Nie mogę natrafić na ślad Mor?leya Dotesa, teraz zniknął Saucerhead Tharpe. Można powiedzieć, że ja też się martwię. Na ulicy nie słyszę nic nowego. A ty?

Najpierw potrząsnął głową, aż skóra na czubku głowy zaśni?ła w blasku padającym z okien szpitala.

- Myślałem, że Dotes się obraził za to, że skorzystaliśmy z je?go knajpy.

- Ja też tak myślałem. Z początku. Ale przecież to nie w jego stylu, no nie?

- Nie. Taki z niego fircyk, ale gdyby mu to naprawdę przeszka?dzało, rozwaliliby nam łby i skopał tyłki.

- W każdym razie na pewno by próbował.

Crask uśmiechnął się. Robił to tak rzadko, że efekt był pora?żający.

- Jasne. Próbowałby. Słuchaj, mam jeszcze jedną nie załatwio?ną sprawę na głowie. Już jestem spóźniony. Szukałem cię, bo chciałem dowiedzieć się czegoś o Sadlerze. Chciałbym, żebyś przeszedł się ze mną. Może byśmy pogadali, wymienili poglądy, gdzie ci ludzie tak znikają.

Nie miałem na to specjalnej ochoty, ale nie odmówiłem. Nie dlatego, że bałem się go obrazić. Po prostu uznałem, że może cze?goś się dowiem. Nazwijmy to intuicją.

Po pierwsze, dowiedziałem się, że Crask - przynajmniej na ra?zie - nie był tym facetem, którego znałem i nie cierpiałem. Tak mocno się nad czymś zastanawiał, że skorupa, jaką otoczył się przed światem, zaczęła przeciekać. Chwilami wydawał się nie?mał człowiekiem - choć nie na tyle, żebym chciał go za szwa?gra, gdybym miał siostrę. Ale nie mam i cieszę się z tego. Mam przyjaciół, i to mi w zupełności wystarczy, kiedy los bierze za?kładników.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXX

Przez jakiś czas bawiłem się myślą, że to Chodo załatwił mi nieobecność Morleya i Saucerheada, aby pozbawić mnie pomo?cy, gdybym nagle zainteresował się Księgą Snów. Nieraz czło?wiek staje się taki, zwłaszcza jeśli sądzi, że jest pępkim świata. Ale teraz, kiedy natknąłem się na Craska, domysł upadł pod ciężarem zdrowego rozumowania.

Kiedy nic nie ma sensu, tonący chwyta się brzytwy.

Morley odpadł, zanim jeszcze Chodo mógł dowiedzieć się o na?turze księgi. Nawet teraz nie widziałem żadnej realnej podstawy, aby sądzić, że coś na ten temat wie. A poszukiwanie zaginionego Sadlera tylko dodatkowo zaciemniło sprawę.

Kto zatem sprawia, że ludzie znikają? Pani Węży nie powinna być zainteresowana tymi ludźmi, ponieważ szukała jedynie Księgi Snów. Polowanie na głowy jej w tym nie pomoże. To sa?mo rozumowanie dotyczyło wesolutkiego Fida Eastermana.

A więc kto miałby powód usuwać moich znajomych?

Jeśli brać ich pojedynczo, potencjalnych winowajców znajdzie się cały tłumek. Biorąc ich jednak jako jedną grupę, nie pozosta?wał nikt. Nie mieli wspólnych wrogów.

Crask zgodził się ze mną.

Dreptaliśmy mozolnie, pochylając się pod zimny wiatr i mam?rocząc, że nie mamy nawet najmniejszych wskazówek, co i jak. A potem jeszcze, że mamy ich tak dużo, iż nie wiemy, kogo z którą kojarzyć.

- Dokąd idziemy? - zapytałem. Na razie nie mogłem się zo?rientować. Wciąż czułem obecność cienia, który to się pojawiał, to znowu znikał, ale wciąż nie mogłem nikogo dostrzec. A czy ja w ogóle spodziewałem się, że kogoś zobaczę?

- Połudwica - wymamrotał Crask. Wiatr przeszkadzał także i jemu. Wyraźnie próbował chronić zranione ramię. - Mam rand?kę z kilkoma karłami.

Ach. No tak.

- Dlaczego o tym nie pomyślałem?

Połudwica to gniazdo grzechu w TunFaire. Wszystko może się tam zdarzyć, nikt nie zadaje pytań, nikt się do nikogo nie wtrąca. Misjonarze niemile widziani. Reformatorzy wchodzą na własne ryzyko. Tak jak i wszyscy inni. Cały gang Pani Węży mógł ukry?wać się tu w pełnym blasku słońca, mimo że wszystko i wszy?scy są tu własnością Chodo. Muszą tylko pamiętać, żeby nie trzy?mać się w kupie.

Naprawdę powinienem był o tym pomyśleć. Połudwica nie le?ży daleko od Fortu Karłów. Tylko kilka ulic dzieli ją od Bledsoe i chodziły słuchy, że po jednej z potyczek z bandą Gnorsta ban?da karłów-renegatów uciekła właśnie w tym kierunku. Gdybym był spoza miasta i potrzebował ukrycia, właśnie tam bym próbo?wał szczęścia.

No to dlaczego wcześniej nie pomyślałem, żeby tam trochę powęszyć? Chyba zaczynam cierpieć na uwiad starczy.

Połudwica nigdy nie zasypia, a jedynie zwalnia bieg późną no?cą. Kiedy się zjawiliśmy, latarnicy właśnie gasili latarnie, żeby zaoszczędzić oleju. W godzinach szczytu cała dzielnica skąpana jest w światłach. Prawdziwy karnawał, ale zarząd nie wyda ani miedziaka, jeśli w zamian nie ściągnie dziesięciu. Nadeszła go?dzina twardzieli, gdy światło i ciemność tracą znaczenie.

Połudwica jest jak dziwki, które są zresztą jej głównym towarem - z zewnątrz pełny makijaż i farba. A pod tym splendorem zgnilizna, smród i ludzka rozpacz. Tego nie zakrywają makijażem, choćby nawet mogły. Zanim spojrzysz takiej w oczy, już załapie cię i jest zainteresowana tylko tym, żeby obrobić cię najszybciej, jak się da.

Wiatr narastał z każdą minutą. Może właśnie dlatego morCartha wzięły sobie wolną noc. Ich rodzinne doliny są o wiele cieplejsze. Latarnicy, otuleni workowatymi opończami, klęli cicho pod nosem. Naganiacze rozmaitych przybytków obserwowali ulicę przez minimalnie uchylone drzwi, wyczekiwali, aż się do nich zbliżymy, i wyskakiwali, wyśpiewując rapsodie na temat niewyobraźalnych cudów, które czekają nas wewnątrz. Wycofywali się jednak, gdy tylko dawaliśmy im do zrozumienia, że nie jesteśmy zainteresowani. Żaden nie nalegał. Wszyscy rozpoznawali Craska.

Pozwalałem mu prowadzić, a sam pograżyłem się w wewnętrznej wędrówce, usiłując znaleźć choć jeden dobry powód, dla którego tak zawzięcie szukam Księgi Snów. Zacząłem być wobec siebie trochę nieufny. Zacząłem się obawiać, że jakaś część mojej osoby pragnie jej w taki sam sposób, jak Pani Węży i Easterman. A może nawet tak, jak pragnął jej nasz lokalny książę karłów.

A potem pojawiła się nowa myśl. Zasługiwała na uwagę. Mogła nawet wyjaśniać, dlaczego Gnorst był tak mało komunikatywny. Czyżby miał ochotę wcielić się na jakiś czas w skórę Nooneya Krombacha?

- Uh-uh. - Podczas, gdy przemierzałem dzikie prerie mego wnętrza, otoczenie na zewnątrz uległo znacznej przemianie. Ulice opustoszały. Crask przestał się spieszyć. Teraz szedł bardzo cicho, kryjąc się w cieniu.

Coś wisiało w powietrzu.

Był przede mną o parę kroków. Skręciłem w bok, na schody starej kamienicy czynszowej. Nie zauważył tego, jego uwaga skupiona była gdzieś na przodzie. Rozpłaszczyłem się na podeście przed drzwiami wejściowymi na drugie piętro.

Zazwyczaj ufam moim przeczuciom. A tym razem bardzo silne przeczucie mówiło mi, że nie jest to odpowiednia pora dla Garretta na przebywanie na powietrzu, lub, co gorsza, pętanie się po ciemnych alejkach. Zacząłem myśleć jak cień i spróbowałem stopić się z otaczającym mnie lodowatym mrokiem, zamieniając się w parę czujnych oczu.

Tym razem przeczucie mnie nie zawiodło. Załedwie spłaszczyłem się wystarczająco, gdy literalnie wszystkie ciemne alejki rzygnęły nagle gromadami niegrzecznych chłopców. Crask pokazał coś zdrową ręką. Wszyscy ruszyli w tamtą stronę.

Mniej więcej w tym momencie zauważył, że mnie z nim nie ma. Zaskoczony rozejrzał się wkoło, splunął, zaklął brzydko i wte dy doszedłem do wniosku, że mało brakowało, a wdepnąłbym po uszy w coś śmierdzącego.

Czyżby prowadził mnie na rzeź?

Włączenie się do zabawy z całą pewnością nie wydawało mi się błyskotliwym pomysłem. Zostałem tam, gdzie byłem, zaskoczony i porządnie zmarznięty.

Co było nie w porządku z Panią Węży? O ile się orientowałem, ktoś, kto potrafi stworzyć własną Księgę Cieni, jest czymś w rodzaju wagi ciężkiej w profesji czarnoksiężnika. Ale ona nie działała jak waga ciężka. Podobne jej typy nie mają oporów przed demonstrowaniem siły, jeśli mają jej choć trochę, tymczasem ona wykorzystywała w tym celu pośledniejszego gatunku najemnych zbirów. Bardzo zastanawiające.

W takiej sytuacji, w jakiej znajdowało się teraz TunFaire, którego wszyscy czarnoksiężnicy i więdźmy uganiaли się gromadnie za Glory'm Mooncalledem, ktoś taki jak Pani Węży powinien bez oporów robić wszystko, co mu się cholernie podoba. Natomiast ona zabierała się do poszukiwań tak,

jakby nie miała więcej mo?cy niż stuknięty Fido.

A może wszystko umieściła w księdze, a teraz pozwoliła so?bie ją zabrać?

To brzmiało dość prawdopodobnie. I pasowało do jej obrazu zdesperowanej czarownicy, uroczej jak smok z bólem zęba.

Hordy Chodo w milczeniu ruszyły w stronę budynku. Milcze?nie nie trwało długo. Skoro tylko kilku znalazło się wewnątrz, rozpętało się szaleństwo. Nagle pojawiło się tyle nielegalnej bro?ni, że wystarczyłoby na wyposażenie całej armii. Szaleństwo w środku brzmiało coraz bardziej jak zacięta bitwa. Chyba ko?muś się zdrowo dostaje...

Nie trwało to długo. Ludzie kacyka zaczęli wywlekać więźniów na ulicę i zmuszali ich do zdjęcia odzieży.

Uhuu... Proroctwo Truposza okazało się prawdą.

Nie słyszałem rozkazów i grózb Craska, ale nie musiałem. Na pewno szukał tatuaży.

Pośród więźniów nie spostrzegłem Pani Węży. Crask też nie. Krążył wokół, stawiając ciężkie kroki, i klął po mistrzowsku. Oparłem podbródek na przedramionach, zadrzałem i zacząłem się zastanawiać, skąd wie o tatuażach. Czy ja mu o nich wspomina?łem? Nie mogłem sobie tego przypomnieć, ale pewnie tak, kie?dy próbowałem zwrócić uwagę Chodo na Panią Węży.

Crask nie pogodził się z porażką. Rozkazał oddziałom wyciąg?nięcie na ulicę również zabitych i rannych. Ustawił wszystkich w szeregu i zaczął inspekcję od początku. Więźniowie dygotali i pojękiwali. Wiatr był bezlitosny.

Znalazł ją. Przyjęła postać człowieka-szczura. Krótkie futer?ko skrywało tatuaż. Zaledwie ją spostrzegł, dał jej w łeb, wcisnął w usta knebel i omotał ją mniej więcej czterdziestu trzema mila?mi sznura. Wyglądała jak mumia, ale on wolał nie ryzykować z wiedźmą.

Warknął kolejne rozkazy. Wiatr uniósł je w drugą stronę. Nie musiałem ich słyszeć. Chłopcy ustawili więźniów i popędzili ku rzece. Podejrzewam, że rokowania tej gromadki nie były naj?lepsze.

Chodo niełatwo przebacza. Ci ludzie nadepnęli mu na odcisk, przynajmniej teoretycznie... Nie będzie miał problemu z uspra?wiedliwieniem swojego czynu.

Mniej więcej pół tuzina zbirów roіło się wokół Pani Węży. Crask i kilku kumpli także kręcili się w pobliżu.

No cóż, pomyślałem sobie, no cóż. Sądzę, że to może ozna?czać tylko jedno: Chodo chciałby sobie poczytać wieczorkiem przy świecy, ot tak, żeby jakoś spędzić te długie zimowe noce. Takie małe co nieco, żeby się zadumać przy kominku...

Nie dostanie księgi od Pani Węży, o nie. W końcu ona nie ma najbledszego pojęcia, gdzie jest. Ale i tak coś z niej wyciągnie. Zawsze wyciąga. A ona przecież przeistoczyła się w bardzo re?alistycznego człowieka-szczura, wiec... Ach, otóż i Crask. Wszedł do budynku, coś w jego postawie podpowiadało mi, że zamierza czegoś szukać, aż znajdzie.

I to byłby bardzo dobry moment, żeby spokojnie opuścić kryjówkę... gdyby nie czterech chłopców Chodo spacerujących z mordem w oczach po ulicy.

Usiadłem sobie tak, żeby wygodniej mi się było trząść, po czym zadumałem się nad losem Holme'a Blaine'a. Dlaczego zjawił się u mnie jako Carla Lindo? Po co się w ogóle zjawił? Poprzez kon?takt z Eastermanem? Musze to sprawdzić. Ale dopiero rano. Jak się solidnie wyśpię. Jeśli wystarczająco odtaję. Faktycznie, miło byłoby ruszyć w stronę łóżka. Gdybyż jeszcze ci pajace od Craska wynieśli się z ulicy...

Wcale mi nie pomogli. Co gorsza, zacząłem podejrzewać, że w ich mózgach wielkości zielonego groszku gnieździ się coś jesz?cze innego niż Pani Węży z jej nieprawdopodobną księgą. Roz?stawili

się szeroko i zaczęli dźgać krzaki i zaglądać w alejki. Aha.

Crask przeszedł pode mną, masując ramię. Mruczał pod nosem coś o zimnie i jeszcze: „Nie chwytam. W jednej chwili mam go obok siebie i gadamy, w drugiej już go nie ma. Nie jest dużem. Jak mógł tak zniknąć?”.

Kto? Pewnie zgadliście równie szybko jak ja.

Co za chłopaki.

Podejrzewałem to już od jakiegoś czasu. Chłopcy kacyka rzadko wyświadczają ci przysługi za darmo. Próbowiałem odsunąć od siebie tę myśl, bo nie chciałem wierzyć, że jest prawdziwa. Ale była. Chodo miał na myśli jakąś szczególną niespodziankę dla faceta nazwiskiem Garrett. Może wytworną kolację, pływanie w basenie pełnym apetycznych blondynek, który ma w domu? Może. A może niewinną pogawędkę o starych, dobrych czasach, jak planował w powozie. Nie chciałem się dowiedzieć. Ulice nie są pełne facetów, którzy gawędzili sobie z Chodo.

Jeden z chłopców podszedł do Craska i wymamrotał coś, czego nie usłyszałem. Crask zaklął i warknął:

- Szukać dalej!

A potem zrobił coś dziwnego. Jak na niego. Podszedł i usadowił się na schodach kamienicy, gdzie przed chwilą rozegrała się walka, przez jakąś minutę rozcierał sobie ramię, po czym oparł podbródek na zdrowej pięści i zamyślił się. Gdyby to nie był Crask, z tandemem Crask i Sadler, pokazy tortur, morderstwa i spółka, podejrzewalibyśmy go nawet o to, że próbuje uporać się ze swoim sumieniem.

Siedział tak, dopóki chłopcy nie dali spokoju z poszukiwania mi i nie rozeszli się każdy w swoją stronę. Naturalnie, ja też ani mru-mru. Ani ja, ani moja zmarznięta pupcia. Kucaliście kiedy z siedzeniem w powietrzu, łaskotanym przez kłującą zimową bryzę? Nie byłbym w stanie pokonać w biegu czy walce ani Craska, ani wiekowej babci, i nawet nie miałem najmniejszego zamiaru próbować. Jeszcze mniej interesowała mnie perspektywa pogawędki z Chodo i eksploracja ciekawostek na dnie rzeki.

Odmrożenia mają też pewne niewątpliwe zalety.

Garrett jest twardy i cierpliwy. Uporem pokonałem nawet Cra?ska. Wreszcie uznał, że ma dość i poszedł sobie. Oderwałem moje sztywne gnaty od podłoża i zrobiłem to samo, tyle że w przeciwnym kierunku.

Bogowie, ależ byłem szczęśliwy, że ludzie tak rzadko spoglądają w górę.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXXI

Przemknąłem przez Strefę Bezpieczeństwa i znalazłem dokładnie to, czego się spodziewałem, to znaczy wielkie nic. Dom Morleya był pusty i ciemny. Zacząłem się zastanawiać, czy nie jest już najwyższy czas, żeby pomyśleć o stałym nadzorze.

Do domu zbliżałem się bardzo ostrożnie. Crask mógł go obstawić.

I oto kolejny problem, który dał mi do myślenia. Byłem za bardzo zależny od domu. Gdyby chłoptasie chcieli kiedyś naprawdę zrobić mi przykrość, wystarczy, że odetną mnie od mojej bazy.

Okolica wyglądała na czystą. Nawet ta pojawiająca się i znikająca obecność też gdzieś się ulotniła. Miło, że ta osoba, kimkolwiek była, wpadła w jakąś dziurę lub po prostu poszła spać.

Dopałem do drzwi i waliłem w nie, aż miło, dopóki nie zjawiał się Dean.

- Co tak długo? - miauknąłem.

Odpowiedział mi jednym ze swych piękniejszych marsów. Wcale nie trwało to długo. Dom był pogrążony we śnie.

- Carla śpi? - zapytałem.

- Tak. Ja też zaraz zrobię to samo.

- Gdzie? Pod jej progiem?

- Na sofie.

Nie skomentował odpowiednio mojego żartu. Och, cóż.

- Dobranoc.

Powlokłem się do pokoju Truposza.

- Śpisz, Kupo Gnatów?

To do niego podobne, żeby uciąć sobie dwutygodniową drzemkę w samym środku awantury. Nie. Wnoszę, że znów jesteś sfrustrowany.

- Nie znów, tylko gorzej - odparłem. - Masz jakieś sugestie?

Idź się przespać. Implikacje są niepokojące, ale informacje bardzo cenne. Muszę je starannie przemyśleć.

- Przespać się? To twój najlepszy pomysł od lat

Nie pozwól, aby frustracja napełniła cię goryczą, Garrett. Każdy z nas ma bezproduktywne dni.

Łatwo mu mówić. On cierpi na bezproduktywne stulecia.

- Twój talent do zauważania spraw oczywistych pozostał nie skażony.

W istocie. Nie możemy jednak nieustannie być w niewłaściwym miejscu lub przybywać za późno.

- Nie możemy? Chcesz się założyć?

Rozpacz ci nie pasuje, Garrett. Świt następuje nawet po najmroczniejszej godzinie nocy. To pewnie jak deszcz zraszający ziemię. Zapomnij o Chodo. Wyrzuć go z umysłu. Odpocznij. W tej chwili to najlepsze, co możesz zrobić. Odpręż się i raduj. On nie ma księgi.

Miał rację. Ten tłusty, martwy geniusz zawsze ma rację. Nie raz potrafi się mylić, jeśli zechce. Ale:

- Nie. Ten sukinsyn ma teraz tę, która potrafi stworzyć księgę. Niech mnie diabli, jeśli nie napisze własnej.

Byłem w takim nastroju, kiedy człowiek staje okoniem dla sa?mej przyjemności stawania. Ale może jednak trochę wyrosłem z tego, bo nie przesadzałem:

- Skoro już myślisz, wymyśl mi teorię wyjaśniającą zniknię?cie Morleya Dotesa, Saucerheada Tharpe'a i Sadlera. I wykom?binuj, kto śledzi mnie jak duch i jest tak dobry, że jeszcze go na?wet nie widziałem.

Jeśli chodzi o zniknięcia, mam pewną hipotezę. Właściwie na?wet dwie. A le trzeba je sprawdzić. A ja odma wiam wszelkiej dys?kusji nad nimi, dopóki się nie prześpisz.

Wiedziałem, że jeśli teraz spróbuję coś z niego wyciągnąć, bę?dzie to tylko strata czasu. Nie ustąpi. A czy kto kiedykolwiek ustę?puje? Nie, nie wiem nawet, czy potrafią. Nie chcą albo nie mogą. Ale zawsze na „nie”.

No i widzicie, co się dzieje z umysłem gościa, który sam je?den wydał wojnę całemu złu tego świata? No-no-no.

Nie ustąpi. A nawet kamień wmurowany w litą skałę jest bardziej ustępliwy niż martwy Loghyr.

Ogłosiłem kapitulację i powlokłem się w stronę drzwi.

A jakie nowiny z Kantardu?

Tak., jakby nie odczytał wszystkie?go z mojego umysłu i nie zorientował się, że nawet nie zadałem sobie trudu, żeby zapytać. Taki mały prztyczek. Cóż, prztyczek sam w sobie nie jest słowem negatywnym. Stary Kościej często daje mi takie prztyczki. Sugeruje, że gdybym okazał więcej en?tuzjizmu we współpracy z nim, on także pomagałby mi więcej. Racja. Lenistwo to główny powód, dla którego w ogóle jeszcze tu jest. Jest cholernie za leniwy, żeby dokończyć umierania.

Nie odpowiedziałem. Pomaszerowałem na górę i w ubraniu rzuciłem się na łóżko. Leżałem tak, przewracając się i drażąc ciemne zakamarki swojej duszy przez co najmniej siedemnaście sekund.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXXII

Dean i tak nie pozwolił mi zapać. Przez cztery godziny spałem snem sprawiedliwego, którego nie jest w stanie obudzić ani trzęsienie ziemi, ani pożar łóżka. I wtedy pojawił się on. Ostateczna katastrofa.

Uchyliłem powieki o jedną setną cala, przerzuciłem nogę na skraj łóżka. Uznałem, że jak na dzisiejszy dzień pracy to w zupełności wystarczy, ale staruszek nie wyglądał na zadowolonego. Poszedł po wiaderko z wodą, które trzymał w chłodni. Kiedy wrócił, zastał mnie w pozycji siedzącej.

- Dlaczego nie mogłeś przysłać Carli? - warknąłem.

- Bo byś nie wstał. Kiełbaski zaraz się spalą, tosty czernieją, woda z czajnika odparuje, a ty próbowałbyś ją uwieść.

- Jesteś podejrzliwym, złośliwym starym capem. - Dokonałem epickiego wysiłku, żeby wstać. Nic z tego.

Dean zachichotał.

- Znam cię. Jeśli nie będę stał pomiędzy wami, w tym domu nic nie zostanie zrobione przez następne dwa tygodnie.

- Jestem ranny. Wszystko mnie boli. Dlaczego nie możesz przynieść mi śniadania do łóżka?

Zamachnął się kubłem lodowatej wody.

- Hejże! - Zamrugalem kilka razy, odwalając tym samym poranną gimnastykę. Dean przesunął się w lepsze miejsce, znów wziął zamach. Ten gość nie zna litości.

Nagle zachichotał.

- Może to wcale nie taki zły pomysł.

- Co?

- Moja bratanica Ruth przyniosła mi świeże ubranie. Czeka na dole. Bardzo chętnie poda ci śniadanie do łóżka.

Jęknąłem boleśnie. Gość nie gra fair. Śmiertelne zagrożenie mięnęło mnie o włos. Ruth to miłe dziecko. Silna osobowość. Wiadomo, jak to należy rozumieć. Psy nie wyją, kiedy przechodzi. Skomlą jedynie i chowają ogon pod siebie, w nadziei że ich nie zauważą.

- Nie jestem dziś w formie.

Zachichotał znowu. Złośliwy dziadyga.

A potem przez minutę ochrzaniałem się w myśli. Ruth to naprawdę miłe dziecko. Nie jest winna temu, jak wygląda.

Przyjąłem całkowicie pionową pozycję i powędrowałem do łóżka. Udało mi się zejść na dół, nie zabijając się po drodze. Przykleiłem sobie nawet do twarzy żalostny uśmiech na użytek pań w kuchni. Carla i Ruth urządziły sobie zawody w promiennym powitaniu. To było jak spoglądanie wprost we wschodzące słońce. Opadłem na krzesło i zasłoniłem oczy dłonią.

Dean jest prorokiem. Na śniadanie były kiełbaski z tostami i herbata. Mój stan radykalnie się poprawił, choć jeszcze daleko mi było do błyskotliwości. Dźwignąłem się na nogi i powlokłem do pokoju Truposza.

- Jestem, Chichotku. - Klap na fotel.

Ledwo ledwo.

- Hę? - Musiałem to sobie przeanalizować. Rankami nie czuję się najlepiej, zresztą chyba wiecie, jak to jest

Pozostała mi jedyna realna opcja. Musimy pierwsi znaleźć księżę. Uważam, że to teraz sprawa życia lub śmierci. Jeśli zawiedziemy, będzie to oznaczać katastrofę dla TunFaire.

-Eh? - Było zdecydowanie za wcześnie. Zostawiłem swój mózg na górze, na poduszce.

Po długim namyśle postanowiłem, że nie mogę ufać mojemu przyjacielowi Gnorstowi. Przesłanki są słabe, ale są. Chyba uległ pokusie.

- Też tak sędzę.

Przez jakiś czas możemy ignorować Panią Węży. Została unieškodliwiona. Easterman nie ma wielkiego znaczenia.

- Tak sądzisz? Ma po swojej stronie Winger.

Ma szczęście, że jeszcze żyje. Jej szczęście nie potrwa długo. Nie. Martwię się jedynie Chodo Contague'em. Wszystko zogniśkowało się teraz na siłach jego i Gnorsta. Obie te siły są znaczenie potężniejsze niż banda oryginałów pod dowództwem wiedzmy i szaleńca. Mamy wszelkie warunki początkowe, aby wywiązał się poważny konflikt, którego motywem są również zapewne pewne kwestie osobiste, jeśli dobrze zrozumiałem twoją rozmowę z kaćcykiem.

Musiałem palnąć się w łeb, żeby wszystkie kółeczka wreszcie ruszyły i żebym zaczął rozumieć, co on do mnie mówi. Taak. Choćdo z pewną goryczą wyrażał się o Gnorście i całym Forcie Karłów. Do tej pory nie udało mu się wsaczyć w to miejsce swojej zgnilizny. Znając go, wiedziałem, że chętnie by tam wparował i skopał parę zadków. Facet zwyczajnie nie lubi, kiedy się go nie boją.

- Jakże pięknie i błyskotliwie zaczęliśmy nasz dzień, co? Czuję po prostu, że z twoim rozumem i moją odwagą załatwimy wszystko jeszcze przed południem.

Zdaje się, że zaczynasz wracać do życia.

- Łatwo ci mówić. W końcu muszę tylko oddychać. Mamy pewien trop, Garrett. Kąt widzenia, który nietrudno będzie prześledzić.

- Mało się nie nabrałem, daję słowo.

Przyjmijmy, że twoim nagim gościem był Holme Blaine.

- Wiem, że to fakt

Nie całkiem, choć jest to wysoce prawdopodobne. Teraz słuchaj. Straciłeś znaczną ilość energii na zastanawianie się, po co tu przyszedł, ale nie nad tym, dlaczego wybrał akurat nas.

Chyba rzeczywiście dochodziłem do siebie. Mogłem widzieć wszystkie cztery końce włosa, który właśnie dzielił.

- Myślałem o tym, ale niewiele.

Myślałeś o tym tropie, wiem. Istnieje możliwość, że przybył tutaj, ponieważ wiedział, iż pojawi się tu panna Ramada.

- A zatem uważasz, że powinienem spotkać się z ludźmi, z którymi rozmawiała, dowiedzieć się, czy i on z nimi rozmawiał, i sprawdzić, czy komuś czegoś nie zostawił.

Właśnie.

- Sądzę, że mogę po prostu zapytać, potem się umyć, przebrać i do roboty. Czy dom jest obserwowany?

Nie w sposób widoczny.

- Masz jakiś pomysł, kto mógł mnie śledzić?

Nie.

- Doskonale. Świetnie. A co stało się z tymi wszystkimi, którzy poznikali?

Jeszcze sam na to nie wpadłeś?

- Nie, jeszcze sam na to nie wpadłem. Czy pytałbym, gdyby było inaczej?

Jesteś tak leniwy jak zawsze.

- Cholerna racja. Po to mam ciebie, żebyś za mnie myślał. Po?zwól mi zatem skorzystać z zasobów twojej mądrości. Bez stan?dardowych bzdur towarzyszących.

Dotes i Tharpe pozostają w ukryciu, ponieważ spodziewają się, że wsiądziesz na białego rumaka i stratujesz Chodo Contague 'a. Tak sędzę. Odczytali znaki w porę i szybko się usunęli. Mają po?rządne fory.

- Cóż za wspaniali przyjaciele.

Sam mam wątpliwości. Ale nie jestem tak ruchliwy jak oni. Moje opcje są znacznie ograniczone. Jestem na twojej łasce. Po?winienem wstać i walczyć.

Stęknąłem.

To tylko moja hipoteza, Garrett. Choć uważam, że dobra. Oni cię znają. Jesteś przyszczem na obliczu zdrowego rozsądku. Czy naprawdę musisz uwalniać świat od Chodo Contague'a?

Sieknąłem jeszcze raz czy dwa Dlaczego wszyscy wokół uwa?żają, że gdy tylko jakiś zbir pierdnie, ja zaraz muszę chwycić za broń? Do diabła z tym. A biorąc pod uwagę, jak Crask próbował mnie wyprowadzić ostatniej nocy, Chodo leż tak uważa. Jeszcze raz do diabła! Nienawidzę myśleć, że ktoś mógłby mnie uważać za przewidywalnego. Jak każdy zresztą.

- A co z Sadlerem?

To nieco trudniejsza sprawa, ponieważ do tej pory nie miałem przyjemności dokładniej zapoznać się z jego tokiem myślenia. Mogę jedynie zgadywać, że ujrzał skutki, jakie może za sobą po?ciągnąć zdobycie księgi przez pana Contague 'a, i stracił cierpli?wość.

- Co takiego?

Czy nigdy cię nie zastanawiała jego niezłomna lojalność?

-Tylko około miliona razy. Podobnie jak każdego innego, kto choćby raz miał do czynienia z półświatkiem.

Pomyśl o tej cierpliwej lojalności w aspekcie tego, co według ciebie pan Contague mógłby zrobić z Księżą Snów.

Zabrało mi to może z minutę. Do diabła, wciąż było wcześniej rano, pamiętacie? Miałem wymówkę.

- Co takiego? - Powiedzcie mi, że białe jest czarne. Powiedz?cie mi, że księżęta kościoła są święci, że nasi władcy są filantro?pami, prawnicy mają sumienie. Może wam uwierzę. Może nawet pozwolę sobie na wątpliwości wobec pojedynczych osób. Ale niech nikt nie próbuje sprzedać mi informacji, że Sadler zwróci się przeciwko Chodo.

- Nie wierzę.

Czy jeszcze nie zdołałem ci udowodnić, że to, w co wierzysz, nie ma żadnego znaczenia? Ze sposobu zadawania pytań wynika wyraźnie, że Crask podejrzewa zdradę. Jeśli będzie działał zgod?nie z tym przekonaniem, ani prawda, ani twoja wiara nie mają znaczenia. Sam skłonny jestem wierzyć, że jego przypuszczenia są słuszne, biorąc pod uwagę wskazówki zawarte w waszej ostat?niej rozmowie z Sadlerem.

Faktem jest, że wrażenia mają większy wpływ na człowieka niż prawdy absolutne. My, ludzie, należymy do plemienia konsekwent?nie odmawiającego zwracania sobie głowy faktami. A jednak...

- W porządku, tyle że Sadler nie mógłby...

Naprawdę nie? Nawel, jeśli kaleka, którego z dnia na dzień spodziewa się zastąpić, nagle

znajdzie sposób nie tylko na uniknięcie śmierci, lecz również na odzyskanie zdrowia?

Ach, Zaczynasz wreszcie korzystać z głowy w inny sposób, niż tylko jako podstawki pod włosy, żeby ci nie wpadały do jedzenia. Doskonale.

- Nawet mnie zdarza się czasem pomyśleć. - Niewiele, jak na ciętą ripostę. Niech to szlag. Wciąż jeszcze jest rano.

Na zewnątrz coś się dzieje. Może to bardzo spóźnione nowiny z Kantardu. Mógłbyś sprawdzić. On i jego hobby.

- Jasne. Czemu nie? W końcu mam kupę czasu. Wiesz co, pożyczę od Deana miotłę i dla zabicia czasu pomogę szczerom sprzątać ulicę.

Umysłowy chichot. Nieraz chyba lepiej ocenia możliwości niż ja sam.

Przegrywałem tę bitwę. O wiele za wcześnie. Zrejterowałem do kuchni.

- Carlo Lindo, moja śliczna, potrzebuję twojej pomocy. Truposz twierdzi, że Holme Blaine prawdopodobnie spotkał się z tymi samymi ludźmi, z którymi ty spotykałaś się w poszukiwaniu pomocy. Muszę z nimi porozmawiać. Oczywiście, jeśli powiesz mi, kto to jest

Obserwowała mnie przez jakie dziesięć sekund, żarząc się i skwiercząc. Pocziwa panna Ruth straciła swój uśmiech. Nie wiedziałem jej za to. To po prostu nie w porządku, że bogowie dają jednej kobiecie takie fory w stosunku do drugiej.

Powinni wszystkie je stworzyć śliczne, no nie?

- Właściwie pytałam tylko w domu, w którym mieszkałam, u przyjaciół mojego ojca. A tam każdy, kto tylko miał coś do powiedzenia, mówił o tobie.

Och, cudownie. Teraz jestem sławny w całym domu.

- No to dokąd mam iść? Z kim się spotkać? - Jeśli dorwę Truposza, to może go skrzywdzę. Wiedział o wszystkim już od dawna.

- Lepiej pójdę z tobą, tam jest trochę dziwnie.

- To nie jest bezpieczne.

- Dlaczego nie? Twój przyjaciel Chodo Contague złapał Panią Węży, prawda?

Och, bogowie. Czy w tym domu nią uchowają się już żadne tajemnice?

Próbowałem się sprzeczać. Carla Lindo zamieniła się jednak w głuchy pień. Albo mi pokaże, albo niczego się nie dowiem.

- Będę gotowa w ciągu minuty - obiecała.

Wypadła z kuchni, pozostawiając w niej coś w rodzaju próżni. Dean wyszczerzył do mnie zęby. Uwielbia oglądać moją zmieszana minę. Właściwie nawet bardziej niż zmieszana. Zmiksowana. Nawet Ruth się rozpromieniła, choć widać było, że bardzo zazdrości Carli jej potęgi.

Nie miałem żadnych szans od chwili, gdy Carla Lindo zaczęła mnie urabiać. Nie wiem, może w następnym tysiącleciu uda mi się rozwinąć odporność na kobiece wdzięki. I sam nie jestem pewien, czy się z tego cieszyć, czy nie.

Popeliłem błąd taktyczny. To mnie przebieranie się i mycie zajęło więcej czasu. One nigdy ci o tym nie pozwolą zapomnieć.

Nieraz zastanawiam się nad tym, czy rzeczywiście jestem tak inteligentny, jak mi się wydaje. To znaczy, że Carla zasugerowała mi parę informacji, ale ja byłem ślepy na wszystkie fakty, dopóki nie znaleźliśmy się pod samymi drzwiami Fida.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXXIII

Stałem jak wryty, wytrzeszczyłem gały na tę ruinę domu i po myślałem sobie, że nigdy w życiu więcej tam nie wejść.

- Garrett? Co się dzieje? - Carla Lindo, która wyprzedzała mnie teraz o kilka kroków, przystanęła i obejrzała się, cała rozszarżona. Do licha, jak ona to robi? Ja także przypatrywałem jej się przez chwilę i nagle poczułem, że idę w tamtą stronę ze znacznie mniejszymi oporami.

Nie było zbyt dużego ruchu, ale nawet ta niewielka garstka chłopów przystawała, z rozdziawionymi gębami gapiąc się na moją ślicznotę.

- Wystarczy, kotku - wymamrotałem. - Mam już potąd. Aku rat tyle mogę jeszcze znieść, bo mam powyżej uszu biegania w kółko jak kura bez łba, nie wiedząc, co się dzieje, kto zrobi co lub komu i dlaczego, bo zawsze jestem o krok do tyłu.

Nie powiem jej przecież wprost, że boję się wejść do przybytku tego szaleńca Eastermana. Ba! Ja nie byłem w stanie przyznać się do tego sam przed sobą. Powiedziałem sobie dokładnie to samo, co jej teraz, i dorzuciłem jeszcze, że nie lubię przebywać z facetami, którzy bujają głową w obłokach.

Bez jednego słowa dołożyła do ognia, spiętrzyła wszystkie możliwe bierz-mnie, podparła obietnicami nie do spełnienia. Udało mi się powstrzymać wypływ śliny na podbródek, ale i tak cały dygotałem.

- Jesteś pewna, że sama też nie jesteś wiedźmą?

Nie, nie mogła być tak stara i uczona. Nie odkryłaby moich sła-bości aż tak szybko.

Uśmiechnęła się i dorzuciła do pożaru jeszcze jeden worek węgla.

- Zaprowadzisz mnie wprost pod czyjś bicz bez użycia mar-chewki - wymamrotałem.

- Co?

- Hej, Garrett, właśnie z tobą chciałam się widzieć, pajacu!

O, do diabła! Winger! Nadchodziła niczym galeon pod pełnymi żaglami. Po piętach deptał jej ten starszawy nieboszczyk o idio-tycznym imieniu. Ciekaw byłem, czy się ścigają. Staruszek miał krzepę.

Carla Lindo obdarzyła Winger wzrokiem najeżonym ostrzami sztyletów, ale w ułamku sekundy zmieniła zdanie. Wytrzeszczyła oczy, opuściła szczękę i z trudem zachowywała powagę.

- Skombinowałaś sobie nowe ciuchy, co, Winger?

Winger zatrzymała się i zrobiła piruet. Stary dogonił ją wreszcie.

- Co o tym sądzisz?

- Barwne. - Ukochany syn Mamy Garrett będzie chyba jeszcze żył przez kolejne czterdzieści lat. Stara się bowiem pozostać neutralny, kiedy ktoś tak zadziorny jak ona i ubrany jak ona zadaje mu takie pytanie.

- Wiedziałam, że ci się spodoba. - Jej oczy zwięzły się podejrzliwie.

Słowo „barwne” odrobinę mijało się z prawdą.

Nie ma drugiego stworzenia, które miałoby tak spaczony smak, jeśli chodzi o strój, niż wilkołak. Otóż jej ubiór zwaliłby z nóg nawet krótkowzrocznego wilkołaka. Plamy i płaszczyzny wrzeszczącej wniebogłosy purpury walczyły o lepsze z kleksami krzyczącego oranżu i zieleni tak jadowitej, że

palila wzrok. Bylo tam jeszcze kilka innych kolorow, ktore wirowaly zlosliwie w rytm jej oddechu. Oznaczało to, że rezultat zmieniał się z każdą chwilą. Całość była tak niesamowicie potworna, że wręcz hipnotyzująca.

- Dziwisz się, że włożyłam sukienkę?

- Taak - wydałem z siebie półkrwi jęk i skrzek. Cierpiałem ka?tusze. Nie miałem śmiałości błagać o litość. Powinni zabronić no?szenia takiej odzieży, bo to śmiercionośna broń.

- Sukienka? To znaczy to? - zapytała Carla Lindo. Uśmiech Winger zniknął. Błyskawicznie wsunąłem się pomię?dzy obie panie.

- Spoko. Mała jest nowa w mieście.

- Ty, Garrett, co to za mucha plujka? Powiedz, żebym mogła grzecznie przeprosić, kiedy już ją przerobię na żarcie dla żab.

- Spoko, mówię. To przyjaciółka twojego szefa.

- On nie ma przyjaciółek. Ten stary wampir...

Stary podbiegł do niej. Złapał ją za ramię i zipał, jakby prze?biegł dziesięć mil sprintem. Choćby wiadomość była nie wiem jak pilna, nie był w stanie jej z siebie wydusić. Właściwie pra?wie natychmiast potem zachwiał się i zrobił gest, jakby chciał usiąść.

Winger złapała go za kudły i wyprostowała.

- Hej, papciu, uważaj, bo się zabijesz.

Carla Lindo gapiała się na starego. Też chciała coś powiedzieć, ale nie mogła.

- Garrett, przyszedłeś zobaczyć się z szefem?

- Tak.

- Dobra. To, co mam, może trochę poczekać. Może później, jak wokoło nie będzie tylu uszu. - Odwróciła staruszka i pchnęła w stronę domu, podtrzymując po drodze jedną ręką. Wciąż próbo?wał coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Kołnierzyk go dławił.

- A to co było? - wykrztusiła wreszcie Carla Lindo.

- To była Winger. Staraj się jej nie denerwować. Takie trzę?sienie ziemi na dwóch nogach. Nie grzeszy samokontrolą.

- Wierzę - szepnęła z całkowitym niedowierzaniem i zaraz do?dała: - Zobacz!

Była podniecona jak małe dziecko. Nie umiała skupić uwagi na jednym dłużej niż Winger. Spojrzałem.

Easterman sprawił sobie smoka.

Do blanek zrujnowanego zamku upiorów przywiązany był la?tający gromojaszczur. Obsługiwała go banda morCartha, które ro?biły wszystko, żeby wyglądać jak małe, wściekłe diabełki. Easter?man poubierał je w jakieś kostiumy, ale z daleka nie mogłem dostrzec szczegółów. Kiedy tylko spostrzegły, że są obserwowane, natychmiast zaczęły wyć i już nie przestały. Gromojaszczur skrzeczał. Wyglądał na bardziej przerażonego niż wściekłego.

- Czy to nie fajne?! - zawołała Carla. Zacząłem się zastanawiać nad tą dziewczyną.

- Zdaje się, że świrusy zwyciężyły. Teraz tylko muszę nauczyć się wycinać lalecзки z papieru i mówić od końca.

Carla Lindo nie załapała.

Winger upuściła staruszka koło wejścia. Doszedł trochę do sie?bie, a nawet nie stracił nic ze swej dystynkcji. Odzyskał już od?dech na tyle, żeby wykrztusić:

- Pozwoli pan za mną, sir. I pani również, madame.

On i Carla Lindo zamienili ze sobą szczególne spojrzenia.

Zaprowadził nas do pokoju, gdzie już wcześniej spotkałem się z Eastermanem. Trochę się tu

zmieniło. Zwalono jedną czy dwie ściany, żeby powiększyć pomieszczenie, wystrój zmieniono na czerwono-czamy. Przynieśli wielki czarny tron, cały wyrzeźbiony w bliźniacze siostry tych pańienek, z których wspomnieniem budzisz się po jednym antałku księżycowy za dużo. Pokój oświetlony był odbitym, pełgającym, czerwonym światłem, które prawdopodobnie miało sprawiać wrażenie, jakby je dostarczali rurociągami z piekielnych czeluści. Rezydujący przypadek ciężkiego rozwodnienia mózgu zatrudnił jeszcze kilku nowych pracowników, w tym sześć najbrzydszych, największych, najbardziej zębatych wilkołaków, jakie w życiu widziałem. Trzepoczące morcartha w strojach wieczorowych roły się niemal w każdym kącie.

Starzy słudzy Eastermana, łotry z długą wysługą lat, wydawali się skrępowani nowym towarzystwem. Jeden wręcz wymamrotał:

- On naprawdę dobrze płaci.

- Mam nadzieję. - Zacząłem się zastanawiać, czy to Fido skompletował garderobę Winger.

Easterman czekał na swoje wielkie wejście.

Tłuścioch też zmienił strój. Przyodział się w kilka mil kwadratowych czerwieni z akrami czerni w charakterze mocniejszego akcentu. Zauważyłem, że czerń składała się wyłącznie z małych oczek... och, nie. Każde oczko było żywe i rozglądało się wookoło, mrugając od czasu do czasu, a może mrużąc się w jakimś prywatnym żarcie.

Easterman wgramolił się na stopnie tronu i pieczołowicie usadowił na siedzeniu. Dlatego biegam, powiedziałem sobie, że nie chcę tak wyglądać... Do licha, znowu to samo. Zaledwie dobrze wyściełany słoniną zad spoczął na tronie, wyrzeźbione brzydule zaczęły się kręcić w podnieceniu i szeptać do siebie.

Patrzyłem, wytrzeszczałem gały, szczeka opadała mi coraz niżej i zastanawiałem się, jakim cudem zdołał do tego dojść, jeśli nie był w stanie zaczarować kamienia, żeby leciał w dół. A potem zaniepokoiłem się. Czyżby wygrał wyścig i dorwał Księgę Snów?

Wolałbym już, żeby to Chodo położył na niej łapę. Chodo przy najmniej był przewidywalny.

Fido rozsiadł się wreszcie. Rozpromienił się łaskawie. No, mniej więcej.

- Panie Garrett, jak to miło, że wpadł pan z wizytą, sir. Co pan sądzi, sir? - Zatoczył krąg ręką. - Czy to nie imponujące?

- Taak, rzeczywiście. - Bo było. - Ale jakoś bardziej podobało mi się przedtem. Wie pan, o co mi chodzi?

Przedtem wyglądało debilnie tylko w dziewięćdziesięciu pięciu procentach.

- Musimy zmieniać się z czasem, sir. Musimy zmieniać się z czasami. A obecne czasy są intrygujące, nieprawdaż, sir? Oto stoi pan tutaj pokornie, a jeszcze niedawno odwracał się do mnie plecami jak zadziomy kogucik. Tak, sir, czasy się zmieniają.

Carla Lindo obdarzyła mnie zdumionym spojrzeniem. Podejrzewam, że nic nie wiedziała o mojej poprzedniej wizycie u Fida.

- A gdzieś pan wynalazł taki pomysł, że przyszedłem tu błagać o cokolwiek? - Ten tłusty pajac naprawdę zaczął działać mi na nerwy. Powinienem chyba zrywać boki, mieć problemy z utrzymaniem powagi na twarzy, ale tylko siłą woli powstrzymałem się, żeby nie skoczyć na górę i nie wbić mu obcasa w tę tłustą mordę.

Nie byłoby to mądre posunięcie, biorąc pod uwagę, ilu wilkołaków to jego kumple.

- Zarazo!

Stary przybiegł w podskokach.

Easterman wdał się z nim w dialog melodramatycznym szeptem, przy czym to jeden, to drugi zezował na mnie ukradkiem. Wzrok Fida przebiegł po Carli Lindo. Facet wyglądał na zaskoczonego.

Miałem wrażenie, że spodziewał się, iż padnę na kolana i będę pełzał. Nic takiego nie zrobiłem i nie wyglądało na to, żebym chciał chociaż spróbować, a przy tym nie miałem pojęcia, dla czego miałbym to robić.

Zaskoczenie zmieniło się w zdenerwowanie. Easterman spojrział na mnie, mrużąc oczy bardziej, niż wydawało się to możliwe.

- Czy pan sobie raczy drwić, sir?

- Nie raczę nic, po prostu tutaj stoję. Nie wiem, jakie masz problemy, Fido. Przykro mi, że nie robię tego, co chciałbyś. Wpadłem tylko z moją przyjaciółką Carlą Lindo, żeby zapytać, komu opowiedziałeś o jej zadaniu tu w mieście.

-Co?

- Panna Raniada mieszkała tutaj, kiedy po raz pierwszy przybyła do TunFaire, zgadza się? Zapytała, kto mógłby pomóc jej znaleźć mały drobiazdek, który ktoś zwinął jej tatusiowi...

- Sir, nigdy w życiu nie widziałem tej kobiety.

- Ludzie polecili jej mnie. Tak? A więc... - Przestałem kłapać gębą.

Fido poderwał się i rozejrzał dokoła. Wywalił gały na Carlę Lindo. Zaczął prychać. Otoczyła go fontanna śliny. Przez moment myślałem, że dostanie jakiegoś ataku.

Nic jeszcze do mnie tak naprawdę nie dotarło, gdy Carla Lindo odtajała i zaczęła ciągnąć mnie za ramię, kręcąc głową. Nieestety, na długo potem, jak cały pęk szydeł wyszedł z worka. Może i tu mieszkała, ale Fido o niczym nie wiedział.

Easterman zaczął wyrzaskiwać czule przezwiska, między innymi: Głód, Wojna i Epidemia. Na moment przerwał, żeby zwrócić się do wilkołaków:

- Wyprowadźcie stąd tego człowieka. Nie chcę ani chwili dłużej oglądać tej paskudnej gęby!

No, niech mnie! Paskudna? Może trochę wyklepana tu i tam, ale psy nie wyją... nie czekałem na wilkołaki. Zahaczyłem po drodze Carle Lindo i ruszyłem w stronę wyjścia. Nie ma sensu bać się z tymi przyjemniakami. Byłem w takim nastroju, że gdybym nagle nabrał chęci, żeby rozwalić łeb-lub trzy, nie byłbym w stanie wykonać porządnie tej roboty, zanim niebo zwałiłoby się na moją głowę.

- To było naprawdę błyskotliwe, Garrett - zauważyła Carla Lindo, gdy wyszliśmy na ulicę. - Masz złote usta.

- Mogłaś mnie wcześniej uprzedzić. Mogłaś zasugerować mi to choćby kącikiem oka. To Truposz czyta w myślach, nie ja. - Okręciłem się na pięcie i zmarszczyłem twarz, żeby zachęcić wilkołaka do wyjścia na ulicę. Spojrzał przez ramię, chcąc sprawdzić, czy ktoś mu pomoże. Niestety, żadnej kawalerii z odsieczą. Pomachał nam tylko ręką. Jakiś rozumny wilkołak. Czasy naprawdę się zmieniają.

Stałem przed Carlą Lindo.

- No to czego jeszcze nie raczyłaś mi powiedzieć, skarbie? Chcesz pomocy, to musisz dać mi narzędzia do ręki. A w ogóle, o co tam u diabła chodziło?

Wzruszyła ramionami, wbiła wzrok w bruk.

-Nie wiedziałam... nigdy wcześniej nie widziałam tego wszystkiego. Mieszkałam u mojego wuja. Brata mojej mamy. Jest jednym ze służących. Kiedy nas zabrali do tej sali... tego człowieka widziałam tylko z bardzo daleka. Wujek mówił, że jemu po prostu troszkę odbiło.

- No, troszeczkę. A ja myślałem, że masz jakieś konszachty z możnymi tego miasta. - Dodałem jeszcze jeden punkt do listy spraw wymagających rozliczenia z Truposzem. Mógł mnie ostrzec, a pozwolił przekonać się w najbardziej brutalny z możliwych sposobów. Według niego to pewnie wspaniały żart.

- Ja właściwie tak trochę chciałam, żebyś myślał... -I mnie się tak zdaje.

Konwersacja jakby trochę mniej się kleiła, widocznie po za?stanowieniu, czy nie zmierzać w stronę pojednania. Pojednanie to bardzo obiecująca czynność, zwłaszcza jeśli biorą w niej udział facet i dziewczyna.

- Hej, Garrett! Ale dałeś przedstawienie w tej sali tronowej. Facet omal nie wyskoczył ze skarpetek.

- Jeszcze ty nie zaczynaj na mnie najeżdzać, Winger. Chcesz czegoś, to wyduś to z siebie. Jeśli nie, lepiej wracaj tam szybko i upewnij się, że stary Fido nie wyzionie ducha na dywan. Mog?łabyś stracić wypłatę.

- Hej. Przychodzę tu jak przyjaciel, próbuję budować mosty, a ty tylko chcesz się dalej kłócić.

- Chcesz budować most? - warknąłem. - Powiedz mi, o co chodzi z tym nowym wystrojem. Co robi na dachu ten zwierzyniec?

- Stary dureń ustawia dekoracje dla nowej ery swego życia. Zbiera rekwizyty, żeby wyglądał jak należy, kiedy już dorwie Księgę Snów.

- Hę? - Cały Garrett. Wszystko chwyta w lot.

- Twierdzi, że wie, gdzie ona jest.

- Gdzie?

- Nie powiedział mi. Nie ma do mnie zaufania.

Nie mogę powiedzieć, że bym go w tym momencie nie rozu?miał. Winger sprzedałaby go każdemu, kto tylko dobrze zapła?ci, gdyby dać jej taką możliwość.

- Masz jakieś domysły? Pokręciła głową.

- Powiedział, że jest do wzięcia, tylko on musi wymyślić, jak pozbyć się jednej wielkiej przeszkody.

Brzmiało to tak, jakby jednak nie wiedział, gdzie ona jest

- Pani Węży? Chodo Contague pojmał ją wczoraj w nocy. - Teraz, kiedy już znalazłem jakiś trop, uznałem, że mógłbym wła?ściwie mieć Fida na oku, zaczekać, aż zdobędzie księgę, i zabrać mu ją, nim jej użyje.

- Słyszeliśmy. A kogo to obchodzi? On wcale nie jest nią za?interesowany. Chce tylko trzymać się od niej z daleka i dorwać księgę, zanim zrobi to ona.

Nad naszymi głowami rozpętało się piekło. Dzień czy nie, mor-Cartha z dachu Fida wkroczyły na wojenną ścieżkę. Ludzcy słu?żący Eastermana krzyczeli za nimi, żeby wracały, albo wylecą z roboty.

- Co jest? - zapytałem.

- Często tak robią - odparła Winger. - Pewnie zauważyły stwo?ra z innego plemienia.

- Powinienem być zostać w łóżku. - Wszystko to вина Deana.

- Garrett, a ty wiesz, gdzie jest księga?

- Gdybym wiedział, to by mnie tu nie było, no nie? Machał?bym na pożegnanie mojej przyjaciółeczce przy zachodniej bra?mie. - Objąłem Carlę Lindo ramieniem i uściskałem. Muszę choć próbować urwać z tego dla siebie, co się da.

Winger udała, że nie widzi Carli Lindo.

- Musimy sobie usiąść, sprawdzić, co nam wyjdzie, jeśli po?łączymy nasze możliwości umysłowe.

- Pewnie.

Nie uchwyciła sarkazmu. Myślę, że była nań nieczuła lub po prostu głucha. Poza daltonizmem, oczywiście.

- Ta księga wciąż jest warta fortunę, Garrett - zauważyła. - Powiadają, że pewien karzeł oferuje

za nią naprawdę ciężką for?sę. Więcej, niż daje Easterman.

- Zamierzasz go wykołować?

- Jeśli będzie z tego forsa, tak. - Jakbym to ja miał tyle szma?lu. Pewnie, że mam. W skarpetce.

- Nie zrobił nigdy niczego, żebym chciała być mu lojalna -wyznała. - Te pieprzone wilkołaki traktuje lepiej niż mnie, a prze?cież nie mają większego stażu.

Zachichotałem.

- Winger, jesteś jedyna w swoim rodzaju.

- Wiem. Ale nic sobie nie wyobrażaj. Nie jestem jeszcze go?towa, żeby się ustatkować. Kiedy będę, ty znajdziesz się na sa?mym początku mojej listy.

Nieczęsto zdarza mi się zapomnieć języka w gębie. Tym ra?zem mi się udało. Stałem tam, z szeroko otwartymi ustami, za?stanawiając się, czy ona jednak nie jest o całe niebo sprytniejsza, niż mi się wydaje.

- Jeśli wpadniesz na trop tej książki i będziesz potrzebował po?mocy, daj znać - mruknęła. - Ja na razie wracam.

Pomaszerowała z powrotem do chałupy Eastermana.

- Ale podbój. - Carla Lindo zachichotała złośliwie.

Ryknąłem i rzuciłem się na nią. Uciekła mi z piskiem i chi?chotem. Ludzie gapili się na nas. Carla nie uciekała zbyt szybko. Ja też zbyt szybko jej nie goniłem. Widok naprawdę był ogro?mnie interesujący.

To już trochę bardziej przypominało prawdziwe życie.

Dorwałem ją. Oparła się o mnie, dysząc i dając wyraźnie do zrozumienia, że chciała dać się złapać. Do licha. Byliśmy na środ?ku ulicy i nie bardzo mieliśmy dokąd pójść.

Taka jest historia mojego życia. Za każdym razem, kiedy zdo?będę nagrodę, nie mogę jej odebrać.

- Chodźmy do domu. Musimy się poważnie zastanowić, gdzie Easterman będzie szukał tej książki.

- Miałem wrażenie, iż on jest pewien, że wie, gdzie ona jest. Ta myśl podsunęła mi pewien po?myśl.

- Istnieje jakaś szansa, że twój wuj może wiedzieć, co się roi w głowie jego szefa?

- Nie. - Zrobiła smutną minkę. - A nawet gdyby wiedział, to nie powie. On się naprawdę boi, że nigdy nie znajdzie innej ro?boty, jeśli Easterman go wywali. On jest za stary.

- Cudownie. - Szliśmy bez celu, przytuleni do siebie. Czuję się odrobinę, odrobineczkę winny, że chodzę tak o kilka domów od Tinnie. Pewnie się starzeję.

- Naprawdę dalej potrzebujesz tej książki? Chodo ma Panią Wę?ży. Powiedziałbym, że mogę prawie zagwarantować, iż raczej nie wróci, by straszyć twojego tatusia.

Musiała to sobie dokładniej przeanalizować. Myślała prawie przez całą drogę do domu. Wreszcie rzekła:

- Chyba mogłabym wrócić do domu bez niej. Ale tylko wte?dy, jeśli będę pewna, że została zniszczona. Ojciec nigdy nie wy?baczyłby mi, gdybym tego nie dopilnowała.

Tak, do diabła.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXXIV

Wciąż jeszcze tłumaczyłem się przed Truposzem, który omal mi głowy nie urwał za to, że nie złapałem Fida za szczecinę i nie zakręciłem, aż wyśpiewa wszystko, kiedy do pokoju zajrzał Dean:

- Panie Garrett, jakiś dżentelmen życzy sobie widzieć pana.

Słyszałem stukanie. Miałem nadzieję, że to do mnie. Truposz wsiadł na najwyższego ze swoich koni i naprawdę dym szedł mu uszami. Nie byłem w stanie wtrącić ani słowa, żeby nakłonić go do przemyślenia sytuacji. Sądzę, że powinienem był załatwić drużynę Fida jedną wolną ręką, a drugą kręcić i szarpać samego mistra, nucąc przy tym radośnie.

Dżentelmen w drzwiach nie był dżentelmenem. Tak brzmiała inteligentna towarzyska drwina w wykonaniu Deana. Facet należał do wielorasowców o mrocznych koligacjach i zbliżał się do wieku młodzieńczego. Najbardziej widoczną cechą jego osoby był komplet najbardziej przerażających zębisk, jakie zdarzyło mi się widzieć w życiu. Mógł ująć za brzydkiego wilkołaka lub jeszcze brzydszego człowieka, gdyby akurat potrzebna była taka figura.

- Ty Garrett? - zapytał, szczerząc to, co miał. Tak, jakby słyssał o mnie i nie robiło to na nim najmniejszego wrażenia.

- Kiedy ostatnio sprawdzałem, to tak.

- Mam papier dla ciebie. - Podetknął mi coś pod nos i zwiął, nim sprawdził, czy złapałem. Nie złapałem. Papier upadł na ganek, zaczął tańczyć na wietrze. Rzuciłem się za nim, dorwałem, nim uciekł. Naturalnie, drzwi zatrzasnęły się za mną. Zapadka opadła i złapała. Przekląłem ją solennie i tak długo waliłem i kopałem, aż Dean otworzył drzwi. Nic nie powiedział, tylko się skrzywił.

- Idź, wyszoruj garnek, albo coś w tym stylu - warknąłem. Wyniosłem się do biura, rozsiadłem na fotelu.

- Dlaczego, do jasnej cholery, nie zatrudnię się w browarze? - zapytałem Eleanor. - Co ze mną jest nie tak? Czy ja lubię mordobicie? Mógłbym mieć pokoik w warzelni. Tylko ty i ja. Mógłbym sobie strzelić piwko za każdym razem, kiedy przyjdzie mi na to ochota. Mogę spędzić tam nawet całą resztę życia.

Eleanor nie odpowiedziała. Obdarzyła mnie tylko enigmatycznym spojrzeniem. Nikt już nie trzymał mojej strony. Rozwinąłem papierową kulkę.

Była to wiadomość, ale dłuższą chwilę zajęło mi odszyfrowanie niewprawnego pisma. Zanim papier stał się nośnikiem nieśmiertelnej prozy, służył prawdopodobnie do pakowania smażonej ryby lub czegoś podobnego.

Musimy pogadać. Sinkler. Pomnik. Szybko. Sadler.

Interesujące. Nie sądziłem, że umie czytać lub pisać. Nie stanowił zagrożenia dla żadnego skryby zajmującego się iluminowaniem manuskryptami, ale może się równać z każdym wykształconym siedmiolatkiem. I nie zrobił ani jednego błędu. Zastanawiające.

Sadler. Jeden z wielu moich zaginionych. Nie mogę mu odmówić.

Ale kiedy miałyby się odbyć to spotkanie? Nie podał godziny.

Nie poderwałem się, żeby pobiec tam od razu. Pomimo zainteresowania. Takich rzeczy po prostu się nie robi, jeśli człowiek chce przeżyć w zawodzie. Są pewne zasady, jakich należy przestrzegać, kiedy otrzymuje się taką tajemniczą wiadomość. Na przykład, wysłanie jakiegoś jelenia...

ups, to znaczy przyjaciela, żeby zbadał teren.

- Hej, Dean. - Nie został mi nikt inny.

- Mam naczynia do umycia i pranie, panie Garrett. Każda kolejna osoba jakimś cudem potraja ilość roboty do zrobienia! - zawołał z kuchni.

- Czekaj no chwilę...

- Nie mam czasu na załatwianie żadnych spraw.

Kto tutaj umie czytać w myślach, do jasnej cholery?

- Skąd wiedziałeś...?

- Znam ten ton prośbienia o przysługę. Może pošlesz pannę Ramadę.

I tu mnie miał. Nigdy w życiu nie posłałbym Carli Lindo. A ponieważ nie zrobiłbym tego, wiedział już, że nie chciałem go posłać po karpiele, żeby zrobił na kolację zapiekankę. W ciszy, jaka nastąpiła, prawie słychać było skrzywienie i zgrzytanie jego mózgu, kiedy zastanawiał się, jak tu mnie pognębić za to, że choćby próbowałem rozważać jego udział w czymś ryzykownym.

Pochwyciłem strzęp umysłowego chichotu z drugiej strony holu. Wszyscy świetnie się bawili moim kosztem. Wstałem i poczłapałem do kuchni, żeby naciągnąć sobie piwa.

- Zostaniesz z nami, kiedy się już ożenię, prawda? Potrzebujemy każdej pary rąk.

Twarz Deana rozjaśniła się. Zapomniał o tym, że chciałem go wysłać tam, gdzie wieje zły wiatr. Wiedział, że nie pozbędzie się żadnej ze swych bratanic na mój koszt, ale jeśli zwiąże się z jakąkolwiek inną kobietą, też mu to wystarczy. Jest odrodzonymi adwokatem małżeństwa, choć jemu samemu udało się uniknąć męczeńskiego losu.

- Będzie to dla mnie zaszczyt służyć panie Tinnie, panie Garrett.

Prawie poczułem się winny, że go tak omotałem. Prawie.

- Nie tę osobę miałem na myśli.

- Panią Maya jest ci naprawdę oddana, ale nie sądzisz, że jest trochę za młoda jak dla faceta w twoim wieku?

W moim wieku? On naprawdę nie ma litości.

- Nie Maya. Myślę o oświadczeniu się Winger. Musisz przyznać, że jest bardziej w moim typie. Na tych ulicach zbrodni będzie z nas piekielna drużyna.

Wyglądał na zgorzonego, przerażonego i kandydata na prostej drodze do apopleksji. Twarz mu poczerwieniała, z trudem chwycił powietrze. A ja go dobijałem:

- Nie nadaję się dla tych małych, słodkich ślicznotek, Dean. Potrzebuję kogoś, kto potrafi być prawdziwym partnerem, kumplem. Prawdziwym, męskim mężczyzną - wszędzie, z wyjątkiem sypialni. Sądzę, że Winger jest dla mnie stworzona, że na nią właściwie czekałem. To silna, zdrowa dziewczucha. Ona tu zaprowadzi porządek.

Garrett!

Chyba przedobrzyłem. Ten kwik przerażenia dochodził z pokoju Truposza.

Przyzwyczałem się, że Dean zawsze wszystko bierze zbyt poważnie. Mijają stulecia, zanim się zorientuje, że robię go w koźnia. Ale nie Truposz.

- Nie sądzisz? - zamknąłem dyskusję.

Dean stał jak słup, z patelnią zwisającą z jednej ręki, opuszczoną szczęką i oczami w zezę. Wyglądał na tak przerażonego, że prawie dałbym mu spokój. Gdyby Carla Lindo nie była na górze, pewnie bym tak zrobił. Zamiast tego ruszyłem w stronę drzwi frontowych.

- Najlepiej, jeśli się tym zajmę od razu.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXXV

Ciekawe, czy kto wie, kim był niejaki Sinkler? Czy to kogo obchodzi? Ktoś postawił mu pomnik, no nie?

Cholera, a może ten wielki brzydki blok kamienia stał tu już wte?dy, kiedy budowali miasto? Wygląda na dość zużyty. Jeśli nawet ktoś coś wie, to o tym nie mówią. Cokolwiek Sinkler zrobił, dla mnie pozostaje to tajemnicą. Prawdziwie użyteczny jest tylko dla gołębi. Siadają na jego wzniesionych ramionach i trójgraniastym kapeluszu, czekając na potencjalne cele, przechodzące w dole. Daw?no temu pomnik był pokryty miedzią, ale złodzieje zajęli się tym, zanim jeszcze tatuś z mamusią mieli mnie w planach.

Sinkler stoi na środku małego placu, u zbiegu kilku ulic, mo?że o pół mili na północny zachód od mojego domu. Dla mnie je?go główne znaczenie polega na oddzielaniu normalnego, paskud?nego miasta od Bustee, przy której każda część miasta, jaką zechcesz wymienić, wydaje się przedsiönkiem niebios. Bustee jest miejscem, gdzie mieszkają naprawdę biedni ludzie. Bustee to dzielnica, gdzie Chodo Contague nie wchodzi bez armii, że nie wspomnę o Straży. Niech mnie, ostatnio dzieje się tam już tak źle, że kamienicznicy mają pietra przed ściąganiem czynszu.

Chodo nie bałby się wejść do Bustee. Ludzie są tam tak biedni, że nie mogą sobie pozwolić nawet na nazwiska. Prze?żywają dzięki temu, że wyglądają na biedniejszych od swoich sąsiadów.

Piekło na ziemi. W Marines spotykałem chłopców stamtąd. Uważali, że Korpus jest wspaniały, pomimo wojny. Dostali żar?cie na talerz, ubranie na grzbiet, buty na nogi, a ich rokowania na przeżycie były znacznie lepsze w Kantardzie niż w domu. A jeszcze i tak dostawali forszę. No więc, jak to się dzieje, że wy, bogaci, wiecznie macie powody do skarg i jęków?

Moja rodzina nie mogła sobie pozwolić nawet na nocnik, ale w porównaniu z nimi czułem się bogaczem.

Pomyślałbyś, że ci ludzie zbuntują się w końcu i dostaną szału. Nic z tego. Podobnie, jak nikt nie korzysta z tego, że wszyscy lordowie z Góry wyjechali zapolować na Glory'ego Mooncalleda. Ludzie mają poczucie porządku i przynależności kastowej. Większość uważa, że jeśli są biedni i umierają z głodu, to widocz?nie tak chcą bogowie. Prawdopodobnie zasłużyli sobie na to w po?przednim życiu.

To dziwny świat. Ale ludzie są jeszcze dziwniejsi.

O czym ja gadam? Co to ma wspólnego z Sadlerem czy Księgą Snów? Nic, cholernie nic. Pozwalam sobie jedynie na wewnętrz?ne dywagacje społeczne.

A wracając do Glory'ego Mooncalleda, od opowieści aż wrza?ło. Nowiny dotarły na północ. Ludzie zaczęli i opowiadali o wszystkim zupełnie obcym przechodniom. Łapali cię za koszu?lę, żeby cię zatrzymać w miejscu choć na tyle długo, by przeży?li rozkosz przekazana tej wieści jako pierwsi.

Mooncalled zaaranżował jakąś apokaliptyczną kolizję pomię?dzy zmasowanymi armiami Karenty i Venagetich, ale przy oka?zji stracił większość swoich wojsk. Teraz uciekał. Albo i nie, za?leżnie od informatora. Rozsiadłem się u stóp Sinklera i chłonałem opowieści. Przekażę je Truposzowi, gdy nadarzy się okazja. Je?śli się nadarzy w ogóle.

Spędziłem całą godzinę na postumencie, z którego Sinkler roz?taczał swoje błogosławieństwa. Zaczynałem już podejrzewać, że mnie wystrychnięto na dudka. W najlepszym przypadku Sadler

utrudniał mi życie. Cokolwiek miał zamiar przez to osiągnąć. Jeśli to w ogóle Sadler przesłał informacje.

To był on. Pojawił się wreszcie. Podszedł, skradając się i rozglądając wokół tak, jakby wchodził pomiędzy bandę rekinów finansowych, którym jest winien pół miliona, a przez rok nie płacił nawet odsetek. Nie rozpoznałem go, dopóki prawie nie miałem go na kolanach. Wyglądał jak idiota. Nie był już tym śmiercio-nośnym typem, którego znałem.

Usiadł obok mnie, skulony, aby nie wydał go wzrost i sylwetka. Zaczął rzucać okruchy gołębiom. Nikt by go nie rozpoznał przy tej czynności.

- Gdzie się podziewałeś?

- W podziemiu. Musiałem trochę pomyśleć. Nie mogłem dalej pracować, wiedząc, że Chodo chce mieć księgę.

-Uhm?

- Pomyśl, co mógłby z nią zrobić.

- Myślałem. Jeden z powodów, dla których niechętnie widzę ją w jego rękach.

- Ja też nie. I Crask też.

- Crask?

- Zajęło mu to trochę więcej czasu, ale też do tego doszedł. Miał dla mnie wiadomość. Spotkaliśmy się i pogadali. Postanowiliśmy, że coś z tym trzeba zrobić. Chcemy, żebyś się do nas przyłączył.

Okruszki ściągnęły gołębie z promienia co najmniej kilku mil. Właziły na siebie. Nagle eksplodowały w górę. Podniosłem wzrok, spodziewając się widoku eskadry gromojaszczurów. Ale ptaki spałikowały z powodu jednej samotnej morCartha, która w dodatku wyglądała na urżniętą.

- Teraz urzędują nawet w biały dzień - mruknął Sadler, dając wyraz moim uczuciom. — Ktoś powinien coś z tym zrobić. Może jakaś nagroda za ich schwytanie. Dzieciaki miałyby się czym zająć, zamiast kraść sakiewki i obrabiać pijaków.

Jasne. Nic już nie jest takie samo jak w dawnych dobrych czasach. Mieliśmy trochę honoru, będąc dziećmi. I tak dalej. Znam tę historię na pamięć.

- Dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

- Sam powiedziałeś, że nie chcesz, żeby Chodo dostał tę księgę.

- Nie chcę, żeby dostał ją ktokolwiek. Ani on, ani ty, ani Crask, ani Pani Węży, ani Gnorst Gnorst, ani Fido Easterman. Do diabła, nie powierzyłbym jej nawet temu staruszkowi, który prowaździ mi dom. Nie znam nikogo żywego, kto umiałby się oprzeć pokusie.

Myślał przez jakąś minutę.

- Może. Mogę sobie wyobrazić, ile mógłbym z nią zrobić, gdybym umiał czytać.

- Nie umiesz?

- Tylko moje nazwisko. Kilka znaków i napisów, które widziałem przez całe życie. Nigdy nie miałem okazji się nauczyć. W armii nie uczą chłopaków, tak jak w Marines.

- To łut szczęścia. - To akurat wniosłem w posagu. Podejrzałem jednak, że miałem większą motywację niż Sadler. - Przecież przesłałeś mi wiadomość.

- Crask ją napisał. Załapał trochę tu i tam. Myślałem, że kiedy Chodo się przekreśli i zajmimy jego miejsce, weźmiemy sobie nauczyciela. Ale teraz nie jestem pewien, czy on w ogóle planuje wynieść się z tego świata.

- Pomyślałeś, że mu w tym trochę pomożesz.

- Coś w tym rodzaju.

- Nie zajmuję się morderstwami.

- Miałeś swój udział w tym, że stary kacyk teraz gryzie ziemię.

- Zanim zaczął ją gryźć, sam został ugryziony. A ty wiesz, jak to było. Morley Dotes mnie wrobił.

Gdybyśmy z Saucerheadem wiedzieli, co się święci, byłibyśmy na drugiej stronie miasta, za miast pomagać Dotesowi wnieść tego wampira.

- Jeśli nam pomożesz, Garrett, będziesz miał kumpli, którzy też ci pomogą.

- Jak? Chodo już wprawia mnie w zakłopotanie, zachowując się tak, jakbym był jego ukochanym synalkiem.

Sadler był zaskoczony. Dlaczego? Zaśmiał się, ale nic nie powiedział. Miał paskudne zęby.

- Może i tak. Ale pamiętaj, że on nigdy i za żadne skarby nie odda ci tej księgi.

- A ty?

- Nie umiem czytać, a i Crask nie jest wiele lepszy. Uważasz, że wynajmiemy kogoś, żeby ją dla nas przeczytał? Uważasz, że moglibyśmy ją dorwać i trzymać tak długo, aż się nauczymy czytać? I nikt nie będzie próbował jej nam odebrać?

- Masz trochę racji. Ale ja za to mam problem - nie zajmuję się morderstwami. Chodo nie jest mi szczególnie potrzebny, ale nie chciałbym wysłać go do nieba z fajerwerkami. Nie zasłużył sobie na to z mojej strony.

Nie chciałem, ale nie na tyle, żeby odmówić Sadlerowi. Mógłby nagle uznać, że należy mnie uspić, żebym nie opowiedział nikomu o jego planach.

- Wygląda na to, że nie mam wielu opcji. Jak zamierzasz to zrobić? - To się nazywa gra na czas.

- Stary Chodo ma dzisiaj imprezkę. Będzie roztargniony. Jego córka jest w mieście. Przyjechała na festyn, który urządza dla niej co roku.

- Jego co?

- Jego córka. - Sadler roześmiał się. - Niewielu ludzi o niej wie. Spodobałaby ci się. Całkiem niezła laska Pewnie wzięła urodę po mamie. Osobiście nigdy jej nie widziałem. Zanim jeszcze się do niego przyłączyłem, Chodo odszedł od niej, ponieważ przyłapał ją pieprzącą się z facetem, który wtedy był szefem. No i co? Historia jest historią. Najważniejsze, że dziś urządza przyjęcie urodzinowe. Jeśli wszystko pójdzie zwykłym torem, wszyscy uchleją się na sztywno i do nieprzytomności. Uważamy z Craskiem, że jeśli uderzymy o trzeciej nad ranem, to będzie jak spacer z pieszkiem.

- A po co ja wam jestem potrzebny?

Uśmiechnął się znowu. Uśmiechał się dziś więcej niż przez cały czas naszej znajomości razem wzięty.

- Garrett, cholernie dobrze ci idzie rżniecie niewiniątka. Człowieku, chciałbym i ja tak umieć.

- Dzięki za słowa pociechy. Ja naprawdę nie mam pojęcia, co ci się roi w głowie.

- Aleś ty dzisiaj skwaszony. Mały ptaszek ci nie podpowiedział? W porządku. Pamiętasz, dość dawno temu mieliśmy problem z czymś, co myślało, że jest martwym bogiem? I cholernie chciało zmartwychwstać?

To wcale nie było tak dawno. Wolałbym nie pamiętać. Wyjątkowo parszywa sprawa. Było w nią zaangażowanych paru naprawdę chorych ludzi. Jedyne, co dobrego z niej wynikło, to Maya.

- Pamiętam.

- Żadnych dowcipasków? Chyba się starzejesz. No. Kiedyś przyszedłeś do domu Chodo. Dotes był z tobą. Daliśmy ci taki mały kamyk. Coś jak amulet. He? Może myślałeś, że zapomnieliśmy go zabrać?

Miałem taką nadzieję. Kamień był ukryty w pokoju Truposza razem z naszymi najcenniejszymi skarbami. Miałem nadzieję, że jeszcze go kiedyś użyję.

Było to magiczne cudencko, utrzymujące na odległość gromojaszczury. Chodo nie przepada za nieproszonymi gośćmi. Aby ich odstraszyć, otoczył swoje posiadłości wysokim murem. A za mu?rem trzyma całą horde? małych, mięsożernych gromojaszczurów. Są skuteczniejsze od psów, choć tych także ma całe stada. Gromojaszczury nie zostawiają rozrzuconych szczątków. Nie powiem wam, ilu dzielnych poszukiwaczy przygód przedarło się przez mu?ry i skończyło jako przekąska tych potworów.

- Wrobiłeś mnie.

- Pomyśleliśmy, że któregoś dnia może nam się przydać, że?by jeden został na zewnątrz.

- Chłopaki, jesteście dla mnie za cwani.

- To fakt.

Wątpiłem w to, ale on i Crask naprawdę byli o wiele bardziej cwani, niż pozwalali sądzić.

- A wiec potrzebujecie kamienia, żeby się dostać do domu, gdzie wszyscy będą nawaleni. A co dalej?

- A dalej Chodo wyzionie ducha we śnie. Może dlatego, że wszyscy będą pijani i nie będą wiedzieli, co robią, parę gromo?jaszczurów wpadnie do środka i spożyje kilku facetów, którzy usil?nie próbowali wysadzić mnie i Craska z posady.

- Myślisz, że poradzicie sobie z prowadzeniem interesu?

- Mówiąc między nami, tak. Nie trzeba za wiele biegać. Ma?szyna jest dobrze naoliwiona. Od czasu do czasu skręca się ko?muś kark, tak raz na miesiąc, i wszystko idzie gładko. Poradzi?my sobie.

Nie wątpię.

- A ja dostanę księgę, tak?

- Jak tylko się dowiemy, gdzie jest. To obietnica. A na pewno ją znajdziemy. Wiesz o tym.

Znajdą, jeśli będą chcieli. Ale czy na pewno mi ją dadzą? Chodzi o to, czy będą sobie zawracali głowę jej odzyskaniem, jeśli okaże się, że jest w szponach kogoś takiego jak Fido Easterman. A może tylko wskażą mi palcem kierunek?

- O trzeciej nad ranem, he?

- Wiem, że masz ustalony porządek dnia, ale nie ma innego wyjścia.

Jeszcze jedna noc bez snu. I bez drzemek tu i tam, bo będę mu?siał myśleć, jak tu się wywinąć i nie dać się uwikłać w ma?fijne morderstwo.

Morley powiedziałby, że to doskonała okazja, by udowodnić, iż nie siedzę w kieszeni Chodo. Zapomniałby tylko, że dzięki te?mu Crask i Sadler mają na mnie sążnistego haka. A skoro już o Morleyu mowa, to gdzie on się podziewa? Teraz ja potrzebuję pomocnej ręki. Że już nie wspomnę o Saucerheadzie.

- Hej, masz jakieś pojecie, co się stało z Dotesem i Tharpe'em?

- Nic. Wciąż się dąsają?

- Na to wygląda. - Coś w jego tonie powiedziało mi, że on na?prawdę nic nie wie. Słysząc było wyraźnie, że ma wszystko głę?boko w nosie.

- Chyba nie chcesz wziąć ich ze sobą? - zapytał podejrzliwie. Wychwyciłem w jego głosie coś dziwnego.

- Nie. - Musiałem to sobie przemyśleć. - Po prostu nie widzia?łem ich od początku tej całej awantury. Martwię się.

- Uhm. Chyba już za długo siedziałem. Muszę rozprostować kości. Nie chciałbym teraz niczego podłapać. Spotkamy się przy kamieniu milowym na wzgórzu, przy drodze do domu Chodo. O drugiej. Przynieś ten amulet.

- Jasne.

Sadler odszedł, pochylony, jakby miał sto dziesięć lat. Całkiem nieźle mu to wychodziło. Nie rozpoznałbym go z większej odległości.

Ciekawe, co by zrobili, gdybym się nie zjawił.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXXVI

Nie uszedłem nawet jednej przecznicy, gdy dogoniła mnie Winger. To chyba mój szczęśliwy dzień.

- O co chodziło? - zapytała. Żadnej wrażliwości w tej kobiecie. Ciekawe, czy można ją obrazić.

- Gdzie o co chodziło?

- W twoim słodkim tete-a-tete z chłopczykiem Chodo nazwiskiem Sadler.

Miała oko. Nie dała się nabrać na jego przebranie.

- Wtykasz nos tam, gdzie nie trzeba, i nie jest to twoja jedyna wada.

- Wielu mi to mówi. - Obdarzyła mnie szerokim uśmiechem i po przyjacielsku walnęła w ramię.

Czy ja się w ogóle kiedy do niej przyzwyczaję? Mówiąc szczerze, miałem nadzieję, że nie będę musiał. Nieraz po cichu jej życzyłem, żeby wreszcie szczęście się od niej odwróciło.

- Założysz się, że zgadnę? - zapytała,

- Próbuj do skutku. - Nadałem się i wydłużyłem krok, ile wlaźło, mając nadzieję, że mnie nie dogoni. Dużo mi to dało dobrej rady. Walila krok w krok za mną jak krążownik, a ja zadyszałem się i zalałem potem w połowie drogi do domu. Wielka, podstażwała wiejska dziewczucha.

- Co powiesz na to, Garrett? Sadler i jego słodki kumpel uważają, że ich szansę na awans społeczny spadają do zera, jeśli boss dorwie się do księgi, no nie? - Ryknęła niskim, gardłowym śmiechem, podobnym do chichotu Saucerheada Tharpe'a. - Poświęcili kupę czasu, zawsze grali uczciwie, a teraz mają dość. No nie?

- To ty mnie przez cały czas śledziłaś? - W ogóle nie wyczuwałem jej obecności. Ani tamtej, jeśli to nie była ona. To straszne, mieć ją tak blisko siebie i nie czuć nic. I jeszcze ta jej kretyńska kiecka.

- Dopiero od czasu, kiedy wyszedłeś od Eastermana. Te chłopaki chcą, żebyś im pomógł awansować, nie?

Czy ja się jakoś zdradziłem? Zazwyczaj dobrze mi idzie ukrywanie myśli. Roześmiała się.

- Tak. Właśnie tak mi się zdawało. Kiedy mają zamiar to zrobić?

- O czym ty u licha gadasz? Na haju jesteś czy co?

- Pewnie. Mojej wyobraźni chyba odbiło. Widziałeś kiedy dom, w którym mieszka Chodo?

- Byłem tam.

- Założę się, że ten, kto go posprząta, będzie urządzony na całe życie.

- Bardzo krótkie życie, jeśli spróbuje.

- Gromojaszczury? Żaden problem. Twoi kolesie mają jakiś sposób, żeby je ominąć. Będę im deptać po piętach, przyczaję się, aż załatwią swój brudny interes, nachapię się tego, co będzie pod ręką, i w ogólnym zamieszaniu po prostu zniknę. Żadna sprawa.

Nieuleczalny optymizm.

- Kiedy zdążyłaś obejrzeć sobie dom?

- Przeszłam się na spacer. Tyle mówiłaś, co to za szemrana figura, że musiałam go sobie obejrzeć.

- Czy ty w ogóle sypiasz?

- Mam dużo energii. Ty też byś miał, jakbyś miał ambicję. Ty jesteś jak stary żółw. Ruszasz się

tylko, kiedy umierasz z głodu, a i wtedy tylko tak daleko, żeby się nażreć. Nigdy do niczego nie dojdiesz, Garrett.

Czy ona brała lekcje u Deana?

- Daję sobie radę. Mam własny dom. Nie wszyscy mogą to powiedzieć o sobie.

- Słyszałam, jak zarobiłeś tę forszę. Ludzie tak długo wbijają ci szpilki w zad, aż się ruszysz. A potem wpadasz w kupę gówna i wychodzisz z workiem szmalu w zębach.

Mniej więcej właśnie tak to wyglądało. Ale uważam, że uczciwie zarobiłem tę forszę. Wdrapałem się po schodkach wiodących na ganek. Winger wprosiła się także. Miałem już ją wyrzucić, kiedy przypomniałem sobie dowcip, jaki zrobiłem Deanowi. Co u diabła? Jego staremu sercu dobrze robi trochę gimnastyki w formie palpacji. Zapukałem.

Otworzył. Obrzucił Winger morderczym wzrokiem. Twarz mu się wydłużyła, ale nic nie powiedział.

- Cześć, tatuśku! - zawołała Winger. - Masz jeszcze trochę tego pysznego piwka? Wyszłam na mumię!

Przyjacielskim gestem walnęła go w pierś. Omal nie upadł. Odzyskał jednak równowagę i wystartował w stronę kuchni, kręcąc głową.

Dopiero po zaryglowaniu drzwi przypomniałem sobie, jak to było podczas ostatniej wizyty Winger w moim domu. Musiałem spożyczyć się z Truposzem, a nie mogłem jej na ten czas puścić luzem po domu. Nie wiadomo, co mogłoby wylądować w jej kieszeniach.

- Chodź. Najwyższy czas, żebyś poznała mojego partnera. - Nie powinienem przy nim używać tego słowa. Jeszcze nie raz mi to przypomni.

Mój partner był mniej więcej tak samo zachwycony jej widożkiem, jakby grał główną rolę w paleniu czarownicy na stosie. Carla Lindo potrafi go troszkę oczarować, ale i ona jest kobietą, a zatem nie ujdzie mi na sucho tak długie przyjmowanie jej w domu. Winger to coś innego. Powiedzmy, że nie miała wdzięku Carli Lindo.

- Co to za stwór, do jasnej cholery?

- To Truposz. Mój partner. Nie tak zwinny jak niektórzy, ale odważa porządnie swoją robotę. Jeśli rozpalisz pod nim ognisko.

- Garrett, to nie człowiek! To jakaś straszna rzecz. Ma trąbę jak mamut. Bogowie, ale paskudny. I trochę nadpsuty... - Widzicie? Prawdziwa dama. Wrażliwość i elegancja wściekłego wilka.

Garrett!

Chyba drzemał, kiedy weszliśmy. Spodziewałem się, że zareaguje wcześniej.

- Nowiny z Kantardu, Kościejku. Twój chłopak chyba jeszcze raz się wywinął. A ci brzydcy, wielcy faceci stuknęli się czaszkami... - Oj, zdaje się, że tego nie kupił.

Tym razem posunąłeś się za daleko! Po co sprowadziłeś do mojego domu tę kreaturę?

Ajaj. Chyba go wzięło. Zawsze bardzo starannie dobiera słowa. Gdyby powiedział „moje progi“, oznaczałoby to, że chce się tylko pokłócić dla zabicia czasu. „Mój dom...“ do licha, on naprawdę ma pretensje. Poczul się zgwałcony.

- Musiałem ją mieć na oku. Nie chciałem, żeby jakiś pozbażony skrupułów łotr rzucił się na nią i...

Wsadź sobie ten nonsens w tyłek. Jeśli chcesz, możesz grać w tę grę z Deanem, ale nie ze mną.

- Wzięło cię, staruszkę, co?

Zrób co należy i zabierz ją stąd!

Hej! Był nawet gotów wziąć się do roboty, byle się od niej uwolnić. W porządku. Nareszcie znalazłem na niego sposób.

Garrett!

- Jasne.

Winger spojrzała na mnie tak, jakbym zaczął toczyć pianę z ust Truposz nie rozciągnął na nią swojej strony dialogu.

- Rozmawiasz z tym czymś? - spytała.

- Jasne. On nie odszedł, tylko umarł.

Gadaj, Garrett! Niech się to już skończy!

Opowiedziałem. Co do najdrobniejszego szczegółu.

Proponuję, żebyś przez jakiś czas grat na zwłokę.

Pozwolił, żeby i Winger go usłyszała. Podskoczyła mniej więcej na stopę, złapała się za głowę. Otworzyła oczy tak szeroko, jakby sądziła, że może jej zajrzeć do mózgu równie łatwo, jak wkłada tam myśli. Gdyby nie była tak zszokowana, pewnie by się na niego rzuciła z nożem.

- Graj na zwłokę. Jasne. Mój największy talent A jak przyjdzie co do czego, to co mam zrobić, żeby nie stać się współnikiem mord?derstwa? A co najmniej nie stać się najlepszym kandydatem do stryczka?

Truposz przesłał mi myślowe wzruszenie ramionami.

Dasz sobie radę. Zawsze sobie dajesz radę. Opowiedz mi lepiej, co naprawdę dzieje się w Kantardzie.

Już odzyskał równowagę. Znowu zaczyna blefować. Tak mu się tylko zdaje.

- A może byś mi poradził, jak mogę ich powstrzymać przed zamordowaniem mojej skromnej osoby, kiedy już im pomogę w mokrej robocie?

Doprawdy, Garrett Twoja uparta odmowa samodzielnego myślenia staje się uciążliwa. Urwał na chwilę. Skoro już ogarnęła cię taka sympatia do tej Winger, a ona i tak ma na to ochotę, dlaczego nie weźmiesz jej ze sobą? Wykazała się już zdolnością do po?skromienia jednego z nich. Widzę w was niezwyciężoną parę.

Czy ja sam się o to przypadkiem nie prosiłem? Ależ tak, błagałem na klęczkach! I wszystko przygotowałem. Teraz nie mogłem nawet pisać słowa, żeby Winger nie nadała się i nie dała mi w łeb.

Cień myślowego chichotu, cichutki, tylko dla mnie. Stary diabeł.

Najwyraźniej miałem zły dzień. Najwyraźniej miałem zły tydzień. A jeśli pójdę pomóc załatwić Chodo, będę miał jeszcze zły koniec życia.

- Mnie to pasuje - powiedziała Winger. No pewnie. Już raz się wpakowała bez zaproszenia. A teraz miała jeszcze błogosławieństwo Truposza.

Zauważyłem, że bardzo szybko odzyskała równowagę. Truposz stał się częścią jej dnia powszedniego. Spojrzała na mnie wyczekująco, jakby się zastanawiała, ile inwencji włożę w wywiniecie się z tej sytuacji.

- Powinienem być klaunem - mruknąłem. -I tak wszyscy się ze mnie nabijają.

Śmiech Truposza był bezgłośny, ale bardzo złośliwy.

Śmiech Winger nie był nawet bezgłośny.

Usłyszałem szmer, obejrzałem się. W drzwiach stał Dean i su?szył zęby.

Moja lista dłużników do załatwienia zaczęła się robić zbyt długa, żebym mógł dalej przechowywać ją w głowie. Będę sobie musiał kupić dzienniczek, żeby się nie pogubić.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXXVII

Nie wiem po co, ale kiedy już pozbyłem się Winger, wyszedłem z domu. Pewnie dlatego, że Truposz jeździł na mnie jak na łysej kobyle, i to z ostrogami, wbijając je zresztą głęboko. Mój żart na temat Winger zwrócił się przeciwko mnie. Do kuchni wołałem się nie zbliżać, żeby nie dopadło mnie marudzenie Deana.

W takiej chwili najlepszym wyjściem z sytuacji wydaje się wyjście z domu. Zwłaszcza że Truposz stwierdził, iż chciałby się doświadczyć, co teraz kombinuje Gnorst. Skwapliwie skorzystałem z okazji.

Ale nie spotkałem się ze smarkmanem. Zostawiłem mu tylko wiadomość w drzwiach. Gnorst nie przyjmował gości. Podejrzewam, że nie przyjmował zwłaszcza gości, którzy znają jego stałych kumpli.

Ruszyłem w stronę domu. Przyszło mi do głowy, że mogę wywabić Carlę Lindo z pokoju i wypłakać się na jej ramieniu. Ona jedna mi nie dokuczała. Właściwie była nawet bardzo wyrozumiała. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że teraz już szybko zostaniemy prawdziwymi przyjaciółmi od serca. Aż podskakiwałem z niecierpliwości.

Może zauważyliście, że kiedy już widzę sprawy w bardziej optymistycznym świetle, wszystko nagle zaczyna się pieprzyć. Bożek, który podaje papier toaletowy w niebiańskim kłocie, ma niezłą fuchę: dokuczanie Garrettowi. Jest to taki nędzny, bezużyteczny bożek, że nie mogli dla niego znaleźć żadnego lepszego zajęcia. A poza tym dokuczanie mi wychodzi mu naprawdę wyjątkowo dobrze. Pracuje nad tym tak ciężko, że chyba będzie się starał o awans.

Byłem o dwie ulice od domu, drepcząc Zaułkiem Czarodziejów w stronę Macunado, gdy nagle stanąłem jak wryty.

Pojawili się nie wiadomo skąd. Okrążyli mnie ostrożnie. Było ich sześciu. Nie znałem ich, ale miałem wrażenie, że to chłopcy Chodo.

Ulica oczyściła się magicznym sposobem. Wykonałem kilka figur rodem z kursu walki wręcz, wydałem serię przekonujących okrzyków. Powstrzymało ich to przed napadem zbytnej pewności siebie.

Byli dobrzy. Oczywiście, że byli. Inaczej nie graliby w pierwszej lidze. I na pewno powiedzieli im, czego mogą oczekiwać, to znaczy najbardziej nieoczekiwanych rzeczy. Jestem znany z tego, że sypię sztuczkami jak z rękawa.

Dziś jednak miałem zły dzień i żadnych sztuczek, jeśli nie liczyć starego zwodu. Udało mi się na moment odwrócić uwagę jednego, kiedy krzyknąłem:

- Hej, Morley! Trafiłeś w samą porę na potańcówkę!

I to była jedyna pomoc, jaką otrzymałem od Morleya w ciągu tego tygodnia, choć nawet go tam nie było. Położyłem gościa kopnięciem z wyskoku i rozpędem poleciałem kolejne sześć stóp. Nagle skończył mi się teren. Ściana budynku rzuciła się w moją stronę.

Oni też się zbliżali. Podniosłem pałę. Przemieszczałem się. Załatwiłem dwóch na cacy. Nie przejmowałem się tym, czy nie walnąłem ich za mocno. Oni najwyraźniej chcieli mieć mnie żywego. Choćby trochę. Nikt nikomu z niczego się nie tłumaczył.

Zamieszanie trwało dłużej, niż planowali. Nasze tańce i podskoki wywabiły na zewnątrz co

odważniejszych sąsiadów, zwłaszcza?cza dzieciaki. Niektóre z nich znałem. Myślicie, że mi pomogły?

Myślicie, że pognały do domu, żeby komuś powiedzieć, że zna?lałem się w opałach? Nic z tych rzeczy.

Tacy właśnie są i nic ich nie zmieni. Uważałem kiedyś, że po?trzebują obrońcy i przywdziałem spękaną zbroję idealisty. Nie?raz ludzie cholernie utrudniają rycerskie gesty innym ludziom. A nieraz wręcz omal nie wylażą ze skóry, żeby udowodnić, iż to, co oberwą, słusznie im się należało.

Och, niech tam. Walczyłem pokazowo, dopóki ktoś nie ode?brał mi pałki i nie wypróbował jej na mojej czaszce.

Pod moimi stopami otwarło się czarne jezioro...

Nie zanurkowałem. Raczej prześliznąłem się po nim na brzu?chu i teraz unosilem się na falach z nosem nad powierzchnią. Jak przez mgłę przypominam sobie zwisanie z ramion dwóch zbirów, podczas gdy trzeci wzywał czekający opodał powóz. Powóz za?jechał. Kolesie pomogli mi dać nurka do środka. Któryś zrobił sobie werbel z mojej biednej czapy, po czym przysypali mnie swo?imi rannymi i powóz ruszył.

Głowa wystawała mi ponad stos ciał. Facet z moją pałą walił w nią co jakiś czas, jakby wypróbowywał nowe modele guzów. Gdybym miał możliwość, sam zaproponowałbym mu najnowsze wzory.

Nawet moja czaszka ma swoje granice wytrzymałości. Uda?łem się w krainę snów.

Kostucha nie jest taka najgorsza. Zanim opuściliśmy miasto, zanim obudziłem się z migreną wszech czasów, zabrała trójkę, która mnie przykrywała. Niech to diabli. Musiałem nieźle walić. Teraz górowałem nad nimi liczebnością.

Ten ból głowy zapamiętam pewnie do końca życia. A przynaj?mniej w tamtej chwili pamiętałem go lepiej niż cokolwiek innego na świecie. Oberwałem na tyle mocno, że pewnie wyhodowałem sobie lekki wstrząs mózgu. Obrzygałem całą podłogę powozu. I to całkiem niedawno. Gość z moją pałą wciąż jeszcze na mnie kłął. Jego partner, jadący tyłem do koni, zauważył:

- Walnąłeś go o kilka razy za dużo. Czego się spodziewałeś?

- Kurde, przecież i tak w końcu go zlikwidujemy. Po co jesz?cze robi syf?

- Nieuprzejmie z jego strony.

- Jeszcze jak nieuprzejme, kurde. Będę musiał to sprzątać. Za?wsze dają mi taki gnój do roboty.

Filozof i malkontent. Filozof zauważył:

- A ty nie masz zamiaru narobić syfu, jak przyjdzie twoja ko?lej? Weźmiesz grzecznie w łeb i złożysz się na czworo, żeby by?ło wygodniej?

- Nie mam zamiaru - stwierdził ponuro malkontent. Filozof zachichotał. Jak facet z takim realistycznym poglądem na życie może wciąż jeszcze siedzieć w gnoju, w którym wyla?dował?

- Przynajmniej wiemy, że się nie przekręcił. Jeszcze nigdy nie widziałem rzygającego sztywniaka. Już się martwiłem. Chodo wściekłyby się, gdybyśmy dostarczyli trupa.

- Dlaczego? I tak go zabije.

- Tego nie wiesz. On nic takiego nie powiedział.

- Pierdoły.

- No dobra. Sprawa niemal pewna. Ale Chodo chce jeszcze z nim pogadać. Może każe się przeprosić. Kiedyś byli kumpla?mi albo coś.

Albo coś. Nigdy nie liczyłem na to, że wdzięczność Chodo bę?dzie bezgraniczna. Ciekawe, czy był jakiś związek między tą im?prezą a moją rozmówką z Sadlerem.

- Kurde, on jest całkiem stuknięty - zauważył malkontent.

- Pewnie. I jeszcze do tego jest kacykiem.

Buru-buru. I znane pięcioliterowe słowo w charakterze przećcinka. Ciekawe, czy wiedzą, że ich podśluchuję. Zastanawiałem się, na ile jestem wyłączony z obiegu.

Filozof zaczął pisać peany na temat mijanych krajobrazów. Miłośnik natury. Niektórzy chłopcy z miasta dostają takiego amoku na widok wsi. Zwykła stara wierzba staje się powodem do zaćchwytów. Z jego słów wywnioskowałem, że jesteśmy już bardzo blisko domu Chodo. Mijaliśmy jakieś porośnięte lasem wzgórza. Oznaczało to, że znajdowaliśmy się mniej więcej o milę lub dwie od miejsca, gdzie miałem później spotkać się z Craskiem i Saćdlerem. Drzewa wkrótce ustąpią miejsca winnicom na północnych zboczach, choć wzdłuż drogi wciąż jeszcze będą pojawiać się kępy drzew. Jeśli chcę pozostać w dobrym zdrowiu, muszę coś zrobić, i to zaraz, nim dotrzemy do winnic. Potem teren będzie zbyt odkryty na ucieczkę.

Tyle że moje ciało nie miało zamiaru nic robić. Może w przyszłym tygodniu. Może, jak opuchlizna zejdzie.

Trudno wykrzesać z siebie iskrę ambicji, kiedy użyto twojej głowy jako perkusji.

Ze sposobu, w jaki szły konie, wnioskowałem, że wspinamy się na Wzgórze Gniazda Szerszeni. Było to długie, strome zbocze. Tuż przed szczytem droga zakręca znowu w głębokie S i udaje, że wspina się z powrotem, po czym dochodzi do grani i kieruje się w stronę skraju lasu. Doskonale. Dam nura przez drzwi po drugiej stronie, stoczę się po zboczu i zniknę, zanim łotry zdążą zamknąć paszczęki. Poleciałem memu ciału, żeby się przygotowało.

Ciało powiedziało mi, żebym szedł do diabła. Nie ruszy się. Ruszanie się boli.

Wóz zatrzymał się.

Malkontent otworzył drzwi, wyjrzał.

- Co się dzieje?

- Nie wiem - odparł woźnica. - Konie nie chcą iść dalej.

Co takiego? Ja i konie dziwnie się nie zgadzamy ze sobą. Jeśli istnieje jakikolwiek sposób, żeby mi dokuczyć, na pewno to zrobią. Nie mogłem sobie wyobrazić, że nie dowiozą mnie gwałtem na miejsce egzekucji. No, chyba że same chcą mnie trochę pomęczyć, zanim pozwolą na to kacykowi... nie, nie mogę pozwolić, żeby to tak dłużej trwało. Zbyt parszywie się czułem.

Filozof wypchnął malkontenta na zewnątrz.

- Uważaj, Mace. Nie zmuszaj ich. Może coś wiedzą. Wysiadł z powozu. Kumpel wygramolił się w ślad za nim.

- To może być banda tego szewca. Jakbym chciał zastawić pułapkę, zrobiłbym to właśnie tutaj, tuż przed szczytem. Tam gdzie przecinka ze spadkiem na prawo. Nie ma gdzie uciec.

Debatowali tak przez chwilę. Ponurak rzucił przez ramię jakieś burknięcie, które zapewne miało oznaczać „ruszajmy, tu nie ma żadnej cholernej pułapki”. Filozof podsunął mu:

- A dlaczego nie pójdziesz i nie sprawdzisz?

Kłócili się przez chwilę.

- Tchórzliwy dupek! Pokażę ci! - syknął wreszcie malkontent. Usłyszałem jego kroki. Wyrażał po drodze swoją opinię takimi słowami, że filozofowi pewnie się poskręcały włosy w uszach.

Ruszaj się, Garrett! Najwyższy czas. Dali ci to za darmo. Musisz tylko wypaść przez drzwi i stoczyć się po zboczu. Albo w drugą stronę. Potrafisz to zrobić. Masz wszystko, co potrzeba.

Moje ciało powiedziało: dobrze. Pozwolę ci otworzyć jedno oko.

Otwarłem. Nie widziałem wyraźnie, bo nie miałem drzwi przed nosem.

Woźnica zauważył:

- Coś się dzieje. Zwalnia. - Tak jakby filozof miał słaby wzrok.

- Co jest, Miluś?! - zawołał filozof.

Zapraǳnęłam nagle mieć na tyle energii, żeby się śmiać. Mi?luś? Ciekawe, czy to przezwisko?

Zdaje się, że bardzo mi się spieszy na tamten świat. Głos filo?zofa dochodził od strony czoła powozu. Podawali mi wolność na tacy, a ja mogłam jedynie odwrócić głowę, żeby się przekonać, iż naprawdę jesteśmy dokładnie w tym miejscu, gdzie się spodzie?wałam.

Ruszaj się, Garrett!

Sięgnęłam głęboko do najstarszych rezerw i uznałam, że mam akurat tyle sił, żeby się dźwignąć i stwierdzić, że nie wystroili mnie w żadne sznury ani kajdany. Mogłbym wyskoczyć i zwać, pozostawiając mój śmiercionośny symbol wyryty na własności złoczyńców.

Miluś krzyknął coś na temat smrodu.

Usłyszałam kroki. Spryciarz ze mnie. Położyłem się tam, gdzie i tak już leżałem, i udałem faceta, który będzie chrapał przez naj?bliższy tydzień. Filozof pewnie nie widział w życiu wielu ludzi, którzy dochodzą do siebie po łomotaniu w łeb. Kupił to. Wy?ciągnął nielegalną szablę spod siedzenia, woźnicy rzucił „Nie ru?szaj się” i ruszył w górę.

Woźnica przeklinał konie. Zwierzęta były zaniepokojone.

Moje cielsko zaczęło powoli ustępować. Powoli, żeby nie po?ruszyć powozem i nie zaalarmować woźnicy, wyrząłem przez otwarte drzwi na las. Zazwyczaj nie przepadam za wiejskim kraj?obrazem, ale z miejsca, gdzie klęczałem, akurat w tej chwili ani ciemność, ani pokrzywy, ani trujący bluszcz nie wydawały mi się szczególnie niemiłą perspektywą. Przesunąłem się w przód i wy?stawiłem głowę na tyle daleko, żeby spojrzeć w stronę szczytu.

Jeden z chłopaków był już prawie na górze. Wydawał się dziw?nie nieswój. Chyba tylko własne pianie trzymało go na nogach. Drugi maszerował w jego stronę z szablą w dłoni.

Jeden szybki nurek przez krawędź, Garrett. Twoja życiowa szansa.

Ha! Odpowiedziało cielsko. Spadaj na drzewo, nic z tego.

Dochodziłem do siebie. A oni stali tam i gadali, dając mi czas, który mogę wykorzystać na to, żeby dojść do siebie. Ciekaw by?łem, co się tam dzieje. A jeszcze bardziej byłem ciekaw tego, co właściwie mieli na myśli, mówiąc o tym szewcu.

Może dowiem się, jeśli dożyję.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXXVIII

Jeśli szybko nie dźwignę tyłka, stracę dla siebie wiele szacun?ku. Że nie wspomnę o wyżej wymienionym tyłku. Będę tego żałował do końca życia. Dlatego zacząłem coś robić, wychodząc ze słusznego założenia rodem z Korpusu, że lepiej robić cokol?wiek, niż nie robić nic.

Przerzuciłem nogi przez próg i postawiłem je na drodze. Po?chłonęło to większą część mojej energii. Na nieszczęście, przy okazji obudziłem woźnicę. Szkoda, miałem nadzieję na jeszcze jedną minutę, zanim stoczę się ze wzgórza. Ale facet na koźle wrzasnął.

Milus? mnie zauważył. Ryknął. Filozof zawył. Myślałby kto, że wygraliśmy wojnę. Rzucili się w moją stronę.

Woźnica wrzasnął znowu, ale tym razem nie z mojego powodu.

Dźwignąłem się do pozycji pionowej i truchcikiem ruszyłem przed siebie. Nie patrzyłem, dokąd idę. Za bardzo byłem zajęty gapieniem się na pokryty łuskami, wielki jak beczka łeb o sen?nych oczach, który nagle wyłonił się zza grani. Potwór wydał z siebie zdumione prychnięcie, po czym uśmiechnął się szeroko wyszczerzonym wypełnionym mniej więcej tysiącem gigantycznych zębisk i zaczął wstawać z miejsca, gdzie drzemał. I wstawał, i wstawał, i wstawał...

Skończyła mi się ziemia pod nogami. Konie właśnie rozpoczęły błyskawiczną debatę, jak tu jak najszybciej wiać do wszystkich diabłów.

Zbocze było bardziej strome, niż pamiętałem. Nie miałem szans kontrolować spadku. Spadałem na łeb na szyję, ślizgając się, tur?lając, rykoszetem odbijając od drzew, podskakując na wystają?cych korzeniach. Każdy kolec, każdy kamień podpisał się na mo?jej skórze. Wreszcie zrobiłem orła na łacie zeszłorocznych ostów. Zacząłem się zastanawiać, czy warto było...

Na górze konie znalazły sposób, żeby się obrócić, i pogalopo?wały w dół. Woźnica strzelał z bata, jakby była im potrzebna jakaś zachęta. Filozof i Milus? biegli o pięćdziesiąt stóp z tyłu i wrzeszczeli za woźnicą, żeby się zatrzymał. Wielki Brzydał wyprostowa?wał się na całą wysokość, przesadził grań i przygotowywał się do startu z dużą prędkością.

Wszystko to byłoby strasznie zabawne, gdybym nie brał w tym udziału, tkwiąc w dolinie i usilnie starając się wtopić w krajobraz, żeby nie wyglądać na jadalnego, a tym bardziej rozdepty walnego.

Żadne oddziały, żaden człowiek nie wygra ze stworzeniem, któ?re zarabia na życie, ścigając różne istoty i ma nogi długie na pięć?naście stóp. Z drugiej strony, żadna istota wysoka na trzydzieści stóp nie będzie miała dużych szans, zbiegając z krętej drogi, któ?ra w dodatku na zakrętach ma nie więcej niż osiem stóp szerokości. Gromojaszczur przegonił Milusia, gdy facet skręcił ostro w zakręt z przecinką po jednej stronie i czterdziestostopowym spadkiem z drugiej. Stwór rozplaszczył się na zboczu, odbił i spadł z drogi, klnąc w swoim języku przez całą drogę na dno.

Wielki zielony miał krzepę. Muszę mu to przyznać. Wstał, otrzepał się, powyrywał parę drzew dla podkreślenia swojego na?stroju i poturlał się dalej. Uznał chyba, że musi złapać cokolwiek, skoro już zadał sobie tyle trudu. Kulał trochę. Pewnie skręcił kostkę czy co tam gromojaszczury mają w tym miejscu.

Ledwie ważyłem się oddychać, dopóki całe zamieszanie nie przeniosło się poza zasięg słuchu. Wtedy poruszyłem się ostroż?nie. Słyszałem, że te stwory czasem łączą się w stada. A może zauważył mnie, kiedy staczałem się po zboczu. Pewnie czeka, aż garrettowa przekąska sama nawinie

mu się pod pysk. I założę się, że to samo robił tam, na grani - pozwalał, aby śniadanie, obiad i kolacja same truchcikiem przysły do niego z miasta. Spojrzałem w górę zbocza, z którego spadłem. - Muszę znaleźć inną robotę. - Ruszyłem, kulejąc na obie no?gi i masując miednicę. - Ludzie i tak nie chcą być ratowani.

Niezmiennie aktualna oferta pracy w browarze Weidera wy?dawała się coraz sympatyczniejszą perspektywą. Nikt mnie nie będzie bił, żadnych wzgórz, z których mógłbym się sturlać, nikt nie zechce mnie zabrać na przejażdżkę, no i to całe piwo w za?sięgu ręki. Leżeć i lać w gardło, aż stanę się tłusty jak Truposz. Co za życie.

Praca będzie wspaniała tak długo, dopóki nie przestanie boleć.

Moje miriady bólików i siniaków zbudziły gniew, który jakby przycichł trochę od czasu, kiedy dowiedziałem się, że Tinnie się wyliże. Pamiętam, jak leżała na ulicy z wbitym nożem, i to mi przypomniało, że choćbym nie wiem jak się skarżył, mam w tym całym zamieszaniu i wariactwie własny interes do załatwienia. Bardzo osobisty interes.

Zawsze będą pośród nas jakieś Panie Węzy. Nawet przy mo?ich najlepszych chęciach rasa ludzka nie jest w stanie zlikwidowa?wać ich całkowicie. A sama rasa, oczywiście, nie jest ogarnięta wspólnym życzeniem obejrzenia ich końca. W każdym z nas drze?mie Pani Węzy, przynajmniej odrobina, która czeka tylko na wła?ściwy moment, aby rozkwitnąć.

Patrzcie na tych wszystkich, którzy pragną zdobyć Księgę Snów. Przecież nie każdy z nich był zły od samego początku.

Zacząłem nawet wątpić w uczciwe intencje Carli Lindo.

Nie możemy się odciąć od Pań Węzy, ale z całą pewnością mo?żemy zmniejszyć naszą daninę cierpienia, odcinając je od czasu do czasu i po jednej z drzewa społeczeństwa.

Moja postawa ulegała przemianie w miarę, jak kuśtykałem swo?ją drogą. Lista rewanzów jakoś sama się uporządkowała w cał?kiem innej kolejności. W którymś momencie mojej drogi do domu ulotnił się nagle cały mój opór w stosunku do udziału w przy?godzie Craska i Sadlera. Przyodziałem się w ból jak w medale, pozwoliłem, aby przez mnie przepływał, nie dałem się zwieść ni?komu i niczemu.

Od Wzgórza Gniazda Szerszeni do mojego domu jest tylko sześć mil. Kilka godzin, jeśli idziesz spacerkiem. Nie szedłem spa?cerkiem, a mimo to nie miałem tak dobrego czasu. Zbyt wiele ura?zów znacznie spowolniło mój marsz.

Nigdy nie widziałem gniazda, od którego wzięła się nazwa wzgórza. Nigdy nie widziałem szerszenia. Nigdy więcej nie zo?baczyłem też przyjaciela Milusia ani filozofa. Z dużej odległo?ści zauważyłem kupę czarnego, mocno połamanego drewna, któ?ra mogła być niegdyś eleganckim powozem. Nie poszedłem szukać tych, którzy przeżyli.

Zanim dotarłem do domu, byłem wkurzony na siebie jak nie wiem, że dałem się Truposzowi zrobić w żarty i wygonić mnie z domu na spotkanie z wielkim karłem. Wiedziałem od razu, że to bezsensowny wysiłek.

Dean wpuścił mnie do domu. Widział, że nie jestem ani w hu?morze, ani w stanie dyskutować o niczym. Ulotnił się jak kam?fora. Poszedłem do biura, zamknąłem drzwi i nie wpuściłem na?wet Deana z piwem. Zwierzyłem się Eleanor. Zawarliśmy pakt. Pomimo bólu i zniechęcenia będę walczył. Zdobędę tę księgę, tak czy inaczej. Przerzedzę szeregi draństwa. Eleanor obdarzyła mnie jednym ze swych rzadkich uśmiechów.

- Do licha, skarbie, i tak chyba nie potrafię przestać być Garrettem. - Ruszyłem na górę, zatrzymałem się w pół drogi, żeby powiedzieć Deanowi, by przyniósł dzban z piwem i apteczkę do mojego pokoju.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XXXIX

To był bardzo ciężki dzień, a jeszcze nawet nie nadeszła pora kolacji. Postanowiłem zjeść coś lekkiego i położyć się do łóżka. Może moja podświadomość dokona cudu w czasie drzemki i uda mi się obrócić tę historię z Chodo na korzyść dobrych chłopaków. Oczywiście, jeśli nie zeszywnięję i nie spuchnę tak, że nie będę w stanie się ruszyć.

Tak mi się tylko zdawało. Reszta świata nie podzielała mojej wizji.

Dean obudził mnie, zanim jeszcze całkiem usnąłem.

- Jego Kościstość cię wzywa. Oskarża cię o zaniedbanie.

Aha, bo nie raczyłem stawić się do raportu. Nie czuje bólu. Nie bywa fizycznie zmęczony. Zapomina, że z resztą z nas jest trochę inaczej. Łatwiej zrozumie ubogich duchem i defetystów. Jego istnienie ogranicza się wyłącznie do mózgu.

Zszedłem na dół do raportu.

Carla Lindo właśnie wychodziła. Obdarzyła mnie uśmiechem, od którego mój kręgosłup dostał wibracji, pomimo opłakanego stanu reszty ciała. Stary Kościej chichotał sam do siebie. Napompuwała jego ego tak, że zalałoby mniejsze miasto. Ciekaw byłem, czy to ona go namówiła, żeby mnie zbudził. Chyba zaczęła się niecierpliwić.

Szybko przekartkował mój umysł, oszczędzając mi tym samym zachodu opowiadania.

Masz wątpliwości, czy to byli ludzie Chodo?

Nie mogłem dać mu odpowiedzi, którą chciałby usłyszeć.

- Żadnych.

Miałem nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

- Ani ty, ani ja. Miałem szczęście. Udało mi się uciec. Stary sukinsyn był na tyle sentymentalny, że chciał mi przed śmiercią wyjaśnić, dlaczego mnie likwiduje. Mogę drugi raz nie otrzymać takiej możliwości - jak tylko Chodo się zorientuje, że nic z tego nie wyszło, natychmiast roześle wici. Może nawet wyznaczy nagrodę.

Jeszcze za wcześnie na to. Najpierw musi się dowiedzieć, że nie zostałeś pożarty wraz z innymi. Potem, biorąc pod uwagę publiczną naturę jego wcześniejszych demonstracji przyjaźni, nie będzie chciał publicznie dokonać zwrotu w sympatiach, ponieważ nie jest jeszcze gotów odpowiedzieć na wszystkie pytania, które na pewno się pojawią, a to z kolei pogorszy jego wiarygodność. Jest pyszny i próżny, a jego potęgą w większej części opiera się na szeroko rozpowszechnionym przekonaniu, że w kryteriach kryminalisty jest człowiekiem honoru. Jeśli ogłosi światu, że chce cię mieć martwego, będzie musiał podać wyraźne powody. Nie może powiedzieć prawdy. To by go pogrzebało.

- Co nie przeszkodzi najemnym twardzielom posiekać mnie za nagrodę.

Nie, przyznał.

- No i co? Jakieś pomysły?

Teraz naszym głównym priorytetem jest przetrwanie. Znalezienie księgi zeszło na dalszy plan.

A ludzie się zastanawiają, dlaczego jest uważany za geniusza. Czy ja sam wpadłbym na to?

- Jedynym wyjściem jest załatwić Chodo, nim on załatwi mnie.

Istotnie.

- Nigdy dotąd nie próbowałem nikogo zabijać z zimną krwią.

Wiem.

Nie miał ochoty do żartów.

- Czy to, że będę mógł dalej żyć tak, jak chcę, warte jest życia innego człowieka? - Mógłbym wyjechać z miasta. Na zawsze. Jeśli wyjadę, nikt inny nie będzie powstrzymywał Cho?do. Chyba że Sadler i Crask będą mieli szczęście i bez mojej pomocy.

To decyzja, którą musisz podjąć sam.

- Ty i Dean też macie tu coś do powiedzenia.

Przeżyłem wiele stuleci, zanim się spotkaliśmy. Cokolwiek zdecydujesz, ja dam sobie radę. Bez wątpienia.

- Naprawdę wiesz, jak człowieka podnieść na duchu.

Ale jego dobro było tylko jednym z czynników do rozważenia. Moje ego oberwie cięgi, cokolwiek zrobię. Ucieknę - i przez całe życie będę się zastanawiał nad swoją odwagą. Zabiję Cho?do - i będę musiał żyć z potężną wyrwą w moim mniemaniu o sobie.

- Nie mogę wygrać.

To nie kwestia wygrywania czy przegrywania. Ani dobra lub zła. Jeśli masz jedną fatalną słabość, jest nią twoja skłonność do nadmiernego myślenia. Twój upór, aby każdy wybór traktować jak moralną decyzję. Walka o życie nie jest niemoralna. Przestań pozować. Daj sobie spokój z komplikacjami. Zdecyduj, czy wo?lisz spędzić resztę życia w TunFaire, czy gdzie indziej, a potem działaj zgodnie z dokonany?m wyborem.

Jeśli się przyłoży, potrafi każdy problem obrać do gołych ko?ści. I jest cholernie dobry w wykręcaniu kota ogonem.

Do pokoju wsunęła się głowa Deana.

- Osoba życzy się z panem widzieć.

- Kto?

- Bardzo niezwykła osoba.

Spojrzałem na Truposza. Nie odpowiedział mi. Wyszedłem na korytarz i do holu.

- Przy wejściu?

- Nie wiedziałem, czy mam ją wpuścić, czy nie. Nie mogłem się zdecydować. Osobiście nie uważam, żeby była w twoim typie.

- Co? - Mój typ to osoba płci żeńskiej, w jednym z trzech ko?lorów podstawowych: blondynka, ruda albo brunetka.

- Zazwyczaj miewasz skłonności do pewnego określonego ty?pu fizycznego, Garrett. Pan Dotes zauważył kiedyś, że wszyst?kie mogłyby nosić tę samą bieliznę.

- O? - A ja się uważałem za eklektyka. Otwarłem drzwi.

- Cholernie najwyższy czas - stwierdziła Winger. Rozdziawiłem gębę. Dean roześmiał się. Zapomniałem o po?przednich wydarzeniach.

- Wszystko przemyślałam - oznajmiła. - Musimy wyruszyć wcześniej. Pozwolimy panom Sadlerowi i Craskowi załatwić sprawa?wę, a sami będziemy mogli się winić jedynie wtedy, jeśli damy się zabić jakąś zbląkaną strzałą.

Miała rację, ale nie czułem się gotów, by to przyznać.

- Zostawisz mnie przed drzwiami na zimnie czy może zaprosisz do środka na herbatę?

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XL

Żarty na bok, ale Dean ma rację, Winger absolutnie nie była w moim typie. Nie była w niczym typie. Zaprowadziłem ją do biu?ra, zasugerowałem Deanowi, żeby podał piwo. Usadowiłem się wy?godnie. Winger rozsiadła się na drugim krześle, spojrzała na Eleanor tak, jakby potrafiła odczytać prawdę z obrazu. Może i potrafiła.

- Namalował ją jakiś cholerny sukinsyn, Garrett.

- Nieznany geniusz, nazwiskiem Snake Bradon. Całkowity szajbus. Jak to się stało, że przysłaś tak wcześnie? - Określiłem czas tak, żeby w razie potrzeby wymknąć się wcześniej. Pewnie wykom?binowała, że mam zamiar zrobić coś takiego. Nie była głupia.

- Fajny masz dom.

- Kilka dużych spraw zakończyło się we właściwy sposób. A ty co, węszysz, żeby coś zwinąć?

- We właściwy sposób? Powiadają, że masz kupę szczęścia. Ale niebezpiecznie być twoim kumplem.

- He?

- Ostro się prowadzisz, no nie? Chodzą gadki, że ktoś chce cię załatwić. Chodzą gadki, że lepiej trzymać się z daleka. Można się zarazić.

Wtedy opowiedziałem jej o tym, co się zdarzyło od czasu, kie?dy się rozstaliśmy. Chyba głównie po to, żeby nie zasnąć.

Zamiast Deana z piwem zjawiała się Carla Lindo. Ta kobieta zaczynała zmieniać się w widmo, ciągle gdzieś się kręciła, ale czę?ściej niewidzialna niż widzialna. Spojrzała na Winger tak, jakby przypadkiem weszła do męskiej ubikacji. Winger odpowiedzia?ła jej spojrzeniem osoby, która nie wie, na co właściwie patrzy, i nie potrafi sobie przypomnieć. Carla Lindo przegrała w tym po?jedyńku spojrzeń. Zostawiła zapasy i zrejterowała.

- Coś się tu dzieje? - zapytała Winger.

- Nic, to klientka.

- Nie jest jej za wiele.

Dyskusyjne. Bardzo dyskusyjne, zwłaszcza z mojego miejsca. Ale jakoś nie chciało mi się dyskutować. Woląłem zorientować się, co kombinuje Winger. A jeszcze bardziej woląłem się zdrzem?nąć. Piwo wcale nie pomogło.

- Ciekawe, że Chodo dobrał się do ciebie tuż po tym, jak roz?mawiałeś z gościem, który go zdradził. Myślisz, że będzie dzi?siaj szukał towarzystwa?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie jest durniem.

- Hm. Myślę teraz o tych jego zwierzątkach. Szukałam jakichś myśliwych polujących na gromojaszczury, chciałam im postawić kilka drinków i wyciągnąć parę tajemnic zawodowych. Wiesz co? Nie ma ich tak wielu w mieście. Ktoś wszystkich wynajął. Jakiś szewc.

Szewc, co? Mogłem się nawet domyślić, który. Cholerny głupek.

- Szewcy używają dużych ilości skór gromojaszczurów. Na bu?ty dla wojska.

- Wiesz, że ktoś cię śledzi? - zapytała, marszcząc brwi.

- Od kilku dni faktycznie mam takie wrażenie. Myślałem, że może to ty.

- Nie ja. Karły. Za każdym razem, kiedy się tu zjawiam, w pobliżu kręcą się karły. I morCartha. Ktoś wynajął jedno z plemion morCartha, żeby cię śledziły. Nie mogłam się dowiedzieć, kto.

- MorCartha? - Wszystko nagle zaczęło się układać w jedną spójną całość. Nic dziwnego, że nie mogłem zauważyć śledzącej mnie osoby. Nie spoglądam w górę częściej niż inni. A jeśli na wet, to traktuję morCartha tak jak gołębice, to znaczy jak jedną z kłopotliwych i niemiłych rzeczy, z którymi trzeba nauczyć się żyć.

Szpiedzy morCartha. To wyjaśniało nierówny charakter wrażenia, że ktoś mnie śledzi. MorCartha nie są ani zorganizowane, ani odpowiedzialne. Śledzą tylko wtedy, gdy którejś z nich akurat chce się kogoś śledzić.

- Mam ci je zdjąć z karku? Dziesięć marek, a załatwię je tak, że żadna nie zbliży się do ciebie na dziesięć mil.

- Nie wcześniej, aż dowiem się, kto kazał mnie śledzić.

Miałem swoje pomysły. Gnorst Gnorst wydawał się dość prawdopodobnym kandydatem. Jako uzupełnienie przykutych do ziemi karłów. Jedną z rzeczy, które karzeł zrobiłby na pewno. Zapewnić sobie wszelkie możliwe źródła informacji. Wydało mi się, że Chodo też nie byłby złym kandydatem. Był na tyle sprytny, że wiedział, iż morCartha umkną uwagi każdego.

W czasie mojego spotkania z Sadlerem w powietrzu krążyło kilka morCartha. Może Chodo jednak powinien być numerem pierwszym na mojej liście podejrzanych?

- Dzięki za ostrzeżenie.

- Byłam ci to winna. Za to, że pozwoliłeś mi tu dzisiaj przyjść. Nie chciałem, żeby to tak wyszło, ale teraz, kiedy wiedziałem, że muszę jawnie zaatakować Chodo, nie zależało mi już na tym aż tak bardzo. Każdy przyjaciel był lepszy niż brak przyjaciela.

Znów zacząłem się zastanawiać, gdzie u diabła podziiali się Morley i Saucerhead. Zaczynałem się o nich naprawdę martwić, ale kolejne wydarzenia spychały ich na coraz niższe miejsca mojej listy priorytetów.

Winger znów przyglądała się Eleanor.

- Coś cię z nią łączyło, nie?

Jak odpowiedzieć na to pytanie? Jeśli powiem tak, padną następne pytania i w końcu pewnie się przyznam, że kiedy się z nią spotkałem, nie żyła już od dwudziestu lat., i to nie tak, jak Truposz. Jak wyjaśnić sercową awanturkę z duchem kogoś, kto umarł, kiedy jeszcze byłem dzieckiem?

- Coś. Nie wiem, jak ty byś to nazwała, i na pewno nie potrafię tego wyjaśnić.

- Ten obraz wyjaśnia wszystko doskonale.

Widziała wszystko, co szaleniec Bradon umieścił na obrazie. Czy ona kiedykolwiek przestanie mnie zaskakiwać?

- Mogę zrozumieć, że nie chcesz o tym opowiadać. Nie ma sprawy. Może już pójdziemy? Mam przygotowanych parę niespodzianek. Będziemy mieli przewagę. Potrzebujesz tej przewagi. Jesteś w stanie?

Denerwowała się. Prawie trajkotała, ale była to jedyna oznaka jej stanu ducha.

- Do licha, nie. Nie jestem. Ale muszę wykorzystać szansę. Jeśli ludzie mnie nie okłamali za bardzo, dzisiaj jest jedyna noc, kiedy mam choć cień szansy, żeby zrobić to, co zrobić trzeba.

Opowiedziałem jej o przyjęciu, które podobno miał wydać Chodo.

- I tutaj mamy naszą przewagę. Nawet jeśli gość wie, że nadchodzimy, daje nam pewną szansę, nie odwołując przyjęcia.

Chodo na pewno by tego nie zrobił. Taki już jest, że bogowie we własnej osobie nie zmusiliby go do zmiany planów.

- Sądzę, że musimy skorzystać z tego, co nam oferuje. - Z każdą minutą czułem się coraz podlej.

- Nic nam nie przyjdzie z siedzenia tutaj.

- Jasne. Wracam za moment. - Wyszedłem i zabrałem z pokoju Truposza amulet, zastanawiając się przy okazji, ile to jest „moment”. Nie miał nic do powiedzenia. Ruszyłem na górę i wystrawiłem się najlepiej, jak to było możliwe przy moim uszczuplonym arsenale. Zabrałem też małą, wyściełaną skrzyneczkę z butelkami. Nie czas się mazać. Muszę zrobić to, co jest do zrobienia.

Winger czekała na mnie w drzwiach biura, z dziwnie szklanym wzrokiem. Zmarszczyłem brwi. Pewnie znowu miała bliskie spotkanie z Truposzem. Co tym razem? Nie pytałem.

Jako urodzony dżentelmen otwarłem i przytrzymałem przed nią drzwi frontowe. Nawet jeśli fizycznie bardziej przypominała damską wersję Saucerheada. Wyszła na zewnątrz.

- Czekaj.

- Co?

Rozejrzała się po ulicy.

- Czekaj tu.

Zbiegła po schodach i popędziła ulicą. Naprawdę szybko. I nie rzucała na boki ramionami i piętami, jak większość kobiet.

Zamknąłem drzwi, oparłem się o nie plecami, usiłując nie zasnąć. Usiłując nie myśleć o tym, co mnie boli, a co piecze.

Pukanie. Wyjrzałem na zewnątrz. Zza okienka spoglądały na mnie oczy Winger. Cofnęła się tylko na tyle, żebym zobaczył, że się śmieje. Otwarłem drzwi.

Przez ramię miała przewieszzonego karła. Bardzo nieprzytomnego karła.

- Mały, zadziomy wszarz.

- Co?

- Obserwował twój dom. Myślałam, że będziesz chciał z nim pogadać, zanim ruszymy.

- Daj go tutaj. - Poprowadziłem ją do pokoju Truposza. - Hej, Śmieszku. Możesz do niego zajrzeć i powiedzieć, co tu właściwie mamy?

Karła.

- Ale oko. A mógłbyś mi uprzejmie powiedzieć coś więcej?

Obserwował dom od mniej więcej trzech godzin. Przysłała go mój kumpel Gnorst. Wyśle go z powrotem, z wyrazami głębokiego oburzenia.

- Cudownie. Zrób to. Czego od nas chciał?

Myślał, że może wpadłeś na ślad Księgi Snów, jak sądzą.

- Jeszcze coś pożytecznego?

Wybrano go dlatego, że właściwie nic nie wie.

Oczywiście. Gnorst znał przecież Truposza. Przepuszczanie tego małego futrzaka przez wyżymaczkę nie miało wielkiego sensu.

- No to do zobaczenia.

Doszedłeś do porozumienia ze swoim sumieniem, jak sądzą.

- Człowiek musi zrobić to, co musi.

Zachichotał. Racja. Moje moralne problemy zawsze go bawią. On bez zmrużenia oka pokroiłby Chodo.

- Mogę to zrobić. Alternatywa jest nie do przyjęcia.

Z kupy zimnego łożu dobył się umysłowy, bardzo ironiczny śmiech.

- To jego wina, że teraz musi być albo on, albo ja.

Nie musisz się usprawiedliwiać. Ten dzień już od jakiegoś czasu był nie do uniknięcia. On o tym

wiedział, ja o tym wiedziałem. Wiedział też pan Dotes i pan Tharpe. I pan Crask, i pan Sa?dler. Tylko ty ciągle udawałeś, że jest inaczej.

Do diabła, ja też o tym wiedziałem. Miałem tylko nadzieję, że będzie to bardziej oczywisty przypadek walki dobrego faceta przeciwko złemu.

Uważaj na siebie, Garrett.

-Zamierzam.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XLI

Wyszedłem za Winger na ulice, pogrążony we własnych rozmyślaniach.

Po kilkuset krokach spytała:

- Boisz się? -Tak.

Bałem się. Nie ma się czego wstydzić. Ktoś, kto nie boi się Chodo Contague'a jest cholernym idiotą. Albo gorzej.

- Myślałam, że jesteś twardzielem z prawdziwego zdarzenia.

- Jadam na śniadanie gwoździe z kwasem solnym. W ramach gimnastyki daje kopa bandzie gromojaszczurów. Do licha, jestem tak twardy, że skarpetki zmieniam raz na miesiąc. Ale to ci nie pomoże, kiedy kacyk uwziął się na ciebie, a twój jedyny kumpel nie może się dźwignąć z fotela, żeby ci pomóc.

Uśmiechnęła się.

- Na pewno wiesz, kim jest Chodo? - upewniłem się.

- Jasne. Zły mojo. - Roześmiała się. - Jeśli go załatwię, to koźzystnie wpłynie na moją reputację.

- A jego reputacja ci nie przeszkadza?

- Kto musi żyć wiecznie?

Wyjąłem z kieszeni maleńkie, wyściełane pudełeczko. Spojrzałem na buteleczki. Czerwona, najbardziej śmiertcionośna, wydawała się lśnić własnym światłem.

- Co to jest?

- Coś, co mi pozostało z jednej z wcześniejszych spraw. Moźże nam się przydać.

- Wiec lepiej mi nie mów.

- Nie powiem. Znając ciebie, dałabyś mi w łeb i ukradła je. A tak jestem spokojny, że jeśli nawet przylepią ci się do palców, zginiesz, zanim zdołasz ich użyć.

- Jesteś podejrzliwy cap.

- To mi pozwoliło dożyć dojrzałego wieku trzydziestu lat. Gdzie idziemy, do diabła? - Skręciła na południe zamiast na północ.

- Powiedziałaś ci już, że się przygotowałam. Pomyślałam soźbie, że nadejdziemy ze strony, z której nikt się nas nie będzie spodziewał.

- To znaczy?

- Załatwiłam łódkę. Ruszymy w górę rzeki do Portage. Stamtąd do domu Chodo jest około czterech mil wzgórzami, głównie przez winnice.

Jęknąłem. Już ledwie się wlokłem. Każdy ból i siniak przypomniał mi o swoim istnieniu. Wziąłem proszki przeciwbólowe, ale skutek był minimalny.

- Widzę, że moja błyskotliwość nie zwała cię z nóg.

- Ha. Na tym polega cały problem szefowania, Winger. Coźkolwiek zrobisz, wszystko zawsze będzie źle. Cokolwiek zrobisz, jest głupie, a twoi podwładni potrafią to zrobić lepiej, szybciej i taniej.

Zaczęła się śmiać.

- Zauważyłam to, kiedy pracowałam u Eastermana. Poziom inźteligencji podniósł mi się znacznie.

- Pewnie wiedziałaś, że musi być głupi, bo inaczej by cię nie zatrudnił.

- Jesteś taki słodki w rozmowie.

Łódka zwykle służyła do przewożenia ludzi na wschodni brzeg, zwany również niekiedy Dolnym TunFaire. Winger wybrała taką, której załoga, rodzina mieszaińców, nie miała nic przeciwko wyprawie w górę rzeki, jeśli dostaną forszę z góry. Zapłaciłem i wtuliłem się pomiędzy ładunek i żagle, przymykając oczy. Może jeszcze utnę sobie drzemkę.

Winger wyglądała na zadowoloną, że może zrobić to samo.

Główny przewoźnik tracił mnie nogą. Nazywał się Skid. Miał pewnie ze sto lat i niezłą krzepę. Życie na rzece służyło zdrowiu. Prychnąłem, zagulgotałem i robiłem wszystko, aby sprawić wrażenie, iż moja inteligencja dorównuje inteligencji żółwia, po czym uchyliłem powiekę.

- Już?

- Nie. Płynie za nami druga łódź. A nie powinna. - Może Skid żył jeszcze dzięki temu, że nie wykorzystał swojego przydziału słów.

Winger należała do tych dziwadeł natury, które są rześkie jak świnie, ledwo otworzą oczy. Stała już wyprostowana jak struna i wyglądała przez rufę, gdy ja ledwie zdołałem usiąść.

- Gdzie? - Faktycznie widziałem z tyłu jakieś światła. Pewnie ze sto łodzi, które szczury lądowe uprzejmie nazywają barokami z prowiantem, a były domem i biurem dla rodzin je obsługujących.

Skid schylił się, żebym mógł spojrzeć wzdłuż jego ramienia.

- To balia Skylara Zeda. Pracuje na linii wschód zachód, nie pływa na północ.

- Och. - Nie widziałem łodzi, którą mi pokazywał, a już na pewno nie umiałbym powiedzieć, do kogo należała. Ale udałem, że wiem.

- To zaczyna być wkurzające - wyznałem Winger. Burknęła coś pod nosem. Znów rozciągnęła się na pokładzie, bez cienia zażenowania. Coraz bardziej i bardziej przypominała mi Saucerheada. Była jednak troszkę inna, mniej napięta, bardziej wyluzowana. Tharpe przejmuje się tym, co sobie mogą pomyśleć ludzie. Winger po prostu miała to gdzieś albo udawała tak do brze, że nie sprawiało to najmniejszej różnicy. Sądzę, że jeśli ktoś jest tak przerośnięty jak ona, po prostu musi się przystosować.

Spojrzałem jeszcze raz. W świetle latami rufowych wyglądała całkiem w porządku. Była tylko trochę przyduża.

- Hej, powiedz mi coś o Winger. - Już odechciało mi się spać.

- A co tu jest do opowiadania? Urodziłam się, kręcę się po świecie. Widzisz sam.

- To niewiele. Skąd pochodzisz? Kim byli twoi rodzice? Jak to się stało, że jesteś tutaj, zamiast zagrzebać się gdzieś w chaocie pełnej małych Wingerek?

- A ty skąd pochodzisz, Garrett? Kim byli twoi rodzice? Jak to się stało, że jesteś tutaj, zamiast zagrzebać się w domu z groładką małych Garrettków?

- Jasne. Ale ja nie mam nic przeciwko temu, żeby ci opowiedzieć. -I opowiedziałem jej o swojej rodzinie, z której nikt już nie pozostał przy życiu. Opowiedziałem o latach w Marines. Próbowałem, ale nie potrafiłem tak naprawdę wyjaśnić, dlaczego znajduję się tu, na łodzi. Nie słowami, które potrafiłaby zrozumieć. - A co do dzieci, lubię je, naprawdę, ale byłby ze mnie mamy ojciec. Sam jeszcze muszę trochę dorosnąć, przynajmniej zgodnie z przyjętymi normami.

- To nie w porządku, Garrett.

- Hej, ja tylko tak, dla zabicia czasu. Nie musisz mi o niczym opowiadać.

- Będziemy przyjaciółmi, Garrett?

- Nie wiem. Być może. Do tej pory nic nam nie stoi na przeszkodzie.

Przez chwilę przeżuwała to w myśli, oparła się o burtę, spluła w wodę, rozejrzała za naszym towarzystwem z tyłu, po czym znów się wyciągnęła na deskach.

- Ile mi dajesz lat?

- Tyle co ja, może mniej. Dwadzieścia osiem?

- Jesteś hojniejszy od innych. Mam dwadzieścia sześć lat I mam dzieciaka. Pewnie teraz ma ze dwanaście lat. Nie dałam rady takiemu życiu. Odeszłam. Zazwyczaj to facet zostawia ko?bietę z bachorami.

Nie odpowiedziałem. Niewiele można powiedzieć, kiedy usły?szysz od kogoś coś takiego. Nic, co nie zabrzmiałoby nieszczerze lub niewłaściwie.

- Mam w sobie mnóstwo poczucia winy. Ale nie żałuję. Śmiesz?ne, nie?

- Czasem tak jakoś wychodzi. Nieraz mi się coś podobnego zdarzało.

- Jak na przykład teraz?

- Hę?

- Niezbyt dobrze się maskujesz pyską gębą i zblazowaną mi?ną, Garrett. Jeśli załatwimy Chodo, będziesz nosił w sobie gównianą winę aż do śmierci.

- Ale nie będę żałował.

- Jasne. I wiesz co? Dlatego chciałam w to wejść. Forsa i sła?wa przyda mi się, ale nie chodzi tylko o to. Wszystko kończy się na tym, że uważam cię za porządnego gościa.

- Próbuję. - Może za bardzo. - Ale kiedy się bliżej przyjrzeć, nie ma wielkiej różnicy między dobrymi i złymi facetami.

Zilustrowałem tę opinię kilkoma przykładami z niedawnych spraw.

Opowiedziała mi, jak została łowczynią nagród.

Właściwie było to przez przypadek. Zaledwie opuściła rodzi?nę, zabiła poszukiwanego zbrodniarza, który próbował ją zgwał?cić. Wymieniła zwłoki na nagrodę i nagle okazało się, że otacza ją sława osoby, która ma więcej jaj niż rozumu i wielkie preten?sje do świata.

- Reputacja to wszystko, Garrett. Jeśli zbudujesz ją odpowied?nio, a potem właściwie hodujesz, oszczędzasz sobie masę kłopo?tów. Weź choćby tego Chodo. Nikt mu nie podskoczy właśnie z powodu reputacji.

- Potrafi ją usprawiedliwić.

- Ty też musisz to zrobić. Kluczem jest brak skrupułów. Patrz na siebie, masz nieciekawą opinię, poza tym że zawsze dotrzy?mujesz słowa i nie pozwalasz, żeby twoi klienci mieli kłopoty. Może jesteś twardy, ale nie nieugięty. Rozumiesz, o co mi cho?dzi? Ktoś cię wynajmuje, żebyś go uwolnił od szantażu, a ty, za?miast poderżnąć mądrali gardło i mieć spokój, usiłujesz wszyst?ko tak powykłęcać, żeby nikomu nie stała się krzywda. Ludzie w większości uważają cię za miękkiego tu, w środku. A ty sta?jesz się taki. Wtedy mają nad tobą przewagę.

- Jasne. - Wreszcie zrozumiałem. Ale nie podjąłem natych?miast żadnych noworocznych zobowiązań.

- Sądzę, że i tę szansę zmarnujesz. Załatwisz Chodo i nikt na?wet nie będzie o tym wiedział.

- Zaczynasz mnie przygnębiać. Zaśmiała się.

- Słyszałeś kawał o zakonnicach, niedźwiedziu i kradzieży miodu? - Opowiedziała mi go. Mniej więcej tego właśnie się spodziewałem. Po tym nastąpił kolejny, i jeszcze jeden. Nie prze?rywała ani na chwilę. Znała wszystkie stare, wyblakłe kawały, któ?re wymyślono - a nasz świat, wraz ze wszystkimi zamieszkują?cymi go plemionami, oferuje niewyczerpane możliwości.

- Poddaję się - powiedziałem wreszcie. - Nie będę przygnę?biony, jeśli przestaniesz opowiadać kawały.

- Świetnie. No to teraz zastanówmy się, co mamy zrobić z tam?tą drugą łodzią.

Obejrzałem się. Wciąż nic nie widziałem.

- Skid, czy możesz przybić do brzegu i wysadzić nas tak, że?by oni o niczym nie wiedzieli?
Zamyślił się.

- Trochę wyżej, koło Miller Point. Będziemy poza zasięgiem ich wzroku przez około dwudziestu minut. Ale myślałem, że chce?cie płynąć aż do Portage.

- My wysiadzimy, a ty popłyniesz dalej. Pociągniesz za so?bą tę łódź.

- Ty płacisz fracht, ty wymagasz. Słyszeliście, chłopaki. Ze?tniecie drogę wokół półwyspu. Na szczęście kanał jest tam dość blisko - dodał pod moim adresem.

Kiedy nadszedł czas, załatwiliśmy to bardzo szybko. Udało się. Skid ruszył w górę rzeki. Winger i ja słyszeliśmy, jak druga łódź przepływa obok nas z lekkim skrzypieniem drewna. Przedzierali?liśmy się przez gęste zarośla nad brzegiem rzeki, kiedy uszczyp?nęła mnie w ramię. Śmiała się.

Ruszyliśmy w głąb lądu. Moje ciało zagroziło, że nałoży na mnie klątwę za złe traktowanie.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XLII

Chyba było tuż po północy. Znajdowaliśmy się o milę od domu Chodo, będącego zresztą całkiem wyraźnie widocznym.

- Impreza pewnie w pełnym rozkwicie - zauważyłem. - A może to las się pali.
- Skoro nadchodzimy z północy, chodźmy lepiej tam, zbliżymy się później.
- Jasne. Lepiej też trzymać się grani. Nigdy nie wiadomo, kto nas może zauważyć. -
Znajdowaliśmy się w winnicy. W pobliżu majaczyły w mroku domy właścicieli.

- Już to mówiłeś.
- A ty ze trzy razy mówiłaś o tym, że trzeba iść na północ.
- Denerwujesz się, Garrett?
- Jasne. A ty?
- Mało nie narobię w gacie. - A wydawała się zimna jak ryba.
- Nic po tobie nie widać.
- Też się kiedyś nauczysz.

W pobliżu domu Chodo niebo zwariowało.

- Chyba to morCartha przeniosły się na wieś ze swoim cyrkiem - mruknąłem.
Nawet w świetle nie mogliśmy ich widzieć, bo oddzielała nas gran. Nie uznaliśmy za stosowne podejść i popatrzeć. Wszyscy goście kacyka będą już tam stali z rozdziawionymi gębami.

Znaleźliśmy wygodne miejsce do zeskoczenia o pięćdziesiąt jardów na północ od domu Chodo. MorCartha krążyły nad nim jak szalone.

- Te latające szczury obudziłyby umarłego - burknąłem.
- Mamy czas. Jesteśmy do przodu. - Plan przewidywał czekanie na Craska i Sadlera, którzy mieli odciągnąć gromojaszczury na front domu, kiedy już znudzi ich czekanie na mnie i stwierdzą, że muszą sobie radzić bez nas. Potem pójdziemy sami, w nadziei że mój amulet ciągle działa.

- Aha. - Próbowałem doszukać się sensu w tym rwetesie. - Nie podoba mi się to.
Wstałem. Teraz mogłem widzieć kropki, które od czasu do czasu przelatywały przez chmurę światła nad domem kacyka. Na ile mogłem stwierdzić, wrzała tam zacięta bitwa, a nie zabawa. -
Dla czego wyszli aż tam?

- Och, siadaj i rób w gacie tak jak ja.
Jeśli Crask i Sadler nie zaatakują i nie zdarzy się nic innego, ruszymy o trzeciej. To najzimniejsza godzina nocy, kiedy gromojaszczury są leniwe i ospałe. Jeśli pozostaną ospałe i do tego zignorują nas z powodu mojego amuletu, będziemy musieli się martwić tylko o psy, uzbrojonych strażników, pułapki, i wszystko inne, o czym nie wiemy.

Winger położyła się i spojrzała w gwiazdy.
- I tak jest dość światła. Zajmę się psami. Ale lepiej miejmy nadzieję, że te morCartha się wyniosą.

Wymamrotałem coś pod nosem. Psy mnie denerwują. Nie boję się ich, tylko mnie denerwują.
- Masz jakąś specjalną kobietę, Garrett? Tę małą Iskierkę, która kręci się po twoim domu?
- Iskierkę?
- No, tę z marchewką na głowie. Nazwałam ją Iskierką na własny użytek.

- Och. Tak, mam jedną lub dwie.

- Jedną lub dwie?

- Tinnie Tate. Ta, którą dźgnęli. I jeszcze jedna, Maya. Chyba ją dosyć lubię. Ostatnio dawno jej nie widziałem.

- Coś niecoś o niej słyszałam. Ludzie mówili. A poza tymi dwiema? Kręcisz z kimś jeszcze? Akurat z tego jesteś dość dobrze znany, wiesz?

- Przesada, wielka przesada. Jestem tego pewien. Ludzie rozdmuchują te sprawy do niesamowitych rozmiarów. Nie. Nie mam nikogo takiego. Może Eleanor.

- Ta Iskierka?

- Nie. Blondynka na portrecie w biurze. Umie słuchać.

- A z Iskierką nic nie wykręcisz?

- Pobożne życzenia. Dlaczego pytasz?

- Bez powodu. Tak się zastanawiam. Musimy jakoś spędzić ten czas.

Co takiego?

- Och... - Nieraz jestem naprawdę tępy. Zacząłem szukać wymówki, która nie pozostawiłaby po sobie zranionych uczuć. - Sam nie wiem... jestem w takim stanie...

Ludzie, niech mnie piorun! I kto by pomyślał...? Winger zaczęła zbierać ubrania.

- Ktoś idzie. I chyba robi się późno.

Nie do wiary. Ja, stary Marine, zajęty wyłącznie swoją misją, zapomniałem, po co znalazłem się pośrodku winnicy, odmrażając sobie tyłek o trzeciej nad ranem. Co wy na to? Znowu odezwała się moja słabość. Kiedy Winger zdecydowała się już być kobietą, skwierczała i syczała jak lont. Iskierka... Carla Lindo jakoś przestała mnie fascynować.

Zdumiewające. Naprawdę zdumiewające.

- Spoko, Garrett - Mroczne cienie podpląnęły bliżej. - Crask i Sadler.

Winger i ja skończyliśmy właśnie się miotać w poszukiwaniu ubrań. Tamci dwaj przysiedli na skarpie.

- Sprytny, sprytny Garrett - mruknął Crask. - Miałeś spotkać się z nami od frontu. Nigdy byśmy cię nie znaleźli, gdyby nie to chrząkanie i mlaskanie.

- Spokojnie, panienko - dodał Sadler. - Spoko. Nie będzie problemów. Nie mam do ciebie pretensji, że się nie pokazałeś, Garrett. Nie po tym, co było po południu.

- Słyszeliście, co?

- No. Coś niecoś. Przyszliśmy za późno, żeby cię uratować. Próbowaliśmy. Jużemy myśleli, że po tobie, i pożegnaliśmy się z tobą, kiedy nam powiedzieli o powozie i gromojaszczurze.

- Grupa farmerów położyła go tuż po zachodzie słońca, jeśli cię to interesuje - dodał Crask. - Jeszcze go obdzierali ze skóry, kiedyśmy wychodzili.

- Po zachodzie usłyszeliśmy od kumpla, że widział cię, jak rozmawiałeś z tą laską - uzupełnił Sadler. - I tak zrezygnowaliśmy z ciebie.

- Jesteś najbardziej cwany sukinsynem, jaki chodził po ziemi, i masz kupę szczęścia - rzekł Crask. - Zmieniliśmy cały plan, słysząc o powozie. A potem zmieniliśmy go jeszcze raz, kiedy dowiedzieliśmy się, że żyjesz.

- Pomyśleliśmy, że nie pojawimy się tam, gdzie miałeś się z nami spotkać, na wszelki wypadek, gdybyś przyszedł. Ale mieliśmy pilnować i iść za tobą, kiedy wejdiesz.

- Iść za mną? Skąd wam przyszło do głowy, że pójdę tam sam?

- Musiałeś. Chodo poluje na twój tyłek. Musisz dorwać go za dupę albo pożegnać się ze swoją. Może i jesteś nieco stuknięty, ale nie szalony. Zrobisz to, co musisz.

Crask zachichotał. Co za para sukinsynów. I ani trochę się nie wstydzą.

- Zmieniliśmy plany jeszcze raz - wyjaśnił Crask. - Teraz uważamy, że powinniśmy uderzyć razem.

- Hej, macie jakieś pojęcie, co się tam dzieje? - zapytał Sadler.

- Wojna morCartha.

- W domu Chodo? Wzruszyłem ramionami.

- Tłuką się wszędzie, gdzie tylko znajdzie się ich wystarczająco dużo naraz.

- Mnie się wydaje, że to coś gorszego. Chcesz przegapić? - Mówiąc to, zachował całkowitą powagę. Crask zresztą też. Ci goście byli nieludscy.

- Jestem gotowa w każdej chwili, Garrett - dodała Winger. Bez żartów. Już drżałem na samą myśl, że Truposz dowie się o dzisiejszej nocy. Będzie marudził bez końca. Pewnie faktycznie na to zasługuję.

- Hej, chłopaki, a może chcecie wpierw odpocząć? Przecież im nie powiem, że nie mogą wparować z hukiem. Nie tu. Nie teraz.

- Jesteśmy gotowi - odrzekł Sadler. - Masz kamień?

- Jestem powolny, ale nie głupi. Winger mówi, że może się zażać psami.

- Nie powinny stwarzać problemów. Przyszliśmy przygotowani. Widziałem go na tyle dobrze, że wiedziałem, iż myślał coś wręcz przeciwnego o nas. On i Crask byli uzbrojeni w wojskowe włócznie i dwuręczne szable Venagetich. Mieli zresztą ze sobą tyle innego sprzętu, jakby chcieli wyposażyc własne wojska.

- Kiedy tylko uznasz za stosowne - dodał.

- No to zrobmy to, Winger. - Ruszyliśmy w drogę.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XLIII

Mur po północnej stronie domu Chodo był nieduży. Ciekawe, czy umyślnie?

- Aha - mruknął Crask. - Stąd jest dalej do domu. Większość z nich próbuje przejść właśnie tędy.

Są załatwieni, bo jaszczury i psy mają więcej czasu.

Cudownie. Ale geniusz. Wybrałem dokładnie tę drogę, którą chciałby mnie poprowadzić Chodo.

- Niech mnie, chyba się uspokoiło - mruknął Sadler. Miał rację. MorCartha przeniosły się dalej.

- I jest o wiele ciemniej - dodał Crask. Potrzebowałem chwili, żeby zrozumieć. Światła wokół domu pogaszono.

- Co z uzbrojonymi patrolami? - Mieliśmy problemy, żeby je dostrzec w mroku.

- Może są - to głos Sadlera. - Ale na pewno trzymają się bliżej domu. Gromojaszczury są nieobliczalne, kiedy się za bardzo podniecą.

- Dobrze, że mnie ostrzegłeś. - Tak, jakbym faktycznie wierzył, że ten amulet pozbawi bestie wzroku i słuchu.

Przeszliśmy kolejne ćwierć mili. Crask i Sadler szli przodem. Znali drogę. Nagle Crask się zatrzymał. Sadler też.

- Coś jest nie tak - mruknął Crask. - Normalnie musielibyśmy już dawno natknąć się na psa lub jaszczura.

- Nie mam zamiaru się skarżyć - zwierzyłem mu się.

- Uważaj.

Ruszyliśmy dalej. W chwilę potem potknąłem się, padłem na twarz. Właśnie tego mi było potrzeba. Posiniaczyłem sobie siniażki. Udało mi się upaść, nie robiąc hałasu.

- Hej - szepnąłem. - Zobaczcie, co to.

„To” było martwym gromojaszczurem. Gdyby był zdrowy, miałby mój wzrost. Przyczyną kiepskiego stanu jego kondycji zdawał się być pęk strzałek z kuszy. Trudno powiedzieć, od jak dawna chorował, ponieważ te istoty są zimne zawsze.

Crask i Sadler nie byli zadowoleni.

- Ktoś tu był przed nami - kombinował Sadler.

- To by wyjaśniało ciszę - wymamrotał Crask.

- Czyżby ktoś odwalił robotę za nas? - zapytałem.

- Może. Może nie. Jeden jaszczur leży. To nie całe stado. Może reszta śpi z pełnymi żołądkami.

Ci chłopcy są naprawdę pomocni, kiedy potrzeba. Znaleźliśmy jeszcze dwa gromojaszczury przerobione na po?duszki do szpilek. A potem martwego psa.

- Coś się tu dzieje dziwnego - mruknąłem. - Byłem zwiadowcą w Marines. Jeden facet nie mógł tego zrobić. Na oko była tu cała banda. Ale nie pozostawili śladów. Jedyne zdeptana trawa to ta, którą zdeптаły zwierzęta.

Crask i Sadler westchnęli. Winger zauważyła:

- Wszystkie strzały tkwią w plecach. Rzeczywiście.

- No to co?

Kciukiem wskazała na niebo. MorCartha?

Byliśmy w połowie drogi do domu. Pomimo braku światła czułem potężną bryłę mroku nad

nami.

Cisza nagle się skończyła. Ciemność też.

Wokół domu rozpętało się piekło. Zacięte walki. Światło pojawiało się znacznie wolniej.

- Może nie spieszymy się tak bardzo, Garrett - zaproponował Sadler.

Ruszyłem przed siebie. Miał racje. Nie ma sensu galopem pałkować się w coś dziwnego.

Posuwaliśmy się powoli. Huk i brzęki przycichały powoli.

Nagle znikąd pojawiły się zwierzęta. Crask i Sadler nadziali i na włócznie każdy po jednym jaszczurze. Winger ruszyła jak torreador, poderżnęła psu gardło w locie. Trysnęła krew. Wszystko się skończyło, nim zastanowiłem się, komu pomóc.

- Chyba ten kamień niewiele pomaga - wykrztusiłem.

- Nie rzuciły się na ciebie - prychnął Sadler.

- Teraz wiemy, że nie wszystkie zginęły - wymruczał Crask. Dotarliśmy do stodoły. Crask zaproponował:

- Rozejrzemy się trochę z góry.

Zrobiliśmy to, ale niewiele pomogło. Większość świateł już przygasła. Dokładnie naprzeciwko nas, obok domu, stało dwóch uzbrojonych strażników. Sześciu innych coś kombinowało wzdłuż ściany domu, bliżej frontu.

- Widzę ciała - szepnęła Winger.

- Było ich bardzo dużo. Ludzie od frontu przynosili część z nich do wnętrza. Chodo musiał sprowadzić na uroczystości całą armię. Nie licząc mężczyzn z bronią, cały plac aż roił się od psów, jałszczurów i morCartha. Musiało być ciężko.

Naturalnie bogowie musieli zrobić ze mnie kłamcę, zanim jeszcze otwarłem usta. Jeden z ludzi Chodo dostał w pierś bełtem. Reszta zaatakowała ciemność. Po chwili krzyków i zamieszania więk szość wróciła. Widocznie stwierdzili, że wystarczy im to, co mają.

- Karły - zdecydował Sadler.

- He? - inteligentne odpowiedzi zaczynały mi już wchodzić w krew.

- To karły napadły na dom. Kilku z tych nieboszczyków to karły. Co się tu działo, do licha?

Albo kolesie Pani Węży chcieli ją odbić, albo Gnorst próbował porwać ją z więzienia kacyka.

Stawiałbym na Gnorsta. Ale to nie wyjaśniało obecności morCartha. Nie miałem czasu pomyśleć.

- Mam nadzieję, że Chodo jest równie zdezorientowany jak my. I do tego pijany.

- Do tej pory na pewno wszyscy wytrzeźwieli - mruknął Sadler.

- Nie liczyłbym na to. Nie pamiętasz, jak się zalali w zeszłym roku?

- Nie widzę żadnych zwierząt - szepnęła Winger.

- Patroli też nie - dodał Crask. To oznacza, że wykorzystali już wszystkich ludzi, jakich mieli.

Resztę Chodo trzyma w zasięgu ręki.

- Wejścia na pewno ma obstawione - wtrąciłem. - Jak się do?staniemy do środka?

- Z góry. Wejdziemy na mur od wschodniego rogu, przerzucimy się na tamte belki i wejdziemy na dach. Przejdziemy tam i zeskoczemy na środkowy balkon. Widzicie? Nie powinien być obstawiony, jeśli Chodo nie ma ludzi i spodziewa się karłów. Karły nie mogłyby tam wejść.

- Wspinanie się na nieznanym budynki nocą to jedno z moich ulubionych zajęć.

- Już to robiłeś - przypomniał mi Sadler. - Byłem już w środku. Mam sznur. Pójdę pierwszy.

W jego tonie słychać było, że ma względem mojej osoby poważne zastrzeżenia.

Ja sam też miałem do swojej osoby poważne zastrzeżenia. Nie byłem pewien, czy w moim stanie wdrapałbym się na dach po drabinie, a co dopiero po linie. Pomyślałem, że zaraz wszystko odwołam. Napadanie na miejsce, w którym nie wiadomo co się dzieje, nie wydawało mi się

najmądrzejszym posunięciem.

Do domu dotarliśmy bez przeszkód. Sadler wspiął się na wschodni narożnik, spuścił sznur. Winger ruszyła w górę tak, jakby wspinaczka była jej powołaniem.

- Za panem, sir - zwrócił się do mnie Crask. Wiek przed pięknoscią.

- Nie ma sprawy. Zawiążę go sobie wokół szyi i wio do góry. - Złapałem sznur i zacząłem się do niego dobierać. Jakoś udało mi się dotrzeć na szczyt, choć przez pół drogi w ogóle nie otwieralem oczu. Crask wszedł tuż za mną.

- Zaczyna mi się to wszystko podobać, Bob - mruknął Sadler. To Crask ma jakieś imię? Zdumiewające. Byłem przekonany, że nawet własna mamusia nazywała go Crask.

- Aha, nieźle to wygląda. Zjedziemy sobie tutaj.

Ustawialiśmy się właśnie do zejścia na balkon, kiedy powróciła morCartha. Jedna. Pojedyncza sztuka. Spłynęła w dół z mroku nocy, śmignęła obok, omal nie doprowadzając nas do paniki. Wyobraziliśmy sobie, że to pewnie czujka i że zaraz zjawi się całe stado. Nic się na szczęście nie wydarzyło.

Próbowaliśmy właśnie dostać się do środka, kiedy od frontu znowu zaczęło się jakieś zamieszanie. Zatrzymaliśmy się, nasłuchując.

- To dziwne - mruknęła Winger.

- Co? - to był chyba skrzek, a nie pytanie.

- Wszyscy chłopcy Chodo są w środku. Wiec kto z kim walczy? Nie wiedziałem, a w danej chwili miałem to nawet serdecznie w nosie.

- Niech się bawią. Ruszamy dalej.

Ku mojemu absolutnemu zdumieniu bez trudu włamaliśmy się do domu.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XLIV

Byliśmy na najwyższym z trzech pięter. Crask i Sadler należeli, żeby sprawdzić każde pomieszczenie, zanim zejdziemy na dół. Nie chcieli zostawiać za nami nikogo. Winger i ja wzięliśmy się za długi hol od jednej strony, ci dwaj od drugiej. Spotkaliśmy się u szczytu schodów pośrodku korytarza.

- Znaleźliście kogoś? - zapytał Sadler.

- Kilku pijaków tak zalanych, że ledwie żywych - odpowiedziałem. Niektórych rozpoznałem i byłem zaskoczony obecnością podobno uczciwych ludzi, wysoko postawionych w biznesie lub społeczeństwie. Zasięg Chodo wyglądał na nieskończony.

- To samo z tej strony. Nikt, kto by miał dość jaj, żeby zrobić coś więcej, niż tylko skowyczeć. Impreza musiała iść pełną parą, kiedy gównno się zagotowało.

- Teraz na dół? Skinął głową.

- Uważajcie. Część schodów widać z sali balowej.

Nigdy jeszcze nie byłem w tym skrzydle. Nigdy nie przekroczyłem granicy parteru, i to tylko od frontu, jeśli nie liczyć wizyty w miejscu, które służyło Chodo za lochy.

Nasłuchiwalismy przed każdym kolejnym krokiem. Hałas dobiegał od frontu. Ludzie klęli, wściekli i przerażeni. I nie miało to nic wspólnego z nami.

Prowadził Crask, obwieszony całym arsenałem. Wydawało się niemożliwe, żeby poruszał się tak cicho, nosząc na sobie tyle żełastwa, a jednak nie spowodował nawet szelestu. Tak samo Sadler, a nawet Winger. Tylko ja, choć nie miałem ze sobą prawie nic i byłem wyszkolonym zwiadowcą Marines, czułem się, jakbym tańczył po bębnie.

Na środkowym piętrze nie znaleźliśmy nic, jeśli nie liczyć całego rzędu małych, ale pustych sypialni.

- Ochrona i służba - wyjaśnił Sadler. - Są trzeźwi i są z Chodo... jeśli jeszcze żyją.

- To znaczy gdzie?

- W jego biurze.

Nic mi to nie mówiło. Nigdy nie byłem w jego biurze.

Crask padł na brzuch. Ja też, przyciskając nos do balustrady. Pod nami przebiegła cicho grupka barwnie odzianych, ale obdarzonych karłów, kierując się ku przedniej części domu. Zaledwie zniknęli, znowu rozpętało się piekło. Crask zachichotał.

- Zastawili pułapkę na tych małych gówniarzy.

Jeden z karłów zawrócił, zgięty w pół, trzymając bebechy, żeby ich nie pogubić. Dogonił go jakiś utykający człowiek, dokończył ciężką, marynarską szablą.

- Możemy ominąć pułapkę?

- Nie.

- Jesteś Marinę - mruknął Sadler. - Naprzód do boju, bo utońiesz w gnoju!

Nie zabrzmiało to ani trochę bardziej apetycznie niż wtedy.

- Knyпки ich chyba wykończyły - szepnął Crask. - Inaczej gońiłoby go więcej ludzi.

Przenieśliśmy się na parter, omijając karła. Ruszyliśmy do sali balowej, wprost w prawdopodobną pułapkę. Po prawej mieliśmy kuchnię i pralnię i takie tam rzeczy. Po lewej chyba

też. Tak mi się zdawało. W czasie jednej z moich wizyt słyszałem, że zajmowały one większość parteru, jeśli nie liczyć strojnego pasażu od frontu i sali balowej oraz basenu.

Pułapka była prymitywna. Crask i Sadler uruchomili ją, wchodząc do sali balowej.

Facet, który posiekał karła, był tym zdrowszym i silniejszym z dwójki broniącej fortu. Crask poczęstował go ciosem drzewca włóczni w łeb.

Winger gwizdnęła.

- Ale sala balowa. I bal też niezły.

Sala balowa była przytulnym pokoikiem osiemdziesiąt na sto stóp i trzy piętra wysokim. Wokół leżały szczątki balangi. Przyjęcie musiało w najlepsze zbliżać się ku końcowi, kiedy zaczęło się upuszczanie krwi.

Crask i Sadler związali ofiary. Będą potrzebowali żołnierzy, kiedy przejmą władzę.

- Prosto do basenu.

- Ja osłaniam tyły - oznajmiła Winger. Kiedy się obejrzałem, właśnie wsuwała coś za koszulę.

Pomieszczenie z basenem było trochę większe od sali balowej. Sam basen był wielki jak małe jezioro. Pomieszczenie było pułapką. Jeśli nie liczyć trupów służby Chodo. Pewnie ze trzydziestu ich leżało pośród zwalonych stołów. Ominęliśmy pełen śmieci basen i ruszyliśmy do sali jadalnej.

Ta sala ciągnie się do samych drzwi frontowych przez całe przednie skrzydło domu, choć skrzydło chyba nie jest tu najwłaściwszym słowem. Dom przypomina ogromne pudło, z we wnętrzem centralnym podwórcem okrytym dachem, zamykającym salę balową i pomieszczenie z basenem.

Kolejno wyglądaliśmy na korytarz. Drzwi frontowych pilnowało kilkunastu ludzi. Wszyscy byli przerażeni i wszyscy mieli jakieś obrażenia.

- Niewiele zostało - zauważył Sadler.

- Może po prostu wpadliśmy w pułapkę razem z kacykiem - burknąłem.

- Może. Sprawdźmy gabinet - Podszedł do zamkniętych drzwi, które zaprowadziłyby nas do wschodniego skrzydła, i oparł się o nie, nasłuchując.

- Nie tędy. W środku jest tłum. - Ruszył w stronę tylnej części domu. Tą samą drogą, którą przyszliśmy.

Spojrzałem na Winger, wzruszyłem ramionami, poszedłem za nim. Zacząłem jednak rozważać wycofanie się z całego interesu. Sprawy przybrały zbyt zabójczy i tajemniczy obrót.

Wkroczyliśmy do wschodniego skrzydła poprzez korytarz na pierwszym piętrze, zbudowany specjalnie dla sprzątaczy. Sadler poprowadził nas do apartamentów mieszkalnych.

- Córka Chodo używa ich, kiedy jest w mieście.

- Teraz nikogo tu nie ma. - Ciekaw byłem, czy Chodo zna całą swój dom. Przecież nie dostanie się na wyższe piętra, jeśli go na nie nie wniosą.

- Nie wydaje mi się.

Crask i Sadler zaczęli grzebać w szafkach i ostukiwać ściany. Znaleźli to, czego szukali, nim zainteresowałem się na tyle, by zapytać. Obok kominka odchylił się panel. Oczywiście, Chodo na pewno ma swoje ukryte przejścia.

- Teraz schodzimy do pomieszczenia za gabinetem Chodo - wyjaśnił Sadler. - Musicie być naprawdę cicho.

Jakbyśmy potrzebowali takiego ostrzeżenia.

Nasze miejsce przeznaczenia było dość duże, jak na ukrytą komnatę, dobre dwanaście stóp na osiem. Winger oczy omal nie wylazły z orbit, kiedy je zobaczyła. Wzdłuż całej ściany ciągnął się wał worków z pieniędzmi. Dziewczyna przełknęła głośno ślinę i przeżuwała ją z wolna. To robiło

wrażenie. Sam musiałem przyznać. Ale to przecież tylko kieszonkowe Chodo na drobne codzienne wydatki. Takie tam zaskórniaki.

Przesuwaliśmy się wzdłuż ściany, kiedy znowu rozległy się odgłosy dzikiej bitwy. Tłum z zewnątrz zaatakował ponownie.

Crask i Sadler podeszli bezpośrednio do ściany, otwarli wizjer. Crask pokazał mi jeszcze jeden, dla mnie. Zawsze podejrzewałem, że kacyk zatrudnia ukrytych ludzi, którzy podglądają spotkania. Wyjąłem korek z dziurki i zajrzałem do pomieszczenia o wymiarach mniej więcej dwadzieścia pięć stóp na czterdzieści. W pokoju było tylko dwóch ludzi. Chodo i typ, który dostarczał energii napędowej fotela kacyka. Chodo siedział pośrodku pokoju, twarzą do otwartych drzwi. Wyglądał na zadowolonego i wcale nie przestraszonego. Za jego plecami sterty mebli zabezpieczyły dwa okna na zewnątrz.

Wyobraziłem sobie Chodo jako wielkiego pajaka-krzyżaka spokojnie oczekującego na swoją ofiarę.

Odgłosy walki dochodziły z innych punktów domu. Popychacz Chodo sprężył się na chwilę, ale zaraz się uspokoił, kiedy dwóch mężczyzn wprowadziło do pokoju nagą, związaną kobietę.

- Ha - wymamrotałem. - To ona.

- Kto? - zapytała Winger.

- Pani Węży. Zobacz na ten tatuaż. - Był brzydszy, niż sobie wyobrażałem. Sama wiedźma nie wyglądała katastrofalnie, ale zaczęła już przejawiać oznaki upływu czasu. Znacznie bardziej widoczne były spustoszenia poczynione przez upór. Wydawało się, że Chodo zadał jej kilka grzecznych pytań, ale kiedy przyszła kolej na udzielenie odpowiedzi, odmówiła współpracy.

Miała szczęście, że przyjęcie urodzinowe zaprzętało głowę Chodo. Inaczej mógłby potraktować ją znacznie poważniej. Chodo krytycznie obrzucił ją wzrokiem z odległości kilku stóp.

- Pięć stron? To wszystko? - Napreżył się, żeby dźwignąć z podołka kilka arkuszy mosiądzu. Wydawał się nieświadom faktu, że jego dom opanowali najeźdźcy.

- Tak, staruchu. - Pani Węży też nie wyglądała na zakłopotaną swoją sytuacją. Tak się przynajmniej zdawało.

- Są uszkodzone. Bezużyteczne.

- Oczywiście.

- A gdzie księga?

Do pokoju zajrzał ogromny ochroniarz.

- Są w domu. - Serce podeszło mi do gardła, ale on wcale nie miał nas na myśli. - Jest ich zbyt wielu. Nie możemy ich powstrzymać.

- No to zatrzymajcie ich w korytarzu. Powinieneś chyba dać sobie radę z garstką karłów. Nie zabij tylko Gnorsta. Chcę go mieć żywego.

- Tak jest, sir. - Tak, jakby sam fakt, że Chodo to powiedział, sprawił, iż rzecz stała się wykonalna. Taki był ten Chodo. Interesujące. Kacyk jeszcze raz łypnął na wiedźmę.

- Gdzie jest księga? Pytam po raz ostatni.

- Znakomicie. Nie będę musiała cię więcej słuchać.

Chodo nawet się nie zdenerwował. Uśmiechnął się tylko.

- Postawcie ją tam, w kącie. - Szepnął coś do gościa za fotel, który przestawił go za wielką barykadą po mojej lewej stronie. Zniknął mi z pola widzenia.

Crask dał Sadlerowi znak uniesionym kciukiem. Hałas z głębi domu przenosił się coraz bliżej. Nagle do pomieszczenia wszedł ten sam olbrzymi zbir, co przed chwilą.

- Przykro mi, sir - wyszeptał i padł. Chodo wciąż jeszcze nie był zdenerwowany.

Za nim wpadła garstka karłów z Gnorstem na czele. Rozejrzał się, wykrzykując polecenia po karlemu. Przez chwilę było ich prawie trzydziestu. Potem część wyszła. Pojedynczo. Większość nie miała w ogóle ochoty wychodzić, a kilku wręcz odmówiło. Gnorst kipiał złością. Podejrzewam, że nie chciał, aby ktokolwiek się zo?rientował, iż widzi siebie jako następcę Nooneya Krombacha.

Z tuzin zostało, kiedy przestali wreszcie wychodzić. Gnorst po?maszerował do kacyka, jeżąc brodę tak, jakby się przygotowy?wał, żeby coś powiedzieć.

Chodo wystękał swoją kwestię. Zdumiewające. Trochę ponaciskać staruszka i zaraz się okaże, ile ma w sobie energii.

- Wygląda, że mamy sześciu z jednej, a pół tuzina z drugiej strony, co, Chet?

Chet był jednym z chłopców trzymających Panią Węży.

- Może siedem do pięciu.

Karły pozatykało. Chodo miał przecież łać w portki ze strachu.

- Długo na tę chwilę czekałem, Gnorst - wymamrotał Chodo. - Ale cierpliwość popłaca. Dzisiaj zobaczę, jak umierasz.

Karły rozejrzały się nieco nerwowo. Złośliwe małe oczka Gnorsta zwęziły się jeszcze bardziej. Zaczął się chyba zastanawiać, czy nie wdepnął w pułapkę.

Chodo zdobył się na cichy śmieszek.

- Sami się załatwicie. Bo sześciu z was to jej chłopcy, a sze?ściu należy do Gnorsta. -I tak dalej, siejąc wśród nich zamieszanie. Gość miał nieziemskie jaja do samej ziemi. I mówił szczerą prawdę. To było całkiem oczywiste. Można to był stwierdzić w tej samej chwili, kiedy kurduple zaczęły się wzajemnie oglądać.

- Nie! - wrzasnęła wiedźma. Chodo zaśmiał się.

Pióra i sierść zaczęły fruwać w powietrzu.

Jak mu się udało ich tak łatwo poróżnić? W jednej chwili kal?kulowali swoje szansę, w drugiej skakali wokoło, wymachując nożami i wrzeszcząc jak porąbani.

Chłopcy trzymający wiedźmę przesunęli się w pobliże Cho?do, wzdłuż zewnętrznej ściany. Teraz nie wyglądała już tak zadziornie. Chet zatrzymał się tylko raz, żeby wbić nóż w małego facecika, który zaczął sobie wyobrażać, że jest bohaterem i ura?tuje nie tak piękną i nie dziewicę, ale zawsze.

Nie było to jednak wzajemne rąbanie się karłów na drobne ka?wałki. Chet też oberwał swoje, zanim zdołał dotrzeć do biurka z Chodo i jego napędem.

Crask jeszcze raz uniósł oba kciuki. On i Sadler przesunęli się trochę, szykując się do skoku.

Lojaliści Gnorsta właśnie kończyli rozdeptywać chłopców wiedźmy. Dwaj ostatni wyrwali w stronę drzwi. Reszta z wy?ciem pognęła w pościg. Znowu usłyszałem śmiech Chodo, mięk?ki i cichy, ale dochodzący teraz ze szczeliny w ścianie tajnej komnaty.

Gnorst załapał sprawę o krok za późno. Chodo zwał na do?bre... ale nie całkiem tak na dobre, jak to sobie wymyślił.

Crask i Sadler załatwili po jednym z chłopców towarzyszących Chodo, dołożyli wiedźmie i upewnili się, że ściana wróciła na miejsce. Gnorst po drugiej stronie ściany dostał spazmów.

- Cześć, szefie - odezwał się Crask.

Chodo jakoś nagle stracił dobry humor. Westchnął.

- Obstawiasz konie i ryzykujesz, panie Garrett Ale nie moż?na walczyć ze wszystkimi. Koło będzie toczyć się dalej.

- Powinieneś był wiedzieć.

- Nie raz sam ustawiałem piony. Wiedziałem, że powinienem był dokładniej szukać tego brakującego kamienia.

Rzuciłem mu amulet na kolana.

- Nie potrzebowałem go. Zabili wszystkie twoje zwierzaki. - Skinąłem głową w stronę ściany.

Karły na zewnątrz przycichły i nie była to przyjemna cisza. Podszedłem, żeby sprawdzić.

Byli rzeczywiście cicho, lecz znalazło ich tam co najmniej ze czterdziestu. Większość po prostu stała, gapiąc się na Gnorsta. A Gnorst też nie wyglądał już tak bardzo jak normalny Gnorst. Był śmiertelnie przerażony.

Jego własne oddziały otoczyły go ciasnym kręgiem. Wykończystał je, żeby dorwać się do Księgi Cieni i stać się drugim Nooneyem Krombachem. Tutaj się zdradził. A jego kołesie wpa?dli w nastrój, który można by właściwie nazwać bezlitosnym.

Przecież mówił mi, co karły sądzą o Nooneyu i jego księdze.

Zaczął się wykręcać sianem, ale brakło mu elokwencji i prze?konania w głosie, a zresztą nikt go nie słuchał. Krąg kurdupli zaczął się zacieśniać z cichym pomrukiem. Szybko zatkałem okienko.

- No i co? - zapytał Chodo, jakby mu było spieszo, żeby z tym skończyć. Jakby chciał sprawdzić, czy mam w sobie to wszystko, co powinienem.

Wiedźma chwiejnie stanęła na nogi.

- Zwiążcie ją lepiej - zaproponowałem. - Chodo zadał pyta?nie, na które nigdy nie usłyszałem odpowiedzi. Sam też chciał?bym wiedzieć.

Chodo uśmiechnął się słabo.

- Zawsze wiedziałem, że masz swoją cenę, Garrett. Wysoka jest, muszę przyznać, ale okazuje się, że jednak jesteś człowie?kiem.

- Chcę ją zniszczyć. Nawet gdybym miał ją zanieść do kraju gromojaszczurów i wrzucić do wulkanu.

Gapił się na mnie, podczas gdy Crask i Sadler szukali odpo?wiedniego kagańca dla wiedźmy. Uśmiech przygał mu nieco, ale po chwili wrócił.

- Rzeczywiście, zrobiłbyś to. - Pokręcił głową. - Rozumiesz, co to było tamto po południu?

- Nie za bardzo.

- Wierzę ci. Mój błąd. Prawdopodobnie zostałem źle poinfor?mowany i dlatego wyciągnąłem fałszywe wnioski. Ale więcej niż jedno źródło sugerowało, że znasz miejsce, gdzie ukryta jest księ?ga. Chciałem cię o to wpytać. A jedno, czego dokonałem, to roz?budzenie twej wrogości. Cóż. Trudno walczyć ze wszystkimi.

- Dlaczego, do jasnej cholery, ktoś miałby sadzić, że wiem, gdzie jest ta pieprzona księga? Mało mi nie odbiło, zabiegałem się na śmierć, usiłując ją odnaleźć.

-I co, będziemy tak stać i kłapać jadaczkami przez całą noc? - odezwała się Winger. - Za chwilę będziemy mieć tu na karku całą bandę niziołków. Zróbmy, co trzeba, i zabierajmy się stąd.

- Myślę, że ich już mamy z głowy. Nie będą więcej sprawiać kłopotów.

Poszła sprawdzić przez wizjer.

Spojrzałem na Chodo.

Nie mogłem tego zrobić. A on też wiedział, że ja nie mogę. Uśmiechnął się. I to nie tak, jakby odniósł wielkie zwycięstwo, ale tak, jakbym to ja wygrał, a on się z tego cieszył. Uśmiechał się, nawet jeśli wiedział, że tym razem mu się nic nie upiecze. Crask i Sadler nie mają mojej wrażliwości. Nie przebaczą i nie zapomną.

Na paskudną twarz starego diabła wypłynął jeszcze szerszy uśmiech.

- Zaopiekuj się moim maleństwem, Garrett. Skinąłem głową.

- Nic jej nie będzie - wtrącił Crask. Nie kłamał. Tak właśnie działają układy pomiędzy tymi ludźmi. Kobiety i dzieci się nie liczą w rozgrywkach. Są nietykalne.

- Bogowie - jęknęła Winger od swojego wizjera. Odwróciła się, blada i wstrząśnięta. Stwierdziłem, że nie chce zobaczyć tego, co tak urządziło Winger.

Crask i Sadler podnieśli wzrok, reagując na ponury podziw, brzmiący w jej głosie.

Pani Węzy kopnęła Craska w krocze. Zgiął się wpół. A ona skoczyła na Chodo i...

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XLV

Lubię twierdzić, że bardzo szybko poruszam się na stopach mojego umysłu. Ale z reguły nie jestem szybszy niż ktokolwiek inny. A kiedy w grę wchodzi kobieta, staję się nagle okropnie powolny. Mam jednak talent do widzenia tego, co trzeba i robienia tego, co trzeba, kiedy mój własny tyłek jest na linii ognia.

Wszystko zdawało się odbywać w zwolnionym tempie. Pani Węży rzuciła się w stronę kacyka. Zauważyłem, że nie jest całkiem naga. Miała pierścień. Wielkiego, paskudnego węża, który prawdopodobnie tylko dlatego wciąż miała na ręce, bo nie chcieli jej uciąć palca przed śmiercią. Zacząłem krzyczeć, ale już było za późno.

Uderzyła Chodo, zanim jeszcze Crask zdążył się całkiem zwinąć, a Sadler był dopiero w połowie obrotu, żeby sprawdzić, co się dzieje. Nie wiedziała, dokąd zdążyła, ale czuła, że nie może tu zostać. Wszędzie będzie bezpieczniejsza niż tutaj.

- Winger! - wrzasnąłem. - Chodź tutaj! Bierz ją!

Zareagowała bez namysłu. Całe szczęście dla niej.

Uznałem, że to idealny moment, żeby się odseparować od Craska i Sadlera. Nim zaczęła się zastanawiać, kto powinien towarzyszyć kacykowi w ostatniej najmroczniejszej drodze.

Wiedźma doskonale się orientowała, gdzie ma wiać. Nie byliśmy w stanie jej otoczyć. Udało jej się znaleźć drogę ucieczki z tajnych korytarzy. Opuściła dom przez tylne wejście. Miała nad nami poważną przewagę.

Galopowałem wzdłuż ściany domu, kiedy wiedźma dotarła do frontu i omal nie wpadła wprost w grupę odchodzących karłów. Zakreśliła się w miejscu i ruszyła na wschód, w stronę zorzy, która właśnie zaczęła obrysowywać wzgórza i winnice.

Teraz Winger i ja zaczęliśmy ją doganiać. Mieliśmy dłuższe nogi i nie musieliśmy się martwić o ciemność i krzewy.

Nagle niktąd pojawił się na niebie skrzydlaty kształt, otarł się o prawe ramię Pani Węży, wytrącił ją z równowagi. Za nim pojawił się następny i następny, zmuszając ją do zmiany kursu.

Winger chwyciła mnie za ramię.

- Zwolnij. Może nie będziemy musieli jej doganiać.

- Co? - Jakoś przestało mi się myśleć.

- Zaganiają ją.

Rzeczywiście. Zwolniłem do truchtu, potem do stępa i zacząłem zmuszać mózg do wysiłku. Ale chyba zużyłem moje dzieńne rezerwy inteligencji w tajemnej komnacie Chodo.

Pani Węży rozpląsnęła się na murze posiadłości, rzuciła w poszukiwaniu schronienia do zagajnika, za którym płynął niewielki strumień. MorCartha okrążyły ją, podczas gdy ja i Winger odsłoczyliśmy od muru. Ignorowały nas kompletnie. Wiedźma zatrzymała się tuż przed zagajnikiem, rzucając wokół dzikie spojrzenia. MorCartha pilnowały, żeby nie przyszło jej do głowy uciekać.

Z zagajnika wyszła gromada ludzi. Wszyscy byli niscy, ale byli to ludzie, ani elfy, ani karły, tylko ludzie. Oni też otoczyli Panią Węży. Dopiero teraz dołączył do nich niski facecik w okularkach.

Willard Tate.

- Hejże! - zawołałem. - Stój i się nie ruszaj, Winger. Dobrze. A teraz naprawdę ostrożnie i powoli wynosimy się w stronę drogi.

W ciągu sekundy opanowałem impuls, żeby zejść na dół i prze-mówić Tate'om do rozsądku. Może to nie być ani trochę zdrowsze niż dołączenie z powrotem do Craska i Sadlera. Willard Tate w słabym świetle nowego dnia wyglądał jak demon. Widać było, że gotów jest porachować kości świata.

- Co się dzieje? - szeptem zapytała Winger.

- Nie chciałyś chyba wiedzieć. - Staruszek Tate miał ze sobą narzędzia. Wciąż kierowałem się w stronę drogi, mając jedyne nadzieje, że nie wpadnę nikomu w oko. - Ten staruszek, widzisz go? To właśnie jego bratanicę przez pomyłkę dźgnął jeden ze zbirów Pani Węży.

Ciekaw byłem, ile wydał na zaaranżowanie tego spotkania. Ciekaw byłem, ile z tego było zaplanowane, a ile stanowiło czyste szczęście. Nie miałem wielkich ciągót, żeby pójść i zapytać. Wujcio Willard mógłby stwierdzić, że nadszedł dobry moment, aby uprościć życie drogiej Tinnie poprzez usunięcie z jej drogi ulubionego eks-Marine.

Pani Węży wrzasnęła.

- Masz zamiar coś z tym zrobić?

- Jasne. Zabrać stąd moją najukochańszą, najdroższą dupę. W okolicy kręci się za dużo gości z podwyższonym ciśnieniem. Wracam do domu i zamykam się w nim na miesiąc, a potem zacząę się zastanawiać, co właściwie stało się z tą przeklętą Księżką Cieni.

Coś mi przyszło do głowy. Ważyło pięćset funtów i było całkiem szalone. Proces eliminacji. Wszyscy inni, którzy byli choć trochę zainteresowani, nie mieli księgi. A zatem Easterman miał ją albo wiedział, gdzie jest. Może czekał tylko, aż całe podniecenie trochę opadnie, zanim przeistoczy się w Fida Straszliwego.

Pani Węży miała bardzo zdrowe i mocne płuca. Teraz wyła już jednym ciągiem. Nie obejrzałem się.

Może później dojdę ze sobą do porozumienia w tej kwestii. Kiedy już przyzwyczaję się do myśli, że wciąż jestem w jednym kątku.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XLVI

Sześćset jardów na południowy zachód od bram domu Chodo droga do TunFaire przebiega przez niewielki kamienny mostek nad strumyczkiem, który zasila zagajnik, gdzie zaczęli się Tate'owie. Po obu stronach mostku rozsiedli się dwaj wyjątkowo niesympatyczni goście. Nad głowami, w gałęziach drzew, kręciły się niespokojne morCartha, choć raz nie kłócąc się o nic. Prawdopodobnie należały do tego samego plemienia, może nawet do tej samej rodziny.

Niższy z typów wstał, otrzepał siedzenie i obdarował mnie sześciomiesięcznym uśmiechem wypełnionym spiczastymi zębami czarnego elfa.

- Wszystko w porządku, Garrett? - Przystojny był z niego diabeł. Zachowałem zimną krew. Nazywają mnie przecież Ogórek Garrett. Sople lodu w miejsce kości.

- Widzisz przed sobą osławionego Morleya Dotesa - oznajmiłem Winger. Prawdopodobnie sądził, że zaraz zasypię go pytaniami. Nic z tego. Ja mu pokażę. Zepsuję mu cały dzień.

- Faktycznie, nie wygląda na bohatera.

- Wszystkie dziewczyny mówią to samo.

Saucerhead, wciąż siedząc, wyszczerzył zęby i splunął do strumyka. Spojrzał w stronę zagajnika.

- Trochę się dzieje, nie?

- Rutyna. Nie mieli najmniejszych szans, odkąd się rozpędziłem. Chciałbym tam zostać i pożartować sobie, ale jeszcze nie jadłem śniadania.

Saucerhead wstał. On i Morley powlekli się za nami. Dotes odezwał się zranionym tonem:

- Rutyna? Starłeś sobie ogon o cały cal, kiedy pędziłeś w dół przez całe zbocze. Gdybym cię nie ubezpieczał...

- Wynajęliśmy te morCartha, żeby cię pilnowały i donosiły nam o rozwoju wydarzeń - wyjaśnił Saucerhead. - Gdybyś zakopał się za głęboko, skoczylibyśmy ci na pomoc.

- Ach, to wy chłopcy wyrwaliście mnie z łap chłopców Chodo i tego gromojaszczura?

Morley zaczął chrząkać jak prosię.

- Znasz morCartha. Krótkie okresy koncentracji. Wtedy jakoś cię straciły z oczu. Ale miałeś szczęście, jak zawsze. Przez całą resztę czasu byliśmy z tobą.

- No, może przez połowę - przyznał Saucerhead. - Dobrze, może przez jedną czwartą. Ludzie muszą przecież spać.

- Moi kumple - wyjaśniłem Winger. - Pilnują mnie.

- Hej - zaprotestował Morley. - Nie bądź taki. Ustawiłem wszystko tak, że w końcu się udało, no nie?

- Nie wiem. Ustawiałeś coś?

Morley nie należy do tych, którzy sami sobie grają fanfary pochwalne, w każdym razie nie głośniej niż trąby sądu ostatecznego, dlatego pozwolił, żeby to Saucerhead mówił. Podobno Morley wyczuł coś od samego początku, coś, co sprawi, że ja i Chodo weźmiemy się za łby. Przestał się ukrywać i dąsać o to, że Chodo zagarnął jego dom i knajpę. Zaczął czynić przygotowania. Skontaktował się ze wszystkimi, którzy szukali księgi, i oferował, że zostanie ich wojennym lordem. Banda Gnorsta nie miała praktycznego doświadczenia w polowaniu i walce. Podobnie Tate'owie. A

reputacja Morleya jest taka, że i gang wiedźmy nabrał na niego ochoty. Oczywiście, wszystkim kazał zapłacić z góry. A potem zagnał wszystkich w jedno miejsce i popchnął do finałowej walki.

- Ja uważam, że to było bardzo sprytne - burknął Morley.

- No - zgodził się Saucerhead. - Wyszło w sumie tak, że rozwiązało częściowo nawet problem morCartha. - Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt z wynajętych zbirów nas nie goni. Chyba stracili zainteresowanie. Tharpe odetchnął z ulgą.

- Nie martw się nimi. - Morley zachichotał. - Wrócili, żeby posprzątać dom Chodo.

Nie miałem wiele do powiedzenia. Niech Morley uważa, że mnie ubezpieczał. W końcu to przyjaciel, lub coś w tym rodzaju, i naprawdę próbował. Podejrzewam, że kiedy miałem wrażenie, iż ktoś mnie śledzi, wyczuwałem właśnie morCartha. To on, Tharpe i Tate'owie siedzieli w łodzi, która śledziła mnie i Winger na rzece. Niech sobie myśli, co tam chce. Ja byłem pewien, że jego udział nie miał szczególnego znaczenia. Sprawy nie mogły przybrać diametralnie innego obrotu, zważywszy na naturę tej krwiożerczej bestii.

Wchodząc do miasta, zapytałem Winger:

- Wciąż jesteś na liście płac Fida? Muszę przecież poszukać tej księgi.

- Nie sądzę. - Dyszała ciężko. Zachichotałem.

- Może zatrzymamy się na chwilę albo skombinuję ci jakieś goś muła?

- Po co? - Obdarzyła mnie zdumionym spojrzeniem.

- Żebyś nie padła. Przecież wleciesz ze sobą pewnie ze sto funtów łupów. Byłem naprawdę zaskoczony, że zdołałaś utrzymać tempo podczas pościgu za Panią Węży.

Nadęła się, ale nie zaprzeczyła.

Do diabła, przecież cała brzęczała w rytm kroków.

Morley szedł zamyślony.

- Możemy przypadkiem znaleźć się w ciekawych czasach, te raz, kiedy mamy wakat na miejscu kacyka - zauważył.

- Crask i Sadler są sprytniejsi, niż na to wyglądają. Kto im stać w czoło?

- Sami sobie.

Winger obrzuciła go twardym spojrzeniem.

- Czy on zawsze jest taki naiwny, Garrett?

Uniknąłem odpowiedzi, ponieważ dopiero teraz sam rozgryzłem tę parkę.

- Władza zmienia ludzi. Niektórzy robią się zachłanni.

- Muszą martwić się o resztę świata, nie o siebie.

- Nieważne - mruknął Morley i zaraz dodał: - Wszystko do bre, co się dobrze kończy.

Byliśmy już w Strefie Bezpieczeństwa.

- Muszę sprawdzić, co zostało z knajpy.

- Noo - poparł go Saucerhead. - Lepiej sprawdzę, co z Molly. Może się przypadkiem trochę martwić. Nie powiedziałem jej, co się dzieje.

Kiedy szedł w stronę domu, nad głową przeleciał mu klucz gromojaszczurów. Tylko gołębie zerwały się do lotu. Ludzie na ulicy ledwo je zauważyli. Takie już jest TunFaire. Wszystko może się zdarzyć i do wszystkiego ludzie przyzwyczajają się błyskawicznie.

Winger pobrząkiwała teraz nieco bliżej. Wyglądała tak fatalnie, jak ja się czułem.

- Twój kumpel ma rację. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

- Ale to się jeszcze nie skończyło. Jeszcze nie zająłem się tą cholerną Księżą Cieni.

- Może najpierw troszkę zmrużymy powieki, co?

- Mógłbym tak całymi tygodniami. - Nie zostało mi zbyt wiele energii, ale miałem jeszcze parę

spraw do załatwienia. Tinnie. Carla Lindo. Księga. Może Fido Easterman. Że nie wspomnę Craska i Sadlera. Ale nie mogłem się teraz na nich skupić. Dom i łóżko były tak blisko, że zacząłem padać na nos.

Dobra. Tup, tup. Człap, człap, z Zaułka Czarodziejów do ulicy Macunado... o, cholera. A to co znowu? Przedryfowałem obok i zainstalowałem odwrotną stronę moich ud na stopniach ganku sąsiada.

Przed moim domem zebrał się nieduży tłumek. Słysząc było tylko pojedyncze ochy i achy. A atrakcja nie była tak pospolita jak latające gromojaszczury.

Potężny typ w usianym gwiazdami czarnym chałacie unosił się dwadzieścia stóp nad ziemią, kręcąc się, wirując i wykonując takie ruchy, jakby próbował pływać. Oczywiście, nigdzie nie dopłynął. Fido Easterman.

Zauważył Winger i zaczął wrzeszczeć jak handlarz kartofli.

Dźwignąłem się do pionu i podkuśtykałem bliżej. Zauważyłem, że Fidowi towarzyszyła cała jego banda, choć nikt inny nie próbował latać. Reszta stała na ulicy, sztywna jak utwardzona skóra. Niektórzy, pochwyceni w pół kroku, przewrócili się na bok.

- Co do diabła? - jęknęła Winger. - Co do diabła?

- Chyba jakoś wkurzył Truposza.

Na ganku stało kilka wilkołaków, również sztywnych. Drzwi były otwarte. Wyważone. Nic dziwnego, że stary Kościej się wzruszył.

Nie próbowałem zrobić sobie krzywdy pośpiesznymi gestami. Truposz miał wszystko pod kontrolą. Przemknąłem przez tłumek, zatrzymałem się, żeby popatrzeć na Eastermana.

- Zdejmij mnie!

- Dlaczego? Chcesz wpędzić się w jeszcze większe kłopoty? Easterman zatrzepotał w powietrzu, warknął, że ktoś mu ucieka, po czym zaczął miotać groźby.

Podskoczył o piętnaście stóp w górę, po czym opadł z wyciem. Ludzie rozpierzchli się. Zaczają skakać na wszystkie strony jak żerujący nietoperz. Ludzie klaskali i krzyczeli, podrzucając mu pomysły, czego jeszcze może spróbować. Chyba naprawdę zdenerwował Truposza.

- Co zrobiłeś?! - krzyknąłem w jego stronę. - Próbowalesz się włamać? Po co robić taką głupotę?

Fido wykrzywił się i przeleciał obok ze świstem.

Truposz podrzucił go wysoko i pozwolił spadać, dopóki nos Fida nie znalazł się o cztery cale od bruku, po czym podrzucił go znowu. Ile czasu to już trwa? Moc Truposza jest zdumiewająca, ale nawet i on się męczy.

- Księga! - zawył Fido. - Chciałem dorwać księgę!

- Mogę to zrozumieć. Sam chciałbym ją dorwać. Ale po co mi od razu rozwaląć dom?

Nie miał nic więcej do powiedzenia, Jeszcze nie. Truposz wprowadził go w ruch wirowy, więc zajął się zwracaniem ostatnich sześciu posiłków. Ludzie znowu rozbiegli się, klnąc na czym świat stoi. Ta część pokazu nie była aż tak atrakcyjna.

- Zawsze był przekonany o tym, że trzymasz księgę w domu - wyjaśniła Winger. - Dlatego przysłał mnie tu po raz pierwszy. Żeby powęszyć.

- Co? To znaczy, że odbiło mu mocniej, niż początkowo sądziłem. Nie odlatuj, Fido. - Ruszyłem w stronę domu. Wchodząc po schodkach, usunąłem z ganku wielkie zielone śmieci, wrzucając je do kanału, gdzie ich miejsce.

Posiekali mi całe drzwi w diabły. Dean może ich użyć co najwyżej na podpałkę. Nie spodobało mi się to.

Drzwi do pokoiku były uchylone. Czyżby Truposz wpuścił ich aż tam, nim zareagował? Nie, to

Dean tam urzędował.

- Dean? Co się dzieje? - Siedział na kanapie, pociągając nożem i kręcąc w palcach szary gałgan, którym owinał sobie dłoń.

Potrzebował czasu, żeby odpowiedzieć.

- Och, panie Garrett! - To był szok. - Próbowałem ją zatrzymać, ale nie mogłem.

Winger wprosiła się sama.

- On się pociął, Garrett - zauważyła. Tak. Podłoga między jego stopami była cała zakrwawiona.

Podszedłem, sądząc, że jest ciężko ranny, ale nie był. Tylko rękę miał rozciętą do kości, jakby chwycił nagie ostrze.

- Co się stało?

- Zabrała księgę, panie Garrett. Zaraz po tym, jak te stwory próbowały się tu włamać.

Przylapałem ją na tym, jak ją odwijala. Próbowałem ją odebrać.

O czym on gada?

- O czym ty gadasz?

I wtedy zauważyłem pod jego stopą podartą mosiężną kartkę. To właśnie ona rozcięła mu dłoń.

- Księga Cieni. Była tu przez cały czas. Pod sofą. I ona o tym wiedziała.

Wiedziała? Jakim cudem wiedziała? Jakim cudem jej nie znalazł podczas sprzątania? Może będziemy musieli poważnie porozmawiać o tym, jak należy robić porządki. Pod sofą? Jak ona się tam mogła dostać?

- O, nie. - Teraz sobie przypomniałem pewne nagie zjawisko, które tu przybyło pewnego poranka. Miała ze sobą zawiniątko z materiału dziwnie podobnego do tego, który teraz Dean miał zamotany wokół dłoni. Nie zwróciłem na nie uwagi, bo miałem inne sprawy na głowie. Jeśli w ogóle myślałem o tym pakieciku, przyjąłem, że zabrała go ze sobą, kiedy się ulotniła.

- Carla Lindo ją wzięła? Wiedziała, gdzie ona jest, i zabrała ją ze sobą?

Dean kiwnął głową. Załapałem naprawdę szybko.

- Winger, sprawdź, co da się zrobić z tą ręką. Muszę opieprzyć mojego partnera.

Lepiej tego nie rób, przekazał mi Truposz, kiedy wparowałem do jego samotni. Byłem równie zaskoczony jak Dean.

- Nie mogłeś być. Potrafisz każdemu zajrzeć do głowy. Grasz w jakąś grę czy co?

Byłem absolutnym ignorantem, jeśli chodzi o to, co działo się na wyższych poziomach jej umysłu, choć teraz wydaje się oczywiste, że głównym motywem jej pobytu w tym domu było odnalezienie i pozostawanie w pobliżu Księgi Cieni. Zauważ, że nie byłem w stanie odczytać umysłu Pani Węży, tak samo, jak byłem całkiem nieświadom obecności tej drugiej osoby, kiedy znajdowały się tu obie w postaci Carli Lindo Ramada. Sugeruje to, że w tej młodej kobiecie jest coś całkiem niezwykłego.

- Doprawdy? - Byłem wściekły. Szkoda słów. Gdyby choć jeden półgłówek pomyślał chwilę po ucieczce nagiej kobiety, mógłbym zaoszczędzić sobie i innym mnóstwo problemów. Mógłbym poszukać, znaleźć księgę i zniszczyć ją publicznie. I koniec zamieszania. Ale nie! Musiałem dać wodzić się za nos przez całe pola rudych lasów.

Robię, co mogę, Garrett. Ale nie mam nóg.

- Co mówisz?

Mała diabliska uciekła przed niecałymi dwudziestoma minutami. Wiesz, dokąd się wybiera.

Nie, wiedziałem tylko, gdzie ja się wybieram. Na górę. Do łóżka.

- Będzie miała większą moc.

Garrett. Zostało dowiedzione ku mojej całkowitej satysfakcji, że ta kobieta nie należy do dobrych ludzi. Proponuję, abyś zastał się, jaką korzyść jej ojciec mógłby odnieść z posiadania Księgi

Snów. Weź pod uwagę ich prawdopodobne miejsca działania, to znaczy niezdobytą fortecę.

Został przyłapany na słabości, więc cierpiał z powodu zranionych uczuć. Żądał krwi.

- Dobrze, dobrze. - Potrzebowałem tego jak kolejnych wakałcji w domu kacyka. Najbardziej pragnąłem wypoczynku, około trzydziestu kwart zimnego piwa, dziesięciofuntowego steku, krwałwego i obłożonego pieczarkami. Długie moczenie się w wannie też by nie zaszkodziło.

- Już idę, idę. - Dlaczego ja sobie robię takie rzeczy?

A w ogóle to dokąd ja się wybieram? Za drzwiami jest przecież cały świat.

Musiła udać się na zachód, Garrett.

To zawężyło obszar poszukiwań. Jeśli idziesz na zachód, możesz się wydostać z miasta tylko jedną drogą.?

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XLVII

Winger znów się wprosiła. Nie sprzeczałem się z nią. Mogła przynajmniej kłuć mnie szpilkami, żebym nie zasnął.

Ustawiliśmy się na czuwanie pod murem miasta, poza zachodnią bramą, pośród najbardziej optymistycznych żebraków świata. Chciałem przez to powiedzieć, że większość wchodzących ludzi to biedni wieśniacy poszukujący złota na ulicach.

- Myślisz, że zdążyliśmy na czas, Garrett?

Zaryzykowałem oba nasze życia i poszliśmy na skróty przez Bustee, najprostszą z możliwych dróg.

- Nie zna miasta. Nawet jeśli wynajęła powóz, nie zdążyłaby tu dotrzeć pierwsza.

Logicznie była to prawda, ale działałem po omacku. Po ostatnich wydarzeniach logika nie wydawała się już podstawą wszechrzeczy.

Czy można było nabrać Truposza już nie raz, ale trzy razy? To naprawdę trudne do przełknięcia, choć dla świętego spokoju w domu uwierzę mu na słowo.

Podejrzewam, że Carla Lindo zdołała go ocyganić dzięki jego kosmatym marzeniom. Był zbyt długo narażony na jej wdzięki, żeby cokolwiek wyczuć. Przegapił to, bo był zajęty zupełnie czym innym... do licha, i kto to mówi?

- Czy ona ma pieniądze? - zapytała Winger.

- Nie sędzę. Dlaczego?

- Zastanawiam się, czy mogła wynająć powóz lub kupić konia.

- Wydała na nas wszystko, co miała.

- Więc będzie szła pieszo. Umie czytać?

- Po co pytasz?

- Gdybym była na jej miejscu i umiała czytać, otwarłabym księgę i zmieniła się w coś innego, na wypadek gdyby ktoś mnie gonił.

O tym nie pomyślałem. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy umie czytać, czy nie. Kiedy jestem zmęczony, wyobraźnia płata mi figle.

- Przyjmijmy najgorszą możliwość. Szukajmy każdego, kto niesie cokolwiek przypominającego księgę.

- Jakie duże?

Pokazałem rękami, o tyle, o ile mogłem sobie przypomnieć to, co widziałem w ramionach nagiej pani.

Winger skuliła się w cieniu muru, ignorując grymas żebraka, który siedział obok. Przymknęła oko, jakby zamierzała przysnąć.

- Myślisz, że będą kłopoty z tego, co twój kumpel zrobił Eastermanowi?

- Nie. Wypadki chodzą po ludziach. A wokół naszego domu zdarza się to wyjątkowo często. Sąsiedzi mogą się cieszyć, że tym razem była to jedynie rozrywka. Ostatnio kilka domów po prostu eksplodowało. Stąd te nowe ściany i płoty. Ludzie, którzy nie lubią awantur, po prostu się wyprowadzili. Pozostali mają to wszystko gdzieś. Nie są właścicielami, tylko najemcami.

- Zauważyłam to w TunFaire. Nikogo nie obchodzi nic, co nie dotyczy ich własnego nosa.

Nie całkiem prawda, ale blisko.

Przez chwilę nic się nie działo. Wdałem się w dyskusję z gościem, który też był eks-Marine. Mówiliśmy głównie o wyczynach Glory'ego Mooncalledego w Kantardzie. Nocą, kiedy byłem zajęty, doszły do nas informacje, że wspaniały manewr Mooncalledego nie okazał się taki wymyślny. Co więcej, nasi nieustraszeni dowódcy częściowo go przewidzieli. Wyszli mu naprzeciw i wdałi się w potyczkę z Venageti, ale zachowali mocne rezerwy, które następnie kontynuowały pościg za Mooncalledego i porządnie go posiekały.

Z tego, co słyszałem, kiedy kurz opadnie, w Kantardzie żadna siła nie będzie już miała przewagi. Wrócimy do starego, niekończącego się terroru, tyle że teraz równowaga będzie się chwiała w trzy strony zamiast w dwie. Sytuacja będzie bardziej zwariowana niż kiedykolwiek.

Cieszyłem się, że mam to już za sobą.

Winger trąciła mnie lekko.

Przez bramę właśnie przechodziła przepyszna ruda lala. Ubrana była jak na ciężką drogę i niosła duży pakunek. Spieszyła się. Czy umiała czytać, czy nie, wyglądu nie zmieniła.

Za bardzo się spieszyła. Nie zauważyła ani nas, ani tego, że ścigają ją inni, bardziej zawzięci adoratorzy, to znaczy miejskie zbiry, które widocznie uznały ją za łatwy cel. Wędrowali w pewnej odległości, wiedząc doskonale, że droga skrywa szerokie możliwości. Trzy mile za zachodnią bramą zaczynały się już dzikie, niezamieszkane tereny. Wzgórza po tej stronie nadawały się wyłącznie na wypas owiec, a nie zakładanie winnic.

Winger wstała. Ja też. Pojęła sytuację i nic nie musiałem jej pokazywać palcem.

- Mam pomysł, który ci się nie spodoba.

- To znaczy?

- Niech ci trzej pajace złączą pierwi, a potem zabierzemy im księgę.

- Masz rację. Nie podoba mi się to.

- Pomyśl. Nie wiadomo, co ona jeszcze kombinuje. Mam rację? Dlaczego zatem ktoś inny nie miałby zebrać guzów? - Winger miała swój własny styl myślenia. I, niestety, miała rację.

- To tą drogą wjeżdżałaś do TunFaire?

- Tak. No i co?

- O kilka mil stąd znajduje się szeroki zakręt. Biegnie dokoła tej grani na dole, do miasta, które nazywają Zwarionym Młynem.

- Pamiętam.

- Gdyby ktoś miał przejść przez grań, mógłby zaoszczędzić półtorej mili, znaleźć się z przodu i wrócić tedy. Możemy dopaść ich z dwóch stron. Moim zdaniem dopadną ją na zakręcie grani, u Kurhanu Dziewicy Anioła, lub trochę dalej, przy źródle.

- Czy ktoś to znaczy ja?

- To też jest jakaś myśl.

- Masz jeszcze jedną. Będzie się oglądała za siebie czy patrzyła w przód? Ucieka od czy do? Kogo rozpozna?

Niech diabli wezmą jej czarne serce. Znowu miała rację. Carla Lindo rozpozna mnie w sekundę. Marudziłem okropnie, ale kiedy przyszedł czas, ruszyłem w górę, klnąc jak szewc.

Nie było to aż tak nieprzyjemne doświadczenie, zwłaszcza z drugiej strony. Potknąłem się i większość drogi turlałem jak piłka. Żadna robota. Ale i tak byłem spóźniony. Do Kurhanu Dziewicy Anioła przybyłem za późno.

Chłopcy zdążyli już dopaść Carlę Lindo, a Winger miała czas przyłapać ich w niekorzystnej dla niej pozycji. Kiedy nadbiegłem, sapiąc i dysząc, jeden nie żył, drugi właśnie nad tym pracował,

trzeci zaś był jedynie nieprzytomny. Winger zdążyła już przywiązać półnągą Carlę Lindo do pnia młodego drzewka.

- Zatrzymałeś się na kilka piw, Garrett?

- Mój zadek nie jest dość nisko, żebym dobrze biegał z góry - wyjaśniłem.

Rodzina wieśniaków, wędrująca drogą na zachód, demonstracyjnie udała, że nas nie widzi. Doniosą na nas przy Stacji Piekielnika, jakieś dwie mile za Zwariowanym Młynem. Przyjadą konni, żeby sprawdzić, co się dzieje. Przydrożni bandyci nie są tutaj tak tolerowani jak w mieście.

Carla Lindo oberwała co nieco. Chwilę zajęło jej, nim mnie rozpoznała. Rozdziawiłem gębę. Winger splunęła, pokręciła głową, złapała pakunek Carli jedną ręką, a moje ramię drugą.

- Będiesz tu stał i się ślinił czy ruszysz dupę? Drgnąłem, przeszedł mnie lekki dreszcz, ale się ocknąłem.

- Ruszam dupę. Jedną minutkę. - Przycupnąłem i zwróciłem się do Carli Lindo: - Kawaleria wkrótce tu przybędzie, kotku. Oni cię uwolnią. Jeśli nie chcesz przez resztę życia tłumaczyć każde mu lordowi i każdemu strażnikowi burz, co i jak, powiesz, że ci mili chłopcy cię napadli, ale pojawili się jacyś podróżni i ich przepłoszyli. Po czym odjechali i nie pomyśleli, żeby cię uwolnić.

- Garrett! Proszę! - Poczulem, że topię się jak wosk. - Muszę mieć tę księgę. Nie mogę bez niej wrócić do domu.

Powtórzyłem sekwencję drżenia i dreszczy. Potrafię je przetrzymać, jeśli muszę.

- Nic z tego, skarbie. To zbyt niebezpieczne. Zabiła już zbyt wielu ludzi. A ja nikomu nie mogę zaufać, że ją zniszczy. Nawet sobie samemu. - Nie, mnie już wcale nie kusiła. Zbyt wiele przez nią wycierpiałem. Chciałem tylko zniszczyć to draństwo.

Dotknąłem policzka Carli Lindo.

- Przepraszam, kotku. Mogło coś z tego być.

- Garrett, nie możesz mi tego zrobić. Kochałeś mnie, prawda?

- Może i tak, troszeczkę. Ale to nie znaczy, że pozwolę ci sobą pomiatać. To nie znaczy, że pójdę za tobą w ogień piekielny. Nie zrobiłbym tego dla nikogo. - No, może dla Tinnie. Już przełknąłem przez przedmieścia piekielne, próbując rozwikłać ten galimatias. Muszę znów się z nią zobaczyć...

Carla uległa naglej przemianie. Ze słodkiego, przepysznego kąseczka zmieniła się nagle we wściekłą kocice, z repertuarem przekleństw godnym portowej dziwki. Przemawiały przez nią najmroczniejsze czeluście jej serca. Stała się prawdziwą Carlą Lindo Ramadą, nie lepszą od tych dwóch, które nosiły jej twarz.

- Jesteś już gotów? - warknęła Winger. - A może wolisz tu sterczeć dalej i jeszcze raz czy dwa dostać w łeb?

Racja. Okryłem czapką moją biedną, potłuczoną głowę, odwróciłem się tyłem do Carli Lindo Ramady i ruszyłem w stronę TunFaire.

Nie rozmawialiśmy zbyt wiele z Winger. Niewiele zostało do powiedzenia. Powtarzałem sobie, że mogło być gorzej. Mogłem się wplątać w romans z Carlą Lindo. Wtedy naprawdę byłoby ciężko. Ale wydarzenia sprzysięgły się, żeby nic z tego nie wyszło. Na szczęście. Skończyło się tylko na kolejnej lekcji, odsłaniającej najbardziej prymitywne mroki ludzkiej duszy. Jeszcze raz ujrzałem, że przy odrobinie zachęty i możliwości prawie każdy bez namysłu skorzysta z okazji, żeby stać się złym. A zły stanie się jeszcze gorszy.

Duchowni tysiąca kultów głoszą, że człowiek w swej naturze jest dobry. Chyba pogłupieli. Boja widzę tylko, jak ludzie skwapliwie rzucają się na każdą możliwość czynienia zła.

Część z tych myśli wypowiedziałem na głos.

- Jesteś przygnębiający - mruknęła Winger.

- Wszyscy mi to mówią. Jeśli natkną się na mnie w takiej wła?śnie chwili. Po wszystkim. Pokreć się trochę koło mnie, a zoba?czysz moje najczarniejsze strony.

Zacząłem zastanawiać się, jak czarne są te najczarniejsze stro?ny. Miała przy sobie pakiet Carli Lindo. Mogło jej nagle przyjść do głowy, żeby skasować forszę od Eastermana.

Nie jestem pewien, skąd mi to przyszło do głowy. Może było to chwilowe olśnienie. Może cały czas siedziało to w mojej gło?wie, ponieważ droga przez zachodni kraniec miasta, którą wybra?łem, nie była tą najkrótszą. W każdym razie nagle znaleźliśmy się na rogu Blaize i Eldoro. Po drugiej stronie drogi stał zgarbio?ny, jakby zawstydzony i wzgardzony przez sąsiadów budynek z cegły barwy ochry. Większość cegieł w TunFaire jest czerwo?na. Z komina unosił się dym. Nagle przyszedł mi do głowy pe?wien pomysł.

- Chodź ze mną.

Pchnąłem frontowe drzwi przybytku. Zaanonsowała mnie gir?landa krowich dzwonek. Pojawił się stary, pokręcony kobold. Wiewiórka na dwóch nogach. Jego dłonie nieustannie ocierały się jedna o drugą na wysokości serca.

- Jak państwu mogę pomóc, sir i madam? - Złośliwy uśmie?szek powiedział mi, że wie. Cały jego ród był ze śmiercią za pan brat albo i lepiej.

- Widziałem dym z komina. Wypaliłeś już wszystko?

- Nie, sir - odparł, zdumiony. - Zawsze trzymamy ogień, że?by nie tracić czasu na rozpalenie i rozgrzewanie paleniska.

- Daj mi pakiet - poleciłem Winger. Niechętnie oddała mi księ?gę. Ona także była zdumiona. Pochodziła z obszarów, gdzie nie było wielu nie-ludzi. Gdyby wiedziała, co kombinuję, mogłaby stawiać opór. - Chciałbym to dorzucić.

Pokazałem mu paczkę.

- Sir?

- Zapłacę normalnie.

- Doskonale, sir. - Koboldy rzadko się spierają w obliczu forsy, nawet jeśli nie wszystko rozumieją. Wyciągnął dłoń po paczkę.

- Wolę zrobić to sam. Chcę być absolutnie pewien. Rozumiesz?

- Jak pan sobie życzy. - Nie poruszył się. Najwyższy czas po?kazać mu kolor moich pieniędzy. Zrobiłem to. Uśmiechnął się, wsadził je do kasetki, która magicznym sposobem pokazała się i zaraz zniknęła. Jeszcze przez chwilę zacierał ręce, wreszcie za?proponował:

- Może pójda państwo za mną?

- Co u licha robimy, Garrett? Co to za miejsce? Dziwnie tu cuchnie.

- Zobaczysz.

Zeszliśmy do holu, który ciągnął się wzdłuż kilkunastu niewiel?kich pokoików. W jednym rodzina koboldów pełniła straż przy starej, nieruchomej postaci na kamiennym stole.

Wtedy Winger pojęła.

Wiele ras, a nawet niektórzy ludzie, wolą nie grzebać swoich zmarłych. Powody są różne. Dla koboldów i niektórych innych gatunków pogrzeb pozostawia zmarłemu możliwość wstania i wyjścia z grobu. Przynajmniej tak uważają. Dla nas, ludzi, koszt zwykle stanowi główny czynnik sprawczy. TunFaire nie ma wie?lu cmentarzy. Miejsca są kosztowne.

Kobold zaprowadził nas do pieca. Wykrzyknął coś w swoim języku. Kilka innych koboldów, prawdopodobnie rodzina, wy?skoczyło z kąta, dorzuciło węgla do paleniska i zaczęło wściek?le pompować powietrze. W ciągu kilku sekund uderzyła w nas fala gorąca.

- Spalisz ją? - zapytała Winger.

- Wrzucę ją tam i poddam kremacji. Nie zostanie nic, oprócz odrobiny żużla - te paleniska są naprawdę gorące. Muszą być, żeby spopielić kości.

Mały ludek dorzucał węgla i pompował. W całym pomieszczeniu zrobiło się piekielnie gorąco. Winger biła się z myślami. Nie umiała zbyt dobrze ich ukrywać.

- Garrett... muszę wyjść. Nie wytrzymam tego smrodu.

Faktycznie, śmierdziało nieźle, ale to chyba była tylko wymówka, żeby nie wystawiać się na próbę. Jeśli potrafi znieść swój smród, krematorium nie powinno sprawiać jej problemów.

Wkrótce stary kobold oznajmił, że piec jest już gotów. Sam się trochę ze sobą zmagalem, aż wreszcie udało mi się stłumić ciemną stronę mojej duszy na dłuższą chwilę. Wrzuciłem zawiniątko na ruszt, na którym zwykle układa się ciała. Rozpłaszczyłem nos o mikowy wziernik i patrzyłem.

Pakunek Carli Lindo spłonął szybko, odsłaniając księgę. Wtedy ujrzałem ją po raz pierwszy. Wyglądała prawie dokładnie tak, jak ją opisywano: gruba, ciężka, oprawna w skórę, która też szybko płonęła. Mosiężne stronice zaczęły się zwijać.

Myślę, że to wyobraźnia. Nie wiem, co by to mogło być innego. Ale kiedy stronice roztapiały się w ogniu, byłem pewien, że słyszę ciche, odległe krzyki. Wydawało mi się, że widzę niespokojne cienie, przemykające po żarzących się węglach.

Garret 05 Ponure Mosiężne Cienie

XLVIII

Wyszedłem z krematorium.

- No i po wszystkim...

Przechodząca obok para młodych ludzi obrzuciła zdumionym spojrzeniem głupka, który z ożywieniem zwierzał się powietrzu. Z kłapnięciem zamknąłem usta. Winger zniknęła. Przez chwilę kręciłem się w kółko, wyglądając pewnie równie głupio, jak się czułem. Wreszcie wzruszyłem ramionami. Co, do diabła? W końcu ma robotę. Trzeba upłynnić łup z domu Chodo, póki jeszcze czas.

I co teraz?

Uznałem, że najlepiej zrobię, jeśli pójdę czym prędzej do domu i położę się spać. Naturalnie, postanowiłem się trochę podreżycić, oddalając od siebie tę słodką nagrodę. Skierowałem się ku domostwu Tate'ów.

To miał być krótki spacer, chciałem tylko sprawdzić, jak się ma Tinnie. Gdybym tylko zdołał prześliznąć się jakoś obok Tate'a pilnującego bramy. Po ostatniej nocy pewnie będą jeszcze mniej mili niż zwykle.

Ale nie, wpuścili mnie do środka. Tinnie, oczywiście, czuła się świetnie i była skwaszona jak ocet. Dawny, kochany rudzielec.

Uśmiechnęła się szeroko, ale złośliwie, i zagroziła, że znów spróbuje mi złożyć wizytę, kiedy tylko i ja jakoś dojdę do siebie.

- Możesz nawet ostrożnie podejść do wanny z ciepłą wodą, kołes. Twoje pchły chyba już wszystkie padły i zaczynają się rozkładać.

Na to konto już teraz leciutko cmoknąłem ją w usta, nie więcej niż dziesięć minut. Wyszczrzyłem zęby w charakterze odsepek i oznajmiłem:

- Będę biegł jak na skrzydłach. Nie pozwól mi się całkiem zestarzeć, nim...

- Już jesteś za stary, ale i tak cię lubię. Prawdopodobnie to te moje niższe instynkty... Lepiej uciekaj, póki wujcio Willard nie dobrał ci się do skóry. .

Uciekłem. Nie można powiedzieć, żebym naprawdę biegł do domu, ale nie traciłem więcej czasu. Ludzie twierdzą, że nuciłem coś pod nosem. Poszedłem prosto do łóżka.

I tam prawdopodobnie powinienem zostać, żegnając się czule z bieganiami i rudzielcami i tymi tam rzeczami. Jeśli będę miał dość rozumu, żeby pozostać w betach, trzymając głowę pod kołdrą, może uda mi się nie wdepnąć w kolejne szaleństwo.

?Cykl Prywatny Detektyw Garrett, obejmuje tomy:

Słodki Srebrny Blues

Gorzkie Żłote serca

Zimne Miedziane Łzy

Stare Cynowe Smutki

Ponure Mosiężne Cienie

Gorące Żelazne Noce

Śmiertelne Rzęciowe Kłamstwa